

ÅSA LARSSON

*Wielokrotnie znalazłem królową kryminalu
godną tego tytułu.*

Leif GW Persson

Mi-Baba



KREW, KTÓRĄ
NASIAKŁA

*Bo oto Pan wychodzi ze swojego miejsca,
by karać niegodziwość mieszkańców ziemi,
a ziemia ukáže krew, którą nasiąkla,
i pomordowanych kryć dłużej nie będzie.*

*Księga Izajasza 26: 21,
Biblia Tysiąclecia*

*Wasze przymierze ze Śmiercią
zostanie zerwane,
i nie ostoi się wasz układ z Szeolem.
Gdy się rozleje powódź wrogów,
będziecie dla nich na zdeptanie.
Ile razy ona przyjdzie, pochwyaci was.
Gdy przechodzić będzie każdego ranka,
i we dnie, i w nocy,
blady strach na wieść o niej padnie.*

*Księga Izajasza 28:18-19,
Biblia Tysiąclecia*

ÅSA LARSSON

**KREW
KTÓRA NASIAKŁA**

TYTUŁ ORYGINALNY

DET BLOD SOM SPILLTS

TŁUMACZENIE

BEATA WALCZAK-LARSSON

PIĄTEK, 21 CZERWCA

Leżę na ławie kuchennej. Nie mogę zasnąć. Te blado- jasne noce w środku lata nie dają człowiekowi spokoju. Wiszący nade mną zegar wkrótce wybije pierwszą. W ciszy tykanie wahadła przybiera na sile. Sieka na miazgę każdy sens. Każdą próbę rozsądnej myśli. Na stole leży list od tamtej kobiety.

Leż spokojnie, mówię do siebie. Leż spokojnie i śpij.

Odżywa we mnie wspomnienie wyżlicy, którą mieliśmy, kiedy byłem dzieckiem. Traja nie umiała usiedzieć na miejscu, nieustannie przebierała łapami i snując się po kuchni jak pokutująca dusza, stukająca pazurami o drewnianą podłogę. Przez pierwsze trzy miesiące trzymaliśmy ją w klatce, z nadzieją, że w przestanie się tak miotać. Wypowiadane przez rodzinę komendy: „siad!”, „stać!”, „leżeć!” wypełniały cały dom. Teraz jest podobnie. W piersi mam psa, który chce z niej wyskoczyć z każdym dźwiękiem zegara. Z każdym moim oddechem. Ale to nie Traja zbiera się do skoku. Ona tylko włóczyła się z kąta w kąt. Chciała wybiegać dręcząc ją niepokój. Ten drugi pies odwraca głowę, gdy usiłuję spojrzeć mu w oczy. Ma złe zamiary.

Spróbuję zasnąć. Lepiej trzymać mnie w zamknięciu. Powinienem mieć taką klatkę w kuchni.

Wstaję i wyglądam przez okno. Jest kwadrans po pierwszej. Jasno jak w dzień. Biegną ku mnie cienie sędziwych sosen. Jak przeraźliwie długie ramiona, myślę. Jak ręce, które wyciągają się po mnie z niespokojnych grobów. List leży na stole w kuchni.

Schodzę do piwnicy. Za dwadzieścia pięć druga. Towarzyszy mi nie-Traja. Porusza się teraz na peryferiach mojej świadomości. Próbuję psa przywołać. Nie mam ochoty błąkać się z nim po tych bezdrożach. Głowa ziej pustką. Ręka ściąga ze ściany różne przedmioty. Do czegoż mi one potrzebne? Młot. Łom. Łańcuch. Jeszcze jeden młotek.

Ręce wkładają wszystko do bagażnika. To trochę jak puzzle. Nie widzę, co przedstawiają. Wsiadam do samochodu i czekam.

Myślę o kobiecie z listem. To jej вина. To przez nią odchodzę od zmysłów.

Jadę. W deskę rozdzielczą wmontowany jest zegar. Kanciaste kreski bez znaczenia. Droga wyprowadza mnie z czasu. Dłonie zaciskają się na kierownicy tak mocno, że bolą mnie palce. Jeśli teraz zginę, będą musieli ją odpilo- wać i pochować mnie razem z tym kółkiem. Nie zamierzam jednak umrzeć w samochodzie.

Zatrzymuję się sto metrów od brzegu, przy którym cumuje jej łódź. Schodzę do rzeki, lśniącej, cichej, wyczekującej. Spod łódki dobiega ciche pluskanie. Słońce tańczy w zmarszczkach po pstrągu, który wypłynął, by schwytać jeszcze jedną poczwarkę. Nade mną gromadzą się komary. Brzęczą przy uszach. Ładują wokół oczu i na karku, wysysają krew. Nie obchodzi mnie to. Odwracam się na dźwięk kroków. To ona.

Stoi zaledwie dziesięć metrów dalej.

Jej usta się otwierają i przybierają kształt słów, lecz ja ich nie słyszę. Mam zatkałe uszy. Jej oczy się zwięzają, gdzieś w środku narasta gniew. Robię dwa próbne kroki do przodu. Jeszcze nie wiem, czego chcę. Znajduję się poza rozsądkiem i zmysłami.

Ona właśnie dostrzega metalowy drąg w moim ręku. Usta zamierają. Zwięzione oczy rozszerzają się na nowo. Sekunda zdumienia. Później strach.

Teraz ja także dostrzegam łom i zbielałą dłoń wokół stali. Wtedy powraca ten pies. Ogromny; łapy ma jak kopyta. Zjeżona sierść od karku aż po ogon. Obnażone kły. Najpierw połknie mnie w całości. A potem tę kobietę.

Stoję przy niej. Patrzy na łom jak zaczarowana i dlatego pierwszy cios trafia ją prosto w skroń. Pochylam się, przysuwam policzek do jej ust. Ciepły podmuch na skórze. Jeszcze nie skończyłem. Pies rzuca się na wszystko jak szalony. Rozdrapuje ogromne rany w ziemi. Ogarnia mnie wściekłość. Biegnę przez pola szaleństwa.

Wydłużam krok.

KOŚCIELNA PIA SVONNI wyszła do ogrodu zapalić. Zazwyczaj bierze papierosa, jak na kobietę przystało, między palec wskazujący a środkowy. Teraz jednak trzyma go między kciukiem a palcem wskazującym. To cholerna różnica. Zbliży się midsommar¹, to dlatego. Człowiek jakby dziczeje. Nie ma ochoty na sen. Bo też go nie potrzebuje. Noc szepcze, kusi i pociąga, po prostu trzeba wyjść z domu.

Leśne witry² sznurują nowe buciki z najdelikatniejszej kory brzozonej. Jedna piękniejsza od drugiej. Zapominają się i tańczą zwiewnie na łąkach, nie zważając na to, że czasem przejeżdża jakiś samochód. W płasach zdzierają pantofelki, podczas gdy inne stworki, ukryte za drzewami, chłoną ten niesamowity widok wzrokiem.

Pia Svonni gasi papierosa o dno odwróconej donicy, która służy za popielniczkę, i wrzuca niedopałek do środka. Nagle przychodzi jej do głowy, by wsiąść na rower i pojechać do kościoła w Jukkasjärvi. Jutro ma się tam odbyć ślub. Oczywiście zdążyła już posprzątać, teraz jednak, wiedzona impulsem, postanawia nazbierać polnych kwiatów i ozdobić nimi ołtarz. Pójdzie na łąkę za cmentarzem. Rosną tam pełniki, jaskry i purpurowo-fioletowe bodziszki w obłoku białej trybuli. W przydrożnym rowie szepczą niezapominajki. Pia wkłada do kieszeni telefon i zawiązuje tenisówki.

Słońce wiszące nieustannie nad widnokregiem rozświetla nocny ogród. Blade światło wciska się przez płot, a długie cienie sztachet przywodzą na myśl dywanik z gałganków w seledynowe i ciemnozielone pasy, utkany na domowych krosnach. Stado drozdów rozrabia hałaśliwie w koronie brzozy-

1 Midsommar — święto przesilenia letniego, najważniejsze po Bożym Narodzeniu doroczne święto w Szwecji. Głównym punktem obchodów jest taniec wokół midsommarstång, słupa ozdobionego gałązkami brzozy i kwiatami. To czas spotkań towarzyskich i rodzinnych oraz hucznego biesiadowania na świeżym powietrzu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 witra (szw. vittra) — niewidzialna postać z norlandzkich wierzeń ludowych, najczęściej występująca jako piękna, młoda dziewczyna.

Cała droga do Jukkasjärvi to jedna wielka zjeżdżalnia. Pia nie przestaje pedałowac, zmienia biegi i rozwija szaloną prędkość. Bez kasku. Z rozwianymi włosami. Tak jak wtedy, gdy jako czteroletnie dziecko rozbijała się na huśtawce w parku tak wysoko, że czuła, iż lada moment zatoczy koło.

Teraz przejeżdża przez Kauppinen, gdzie kilka koni na wybiegu wlepia w nią wielkie oczy. Na moście nad rzeką Torne dostrzega dwóch chłopców, którzy trochę dalej łowią ryby na muchę.

Droga biegnie równolegle do rzeki. Wioska śpi. Pia Svonni mija tereny rekreacyjne i karczmę, stary sklep spółdzielczy i brzydki budynek Domu Kultury. Przed nią srebrzą się drewniane zabudowania skansenu w białych welonach mgły.

Jeszcze dalej, tam gdzie kończą się wieś i droga, stoi czerwonobrazowy drewniany kościół. Z pokrytego gontem dachu unosi się zapach dziegciu.

Żeby dotrzeć do świątyni, trzeba najpierw przejść przez dzwonicę, która jest połączona z ogrodzeniem. Jedne z niebieskich drzwi wieży są otwarte na oścież. Pia opiera rower o płot.

Powinny być zamknięte, myśli, idąc wolno ku wejściu.

Coś szeleści w brzoźkach po prawej stronie ścieżki wiodącej do plebanii. Kobieta z bijącym sercem zatrzymuje się, nasłuchując. To tylko lekki szelest. Z pewnością wiewiórka. A może nornica?

Niezamknięte są również tylne drzwi wieży — budowla jest otwarta na przestrzał; widać za nią kamienny chodnik prowadzący do kościelnych wrót, które też stoją otworem.

Serce Pii wali teraz jak młotem. Niewykluczone, że Sunę mógł zapomnieć o drzwiach dzwownicy, zwłaszcza jeśli zabalował na dzień przed midsommar. Ale nie o wrotach kościoła! Kobięcie przychodzą na myśl młodzi ludzie, którzy rozbili okna świątyni w Kirunie i wrzucili do środka płonące szmaty. To było kilka lat temu. Co się stało teraz? Przez głowę przemykają jej obrazy: zasikany tryptyk pokryty graffiti, długie ślady noża na świeżo wymalowanych ławkach. Najprawdopodobniej wtargnęli przez

okno i otworzyli drzwi od środka.

Rusza w stronę bramy. Idzie powoli. Nasłuchuje uważnie ze wszystkich stron. Jak to się dzieje? Ci chłopcy powinni myśleć o dziewczynach albo podrasowywać swoje mopedy. Co sprawia, że stają się łotrami, którzy podpalają kościoły i tłuką gejów?

Zatrzymuje się w wejściu do kruchty; stoi pod chórem, umieszczonym tak nisko, że wysokie osoby muszą się schylać. Wewnątrz panuje mrok, wygląda jednak na to, że nic się nie zmieniło. Chrystus, Laestadius i lapońska Maria jaśnieją niepokalani z obrazu na ołtarzu. Mimo to Pia się waha. Coś się nie zgadza.

Pod posadzką świątyni leży osiemdziesięcioro sześcioro zmarłych. Pia zazwyczaj o nich nie myśli. Spoczywają w pokoju. Teraz jednak czuje ich niepokój przenikający przez podłogę - zaczyna kłuć ją w stopy niczym igły.

Co z wami?, pyta w duchu.

Właśnie tam, gdzie kończy się empora i otwiera przestrzeń, kościelna dostrzega coś na czerwonym dywanie, którym wyłożona jest nawa główna. Pochyliła się. Kamyk, przemyka jej przez myśl. Biały okruch skalny. Bierze go między kciuk a palec wskazujący i idzie do zakrystii.

Ponieważ drzwi do zakrystii są zamknięte, odwraca się i ponownie zmierza ku ołtarzowi. Stamtąd widzi tylko część organów. Prawie całe zasłania bowiem drewniane przesklepienie oddzielające prezbiterium od nawy. Dolną część instrumentu widać jednak dokładnie. Tak jak stopy zwisające z balustrady chóru.

W pierwszej chwili myśli, że ktoś włamał się do kościoła, by odebrać sobie życie. I na moment ogarnia ją złość. Co za bezwstyd! Później już nic nie myśli. Biegnie między rzędami ławek i dostrzega człowieka wiszącego przed lapońskim symbolem słońca.

Ciało jest zaczepione na sznurze. Nie, to nie sznur, to łańcuch. Długi, żelazny.

Teraz Pia widzi także ciemne plamy na dywanie. W tym miejscu, w którym leżał kamyczek.

Krew. Czy to może być krew? Znów się pochyła.

Nagle pojmuje. Kamyk między kciukiem a palcem wskazującym to nie okruch skały. To kawałek zęba.

Podnosi się gwałtownie. Palce wypuszczają biały odłamek, wręcz ciskają nim o podłogę.

Ręka wyławia telefon z kieszeni, wystukuje jeden, jeden, dwa.

Po drugiej stronie odzywa się mężczyzna, którego głos brzmi potwornie młodo. Odpowiadając na jego pytania, Pia szarpie za klamkę drzwi do chóru. Zamknięte.

- Zamknięte na klucz — informuje młodzieńca. — Nie mogę wejść na górę.

Rzuca się biegiem do zakrystii. Nie znajduje tam klucza. Może wyważyć te drzwi? Tylko czym?

Chłopak po drugiej stronie linii domaga się stanowczo jej uwagi. Prosi, by poczekała na zewnątrz. Pomoc w drodze, obiecuje.

- To Mildred! — krzyczy Pia. — Ten wisielec to Mildred Nilsson! To nasza pastor. Boże, jak ona wygląda!

- Czy wyszła już pani na dwór? Czy ktoś jest w pobliżu?

Chłopak nalega, by stanęła na schodach przed kościołem. Ona odpowiada, że nie widzi żywej duszy.

- Niech się pani nie rozłącza — prosi. — Jestem z panią. Za chwilę nadejdzie pomoc. Proszę tylko nie wchodzić do środka!

- Mogę zapalić?

Może. Może też odłożyć na chwilę komórkę.

Siada na schodach kościoła, telefon kładzie obok. Zdumiewa ją własny spokój. Tylko papieros kiepsko się pali. W końcu pojmuje, że podpałiła filtr. Po siedmiu minutach z daleka dochodzi wycie syren.

Załatwili ją, myśli.

Wtedy zaczynają jej drżeć ręce. Papieros spada na ziemię. Skurwieńcy. Załatwili ją.

PIĄTEK, 1 WRZEŚNIA

Rebeka Martinsson wysiadła z taksówki wodnej i omiotła spojrzeniem posiadłość ziemską na Lido. Popołudniowe słońce na jasnożółtej fasadzie z białą koronką obramienia. Tłum ludzi na ogromnym dziedzińcu. Kilka mew, które pojawiły się ni stąd, ni zowąd, zaśmiało się nad jej głową. Uporczywe, irytujące ptaki.

Że też wam się chce, pomyślała.

Wręczyła taksówkarzowi zbyt wysoki napiwek. Jakby rekompensując swoje mrukliwe odpowiedzi, gdy próbował z nią rozmawiać.

- Zapowiada się na sporą imprezę — zagadnął, wskazując głową hotel.

Cała firma adwokacka była już na miejscu. Prawie dwustu pracowników prowadziło ożywioną konwersację przy drinkach. Rozmawiali w mniejszych grupach. Odrywali się od nich i przyłączali do następnych. Uściski rąk, muśnięcia policzków. Na zewnątrz stało kilka ogromnych rusztów do pieczenia. Parę osób ubranych na biało przygotowywało bufet z grilla. Biegały między kuchnią a długim rzędem stołów przykrytych lnem, niczym białe myszki w śmiesznie wysokich czapkach kucharskich.

- Owszem — odpowiedziała, podnosząc torbę z wytłaczanej skóry. — Ale przeżywało się już gorsze rzeczy.

Taksówkarz zaśmiał się i zawrócił, przyspieszając tak gwałtownie, że dziób łodzi uniósł się nad powierzchnią wody. Czarny kot czmychnął bezgłośnie z molo i zniknął w wysokiej trawie.

Rebeka ruszyła w stronę hotelu. Wyspa wyglądała na zmęczoną latem. Zdeptana, sucha i wysłużona.

Tędy wędrowali, myślała. Ci wszyscy rodzice z dziećmi i z kocami, na których później rozkładali piknik. Ci wszyscy podchmieleni, dobrze ubrani właściciele jachtów.

Trawa była zwiotczała i żółknięta, drzewa zakurzone i spragnione. Można sobie wyobrazić, jak wyglądał las. Wśród jagód i paproci leżały stosy butelek, puszek, zużytych

prezerwatyw i ludzkich odchodów.

Ścieżka wiodąca do hotelu przypominała beton. Twardy, popękany grzbiet jaszczurki. Rebeka sama czuła się jak jaszczurka. Ubrana w człowieczy kostium, właśnie przybyła statkiem kosmicznym na Lido, gdzie czekała ją próba ognia. Imitowanie ludzkich zachowań. Obserwowanie innych i robienie mniej więcej tego samego co oni. Byłe tylko przebranie nie rozpięło się pod szyją.

Była już prawie na dziedzińcu.

Spokojnie, powiedziała do siebie po cichu. Poradzisz sobie!

Po tym, jak zabiła tych mężczyzn w Kirunie, wróciła do pracy w firmie prawniczej Meijer & Ditzinger. Sądziła, że dobrze jej idzie. W rzeczywistości jednak wszystko w końcu trafił szlag.

Nie myślała o krwi i martwych ciałach. Gdy teraz wspominała czas sprzed zwolnienia chorobowego, miała wrażenie, że wtedy w ogóle nie myślała. Wydawało jej się, że pracuje, ale tak naprawdę przekładała tylko papiery z jednej sterty na drugą. Oczywiście źle spała. I ciągle była jakby nieobecna duchem. Poranne przygotowania przed wyjściem do pracy trwały całą wieczność. Katastrofa zaszła ją od tyłu. Zanim Rebeka zdążyła ją dojrzeć, już tkwiła w jej szponach. Chodziło o prostą transakcję M&A. Klient pytał o okres wypowiedzenia umowy najmu lokalu. Odpowiedziała mu coś kompletnie od czapy. Skoroszyt ze wszystkimi umowami miała przed nosem, tyle że zupełnie nie pojmowała, co tam jest napisane. Klient, francuska firma wysyłkowa, zażądał od biura odszkodowania.

Pamiętała, jak patrzył na nią Måns Wenngren, jej szef. Siedział za biurkiem czerwony jak burak. Próbowwała zwolnić się na własną prośbę, ale nie wyraził na to zgody.

- To byłaby fatalna antyreklama dla naszej firmy — wyjaśnił. — Wszyscy myśleliby, że zmusiliśmy cię do odejścia, że zostawiamy na lodzie współpracowników z psychicznymi... eee, współpracowników, którzy nie czują się najlepiej.

Tego popołudnia wyszła z biura na chwiejnych nogach. I kiedy tak stała na Birger Jarlsgatan, w jesiennym mroku rozjaśnianym światłami szybkich samochodów, zaprojektowanych ze smakiem witryn drogich butików i eleganckich

restauracji przy Stureplan, właśnie wtedy ogarnęło ją przemożne uczucie, że już nigdy nie zdoła wrócić do Meijera & Ditzingera. Chciała uciec od nich jak najdalej. Tak się jednak nie stało.

Dostała zwolnienie lekarskie. Najpierw przedłużane co tydzień. Później co miesiąc. Lekarz radził, by robiła to, co lubi. Jeżeli praca sprawia jej choć trochę radości, to powinna do niej wrócić.

Po wydarzeniach w Kirunie dział prawa karnego Meijera & Ditzingera zaczął się rozrastać. Wprawdzie w gazetach nigdy nie pojawiły się ani nazwisko, ani wizerunek Rebeki, nazwę firmy wymieniano jednak niestrudzenie, co oczywiście przyniosło pożądany rezultat. Klienci kontaktowali się z biurem i prosili, by reprezentowała ich „ta dziewczyna z Kiruny”. Otrzymywali standardową odpowiedź, że firma może zapewnić bardziej doświadczonego adwokata specjalizującego się w sprawach karnych, „dziewczyna” natomiast będzie asystowała. W ten sposób biuro Meijer & Ditzinger uczestniczyło w dużych i medialnie głośnych procesach sądowych o dwa gwałty zbiorowe, zabójstwo z rozbojem i aferę łapówkarską.

Współwłaściciele firmy zaproponowali, by Rebeka uczestniczyła w rozprawach mimo zwolnienia lekarskiego. Przecież nie odbywały się aż tak często. Poza tym to świetny sposób na utrzymanie kontaktu z zawodem. I nie musi się wcale przygotowywać. Wystarczy, że będzie po prostu siedziała w sali rozpraw. Oczywiście tylko wtedy, gdy wyrazi na to ochotę.

Wyrażała więc ochotę, ponieważ nie widziała innego wyjścia. Naraziła firmę na wstyd, wysokie koszty odszkodowania i utratę klienta. Nie mogła odmówić. Miała wobec niej dług, uśmiechała się zatem i przystawała na kolejne propozycje.

W dni, kiedy musiała stawić się w sądzie, przynajmniej wychodziła z łóżka. Zazwyczaj to oskarżeni przyciągali spojrzenia ławników i sędziów, teraz jednak ona stanowiła główną atrakcję tego cyrku. Wbijala wzrok w stojący przed nią stół i pozwalała im się przyglądać. Łobuzom, członkom sądu, oskarżycielom, przedstawicielom społeczeństwa. Niemal

słyszała ich myśli: „aha, to ona...”.

Teraz stała na dziedzińcu okazałej posiadłości ziemskiej. Tutaj trawa nieoczekiwanie okazała się zielona i soczysta. Musieli ją chyba podlewać jak wariaci przez całe to suche lato, pomyślała. Zapach ostatnich dzikich róż kładł się smugą, która z wieczorną bryzą docierała do łądu. Powietrze było przyjemnie ciepłe. Młodsze kobiety miały na sobie lniane sukienki bez rękawów. Te odrobinę starsze chowały ramiona pod cieniutkimi bawełnianymi sweterkami z iBluesa i Max Mary. Mężczyźni zostawili w domu krawaty. Odziani w spodnie marki Gant, wędrowali tam i z powrotem, niosąc drinki dla pań. Sprawdzali żar w grillach i rozmawiali z personelem kuchni jak równi z równymi.

Rebeka przebiegła wzrokiem po tłumie. Nie dostrzegła ani Marii Taube, ani Månsa Wennghena.

Na spotkanie wyszedł jej jeden ze współwłaścicieli firmy, Erik Rydén.

Raz, dwa, trzy, uśmiech na usta!

- Czy to ona? — Petra Wilhelmsson, jedna z nowych pracownic firmy, wskazała na Rebekę idącą ścieżką w stronę hotelu. Sama stała przed wejściem, oparta o balustradę ganku. Po jednej stronie miała Johana Grilla, też nowicjusza, po drugiej zaś — Kristera Ahlberga, trzydziestoparolletniego specjalistę w zakresie prawa karnego.

- Tak, to ona — potwierdził ten ostatni. — Nasza mała firmowa Modesty Blaise.

Opróżnił kieliszek i postawił go z brzękiem na poręcz. Petra powoli pokręciła głową.

- I pomyśleć, że ona zabiła człowieka.

- Gwoli ścisłości: troje ludzi — sprecyzował Krister.

- Boże, aż dostałam gęsiej skórki. Patrzcie! — krzyknęła, wysuwając rękę ku kolegom.

Mężczyźni obejrzeliby uważnie jej ramię. Było szczupłe i opalone. Pokryte rzadkimi, niemal białymi włoskami, wyblakłymi od wakacyjnego słońca.

- Nie chodzi o to, że jest kobietą — mówiła dalej Petra

- ale po prostu nie wygląda na osobę, która...

- Bo też nie była taka. W końcu załamała się nerwowo. Nie daje sobie rady w pracy. Od czasu do czasu siedzi na tych szpanerskich rozprawach. Człowiek haruje w biurze z komórką włączoną non stop, gdyby przypadkiem coś się stało, podczas gdy ona robi za gwiazdę.

- A jest gwiazdą? — zapytał Johan Grill. — Przecież chyba nigdy o niej nie pisali?

- Nie pisali, ale w naszym świątku wszyscy o niej wiedzą. Szwecja prawnicza jest mała, wkrótce się o tym przekonasz. Ahlberg odmierzył centymetr między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki. Potem spojrzął na pusty kieliszek Petry i już miał zapytać, czy nie przynieść jej jeszcze drinka, gdy uświadomił sobie, że wtedy będzie musiał zostawić ją sam na sam z Johanem.

- Boże! — odezwała się znów kobieta. — Tak się zastanawiam, jakie to uczucie: zabić człowieka.

- Przedstawię was sobie — zaproponował Ahlberg. — Nie pracujemy w tym samym dziale, ale chodziliśmy razem na kurs prawa umów handlowych. Musimy tylko poczekać, aż Rydén wypuści ją z objęć.

Erik Rydén trzymał Rebekę w ramionach. Był przysadczystym mężczyzną, dość łatwo się nagrzewał, gdy pełnił obowiązki gospodarza. Jego ciężkie ciało parowało jak sierpniowe trzęsawiska. Mieszanka Chanel Pour Monsieur i alkoholu. Rebeka poklepywała go po plecach, tak jakby poklepywała niemowlę, oczekując, aż mu się odbije.

- Fajnie, że przyszłaś — przywitał ją swoim najszerszym uśmiechem.

Wziął od niej torbę i w zamian podał jej kieliszek szampana oraz klucz do pokoju. Rebeka spojrzała na brelok: biało-czerwony kawałek drewna przytwierdzony do klucza pomysłowym węzłem.

Żeby klucze nie tonęły, gdy zalani goście zgubią je w wodzie, pomyślała.

Wymienili kilka banalnych uwag. Ale pogoda! Zamówiłem ją specjalnie dla ciebie, Rebeko. Zaśmiała się i zapytała, jak

sprawy. Niczego sobie, kurde, właśnie w ubiegłym tygodniu zdobył dużego klienta z branży biotechnicznej, który planuje fuzję z amerykańską spółką, więc jest co robić. Słuchała z uśmiechem. W końcu przyjechał jeszcze jeden maruder i Erik ruszył, by go powitać.

Podszedł do niej adwokat z wydziału spraw karnych i przywitał jak starą znajomą. Gorączkowo szukała w pamięci jego imienia, zniknęło jednak bez śladu. Ciągnął za sobą ogon — dwoje młodych ludzi. On miał bardzo jasną czuprynę i ogorzałą twarz, właściwą tylko żeglarzom. Dość niski wzrost i szerokie ramiona. Kwadratowy, wydatny podbródek. Silne, opalone ramiona, wystające spod podwiniętych rękawów markowej bluzy.

Jak unowocześniony komiksowy Popeye, pomyślała.

Dziewczyna też była blondynką. Grzywka wciśnięta pod drogie okulary przeciwsłoneczne na czubku głowy. Dołączki w policzkach. Sweter starannie dobrany do bluzeczki z krótkim rękawem, przewieszony przez ramię Popeye'a. Przywitali się. Dziewczyna szczebiotała jak kos. Przedstawiła się jako Petra. Popeye miał na imię Johan. Wymienił też jakieś szlachetne nazwisko, lecz Rebecce nie udało się go zapamiętać. Tak jak nie udawało się przez cały ubiegły rok. Kiedyś miała w głowie przegródki na informacje. Teraz wszystko wpadało bez ładu i składu i najczęściej od razu wylatywało. Uśmiechnęła się i wystarczająco mocno ucisnęła im ręce. Zapytała, dla kogo pracują. Jak im się podoba w firmie. O czym pisali prace dyplomowe i w którym sądzie robili praktykę. Jej nikt o nic nie zapytał.

Przechodziła później od grupy do grupy. Wszyscy stali przygotowani, z linijkami w kieszeniach. Mierzyli się nawzajem.

Porównywali. Płace. Mieszkania. Nazwiska. Kogo znają. Jak spędzili urlop. Ktoś budował dom na ekskluzywnym przedmieściu. Ktoś inny, z dwójką dzieci, szukał większego mieszkania, najchętniej po właściwej stronie Östermalmu.

- Jestem wrakiem człowieka! — wybuchnął budowniczy domu z radosnym uśmiechem.

Świeżo upieczony singiel zwrócił się do Rebeki:

- W maju byłem w twoich rodzinnych stronach. Na nartach, między Abisko a Kebnekaise. Musieliśmy wstawać o trzeciej rano, bo w południe szreń była już tak rozmokła, że się zapadaliśmy. Nie pozostawało nic innego, jak tylko wygrzewać się i opalać w wiosennym słońcu.

Naraz dało się odczuć zakłopotanie. Czy naprawdę musiał wspomnieć o jej rodzinnych stronach? Kiruna wcisnęła się między nich jak zły duch. Wszyscy jeden przez drugiego zaczęli wymieniać setki innych miejsc, które niedawno odwiedzili. Włochy, Toskania, rodzice w Jönköping i Legoland. Kiruna nie chciała jednak zniknąć. Rebeka przeszła do kolejnej grupki i wszyscy w tej poprzedniej odetchnęli z ulgą.

Starsi prawnicy odwiedzili swoje domki letniskowe na zachodnim wybrzeżu, w Skanii albo na szersach Archipelagu Sztokholmskiego. Arne Ekelöf, któremu niedawno zmarła matka, bez ceregieli podzielił się z Rebeką opowieścią o rodzinnych sprzeczkach o spadek.

- I mówię ci, kurwa: kiedy Pan przychodzi ze śmiercią, diabeł przychodzi ze spadkobiercami. Chcesz więcej?

Skinął głową w stronę pustego kieliszka. Odmówiła. Rzucił jej prawie gniewne spojrzenie. Jak gdyby nie przyjęła propozycji wysłuchania kolejnych zwierzeń. Co prawdopodobnie właśnie uczyniła. Powłókł się do stołu z drinkami. Odprowadziła go wzrokiem. Męczyły ją rozmowy z ludźmi, jednak wyczekiwanie samej z pustym kieliszkiem wydało jej się nagle czymś jeszcze gorszym. Stała jak ta biedna roślinka, która nawet nie umie poprosić o wodę.

Mogę pójść do toalety, pomyślała, patrząc na zegarek. Mogę tam przesiedzieć siedem minut, jeśli nie będzie kolejki. Trzy — jeśli ktoś będzie czekał pod drzwiami.

Rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby odstawić kieliszek. Nagle u jej boku wyrosła Maria Taube. Wręczyła jej porcję sałatki Waldorf.

- Jedz — nakazała. — Lęk ogarnia, gdy się na ciebie patrzy.

Rebeka wzięła miseczkę. Odżyło w niej wspomnienie sprzed kilku miesięcy.

Ostre wiosenne słońce za brudnymi oknami. Spuszczone żaluzje. W środku tygodnia przed południem przychodzi do niej Maria. Później Rebeka będzie się zastanawiać, jak do tego doszło, że w ogóle wpuściła ją do środka. Nie powinna była wyściubiać nosa spod kołdry.

Ale podchodzi do drzwi. Prawie nieświadoma natrętnego dzwonka. Jakby nieobecna, odblokowuje zamek. Lewa ręka przekręca pokrętło, podczas gdy prawa naciska klamkę. Głowa jest wyłączona. Tak jak wtedy, gdy człowiek stoi przed otwartą lodówką i łapie się na tym, że w ogóle nie wie, po co przyszedł do kuchni. Później dojdzie do wniosku, że może wewnątrz niej odezwała się wtedy malutka, mądra osoba. Dziewczynka w czerwonych kaloszach i kamizelce ratunkowej. Taka, która za wszelką cenę przeżyje. I że ta mała dziewczynka rozpoznała znajomy, szybki stukot obcasów. Zwróciła się do rąk i nóg Rebeki: „Ciii... To Maria. Nie zdradzajcie jej tego. Kaźcie jej tylko wstać i otworzyć drzwi”.

Maria i Rebeka siedzą w kuchni. Piją kawę. Rebeka niewiele mówi. Sterta brudnych naczyń w zlewie, stosy listów, reklam i gazet na podłodze w przedpokoju oraz pogniecione i przepocone ubranie mówią wystarczająco dużo.

Nagle zaczynają jej drżeć ręce. Musi postawić filiżankę na stole. Dłonie trzepocą bez sensu jak dwie bezgłowe kury.

- Nie dawać mi więcej kawy! — próbuje żartować.

Jej śmiech brzmi jak głuchy trzask.

Maria zagląda jej w oczy. Rebeka ma wrażenie, że przyjaciółka doskonale wie. Że ona czasami stoi na balkonie i patrzy w dół na twardy asfalt. I że czasami nie znajduje sił, by zejść do sklepu. Żywi się tym, co znajdzie w szafkach. Pije herbatę i wyjada korniszony prosto ze słoika.

- Nie jestem psychiatrą — mówi Maria — ale wiem, że jeśli człowiek nie je i nie śpi, to pogarsza sytuację.

Musisz zacząć wstawać rano, ubierać się i wychodzić z domu.

Rebeka chowa dłonie pod stołem.

- Myślisz, że zwariowałam.

- Kochanie, w mojej rodzinie roi się od kobiet z nerwami.

Mdleją i te rzeczy, mają lęki i cały czas cierpią na hipochondrię. A moja ciotka... Opowiadałam ci o niej?

Jednego dnia siedzi w psychiatryku i potrzebuje pomocy, żeby się ubrać. Tydzień później zakłada przedszkole Montessori. To dla mnie chleb powszedni.

Następnego dnia jeden ze współwłaścicieli firmy, Torsten Karlsson, proponuje Rebecę, by na jakiś czas zamieszkała w jego domku letniskowym. Maria pracowała wcześniej u Karlssona jako specjalistka od prawa handlowego, później przeniosła się do działu Rebeki, w którym szefem jest Måns Wenngren.

- Mogłabyś mi wyświadczyć taką przysługę? — pyta Torsten. — Byłbym wtedy spokojniejszy o tę chałupę i nie musiałbym tam jeździć tylko po to, żeby podlać kwiatki. W zasadzie powinienem ją sprzedać, ale to też cholerny kłopot.

Oczywiście powinna była odmówić. To nie ulega wątpliwości. Ale ta dziewczynka w czerwonych kaloszach powiedziała „tak”, zanim Rebeka w ogóle zdążyła otworzyć usta.

*

Rebeka jadła posłusznie sałatkę. Zaczęła od połówki orzecha włoskiego. Gdy ta znalazła się w ustach, natychmiast urosła do rozmiarów śliwki. Rebeka przeżuwała w nieskończoność, przygotowując się do przełknięcia. Maria obserwowała ją uważnie.

- No i jak? — zapytała w końcu.

Rebeka odpowiedziała uśmiechem. Język wydał jej się nagle szorstki.

- Tak naprawdę, nie mam pojęcia.

- Ale czujesz, że dasz radę dziś wieczorem?

Rebeka wzruszyła ramionami.

Nie, pomyślała. Ale co mam zrobić? Muszę gdzieś wyjść. W przeciwnym razie skończę w jakimś ustroniu, prześladowana przez urzędników, w ciągłym strachu przed ludźmi, z uczuleniem na prąd i masę kotów, które robią kupy w domu.

- Nie wiem — odpowiedziała. — Mam wrażenie, że gdy tylko się odwracam, ludzie zaczynają mnie cenzurować. Dyskutują o

mnie pod moją nieobecność. A gdy podchodzę, rozmowa zaczyna się jakby od początku. Rozumiesz? Takie paniczne: „Tennis, anyone?” na mój widok.

- Bo tak jest — uśmiechnęła się Maria. — Robisz za Modesty Blaise naszego biura. A teraz mieszkasz na wsi u Torstena, jeszcze bardziej odizolowana i dziwna. To chyba jasne, że o tobie mówią.

Rebeka się roześmiała.

- Dziękuję, od razu mi lepiej.

- Widziałam, że przywitałaś się z Johanem Grillem i Petrą Wilhelmsson. Co sądzisz o pannie Spinning? Na pewno jest niesłychanie miła, ale nie potrafię polubić osoby, która ma pupę między łopatkami. Mój tyłek jest jak nastolatek, że tak powiem. Uwolnił się ode mnie i chce stać na własnych nogach.

- No, tak też mi się wydawało, że coś ciągnęłaś po trawie, kiedy szłaś.

Patrzyły w milczeniu na tor wodny, po którym sunął stary fingał z napędem silnikowym.

- Nie bój się — Maria przerwała ciszę. — Wkrótce ludzie będą porządnie pijani. A wtedy sami zaczną do ciebie podchodzić zygzakami, oczywiście po to, żeby porozmawiać.

Zwróciła się twarzą do koleżanki, pochyliła nad nią i bełkotliwym głosem spytała:

- Jakie to uczucie — zabić człowieka?

Stojący odrobinę dalej szef obu kobiet, Måns Wenngren, przyglądał im się z uwagą. Świetnie, pomyślał. Dobra robota!

Widział, jak Maria doprowadza Rebekę do śmiechu. Jej dłonie wykonywały w powietrzu przeróżne akrobacje. Ramiona poruszały się w górę i w dół. To cud, że nie straciła kontroli nad kieliszkiem. Z pewnością to wynik wieloletniej praktyki w dobrej rodzinie. Zanotował, że Rebeka jakby nabrała miękkości, kolorów i sił. Chuda jak szczapa, ale taka przecież była zawsze.

Torsten Karlsson stał za Månsem i studiował bufet z grilla. Ssało go w dołku. Jagnięcina po indonezyjsku, szaszłyk z wieprzowiny lub krewetek królewskich w przyprawie cajun,

karaimski szaszłyk rybny z imbirem i ananasem, kurczak z szałwią i cytryną albo po azjatycku, marynowany w jogurcie z imbirem, garam masalą i kurkumą, do tego kilka różnych sosów i sałatek. Białe i czerwone wina, piwo, cydr. Torsten wiedział, że w biurze nazywają go „Karlsson z dachu”. Niski i korpulentny, z czarną szczotką włosów na głowie. Måns natomiast... Na nim ubrania leżały jak ulał. Jemu kobiety nie mówiły, że jest uroczy albo że ma dar rozśmieszania.

- Słyszałem, że sprawiłeś sobie nową furę — zagadnął Torsten, wyluskując oliwkę z sałatki z bulgurem.

- Mhm. E-type, kabriolet, mint condition — odpowiedział mechanicznie. — Jak ona się ma?

Przez moment Karlsson myślał, że Måns pyta o samopoczucie jego jaguara. Spojrzał w górę, podążył za spojrzeniem kolegi i zawiesił wzrok na Rebecce i Marii.

- Wynajmuje twój domek letniskowy, prawda?

- Nie mogła się dłużej dusić w tej swojej kawalerce. Wyglądało na to, że nie ma co ze sobą zrobić. Ale dlaczego sam jej nie zapytasz? Przecież to twoja zastępczyni.

- Dlatego, że teraz pytam ciebie — fuknął Måns.

Torsten uniósł ręce w geście „nie strzelaj, poddaję się”.

- Słuchaj, tak naprawdę to nie wiem. Nie ma mnie tam. A jeśli już przyjadę, to rozmawiamy o innych sprawach.

- Na przykład?

- No... O impregnowaniu schodów dziegiem, o tradycyjnej farbie z Falun, o kitowaniu okien. Ona nieustannie pracuje. Przez jakiś czas nie myślała o niczym innym, tylko

o kompoście.

Måns zachęcił go spojrzeniem, by opowiadał dalej. Zainteresowany, niemal rozbawiony. Torsten przeciągnął dłonią po czarnej szczecinie.

- O mój Boże. Najpierw zaczęła budować. Trójkom- rowy kompostownik na odpady organiczne z gospodarstwa

1 ogrodu. Później kupiła gotowy, zabezpieczony przed gryzoniami. Następnie założyła własny, do przyspieszonego kompostowania.

Słuchaj, ona mnie prawie zmusiła, żebym notował, w jakich

proporcjach mieszać trawę i piasek... Toż to cały dział wiedzy! A później, kiedy miała jechać do Malmö, na to szkolenie o opodatkowaniu koncernów, pamiętasz?

- Tak, tak.

- No. To wtedy zadzwoniła do mnie i powiedziała, że nigdzie nie pojedzie, bo kompost jest... hm, nie pamiętam. W każdym razie coś było z nim nie tak, za mało azotu chyba. Chcąc temu zaradzić, przywiozła odpady organiczne z pobliskiego przedszkola, ale później okazało się, że kompost jest za mokry. Musiała więc zostać na miejscu, żeby posypywać i borować.

- Borować?

- Tak. Starym wiertłem do lodu. Musiałem jej obiecać, że przyjadę i pod jej nieobecność będę borował dziury w kompoście. A jeszcze później trochę dalej w lesie odkryła stary kompostownik poprzedniego właściciela.

- No i?...

- Oczywiście pełen różnych śmieci. Leżały tam kocie szkielety, potłuczone butelki i tak dalej. Postanowiła go zatem oczyścić. Za szopą znalazła starą ramę łóżka z metalową siatką. Potrząsając nią jak wielkim przetakiem, przesiała cały kompost i w ten sposób uzyskała czystą ziemię. Trzeba było wtedy przyjechać z paroma klientami i przedstawić im jedną z naszych młodych obiecujących prawniczek!

Måns wbił wzrok w Torstena. Oczami wyobraźni ujrzał Rebekeę z zaróżowionymi policzkami i rozwianymi włosami.

Potrząsając żelaznym łóżkiem, stoi na kopcu ziemi. A w dole Torsten i klienci w ciemnych garniturach wybałuszają oczy. Jednocześnie wybuchnęli śmiechem i nie mogli przestać. Torsten wierzchem dłoni wycierał kąciaki oczu.

- Chociaż teraz trochę się uspokoiła — powiedział. — Nie jest tak... Nie wiem... Ostatnio, kiedy tam przyjechałem, siedziała na schodach z książką i filiżanką kawy.

- Co to była za książka? — dopytywał się Måns.

Torsten spojrział na niego z osobliwym błyskiem w oczach.

- Nie zwróciłem uwagi. Idź i z nią pogadaj.

Måns wlał w siebie resztkę wina.

- Powiem jej „cześć”, jasne. Ale przecież wiesz, że jestem cholernie cienki, jeśli chodzi o rozmowy z ludźmi. A jeszcze gorzej idą mi rozmowy z kobietami.

Próbował się zaśmiać, tym razem jednak Torsten mu nie zawtórował.

- Musisz ją zapytać, jak się czuje.

Måns wydmuchał powietrze przez nos.

- Tak, wiem, wiem.

Zdecydowanie lepiej radzę sobie z krótkimi relacjami, pomyślał. Klienci. Taksówkarze. Kasjerki w sklepie. Żadnych starych konfliktów i rozczarowań, leżących pod powierzchnią niczym jakaś splątana trawa morska.

Późnoletnia kolacja na Lido. Czerwone słońce kładzie się na miękkich skałach złotą powłoką. Niewielki statek spacerowy przemyka nieopodal. Przybrzeżne trzciny dotykają się głowami, szeleszczą i szepczą między sobą. Nad wodą niosą się rozmowy i śmiechy gości.

Przyjęcie osiągnęło stadium, w którym przy kieliszkach pojawiają się paczki papierosów. Przed deserem był czas na rozprostowanie nóg, więc przy stołach trochę się przerzedziło. Bluzy i sweterki, wcześniej opasające talie lub zwisające luźno z ramion, ogrzewały teraz zmarzniete ręce. Część gości podeszła do bufetu po raz trzeci albo czwarty i gawędziła z kucharzami, którzy obracali nad żarem skwierczące szaszłyki. Niektórzy byli już solidnie pijani. Pokonując schody prowadzące do toalety, musieli trzymać się poręczy. Gestykułując zawzięcie, strzepywali na ubranie popiół z papierosa. Mówili odrobinę podniesionymi głosami. Jeden z gości uparł się, że pomoże kelnerce, gdy nadeszła pora deseru. Stanowczo, acz po dżentelmeńsku, uwolnił ją od ogromnej tacy, na której niosła tarteletki z kremem waniliowym i glazurowanymi porzeczkami. Ciastka przesunęły się niepokojąco blisko skraj przepaści. Kelnerka uśmiechała się z wysiłkiem, wymieniając spojrzenia z kucharzami zajętymi przy grillach. Jeden z nich zostawił szaszłyki i pospieszył z nią do kuchni po resztę deseru.

Rebeka i Maria siedziały na przybrzeżnych skałkach. Kamienie

oddawały ciepło nagromadzone za dnia. Maria drapała się po wewnętrznej stronie kostki, tam gdzie ukąsił ją komar.

- W przyszłym tygodniu Torsten jedzie do Kiruny. Mówił ci?

- Nie.

- Chodzi o współpracę z Janssonsgruppen Revision AB. Odkąd Kościół Szwecji przestał być instytucją państwową, stanowi interesującą klientelę, o którą warto zabiegać. Pomysł polega na tym, żeby zaproponować parafiom pakiet prawniczy, łącznie z rachunkowością i audytem finansowym. Zaoferować pomoc we wszystkim, począwszy od tego, jak się pozbyć Berit z fibromialgią, a skończywszy na tym, jak zawierać korzystne umowy z przedsiębiorcami. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że powstał jakiś długoterminowy plan współpracy z pośrednikiem, żeby przejąć zarządzanie kapitałem. W każdym razie Torsten ma tam pojechać i zjednać sobie łaski rady kościelnej w Kiru- nie.

- No i?...

- Mogłabyś z nim pojechać. Znasz go. Na pewno doceniłby twoje towarzystwo.

- Nie mogę pojechać do Kiruny! — wybuchnęła Rebeka.

- Wiem, że tak uważasz. Ale jestem ciekawa dlaczego.

- Nie wiem, po prostu...

- Co się może stać? Jeśli na przykład natkniesz się na kogoś, kto cię pozna? Przecież tęsknisz za domem babci, prawda?

Rebeka zacisnęła wargi.

Nie mogę tam pojechać i kropka, pomyślała.

Maria jakby odczytała jej myśli:

- W każdym razie zamierzam poprosić Torstena, żeby cię zapytał. Jeśli się ma potwora pod łóżkiem, to najlepiej zapalić światło, położyć się na brzuchu i sprawdzić, jak on wygląda. Tańce na kamiennym tarasie. Z głośników płynie ABBA i Niklas Strömstedt. Przez otwarte okna hotelowej kuchni słychać brzęk porcelany i szum wody, którą ktoś spłukuje talerze, zanim je włoży do zmywarki. Słońce wciąga do wody czerwone woale. Ogród rozświetlają lampiony. Tłumek chętnych przed barem.

Rebeka zeszła do kamiennej kei. Zatańczyła z mężczyzną, który

siedział obok niej przy stole, po czym się wymknęła. Teraz mrok otoczył ją ramieniem i przyciągał do siebie.

Poszło mi całkiem dobrze, powiedziała w duchu. Na tyle, na ile to możliwe.

Usiadła na drewnianej ławce nad samą wodą. Łagodnie pluskanie fal uderzających o betonową konstrukcję. Zapach kiszących wodorostów, słonego morza i ropy. W czarnej tafli przeglądała się samotna latarnia.

Kiedy goście zaczęli siadać do stołu, Måns podszedł do niej, by się przywitać.

- Jak się miewasz, Martinsson? — zapytał.

I jak tu, kurza dupa, odpowiedzieć?

Jego wilczy uśmiech i zwrócenie się do niej po nazwisku zasygnalizowały niczym wielki znak stop: nie życzę sobie zwierzeń, szczerości i łez.

A więc głowa do góry, nogi w dół i dokładne sprawozdanie z impregnowania okien pokostem w domku letniskowym Torstena. Po wydarzeniach w Kirunie odniosła wrażenie, że Måns się o nią troszczy. Kiedy jednak okazała się niezdolna do pracy, zupełnie zniknął z horyzontu.

Gdy człowiek nie pracuje, jest nikim, myślała.

Usłyszała chrzęst żwiru pod czyimiś stopami i spojrzała w górę.

W mroku nie rozpoznała twarzy, ale wiedziała, do kogo należy ów charakterystyczny, jasny głos. To ta nowa blondynka. Jakżeż ma na imię? Petra.

- Cześć, Rebeko! — zawołała Petra, jakby znały się od lat.

Stała stanowczo za blisko. Rebeka zdusiła w sobie instynkt, który nakazywał odepchnąć natręta i zdezerterować. Przecież tak nie można. Siedziała więc na miejscu, z nogą założoną na nogę. Zdradzała ją jedynie wisząca w powietrzu stopa. Kiwająca się tam i z powrotem, jakby gotowa do ucieczki.

Wzdychając ciężko, Petra klapnęła obok.

- O Boże! Åke tańczył ze mną trzy razy pod rząd. Wiesz, jak to jest. Tylko dlatego, że są twoimi zwierchnikami, myślą, że mają cię na własność. Musiałam się na chwilę ulotnić.

Rebeka wymamrotała coś w rodzaju potwierdzenia. Za chwilę

przeprosi i pójdzie do toalety.

Petra zwróciła się w stronę Rebeki i przechyliła głowę.

- Słyszałam, co przeżyłaś w zeszłym roku. To musiało być okropne.

Rebeka milczała.

Zobaczymy, pomyślała złośliwie. Jeżeli zwierzątko nie chce wyjść z nory, trzeba dać mu coś na przynętę. Jakąś własną malutką tajemnicę. Wręczamy swoje wyznanie i wymieniamy je, jak znaczek, na tajemnicę zwierzątka. - Moja siostra przeżyła coś równie okropnego pięć lat temu — mówiła Petra, niezrażona milczeniem. — Znalazła syna sąsiadów, który utopił się w rowie. Miał tylko cztery lata. Po tym wypadku ona...

Dokończyła zdanie niezdecydowanym ruchem ręki.

- O, tu jesteście!

Popeye podszedł do nich, w obu rękach trzymał dzin z tonikiem. Jeden podał Petrze, drugi — po mikrosekundzie wahania — Rebecce. W zasadzie miał być dla niego.

Dzientelmen, pomyślała Rebeka, czując, jak dopada ją zmęczenie. Odstawiła szklaneczkę na bok.

Patrzyła na Popeye'a. Popeye patrzył pożądliwie na Petrę. Petra patrzyła pożądliwie na Reбекę. Najpierw Popeye i Petra zjedzą ją ze smakiem. A później pójda się parzyć.

Petra musiała zrozumieć, że Rebeka chce czmychnąć. Że za chwilę straci ostatnią szansę. W normalnej sytuacji pozwoliłaby jej uciec, wiedząc, że nadarzy się inna okazja. Wypiła jednak zbyt wiele drinków, co osłabiło jej umiejętność oceny sytuacji.

Pochyliła się nad Reбекą. Jej policzki były błyszczące i różowe, gdy pytała:

- No więc jakie to uczucie — zabić człowieka?

Rebeka szybkim krokiem mijala grupy nietrzeźwych ludzi. Nie, nie ma ochoty zatańczyć. Nie, nie chce niczego z baru. Z torbą na ramieniu szła w kierunku pomostu.

Poradziła sobie z Petrą i Popeye'em. Przybrała zamyślony wyraz twarzy, utkwiała wzrok w czarnej wodzie i w końcu wydobyła z siebie: „Okropne, oczywiście”.

A co miała wyznać? Prawdę? „Nie mam pojęcia. Nie

pamiętam”?

Może powinna była opowiedzieć o tych żalonych rozmowach z terapeutą? Rebeka siedzi na każdym spotkaniu coraz bardziej uśmiechnięta i w końcu nie może powstrzymać śmiechu. Co ma począć? Przecież nie pamięta. Terapeuta nie odwzajemnia jej wesołości, tu się nie ma z czego śmiać. W końcu postanawiają zrobić przerwę w terapii. Rebeka zawsze może wrócić.

Kiedy jednak przestaje pracować, nie odnawia z nim kontaktu. Nie potrafi się przemóc. Wyobraża sobie następującą scenę: ona siedzi i płacze, bo nie umie sprostać życiu, a on patrzy na nią z przepisową dawką współczucia, ale jego mina wyraża przemądrzałość: „a nie mówiłem?”.

Dlatego Rebeka odpowiedziała Petrze jak normalny człowiek: to potworne uczucie, ale życie toczy się dalej, choć oczywiście brzmi to banalnie. Później przeprosiła ich i odeszła. Poradziła sobie świetnie, tyle tylko że po pięciu minutach zawrzał w niej gniew, a teraz... Teraz była tak wściekła, że mogłaby wyrwać drzewo z korzeniami. Albo stanąć pod ścianą hotelu i przewrócić go jak kartonowe pudełko. Całe szczęście, że blondyn z blondynką nie siedzieli już przy kei, bo Rebeka paroma kopnięciami wepchnęłaby ich do wody.

Niespodziewanie stanął za nią Måns. Obok niej.

- Coś się stało?

Rebeka nie zwolniła kroku.

- Spadam. Jeden z kucharzy powiedział, że mogę pożyczyć od niego łódkę. Powiosłuję na drugą stronę. Måns wydał z siebie pomruk niedowierzania.

- Czyś ty zwariowała? Nie możesz płynąć po ciemku. I jak później wrócisz do domu? Zostań! Co się z tobą dzieje?

Zatrzymała się przed molo. Pokręciła w kółko, zawarczała.

- No kurza dupa, a jak myślisz?! Ludzie mnie pytają, co się czuje po zabiciu człowieka. A skąd ja mam to wiedzieć, do jasnej cholery? Przecież nie pisałam tam wtedy poezji, nie zastanawiałam się. Ja... To się po prostu stało!

- Ale dlaczego jesteś zła na mnie? Ja cię nie pytałem.

Rebeka natychmiast zwolniła tempo.

- Nie, Måns, ty o nic nie pytasz. Akurat tego nie można ci

zarzucić.

- Co, do diabła?!... — wykrzyknął, lecz Rebeka zdążyła już obrócić się na pięcie i wejść na molo.

Ruszył za nią. Wrzuciła do łódki torbę i odwiązała cumę. Måns szukał słów.

- Rozmawiałem z Torstenem — odezwał się w końcu.

- Powiedział, że chce cię poprosić, żebyś pojechała z nim do Kiruny. Ale odwiodłem go od tego zamiaru.

- A dlaczego?

- Dlaczego? Myślałem, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz. Rebeka odparła, nie podnosząc wzroku:

- A może ja sama chcę decydować o tym, co mi jest potrzebne, a co nie? Nagle zdała sobie sprawę, choć jeszcze niezbyt wyraźnie, że ludzie w pobliżu zaczynają przestraszać odbiorniki. Udawali oczywiście, że tańczą i rozmawiają, ale czy cały ten zgiełk nie przycichł odrobinę? A nuż wydarzy się coś, o czym będzie można plotkować w pracy przez następny tydzień?

Måns chyba także to zauważył, bo ściszył głos.

- To tylko z troski o ciebie, przepraszam.

Rebeka wskoczyła do łódki.

- Coś takiego! Czy również z troski o mnie kazałeś mi, jak dziwce, siedzieć na tych wszystkich rozprawach karnych?

- Teraz to już przegięłaś! — wypalił Måns. — Przecież sama mówiłaś, że nie masz nic przeciwko temu. Sądziłem, że to dobry sposób na utrzymanie kontaktu z pracą. Wyjdź, proszę, z łódki!

- A myślisz, że miałam jakiś wybór? Przy odrobinie wyobraźni chyba nie tak trudno to pojąć?

- No to przestań, kuźwa, chodzić na te rozprawy! Wyskakuj z łódki, idź spać i porozmawiamy jutro rano, jak wytrzeźwiejesz. Rebeka zrobiła krok do przodu. Zakotyssa łódką. Przez moment Måns miał wrażenie, że wdrapie się na molo i uderzy go w twarz. To by dopiero była atrakcja!

- Jak wytrzeźwiejesz?! Ty... ty jesteś naprawdę niesamowity!

Odepchnęła się stopą od pomostu. Måns pomyślał, że może powinien ją zatrzymać, chwycić za burzę, ale to też byłby cudowny widok — jak uczepiony dziobu wpada do wody.

Będę w firmie wujkiem Melkerem³. Łódź się oddalała.

- No to jedź sobie do tej Kiruny! — krzyknął, nie przejmując się słuchaczami. — Jeśli chodzi o mnie, możesz, kurwa, robić to, na co tylko masz ochotę!

Łódka zniknęła w ciemności. Słysząc było jedynie rytmiczne stukanie dulek i plusk wioseł zanurzanych w wodzie.

Jednak głos Rebeki był ciągle blisko. Teraz odrobinę podniesiony.

- Naprawdę sądzisz, że może być gorzej, niż jest?

Dobrze pamiętał ten podwyższony ton z kłótni z Madelene, choć minęło już ładnych parę lat. Najpierw jej tłumiony gniew. On oczywiście nie miał pojęcia, czym sobie nań zasłużył. Później awantura, za każdym razem jak burza stulecia. A potem właśnie ten ton głosu, odrobinę wyższy i prędzej czy później przechodzący w płacz. Wówczas następował czas pojednania. Jeśli Måns oczywiście był gotów przyjąć rolę kozła ofiarnego. Z Madelene wszystko odbywało się według tego samego scenariusza: on brał ją w objęcia i przyznawał, że jest zwykłą świnią, ona zaś, łkając jak dziecko, wtulała głowę w jego pierś.

A z Rebeką... Zamroczona alkoholem myśl zrobiła niezdarny krok w poszukiwaniu odpowiednich słów, ale było już za późno. Odgłos wioseł zniknął w oddali.

Niedoczekanie jej! Niech sobie nawet nie myśli, że ją zawoła!

Nagle stanęła za nim Ulla Carle, jedna z dwóch współwłaścielek biura, i zapytała, co się dzieje.

- Możesz mnie dobić — odparł i ruszył w stronę hotelu. Potem skręcił ku barowi w ogrodzie ozdobionym girlandami kolorowych lampionów.

*3 Wujek Melker — tragikomiczna postać z popularnego serialu telewizyjnego *My na wyspie Saltkråkan*, do którego scenariusz napisała Astrid Lindgren. Symbol dobrodusznej ofermi życiowej.*

WTOREK. 5 WRZEŚNIA

KOMISARZ SVEN ERIK STÅLNACKE jechał z Fjällnäs do Kiruny. Odłamki skalne zwirowej nawierzchni uderzały o podwozie, a za samochodem unosiły się tumany kurzu. Kiedy skręcił w Nikkavägen, po lewej stronie wyłoniło się niebieskawe cielsko masywu Kebnekaise.

To dziwne, że człowiekowi nigdy się to nie znudzi, pomyślał.

Mimo że skończył pięćdziesiąt lat, ciągle zachwycał się bogactwem pór roku. Spływającym w doliny, krystalicznym i chłodnym powietrzem z gór jesienią. Powrotem słońca na przedwiośniu. Pierwszymi kroplami kapiącymi z dachu, zwiastującymi odwilż. I ruszeniem lodów. Z wiekiem to się nawet chyba pogłębiało. Człowiek potrzebowałby dodatkowego urlopu tylko po to, by siedzieć i napawać się przyrodą.

Tak samo było z ojcem, przypomniał sobie.

W ostatnich latach życia, a było ich chyba z piętnaście, ciągle powtarzał tę samą śpiewkę: „To będzie moje ostatnie lato. Ta jesień będzie ostatnią, którą przeżyję”.

Jak gdyby w umieraniu właśnie to przerażało go najbardziej. Że nie będzie mu dane przeżyć jeszcze jednej wiosny, widnego lata, płomiennej jesieni. Że pory roku będą przychodziły i odchodziły bez jego udziału. Spojrzał na zegarek. Wpół do drugiej. Trzydzieści minut do spotkania z prokuratorem. Zdaży jeszcze wpaść do „Grilla u Annie” i zjeść hamburgera.

Wiedział, o czym będzie chciał rozmawiać prokurator. Minęły prawie trzy miesiące od zamordowania Mildred Nilsson, a oni ciągle dreptali w miejscu. Prokurator miał już dość. Ale czy można mieć mu to za złe?

Nieświadomie nacisnął mocniej pedał gazu. Nabral przekonania, że powinien był zapytać o radę Annę Marię, szefową grupy. Tylko że ona była na urlopie macierzyńskim, a on ją zastępował i nie uważał za stosowne, by przeszkadzać jej w czasie wolnym od pracy. To dziwne. Kiedy razem pracowali, odnosił wrażenie, że sporo ich łączy. Poza pracą nie miał jej jednak zbyt wiele do powiedzenia. Odczuwał jej brak, lecz odwiedził ją tylko raz, tuż po tym, jak urodziła syna. Czasami

przychodziła do komendy, ale wtedy zbierała się wokół niej cała kancelaria, a później wszystkie baby trajkotały jak przekupki, i wołał się do nich nie zbliżać. W połowie stycznia miała wrócić do pracy na dobre.

Ileż się napukali i napytali! Ktoś powinien był coś zauważyć. W Jukkasjärvi, gdzie znaleziono pastor powieszoną nad chórem, i w Poikkijärvi, gdzie mieszkała. Nic. Obeszli wszystkie domy jeszcze raz. Gównno!

To było najdziwniejsze. Ktoś ją zabił zupełnie otwarcie na terenie skansenu, nad samą rzeką. Zupełnie otwarcie morderca wniósł ciało do kościoła. Wprawdzie zrobił to nocą, ale przecież było jasno jak w dzień.

Dowiedzieli się, że uważano ją za kontrowersyjną pastor. Na pytanie Svena Erika, czy miała jakichś wrogów, niejedna mieszkanka parafii odpowiedziała: „Każdego mężczyznę”. Kobieta w kancelarii parafialnej, z głębokimi bruzdami wokół zaciśniętych ust, powiedziała niemal wprost, że pastor sama sobie winna. Pojawiała się na pierwszych stronach lokalnych gazet jeszcze za życia. A to za sprawą utarczki z radą kościelną o kurs samoobrony dla kobiet odbywający się w pomieszczeniach parafii. Innym razem z powodu konfliktu z miejscowymi władzami, gdy prowadzone przez nią kółko biblistyczne dla kobiet, „Magdalena”, zażądało, by gminne lodowiska w jednej trzeciej zostały zarezerwowane dla żeńskich drużyn hokeja i grup łyżwiarstwa figurowego. Ostatnio zaś pastor wdała się w spór z kilkoma myśliwymi i właścicielami reniferów. Chodziło o wilczycę, która zadomowiła się na terenach należących do Kościoła. Mildred Nilsson oznajmiła, że obowiązkiem Kościoła jest ochrona zwierzęcia. Na rozkładówce dziennika „Norrländska Socialdemokraten” znalazły się zdjęcia pastor oraz jej adwersarza, podpisane: „miłośnik wilków” i „wróg wilków”.

A na plebanii w Poikkijärvi po drugiej stronie rzeki siedział jej mąż. Na zwolnieniu lekarskim i niezdolny do uporządkowania rzeczy po zmarłej. Sven Erik poczuł nagle udrękę, która wypełniała go za każdym razem, kiedy z nim rozmawiał. „To znów pan. Nigdy się panu nie znudzi?” Każde spotkanie było

jak kruszenie lodu, którym przez noc zarósł świeżo wyrąbany przeręb. I ten smutek wypływający na wierzch. Zapłakane oczy. Żadnych dzieci, z którymi mógłby dzielić żalobę.

Mimo że Sven Erik miał córkę, która mieszkała w Luleå, doskonale wiedział, jak uciążliwa może być samotność.

Po rozwodzie został sam w dużym domu. Choć oczywiście miał jeszcze kota i nikt nie zamordował mu żony, i nie powiesił jej na łańcuchu.

Sprawdzili wszystkie telefony i listy od przeróżnych wariatów, którzy przyznali się do winy. Oczywiście trudzili się bezowocnie. Nie znaleźli nic oprócz ludzkich wraków, które przez moment zapłonęły w gazetach ogniem wielkich nagłówek.

Bo tytuły były ogromne. Telewizja i prasa szalały. Mildred Nilsson została zamordowana w trakcie letniej posuchy informacyjnej, a przecież nie minęły jeszcze dwa lata od śmierci innego religijnego przywódcy w Kirunie, Wiktora Strandgård, czołowej postaci zboru Źródło Mocy. Spekulowano na temat podobieństw obu morderstw, mimo że zabójca Strandgård nie żył. Oczywiście był jednak ich profil: mężczyzna służący Kościołowi i kobieta służąca Kościołowi. Obydwoje brutalnie zamordowani, znaleźieni każde w swojej świątyni. W ogólnokrajowych mediach wypowiedali się okoliczni księża i pastory. Czuli się zagrożeni? Myśleli o przeprowadzce? Czy intensywnie czerwona Kiruna to miasto niebezpieczne dla duchownych? Przyjechali urlopowi zastępcy z wielkich gazet, by na miejscu zbadać pracę policji. Młodzi, ciekawi i nienasytzeni, nie zadowalali się formułkami: „ze względu na dobro śledztwa... żadnych komentarzy na tym etapie”. Uporczywe zainteresowanie prasy utrzymywało się dwa tygodnie.

- Zanim człowiek, kurde, założy buty, musi je najpierw porządnie wytrzepać — powiedział kiedyś Sven Erik inspektorowi kryminalnemu. — Bo nigdy nie wiadomo, czy nie wypadnie z nich jakiś pieprzony dziennikarz z wystawionym żądłem.

Ponieważ jednak policja nie ruszyła śledztwa z miejsca,

pracownicy mediów w końcu opuścili Kirunę i zajęli się dwojgiem młodych ludzi stratowanych przez tłum na festiwalu rockowym.

Przez całe lato prowadzący dochodzenie zakładali, że mają do czynienia ze zjawiskiem zwanym efektem copycat. Ktoś został zainspirowany okrutną śmiercią Wiktora Strandgårda. Biuro kryminalne początkowo powątpiewało w sens tworzenia profilu psychologicznego sprawcy. Nie chodziło przecież o seryjnego zabójcę. Nikt nie wiedział też z całą pewnością, czy ten człowiek rzeczywiście kogoś naśladował. Jednak pewne podobieństwa z morderstwem dokonany na Strandgårdzie i ogromne zainteresowanie mediów sprawiły w końcu, że psychiatra pracująca w grupie profilerów biura kryminalnego przerwała urlop i przyjechała do Kiruny.

Spotkała się z lokalną policją na początku lipca. Dziesięcioro zainteresowanych siedziało spoconych w pokoju konferencyjnym. Nie chcąc ryzykować, by niepowołane osoby usłyszały rozmowę, zamknęli wszystkie okna.

Biegła sądowa z zakresu psychiatrii miała mniej więcej czterdzieści lat i – ku zdziwieniu Svena Erika – wyrażała się o szaleńcach, masowych i seryjnych zabójcach ze spokojem oraz wielkim zrozumieniem, ba, niemal miłością. Podając autentyczne przykłady, mówiła często: „ten biedny mężczyzna” albo „mieliśmy młodego chłopca, który...”, albo „na szczęście dla niego samego złapano go i skazano”.

O jeszcze innym sprawcy powiedziała, że po paru latach w specjalnie sprofilowanym zakładzie karnym został wypisany, a teraz – zażywając regularnie leki – żyje w uporządkowany sposób, pracuje na pół etatu w firmie malarskiej i ma psa.

- Pragnę jeszcze raz podkreślić – wygłosiła – że to wy dokonujecie wyboru teorii, którą będziecie się kierować. Jeżeli wasz morderca jest copycatem, a co do tego nie mamy przecież pewności, to oczywiście mogę zaprezentować jego prawdopodobny profil.

Włączyła laptopa i zachęciła zebranych do przerywania jej pytaniami.

- Jest mężczyzną. W wieku od piętnastu do pięćdziesięciu lat.

Sorry.

To ostatnie słowo dodała na widok ich uśmiezków.

- Jasne, że wolelibyśmy coś w tym stylu: „Dwadzieścia siedem lat i trzy miesiące, pracuje jako roznosiciel gazet, mieszka u mamy i jeździ czerwonym volvo” — zażartował ktoś z grupy.

- I ma rozmiar buta czterdzieści dwa — dodała równie żartobliwym tonem. — Naśladowcy są o tyle wyjątkowi, że mogą zadebiutować czynem bardzo brutalnym. Nasz sprawca nie musi mieć zatem poważnej przeszłości kryminalnej. Co potwierdza fakt, że w żadnym rejestrze nie znaleźliście jego odcisków palców.

Przytaknęli.

- Może figurować w rejestrze podejrzanych albo skazanych za drobne wykroczenia, co jest typowe dla osób nie czujących granic. A więc na przykład molestowanie w postaci stalkingu czy niepożądanych telefonów, jakieś błahe kradzieże. Jeżeli jednak mamy do czynienia z naśladowcą, to siedział on w swoim pokoju i przez półtora roku czytał o morderstwie dokonanym na Wiktorze Strandgårdzie. Dość spokojne zajęcie. To było morderstwo kogoś innego. Do tej pory mu to wystarczyło. Ale teraz będzie chciał czytać o sobie samym.

- Tylko że te morderstwa właściwie nie są do siebie podobne — zaoponował ktoś. — Wiktor Strandgård został pobity, wielokrotnie pchnięty nożem, wydłubano mu oczy i obcięto dłonie.

Kobieta potwierdziła skinieniem głowy.

- To prawda. Wyjaśnieniem może być fakt, że to jego pierwsza ofiara. Krajanie, cięcie, dźganie nożem pozwalają na... jakby to powiedzieć... bliższy kontakt niż to dłuższe narzędzie, którego tutaj użyto. Nóż to jakby kolejny stopień wtajemniczenia. Niewykluczone, że następnym razem sprawca będzie czuł się gotów do jego użycia. A może odstręcza go fizyczna bliskość?

- Przecież zaniósł ofiarę do kościoła.

- Owszem, ale wtedy już nie żyła. Była niczym. Sztuką mięsa. Okej, mieszka w pojedynkę albo ma dostęp do prywatnego pomieszczenia, na przykład pokoju do majsterkowania, w którym zawsze przebywa sam. Może jest to warsztat; w każdym

razie jakaś zamknięta przestrzeń. Tam trzyma swoje wycinki z gazet. Są wyeksponowane, niewykłuczone nawet, że wiszą na ścianie. Nasz mężczyzna izoluje się od bliźnich, utrzymuje z nimi bardzo nikle kontakty. Całkiem prawdopodobne, że świadomie wyróżnia się czymś w swojej powierzchowności, by nie dopuszczać do siebie innych. Na przykład nie dba o higienę osobistą. Zapytajcie o to, jeśli znajdziecie podejrzanego. Zapytajcie o jego przyjaciół. Z całą pewnością nie będzie miał ani jednego. Ale tak jak mówiłam, to nie musi być naśladowca. To może być ktoś, kim chwilowo kierowała wściekłość. Jeśli będziemy mieli pecha i zwali nam się na kark jeszcze jedno morderstwo, to z pewnością porozmawiamy więcej na ten temat.

Z zamyślenia wyrwał Svena Erika widok psa uwięzowanego na smyczy, który biegł obok jadącego samochodu. Mieszaniec o wyglądzie jāmthunda galopował z wywieszonym jęzorem.

- Cholerny dręczyciel zwierząt — wymamrotał komisarz, spoglądając w lusterko wsteczne.

Z pewnością jakiś myśliwy przygotowujący czworonoga do polowania na łosie. Przez moment Sven Erik rozważał, czy nie zawrócić i z nim nie porozmawiać. Tacy jak on w ogóle nie powinni mieć zwierząt! Poza sezonem pewnie zamykał psa w klatce. Nie zatrzymał się jednak. Jakaś godzinę temu rozmawiał z mężczyzną, który złamał zakaz odwiedzania byłej żony i mimo wezwania nie stawiał się na przesłuchanie.

Człowiek nieustannie się wyklóca, myślał. Od rana do wieczora. Gdzie wyznaczyć sobie granicę? Pewnego pięknego dnia złapię się na tym, że w czasie wolnym od pracy będę wrzeszczał na ludzi rzucających na ziemię papierki po lodach.

Obraz gnającego psa i myśl o zdartych poduszkach łap zwierzęcia męczyły go przez całą drogę do miasta.

Dwadzieścia pięć minut później Sven Erik wkroczył do biura prokuratora rejonowego, Alfa Björnfota. Sześćdziesięcioletni prawnik siedział na skraju biurka z małym chłopcem na rękach. Maluch z upodobaniem pociągał za sznureczek lampy wiszącej nad stołem.

- Popatrz! — wykrzyknął prokurator na widok gościa.

- Przyszedł do nas wujek Sven Erik. A to jest Gustav, najmłodsza latorośl Anny Marii.

Ostatnie słowa skierował do komisarza, mrużąc oczy w sposób charakterystyczny dla krótkowidzów. Gustav ściągnął mu okulary i uderzał nimi w sznureczek, przyglądając się jego wahadłowemu ruchom.

Niemal jednocześnie weszła do środka Anna Maria Mella. Przywitała kolegę uniesieniem brwi i przelotnym uśmiechem na pociągłej twarzy. Jak gdyby widzieli się zaledwie parę godzin temu, na porannym zebraniu. W rzeczywistości upłynęło kilka miesięcy.

Uderzył go jej niski wzrost. Zresztą nie pierwszy raz, kilkakrotnie już bowiem uczynił to spostrzeżenie, na przykład po powrocie z urlopu. W jego wyobrażeniach była zawsze wyższa. Nie dało się ukryć, że od dłuższego czasu miała wolne. Jej intensywna opalenizna bez wątpienia powinna dotrzeć do samej zimy. Piegi zniknęły, wtopiwszy się w brąz twarzy. Gruby warkocz, rozjaśniony słońcem, był prawie biały. U nasady włosów ciągnął się rząd śladów po ukąszeniach meszek — kropeczki zaschniętej krwi.

Usiedli. Prokurator za swoim biurkiem, zawalonym papierami, a goście na sofie dla petentów. Alf Björnfort wyrażał się krótko i węzłowato. Śledztwo w sprawie zabójstwa Mildred Nilsson stanęło w miejscu. Przez całe lato docho- dzeniowcy mogli korzystać hojnie z zasobów policji, teraz jednak nadeszła pora na zmianę priorytetów.

- To niezbędne — zwrócił się z ubolewaniem do Svena Erika, który uparcie wyglądał przez okno. — Nie możemy zredukować liczby spraw niewyjaśnionych kosztem innych dochodzeń i postępowań przygotowawczych. W końcu zainteresuje się nami rzecznik praw obywatelskich.

Zrobił krótką pauzę. Przyglądał się Gustavowi, który właśnie opróżniał jego kosz na śmieci i skrupulatnie układał znaleźiska na podłodze. Opakowanie po snusie⁴. Skórka od banana.

4 Snus — popularna w Szwecji używka sporządzana na bazie tytoniu

Pudeleczek po cukierkach Läkerol Special. Kilka kartek papieru zgniecionych w kulkę. Opróżniony kosz, chłopiec ściągnął buciki i wrzucił je do środka. Prokurator uśmiechnął się i mówił dalej.

Właśnie udało mu się przekonać Annę Marię, by już teraz zaczęła pracować na pół etatu, przynajmniej do końca roku, kiedy — zgodnie z planem — zamierzała wrócić z urlopu rodzicielskiego. Sven Erik miał tymczasowo pozostać na stanowisku szefa zespołu, Anna Maria zaś — poświęcić się wyłącznie sprawie zabójstwa.

Alf Björnfort przycisnął okulary do nasady nosa i omiół spojrzeniem swoje biurko. W końcu znalazł odpowiednie akta i przesunął je w stronę gości.

Komisarz Mella przeglądała pobieżnie dokumenty. Sven Erik patrzył jej przez ramię. Poczul w środku ciężar. Jak gdyby sam widok tych papierów napełniał go smutkiem. Poproszony przez prokuratora o podsumowanie dochodzenia, przecesał palcami szorstkowane wąsy i po chwili namysłu, bez wdawania się w szczegóły, zaczął zdawać relację. Mildred Nilsson pozbawiono życia w noc poprzedzającą midsommar, 21 czerwca. W kościele w Jukkasjärvi pastor odprawiła wieczorne nabożeństwo, które skończyło się piętnaście minut przed północą. Uczestniczyło w nim jedenaście osób, w tym sześcioro turystów mieszkających w hotelu na bezdrożach. Tych ostatnich policja wyciągnęła z łóżek i przesłuchiwała już o czwartej nad ranem. Pozostałe uczestniczki nabożeństwa należały do „Magdaleny”, pastorskiej ligi kobiet.

- Pastorskiej ligi kobiet? — zapytała Anna Maria, podnosząc wzrok znad akt.

- Pastor Nilsson prowadziła grupę biblistyczną „Magdalena”, która składała się wyłącznie z pań. Wiesz, coś w rodzaju stowarzyszenia osób o wspólnych zainteresowaniach. Chodziły do kościoła, w którym działała Mildred Nilsson. Tu i ówdzie burzyły innym krew. Określenie „pastorska liga kobiet” było używane zarówno przez nie same, jak i przez ich oszczerców.

Anna Maria skinęła głową i ponownie zajrzała w akta. Jej oczy się zwężyły, gdy doszła do protokołu z sekcji zwłok i opinii

ordynatora Pohjanena.

- Naprawdę porządnie ją pobito — skomentowała. — „Złamania z wgłobieniem kości czaszki... pęknięcia kości czaszki... zmiżdżenie tkanki mózgu w miejscach uderzenia... krwawienie podtwardówkowe...”

Kiedy zauważyła grymasy niesmaku na twarzach mężczyzn, ucichła i resztę raportu przeczytała w milczeniu. Zatem przemoc przy użyciu niezidentyfikowanego tępego narzędzia. Prawie wszystkie rany mają trzy centymetry długości i mostki tkankowe między brzegami. Liczne zmiżdżenia. Tutaj zaś jakaś dłuższa rana: „Na lewej skroni podłużne sino-czerwone podbiegnięcie krwawe i obrzęk... Tylna granica wgłębienia po narzędziu: trzy centymetry pod i dwa centymetry przed lewym przewodem słuchowym...”.

Wgłębienie po narzędziu? Co o tym napisano w opinii? Przekartkowała dokumenty.

„...wgłębienie po narzędziu i podłużne, ograniczone brzegami obrażenie lewej skroni wskazuje na broń metalową typu łom”.

Sven Erik relacjonował dalej:

- Po nabożeństwie pastor przebrała się w zakrystii, zamknęła kościół i zeszła do brzegu rzeki za skansenem, gdzie wcześniej przycumowała łódź. Tam została zaatakowana i stamtąd morderca przeniósł ją do kościoła. Otworzył wrota, wniósł ją na chór, owinał jej szyję żelaznym łańcuchem, który przymocował do organów, i podciągnął ciało do góry.

Niedługo potem odnalazła ją kościelna, która, wiedziona impulsem, pojechała rowerem do wsi, żeby nazbierać polnych kwiatów do udekorowania ołtarza.

Anna Maria rzuciła okiem na syna. Właśnie odkrył pojemnik z dokumentami przeznaczonymi do zniszczenia. Darł kartkę za kartką. Bezgranicznie szczęśliwy.

Wróciła do lektury akt. Rozliczne złamania górnej szczęki i kości jarzmowej. Rozszerzona źrenica. Lewa — sześć milimetrów, prawa — cztery. Z powodu obrzęku mózgu. „Górna warga silnie napuchnięta. Po prawej stronie fioletowo-sine przebarwienie, nacięcie ukazuje obfity krwiak...” Boże drogi! Wszystkie zęby w górnej szczęce wybite. „W jamie ustnej

zalegają świeża krew i liczne skrzepy. Dwie skarpety wciśnięte w gardło”.

- Bił ją niemal tylko po głowie — zauważyła.

- Zadał też dwa ciosy w pierś — dodał Sven Erik.

- „Broń metalowa typu łom”.

- Prawdopodobnie łom.

- Podłużna rana lewej skroni. Myślisz, że to pierwszy cios?

- Tak. Przyjmując, że sprawca jest praworęczny.

- Albo sprawczyni.

- Tak. Tyle tylko że morderca przeniósł ją od rzeki do kościoła.

To spory kawałek.

- A skąd wiadomo, że ją niósł? Może przewiózł na taczce albo czymś w tym rodzaju?

- Wiadomo jak, wiadomo, znasz przecież Pohjanena. Ale zwrócił uwagę na to, jak spływała po niej krew. Najpierw ku plecom.

- Bo wtedy leżała na plecach, na ziemi.

- Masz rację. Technicy w końcu znaleźli to miejsce. Zaledwie kawałeczek od brzegu, tam gdzie cumowała łódź. Pastor Nilsson czasami przeprowadzała się łódką. Mieszkała bowiem po drugiej stronie rzeki, w Poikkijärvi. Leżały tam także jej buty.

- A później? Co z tym krwawieniem?

- Później strużki krwi z ran na twarzy i głowie płynęły ku ciemieniu.

- Okej — zgodziła się Anna Maria. — Morderca przerzucił ją przez ramię, głowa zwisała w dół. - Bardzo przekonująca interpretacja. Tylko że to też nie jest raczej gimnastyka dla gospodyń domowych.

- Ja bym ją udźwignęła — zapewniła komisarz. — Nie była szczególnie duża. Miałabym również siłę powiesić ją na organach.

Zwłaszcza gdybym nie posiadała się... z wściekłości, dodała w duchu.

- Na samym końcu krew spływała ku stopom — kontynuował Sven Erik.

- Kiedy już wisiała?

Skinął głową.

- To znaczy, że jeszcze żyła?

- Owszem. Przynajmniej tak jest napisane w opinii biegłego.

Anna Maria przerzucała gorączkowo kartki akt. Znalazła wzmiankę o lekkim krwawieniu ran na szyi. Według lekarza medycyny sądowej Pohjanena pastor Nilsson raczej już nie żyła, kiedy ją powieszono. W każdym razie prawie na pewno była nieprzytomna.

- Te skarpety w ustach... — zaczęła Anna Maria.

- Jej własne — dokończył Sven Erik. — Buty zostały na brzegu, a ona miała bose stopy, gdy ją znaleziono w kościele.

- Spotkałem się z tym wcześniej — wtrącił prokurator.

- Kiedy zabijasz kogoś w ten sposób, ofiara często dostaje drgawek i charczy. To dość nieprzyjemne. Więc żeby uciszyć to charczenie...

Przerwał. Pomyślał o przypadku maltretowania kobiety zakończonym zabójstwem. Połowa firanki z sypialni w przelyku.

Anna Maria przyglądała się teraz kilku fotografiom. Zmasakrowana twarz. Usta bez przednich zębów ziały czernią.

A ręce?, pomyślała. Dłonie od strony małego palca? Ramiona?

- Żadnych ran obronnych?

Mężczyźni pokręcili głowami.

- Żadnych odcisków palców? — zapytała jeszcze raz.

- Mamy tylko fragment linii papilarnych na skarpecie.

Gustav zabrał się właśnie do odrywania liści stojącego na podłodze fikusa. Kiedy mama odciągnęła go od donicy z keramzytem, chłopiec wydał okrzyk niezadowolenia.

- Nie i jeszcze raz nie! — zabroniła mu, gdy usiłował wyrwać się z jej objęć, by wrócić do rośliny.

Prokurator próbował coś powiedzieć, lecz Gustav wył jak syrena. Anna Maria starała się przekupić syna kluczykami do samochodu i telefonem komórkowym, ale jedno i drugie spadło z hukiem na podłogę. Maluch zaczął odliśnianie fikusa i za żadne skarby nie chciał przerwać. Anna Maria wzięła go pod pachę i wstała. Zebranie definitywnie dobiegło końca.

- Zamieszczę ogłoszenie w kategorii „Oddam za darmo” — wycodziła przez zęby. — Albo „Wymienię”: dorodnego,

półtorarocznego chłopca na kosiarkę do trawy, wszystko j jedno j aką.

Sven Erik odprowadził Annę Marię do samochodu. Ciągłe jeździ tym rozsypującym się fordem escortem, zanotował.

Gustav zapomniał o swojej rozpaczy, gdy tylko mama postawiła go na ziemi. Nareszcie mógł iść sam! Niesiony chwiejną pychą najpierw pobiegł w kierunku gołębia, który wydziobywał jakieś resztki obok pojemnika na śmieci. Kiedy znużony ptak wzbił się w górę, chłopiec skierował uwagę na kosz. Coś różowego przelało się górą i to coś przypominało zaschnięte rzygowiny z soboty. Anna Maria dopadła syna w ostatniej chwili. Zaczął płakać, jak gdyby jego życie nagle dobiegło końca. Mama wcisnęła go w fotelik samochodowy i zamknęła drzwi. Ze środka dochodził stłumiony wrzask.

Odwróciła się do kolegi z krzywym uśmiechem.

- Zostawię go tutaj, a sama przespaceruję się do domu.

- I dziwisz się, kurde, skoro sprzątnęłaś mu sprzed nosa podwieczorek? — powiedział Sven Erik, wskazując głową obrzydliwy pojemnik na śmieci.

Anna Maria uniosła ramiona, udając, że się wzdryga. Na kilka sekund zapanowała między nimi cisza.

- No tak — odezwał się Sven Erik i wyszczerzył zęby. — Znów trzeba się będzie z tobą użerać.

- Biedactwo! — odpowiedziała uśmiechem. — Skończyły się dobre czasy.

Spowaźniała.

- W gazetach pisali, że pastor była radykalną feministką, organizowała kursy samoobrony i tak dalej. A tu żadnych ran obronnych!

- Wiem.

Nastroszył wąsy, zamyślił się. - Może nie spodziewała się ciosów — powiedział. — Może go znała.

Znów się uśmiechnął.

- Albo ją! — dodał.

Anna Maria skinęła głową, nieobecna. W oddali za jej plecami widział turbiny wiatrowe na wzniesieniu Peurava- ara. Jeden z ich ulubionych tematów utarczek słownych. On uważał, że są

piękne. Ona — że brzydkie jak noc.

- Możliwe — przyznała.

- Niewykluczone, że towarzyszył mu pies — dodał Sven Erik. — Technicy znaleźli na jej ubraniu dwa psie włosy, a ona nie miała żadnych zwierząt.

- Jakiej rasy?

- Nie wiem. Po morderstwie Helenki z Hörby⁵ cały czas próbuje się ulepszać technikę. Nie można od razu dociec rasy, ale gdy znajdziemy podejrzanego z psem, będziemy mogli sprawdzić, czy znalezione włosy pochodzą właśnie od tego zwierzęcia.

Wrzask w samochodzie przybrał na sile. Anna Maria usiadła za kierownicą i włączyła silnik. W rurze wydechowej musiała być dziura, bo rżenie motoru przywiodło mu na myśl udręczoną piłę spalinową. Komisarz Mella ruszyła z kopyta i z piskiem opon skręciła w Hjarmar Lundboh- msvägen. - Jak ty, kuźwa, prowadzisz! — zawołał za nią, stojąc w chmurze oleistych spalin.

Przez tylną szybę zobaczył rękę uniesioną na pożegnanie.

*

Rebeka Martinsson prowadziła wynajętego saaba. Jechali do Jukkasjärvi. Torsten Karlsson siedział na fotelu pasażera. Oparł głowę o zagłówek, zamknął oczy i próbował odprężyć się przed spotkaniem z proboszczem. Od czasu do czasu wyglądał przez okno.

- Powiedz, jak będziemy mijać coś godnego uwagi — poprosił Rebeke.

Uśmiechnęła się krzywo.

5 Głośne w Szwecji, brutalne morderstwo na tle seksualnym z 1989 roku. Ofiarą była dziesięcioletnia dziewczynka. Ze względu na ówczesne niewystarczające metody wyodrębniania profilu DNA sprawy, w oczekiwaniu na rozwój techniki postanowiono zamrozić spermę zabezpieczoną przez techników. Piętnaście lat później właśnie na podstawie analizy DNA można było powiązać z morderstwem jednego z podejrzanych, który wkrótce został skazany, choć nigdy nie przyznał się do winy.

Wszystko, pomyślała. Wszystko trzeba zobaczyć. Wieczne słońce między sosnami. Owady tańczące nad czerwoną wierzbówką w przydrożnych rowach. Spękany od mrozu asfalt. Rozjechane na płask zwierzęta.

Spotkanie z proboszczami ze wspólnoty parafialnej miało się odbyć dopiero na drugi dzień. Ale proboszcz z Kiruny zadzwonił do Torstena z propozycją.

- Jeśli przyjdziecie już we wtorek wieczorem, to dajcie znać — powiedział. — Pokażę wam jedno z najpiękniejszych kościołów w Szwecji, w Kirunie i w Jukkasjärvi.

- No to ruszamy we wtorek! — zdecydował Karlsson.

- To cholernie ważne, żebyśmy go pozyskali przed środowym spotkaniem. Włóż na siebie coś ładnego.

- Sam sobie włóż! — odparła Rebeka.

W samolocie dostali miejsca obok kobiety, która momentalnie nawiązała rozmowę z Torstenem. Była rośła, nosiła luźny lniany żakiet i okazały naszyjnik z kolekcji Kalevali. Kiedy się dowiedziała, że to pierwszy pobyt Torstena w Kirunie, z zachwytem klasnęła w dłonie. A potem natychmiast zaczęła wymieniać wszystko, co powinien zobaczyć.

- Mam ze sobą przewodniczkę — wyjaśnił, wskazując głową Rebece.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Aha, pani już tu była?

- Urodziłam się tutaj.

Kobieta omiotła ją wzrokiem od stóp do głów. W jej oczach pojawił się cień nieufności.

Rebeka wyjrzała przez okno, nie dbając o dalszy ciąg konwersacji. Nie podobało jej się, że wygląda na obcą. Elegancko wciśnięta w szary kostium i buty firmy Bruno Magli.

To jest moje miasto, pomyślała z przekorą.

Właśnie wtedy samolot skręcił i zobaczyła je w dole. Skupisko zabudowań, przywarte mocno do wzniesienia pełnego żelaza. A wokół tylko góry i trzęsawiska, karłowate lasy i ciekły wodne. Wstrzymała oddech.

Na lotnisku również poczuła się obco. W drodze na parking spotkała stadko turystów wracających do domu. Pachnieli

potem i olejkiem przeciw komarom. Naznaczeni górkim wiatrem i wrześnieowym słońcem, mieli ogorzałe twarze i kurze łapki od ciągłego mrużenia oczu. Rebeka dobrze wiedziała, co czują. Obolałe stopy i zmęczone mięśnie po tygodniu górskiej wędrówki; satysfakcję i lekkie znużenie. Oni mieli na sobie anoraki w żywych kolorach i praktyczne, oliwkowe bojówki. Ona — płaszcz i apaszkę.

Torsten wyprostował plecy; gdy przejeżdżali przez rzekę, z ciekawością przyglądał się wędkarzom.

- Miejmy nadzieję, że dopniemy swego — powiedział.

- Jasne, że dopniesz — powiedziała z przekonaniem Rebeka. — Pokochają cię.

- Tak myślisz? To niedobrze, że nigdy wcześniej tutaj nie byłem. Przecież, kurde, nie wyściubiłem nosa dalej na północ niż do Gävle!

- Owszem, ale teraz jesteś niesłychanie szczęśliwy, ponieważ spełniło się twoje marzenie. Zawsze pragnąłeś tu przyjechać, zobaczyć monumentalne masywy górskie i zwiedzić kopalnię. Następnym razem zamierzasz wziąć trochę urlopu i korzystając z okazji, pobyc tutaj turystycznie.

- Dobrze.

- I żadnych odzywek w stylu: „Jak wy tu, kurwa, wytrzymujecie tę długą, ciemną zimę, kiedy słońce w ogóle nie wschodzi”.

- To oczywiste.

- Nawet jeżeli oni sami będą żartować na ten temat.

- Tak, zrozumiałem.

Rebeka zaparkowała samochód przed dzwonnica. Proboszcza nie było widać. Żwirową alejką przeszli na plebanie. Brązowo-czerwone panele i białe narożniki. W dole płynęła rzeka.

Wrześnieowe niskie wody. Torsten tańczył z meszkami. Nikt nie otwierał. Zadzwonili ponownie, czekali. W końcu zawrócili.

Przez furtkę prowadzącą na cmentarz wszedł jakiś mężczyzna. Machał ręką i wykrzykiwał „halo!”. Kiedy się zbliżył, zauważyli koloratkę.

- Halo! — powtórzył na powitanie. — Państwo z firmy Meijer & Ditzinger, prawda?

Wyciągnął rękę najpierw w stronę Torstena. Rebeka zajęła

pozycję sekretarki pół kroku za szefem.

- Stefan Wikström — przedstawił się duchowny.

Rebeka nie podała swojego tytułu. Niech sobie myśli, co chce. Przyjrzała mu się dokładniej. Mniej więcej czterdzieści lat. Dżinsy, adidasy, czarna koszula z koloratką. Nie przychodził chyba prosto z jakiejś ceremonii. Mimo to miał na sobie koszulę księdza.

Taki duchowny dwadzieścia cztery godziny na dobę, pomyślała.

- Umówili się państwo z proboszczem, Bertilem Stenssonem. Niestety, dziś wieczorem wypadło mu coś ważnego, poprosił mnie więc, bym pokazał państwu kościół.

Goście wypowiedzieli jakąś grzecznościową formułkę i ruszyli za nim do niewielkiej drewnianej świątyni. Z pokrytego gontem dachu unosił się zapach dziegciu. Rebeka podążyła śladem mężczyzn. Gdy mówił duchowny, zwracał się prawie wyłącznie do Torstena, ten zaś — poddając się zreżymie konwencji — również ignorował koleżankę.

Oczywiście mogło się zdarzyć, że naprawdę coś mu wypadło, pomyślała Rebeka. Ale równie dobrze mogło to oznaczać, że nie zaakceptował oferty biura.

W środku panował półmrok. Powietrze stało w miejscu. Torsten rozdrapywał dwadzieścia nowych ukąszeń meszek.

Stefan Wikström opowiadał o drewnianym kościele z XVIII wieku. Rebeka odplynęła myślami. Znała historię pięknego obrazu w ołtarzu i zmarłych spoczywających pod posadzką. Nagle dotarło do niej, że mężczyźni zmienili temat rozmowy, i znów zaczęła słuchać.

- Tam. Przed organami — powiedział Stefan Wikström i wskazał ręką.

Torsten podniósł wzrok ku lśniącym piszczałkom organów i lapońskiemu symbolowi słońca pośrodku instrumentu.

- Musieliście przeżyć ogromny szok!

- O co chodzi? — zapytała Rebeka.

Ksiądz spojrział na nią.

- No... tutaj wisiała — oznajmił. — Moja koleżanka, zamordowana w lecie.

Rebeka miała chyba niezbyt mądry wyraz twarzy.

- Zamordowana w lecie? — powtórzyła.

Milczenie i konsternacja.

- Tak, w lecie — wydukał Stefan Wikström.

Torsten wbił wzrok w Rebekeę.

- Daj spokój.

Rebeka spojrzała na niego i prawie niedostrzegalnie potrząsnęła głową. - Tutejsza pastor została zamordowana tego lata. Tu, w środku. Nie wiedziałas o tym?

- Nie.

Popatrzył na nią z niepokojem.

- To jesteś chyba jedyną osobą w Szwecji, która... Wyszedłem z założenia, że wiesz. Pisała o tym każda gazeta. W każdym wiadomościach...

Stefan Wikström obserwował ich rozmowę jak mecz tenisa stołowego.

- Nie czytałam w lecie żadnych gazet. I nie oglądałam telewizji.

Torsten uniósł otwarte dłonie, jakby w poszukiwaniu pomocy.

- Naprawdę myślałem... — zaczął. — No tak, to jasne. Żaden skurw...

Przerwał i spojrział z zawstydzeniem na duchownego. Odczytawszy jednak rozgrzeszenie w jego uśmiechu, mówił dalej:

- Nikt nie miał odwagi ci o tym powiedzieć. Może chcesz poczekać na zewnątrz? Albo może przyniosę ci trochę wody?

Rebeka miała zamiar się uśmiechnąć, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Nie mogła się zdecydować, jaką przywdziać maskę.

- Wszystko w porządku. Ale chętnie poczekam przed kościołem.

Zostawiła ich samych i wyszła na zewnątrz. Zatrzymała się na schodach.

Powinna oczywiście coś czuć, myślała. Może zemdleć? Popołudniowe słońce nagrzało ścianę dzwonnicy. Miała ochotę się o nią oprzeć, nie zrobiła tego jednak ze względu na ubranie. Zapach ciepłego asfaltu mieszał się z wonią dziegiu na dachu. Zastanawiała się, czy Torsten opowiada teraz księdzu, że to ona zabiła mordercę Wiktora Strandgärda. A może wymyślił jakieś

zręczne kłamstwo. Z pewnością zrobił to, co w jego mniemaniu jest najbardziej korzystne dla firmy. Ostatnimi czasy leżała przecież w towarzyskiej torebce z łakociami. Gdzieś między słoną anegdotą a smakowitą ploteczką. Gdyby Stefan Wikström był adwokatem, Torsten bez wahania naświetliłby fakty. Wyjąłby torebkę i poczęstował go Rebeką Martinsson. Ale może duchowni nie są tak plotkującą rodziną jak prawnicy. Wyszli do niej po dziesięciu minutach. Duchowny pożegnał się z gośćmi uściskiem dłoni. Obydwoje mieli wrażenie, że nie chce ich wypuścić.

- Tak się nieszczęśliwie złożyło, że Bertil musiał wyjść z domu. Wypadek samochodowy, nie mógł odmówić. Proszę poczekać, spróbuję zadzwonić na jego komórkę.

Rebeka i Torsten wymienili spojrzenia. Proboszcz był więc autentycznie zajęty. Rebeka zastanawiała się, dlaczego Wikströmowi tak bardzo zależało, by spotkali go przed jutrzejszym oficjalnym zebraniem.

Czegoś od nas chce, myślała. Ciekawe czego?

Duchowny schował telefon do tylnej kieszeni spodni i z przepaszającym uśmiechem oznajmił:

- Niestety. Tylko poczta głosowa.

Ale zobaczymy się jutro.

Krótkie i łatwe pożegnanie, ponieważ od kolejnego spotkania dzieliła ich zaledwie noc. Torsten poprosił Rebeke o długopis i zapisał tytuł książki, którą polecił mu duchowny. Sprawiał wrażenie naprawdę zainteresowanego.

Rebeka i Torsten zawrócili w kierunku miasta. Rebeka mówiła o Jukkasjärvi. O tym, jak wieś wyglądała przed potężnym najazdem turystów. Jak żyła sennie nad rzeką. Jak ludność wysączała się z niej cicho niczym piasek przesypany się w klepsydrze. Sklep spółdzielczy był prawdziwym spożywczym antykwariatem. Jakiś samotny turysta siedział w skansenie z przypaloną kawą i zieloną pralinką z białym nalotem starości. Nikt nie chciał kupować domów. Stały nieme, o zapadłych oczach, z przeciekającym dachem i myszami harcującymi w ścianach. Łąki zarastały młodym lasem.

A teraz — turyści z całego świata przyjeżdżali tutaj, by spać pod

skórami reniferów w lodowym hotelu, jeździć na skuterze śnieżnym przy trzydziestu stopniach mrozu, prowadzić psie zaprzęgi i brać ślub w lodowej świątyni. Kiedy kończyła się zima, kąpali się w saunach zbudowanych na tratwach lub brali udział w spływie kajakowym.

- Zatrzymaj się! — zawołał nagle Torsten. — Tutaj możemy zjeść.

Wskazał na przydrożny szyld składający się z dwóch pomalowanych ręcznie kawałków drewna. Umocowane jedna nad drugą deski były przycięte w kształt strzałek i wskazywały kierunek w lewo. Zielone litery na białym tle oznajmiały: POKOJE i POSIŁKI DO 23.00.

- Nie, nie możemy — odparła Rebeka. — To droga do Poikkijärvi. Tam nic nie ma.

- Wyluzuj, Martinsson! — nalegał Torsten, rozglądając się z zaciekawieniem wzdłuż drogi. — Gdzie się podziała twoja żądza przygód?

Rebeka westchnęła jak matka upierdliwego dzieciaka i skrzyła przed drogowskazem.

- Tutaj nic nie ma — powtórzyła. — Cmentarz, kaplica i kilka domów. Uwierz mi, ten, kto powiesił ten szyld sto lat temu, splajtował tydzień później.

- Kiedy stwierdzimy to z całą pewnością, wrócimy na kolację do miasta — odpowiedział beztrąsko Karlsson.

Asfaltowa szosa przeszła w drogę żwirową. Po lewej stronie płynęła rzeka, na drugim brzegu majaczyła Jukkasjärvi. Odłamki skalne chrzęściły pod kołami. Wzdłuż drogi stały drewniane domy, prawie wszystkie w klasycznym czerwono-brązowym kolorze. Zwiędłe kwiaty w kwietnikach z opon traktora i miniaturowe wiatraki zdobiły niektóre ogrody. W innych były huštawki i piaskownice. Psy gnały tak daleko, jak pozwalały im otoczone siatką wybiegi, i czekały ochryple za przejeżdżającym saabem. Rebeka nieomal czuła na sobie spojrzenia rzucane zza firanek. Nieznany samochód. Kto to mógł być? Torsten rozglądał się dookoła jak szczęśliwe dziecko, komentował brzydkie przybudówki i pomachał radośnie starszemu mężczyźnie, który przerwał na chwilę grabienie liści

i odprowadził ich wzrokiem. Minęli kilku chłopców na rowerach oraz wyrosniętego młodzieńca na bagażowym mopedzie.

- Tam — wskazał Tor sten.

Restauracja mieściła się na samym końcu wsi, w byłym warsztacie samochodowym. Budynek przypominał białawe, kartonowe pudło, choć biel zdążyła zszarzeć, a w wielu miejscach odpadł tynk. Dwie ogromne bramy wjazdowe w podłużnej ścianie zwróconej ku drodze były przeszklone, tak aby do środka wpadało światło. W jednej ze szczytowych ścian znajdowały się drzwi normalnej wielkości i zakratowane okno. Po obu stronach wejścia stały dwie plastikowe donice z pomarańczowożółtymi aksamitkami. Ze wszystkich drewnianych elementów łuszczyła się brunatna lateksowa farba. Na tyłach restauracji w wysokiej wrześnie trawie stało kilka pługów śnieżnych, nadgryzionych zębem czasu.

Trzy kury załopotaly skrzydłami i zniknęły za węglem, gdy Rebeka zatrzymała się na zwirowym podejździe. Zakurzony neon „LAST STOP DINER” stał oparty o dłuższą ścianę zwróconą ku rzece. Składany, drewniany szyld przy drzwiach oznajmiał: „BAR otwarte”. Na podwórzu były zaparkowane trzy samochody.

Po drugiej stronie drogi stało pięć drewnianych domków. Rebeka zgadywała, że właśnie one były do wynajęcia.

Wyłączyła silnik. W tej samej chwili na podjazd wjechał bagażowy motorower, który wcześniej mijali. Prowadził go potężnie zbudowany chłopak. Zatrzymał się i przez moment sprawiał wrażenie niezdecydowanego: zejść z siodełka czy nie? Huśtając się na nim w tę i we w tę, przyglądał się spod kasku obcym przybyszom. Jego potężna szczeka ruszała się to w jedną, to w drugą stronę. W końcu zsiadł i ruszył w kierunku drzwi, lekko pochylony. Wzrok miał wbity w ziemię, ramiona zgięte pod kątem prostym.

- Szef kuchni właśnie przyszedł do pracy — zażartował Torsten.

Rebeka wydusiła z siebie „hm”, używane przez młodszych prawników w sytuacjach, kiedy nie śmieszyły ich rubaszne

żarty, ale nie chcieli milczeć ani poróżnić się ze współwłaścicielem firmy czy klientem.

Potężny młodzieniec stanął przed drzwiami.

Całkiem podobny do wielkiego niedźwiedzia w zielonej kurtce, pomyślała Rebeka.

Odwrócił się i wrócił do swojego trójkołowca. Rozpiął wiatrówkę, położył ją ostrożnie na platformie i złożył w kostkę. Potem ściągnął kask i znów ostrożnie, jakby ten był ze szkła, postawił na złożonej kurtce. Cofnął się o krok, spojrzał krytycznym okiem, by jeszcze raz podejść do platformy i przesunąć kask o milimetr. Głowa cały czas opuszczona i odrobinę przechylona w bok. Pocierając ogromny podbródek, chłopak zerkał na nieznajomych. Rebeka oceniła jego wiek na nie więcej niż dwadzieścia lat. Ale w głowie był, bez wątpienia, zaledwie chłopcem.

- Co on robi? — zapytał szeptem Karlsson.

Rebeka pokręciła głową.

- Wejść do środka i zapytam, czy już podają kolację — odpowiedziała.

Wysiadła z samochodu. Przez otwarte okno, zabezpieczone moskitierą, słyhać było jakąś telewizyjną relację sportową, ciche rozmowy oraz brzęk sztućców i talerzy. Znad rzeki dochodził terkot łodzi motorowej. W powietrzu unosił się swąd smażonego mięsa. Zrobiło się zimno. Popołudniowy chłód przeciągnął niewidzialną ręką po mchach i jagodni- kach.

Dokładnie tak jak w domu, pomyślała Rebeka, wpatrzona w las po drugiej stronie drogi. Sala kolumnowa smukłych sosen, wyrosłych z kiepskiej, piaszczystej ziemi. Promienie słońca, wciskając się między czerwonożłote pnie, oświetlają poszycie i omszałe kamienie.

Nagle zobaczyła siebie samą. Małą dziewczynkę w swetrze wydzierganym z akrylowej włóczki; naelektryzowane włosy stawały dęba, gdy wkładała go przez głowę. Sztruksowe spodnie, na samym dole przedłużone lamówką. Wychodzi z lasu. W ręce trzyma porcelanowy kubek pełen jagód. Idzie w kierunku letniej obory. W środku siedzi babcia. Na cementowej podłodze tli się niewielkie ognisko odstrasżające komary. Dymi

w sam raz. Jeśli się dołoży więcej trawy, krowy zaczynają kaszleć. Babcia doi Mansik-kę, czołem przyciska jej ogon do boku. Mleko tryska do wiaderka. Słychać szcęk łańcuchów, gdy krowy schylają się po siano.

- A, tu jesteś, pikku-piika⁶! — mówi babcia, pociągając rytmicznie za wymiona. — Gdzie byłaś przez cały dzień?

- W lesie — odpowiada mała Rebeka i wkłada babci do ust kilka czarnych kulek. Dopiero teraz dociera do niej, że jest głodna.

Torsten zapukał w szybę.

Chcę tutaj zostać, pomyślała Rebeka, zdziwiona siłą uczucia.

Leśne kępy wyglądają jak poduszki. Przybrane lśniącymi, skórzanymi listkami brusznicy i jasną zielenią jagodników, która łagodnie przechodzi w ognistą czerwień.

Chodź i się połóż, szepcze las. Złóż głowę i popatrz, jak wiatr kołysze koronami drzew tu i tam.

Jeszcze jedno pukanie w szybę. Wchodząc do środka, skinieniem głowy pozdrowiła ogromnego młodzieńca, który wciąż stał na schodach.

Dwa garaże w byłym warsztacie zostały przerobione na jadłodajnię i bar.

Wzdłuż ścian ustawiono sześć sosnowych stołów, zabójcowanych na ciemny brąz, każdy na siedem osób, jeśli jedna siedziała na rogu. Koronowa wykładzina na podłodze, imitująca marmur, współgrała z różową tekstylną tapetą, którą dodatkowo ozdobiono szlaczkiem biegnącym wzdłuż całego pomieszczenia, łącznie z wahadłowymi drzwiami do kuchni. Pomalowane na różowo rury wodociągowe owinięto sztucznym bluszczem, prawdopodobnie po to, aby poprawić estetykę wnętrza. Za ciemnym kontuarem baru po lewej stronie stał mężczyzna w niebieskim fartuchu i wycierał kieliszki, które stawiał następnie na półce z alkoholami. Przywitał Rebeke, gdy tylko przekroczyła próg. Miał ciemną, krótko przystrzyżoną brodę i koleczyk w prawym uchu. Podwinięte rękawy czarnej koszulki obnażały wydatne mięśnie. Przy stole, na którym stał wypełniony chlebem koszycek,

6 Pikku-piika (fiń.) — mała dziewczynka.

trzech mężczyzn czekało na zamówione dania. Sztuńce zawinięte w bordowe serwetki. Oczy wbite w piłkę nożną na ekranie. Ręce w koszyczku z pieczywem. Firmowe bejsbolówki jedna na drugiej na wolnym krześle. Pod spranymi flanelowymi koszulami widniały znoszone T-shirty z nadrukami reklamowymi. Jeden z mężczyzn miał niebieskie spodnie robocze, podtrzymywane przez szelki z logo jakiejś firmy. Dwóch pozostałych zrzuciło z siebie bluzy kombinezonów; ich zwisające niebieskie rękawy sięgały podłogi.

Samotna kobieta w średnim wieku zamoczyła w zupie kromkę chleba. Uśmiechnęła się przelotnie do Rebeki i szybko, zanim kawałek rozpadł się na części, włożyła go do ust. U jej stóp spał czarny labrador z siwymi smugami u nozdry. Na krześle obok wisiał nieopisanie wysłużony płaszcz w różowym kolorze Barbie. Krótko ostrzyżone włosy kobiety układały się we fryzurę, którą najłagodniej można by opisać jako praktyczną.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? — zapytał kolczyk w uchu za barem.

Rebeka odwróciła się w jego stronę i ledwie zdążyła powiedzieć „tak”, gdy zza wahadłowych drzwi wyszła z impetem mniej więcej dwudziestoletnia kobieta z trzema talerzami w rękach. W jej długich włosach mieniły się trójkolorowe pasemka: blond, wściekle rude i czarne. Miała kolczyk w brwi i dwa lśniące kamyczki w skrzydełku nosa.

Jaka ładna dziewczyna, pomyślała Rebeka.

- Tak, słucham? — zapytała ją kelnerka.

Nie czekając jednak na odpowiedź, postawiła talerze na stole, przy którym siedzieli mężczyźni. Rebeka miała zapytać, czy podają kolację, ale przecież właśnie zobaczyła, że tak.

- Na szyldzie jest napisane: „pokoje” — usłyszała zadane przez siebie pytanie. — Ile kosztuje noc?

Kolczyk w uchu spojrział na nią zmieszany.

- Mimmi — zawołał. — Ta pani pyta o pokój do wynajęcia.

Dziewczyna w pasemkach odwróciła się do Rebeki, wytarła ręce w fartuch i odgarnęła z twarzy mokry kosmyk włosów.

- Mamy domki kempingowe — odparła. — Bez wygód.

Dwieście siedemdziesiąt koron za noc.

Co ja wyprawiam?, pomyślała Rebeka. Po chwili dodała w myślach: chcę tu zostać! Ale sama.

- Okej — powiedziała cicho.

— Za chwilę wrócę tutaj z pewnym mężczyzną, zjemy coś na ciepło. Jeżeli on też zapyta o nocleg, to proszę mu powiedzieć, że ma pani tylko łóżko dla mnie, dobrze?

Między brwiami Mimmi pojawiła się bruzda.

- Niby dlaczego? To nam się przecież, kurde, nie opłaca.

- Nieprawda. Jeśli się okaże, że są miejsca dla nas dwojga, to ja się rozmyślę i przenocujemy w Pałacu Zimowym w mieście. A zatem: albo jeden gość, albo żadnego.

- Nie może się pani uwolnić od faceta czy co? — zaśmiał się koleczyk w uchu.

Rebeka wzruszyła ramionami. Niech sobie myślą, co chcą. Co miałyby im powiedzieć? Mimmi odpowiedziała tym samym gestem.

- W porządku. Ale jeść będziecie oboje? Czy mam powiedzieć, że jedzenia starczy tylko dla pani?

Torsten studiował jadłospis. Rebeka przyglądała mu się z uwagą. Zaróżowione ze szczęścia, pełne policzki. Okulary wciśnięte na czubek nosa na tyle, na ile to możliwe bez zatkania dróg oddechowych. Zmierzwiłone włosy. Mimmi, pochylona nad jego ramieniem, czytała na głos, wskazując pozycje w karcie. Nauczycielka i pierwszoklasista.

On to uwielbia, pomyślała o koledze.

Robociarze o potężnych ramionach, finki zwisające z ich pasków. Faceci, którzy ze skrzepowaniem wymruczeli coś na radosne powitanie Torstena, gdy ten w grafitowym garniturze pewnie wkroczył do środka. Piękna Mimmi z obfitym biustem i wysokim głosem. Tak odległa od tych przymilnych pańienek w Sturecompagniet⁷, jak tylko można sobie wyobrazić. W jego głowie rodziły się już nowe opowieści z podróży.

- Może pan albo zamówić danie dnia — poinformowała

*7*Sturecompagniet — ekskluzywny klub nocny w Sztokholmie.*

Mimmi, wskazując na czarną tablicę na ścianie, na której napisano kredą: „tjälknöl⁸ z grzybowym risotto” — albo wziąć coś z zamrażalnika. Do tego można zamówić ziemniaki, ryż lub pastę, do wyboru.

Wskazała palcem grupę potraw pod nagłówkiem: „Z zamrażalnika”: lazanie, klopsiki, kiszka norlandzka, kluski sine z Pite, zrzynki reniferowe, suovas⁹ i gulasz po szwedzku.

- Może powinienem spróbować kiszki norlandzkiej — oznajmił Torsten, zachwycony.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł ogromny młodzieniec, który przyjechał na motorowerze. Zatrzymał się w progu. Jego potężne cielsko było wciśnięte w odprasowaną bawełnianą koszulę w paski, zapiętą porządnie po samą szyję. Chłopak nie miał chyba odwagi spojrzeć na gości siedzących w lokalu. Przechylił głowę w bok, tak że jego wielka broda zwróciła się ku podłużnemu oknu, jakby wskazując drogę ucieczki.

- Nalle¹⁰! — wykrzyknęła Mimmi, zostawiając Torstena z jego rozterkami. — Jaki ty dzisiaj jesteś wytworny!

Olbrzym spojrział na nią przelotnie i obdarzył ją nieśmiałym uśmiechem.

- Podejź, proszę, niech cię popodziwiam! — powiedziała kobieta z psem, odsuwając talerz.

Rebeka dopiero teraz zauważyła podobieństwo. Mimmi to z pewnością jej córka.

Labrador podniósł głowę, ociężale uderzył dwa razy ogonem o podłogę, a po chwili znów zapadł w sen.

Chłopiec podszedł do stołu. Kobieta klasnęła w dłonie. - Ależ jesteś elegancki! — pochwaliła. — Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Jaka ładna koszula!

Nalle się uśmiechnął, mile polechtany, i zadarł brodę w niemal

8 Tjälknöl (szw.) — specjalność kuchni norlandzkiej, pieczeń z łosia, przyrządzana ze sztuki zamrożonego mięsa, które najpierw przez pół doby kruszeje na słabym ogniu, a później nabiera smaku w specjalnej słonej zalewie z przyprawami.

9 Suovas (w języku Saamów: wędzony) — używane w północnej Szwecji określenie solonego i wędzonego mięsa renifera.

10 Nalle (szw.) — miś.

komicznej pozie, która Rebecce przywiodła na myśl Rudolfa Valentino.

- Nowa — powiedział.

- Oczywiście, widzimy, że nowa — potwierdziła Mimmi.

- Wybierasz się na tańce, misiu? — zawołał jeden z mężczyzn.
— Mimmi, przyniesiesz nam pięć pojemniczków z zamrażalnika? Obojętnie z czym.

Nalle wskazał na swoje spodnie.

- One też — dodał.

Oderwał ręce od ciała i trzymał je w powietrzu, by wszyscy mogli obejrzeć jego nowe chinos — szare z wojskowym paskiem.

- One też są nowe? Bardzo ładne! — podziwiała kobiećy.

- Tutaj — powiedziała Mimmi, wyciągając krzesło naprzeciw kobiety i psa. — Twój tato jeszcze nie przyszedł, ale możesz posiedzieć z Lisą i poczekać.

- Tort — powiedział chłopiec, siadając.

- No jasne, że dostaniesz tort! Myślałeś, że zapomniałam? Ale dopiero po jedzeniu! Mimmi pospiesznie pogłaskała go po głowie. I zaraz zniknęła w kuchni.

Rebeka pochyliła się nad stołem i oznajmiła Torstenowi:

- Zamierzam zostać tu na noc. No, wiesz, mieszkałam nad tą rzeką jako dziecko, kilkadziesiąt kilometrów stąd i... poczułam nostalgię. Ale oczywiście zawiozę cię do miasta i odbiorę jutro rano.

- Nie ma problemu — odparł Torsten z wypiekami podróżnika na twarzy. — Ja też mogę tu przenocować.

- Myślę, że w tych domkach nie mają łózek marki Hästens... — próbowała go zniechęcić Rebeka.

Mimmi wróciła z pięcioma obiadami zamrożonymi w aluminiowych pojemnikach.

- Chcielibyśmy u państwa przenocować — zagadnął ją Torsten.
— Czy macie wolne pokoje?

- Sorry — odparła Mimmi. — Tylko jeden domek. Z pojedynczym łóżkiem.

- Nie ma sprawy — powiedziała Rebeka. — Odwiozę cię, Torsten.

Uśmiechnął się do niej. Pod fasadą uśmiechu, gdzieś w zakamarkach duszy właściciela dobrze prosperującej firmy ukrywał się grubawy chłopiec, który nie chce okazać rozczarowania tylko dlatego, że Rebeka nie ma ochoty się z nim bawić. Zabolą ją to.

Kiedy wróciła z miasta, prawie zapadła już noc. Na tle granatowego nieba rysowała się czarna sylwetka lasu. Rebeka zaparkowała saaba przed barem. Obok stało kilka innych samochodów. Ze środka dochodziły głosy rosnących mężczyzn i zgrzytanie noża o talerz, na którym mocne ręce rozcinały mięso; wszystko na tle szumu telewizora i znajomych dźwięki reklamowych. Patrząc na motorower bagażowy, przypomniła sobie chłopca olbrzyma. Miała nadzieję, że zgotowano mu wspaniałe przyjęcie urodzinowe.

Domek, w którym przyszło jej spać, stał po drugiej stronie szosy, na skraju lasu. Niewielka lampka oświetlała cyfrę pięć.

Nareszcie sama, pomyślała.

Już miała otworzyć zamknięte drzwi, gdy nagle obróciła się na pięcie i weszła w głąb lasu. Świerki stały nieme, wpatrzone w zapalające się właśnie gwiazdy. Ich długie, niebieskozielone płaszcze falowały delikatnie na wietrze.

Położyła się na mchu. Sosny pochyliły nad nią głowy i szeptały kojąco. Ostatnie komary i meszki tego lata śpiewały w rozjuszonym chórze, szukając odkrytych części jej ciała. Pozwoliła im ucztować.

Nie zwróciła uwagi na Mimmi, która wyszła ze śmieciami.

Chwilę później dziewczyna ostrzegła Mickego w kuchni:

- Uwaga, mamy tu prawdziwą szajbuskę.

I powiedziała mu, że kobieta w eleganckim płaszczu położyła się do snu, lecz nie w domku, tylko na dworze, na ziemi.

- No, nie wiadomo, co o tym myśleć — odparł Micke.

Mimmi wywróciła oczami.

- Pewnie jutro dojdzie do wniosku, że jest szamanką albo wiedźmą, przeprowadzi się do lasu, będzie parzyła zioła ogniskiem i tańczyła wokół swojego seite¹¹.

11 Seite (język Saamów) — wizerunek, symbol bóstwa w postaci kamienia lub pnia drzewa.

ŻÓLTONOGA

Jest wielkanoc. Wilczyca ma trzy lata, kiedy pierwszy raz dostrzega ją człowiek. W północnej Karelii nad rzeką Wodła. Ona sama widziała ludzi wielokrotnie. Rozpoznaje ich ostry zapach. Rozumie, czym się teraz zajmują ci mężczyźni. Łowią ryby. Kiedy wyrosła ze szczeniństwa, często przekradała się ku rzece o zmroku i jadła zachłannie resztki zostawione przez dwunożnych: wypatroszone wnętrzności, niewielkie płatki i jazie.

Wołodia i jego brat rozciągają sieci. Brat wyciął cztery przeręble. Wołodia kłęczy przy drugim otworze; odbiera drag, który Aleksander podaje mu pod lodem. Mokra ręce bolą go z zimna. Nie ufa lodowi. Cały czas ma w pogotowiu narty. Jeśli tafla się załame, on położy się na deskach i podciągnie na nich do brzegu. Brat chce zarzucić sieci właśnie tutaj, bo to dobre miejsce. Nurt jest wartki, więc gromadzą się tu ryby. Aleksander rąbał piką lód dokładnie tam, gdzie mielizna przechodzi w przepastny rów.

Ale jest to też miejsce niebezpieczne. Wystarczy, że woda się podniesie, a wtedy rzeka wyżre lód od spodu. Wołodia to wie. Tafla dziś gruba na trzy dłonie już jutro może być cienka na dwa palce.

Nie ma jednak wyboru. Przyjechał na Wielkanoc do brata, który z żoną i dwiema córkami gnieździ się na parterze domu. Ich matka okupuje całe piętro. Aleksander czuje się odpowiedzialny za te wszystkie kobiety. Wołodia pracuje w przedsiębiorstwie naftowym Transneft i prowadzi koczowniczy tryb życia. Zeszłej zimy był na Syberii. Jesienią bawił przy Zatoce Wyborskiej. Ostatnie miesiące spędził w lasach Przesmyku Karelskiego. Kiedy brat zaproponował, by zarzucili sieci, nie mógł mu odmówić. Gdyby to zrobił, Aleksander z pewnością poszedłby sam. A następnego dnia Wołodia siedziałby przy stole i jadł się, w której połowie nie miał odwagi pomóc.

To gniew sprawia, że Aleksander wychodzi na niebezpieczny lód, że wyciąga tam młodszego brata. Gdy są na miejscu, czuje

ulgę. Niemal się uśmiecha, gdy tak kłęczą ze zgrabiałymi dłońmi w przerębli. Może ten jego głuchy gniew złagodniałby, gdyby urodził mu się syn, myśli Wołodia.

I właśnie wtedy, gdy kieruje do Przczystej Paniienki ulotną modlitwę, by dziecko w łonie bratowej było chłopcem, właśnie w tej chwili dostrzega wilczycę. Stoi na skraju lasu po drugiej stronie i patrzy. Zupełnie niedaleko. Ma skośne ślepia i smukłe nogi. Sierść po zimie jest wełnista i gęsta. Spod kędziorów wyzierają grube, srebrne nitki. Wołodia ma wrażenie, że przez moment spotykają się ich spojrzenia. Brat nic nie widzi. Ma ją za plecami. Jej nogi są naprawdę wyjątkowo długie. I żółte. Wygląda jak królowa. A Wołodia kłęczy przed nią na lodzie jak ten wiejski chłopiec w przemoczonych rękawicach i zprzechyloną na bakier uszatką na spotniałym czole.

„Żółtyje nogi”, mówi.

Tylko w myślach. Usta pozostają nieruchome.

Nie mówi nic bratu. Bo może Aleksander wziąłby do ręki opartą o plecak strzelbę i wyrzucił z niej pocisk.

Spuszcza na chwilę wzrok, a gdy ponownie go podnosi, wilczycy już nie ma.

Ona zaś przebiega trzysta metrów w głąb lasu i zapomina o mężczyznach na lodzie. Już nigdy o nich nie pomyśli. Po dwóch kilometrach zatrzymuje się i wyje. Odpowiadają jej członkowie watahy, niespełna dziesięć kilometrów dalej. Żółtonoga rusza kłusem. Taka już jest. Często wypuszcza się na samotne wycieczki.

Wołodia zapamięta ją na całe życie. Za każdym razem, kiedy wróci w to miejsce, w którym ją zobaczył, będzie wpatrywał się w skraj lasu. Trzy lata później spotka kobietę, która zostanie jego żoną.

Kiedy po raz pierwszy poczuje ciężar jej głowy na ramieniu, opowie jej o wilczycy o żółtych, długich nogach.

ŚRODA, 6 WRZEŚNIA

Spotkanie dotyczące udziału w prawniczo- ekonomicznej organizacji parasolowej odbyło się w domu Bertila Stenssona. Obecni byli: Torsten Karlsson, akcjonariusz sztokholmskiej firmy adwokackiej Meijer & Ditzinger, Rebeka Martinsson, adwokatka z tejże firmy, proboszczowie z parafii Jukkasjärvi, Vittangi i Karesuando, przewodniczący rad kościelnych, przewodniczący Wspólnoty Rady Kościelnej oraz wikariusz rejonowy Stefan Wikström. Rebeka Martinsson była jedyną kobietą. Spotkanie zaczęło się o godzinie ósmej. Teraz dochodziła dziesiąta i wkrótce, na zakończenie, miała być kawa.

Jadalnia proboszcza posłużyła jako tymczasowa sala konferencyjna. Wrześniowe słońce przeciskało się przez nierówności ręcznie formowanego szkła w oknach pokratkowanych szczeblinami. Proste regały pełne książek pięły się do sufitu. Żadnych ozdób ani kwiatów. Jedyłą dekoracją były kamienie na parapetach. Niektóre o miękkich, zaokrąglonych, delikatnych formach; inne chropawe, ciemne, z połyskującymi na czerwono ziarnami granatu. Na kamieniach spoczywały osobliwie powykręcane gałęzie. Za oknem, na trawie i na zwirowych alejkach leżało mnóstwo żółtych liści i opadłych owoców jarzębiny.

Rebeka siedziała obok gospodarza. Obserwowała go ukradkiem. Młody sześćdziesięciolatek. Dobrotliwy wujek z chłopięcą fryzurą w kolorze jasnego srebra. Opalona twarz i ciepły uśmiech.

Uśmiech profesjonalisty, pomyślała. I on, i Torsten wyglądali niemal komicznie, gdy tak stali naprzeciwko siebie i wymieniali uśmiechy. Można by pomyśleć, że łączą ich więzy krwi albo stara przyjaźń. Bertil Stensson potrząsał dłonią Torstena, drugą ręką trzymając go za ramię. Torsten nie ukrywał oczarowania. Uśmiechając się, przeciągał ręką po włosach.

Rebeka się zastanawiała, czy proboszcz sam naznosił do domu te kamienie i dziwaczne gałęzie. Zazwyczaj zajmowały się tym kobiety. Spacerując brzegiem morza, zbierały płaskie kamienie

i chowały je w kieszeniach coraz bardziej obwisłych swetrów. Torsten umiejętnie spożytkował swoje dwie godziny. Dość szybko uwolnił się od marynarki, dość szybko zaczął się elegancko spoufalać z zebranymi. Chwilami lekkim tonem, ale zawsze na serio. Zaserwował cały pakiet niczym trzydaniowy obiad. Jako aperitif wlał im w dusze odrobinę pochlebstw, choć o tym już wiedzieli. Że są jedną z najbogatszych wspólnot parafialnych w kraju. I najpiękniejszych. Na przystawkę złożyły się przykłady dziedzin, w których Kościół potrzebowałby kompetencji prawników, czyli w gruncie rzeczy – wszystkich. A zatem prawo cywilne, prawo stowarzyszeń, prawo pracy, prawo skarbowe... Jako danie główne podał twarde fakty, cyfry i kalkulacje. Wykazał korzyści płynące z nawiązania współpracy z firmą, z dostępu do jej kompetencji w dziedzinie prawa i ekonomii. Jednocześnie nie ukrywał wad, które wprawdzie nie były poważne, ale istniały, dzięki czemu zyskał opinię człowieka wiarygodnego i uczciwego. Nie mieli przed sobą zwykłego agenta sprzedającego odkurzacze. Teraz właśnie karmił ich deserem. Opowiadał ostatnią anegdotę o tym, w jaki sposób pomógł pewnemu probostwu.

Zarząd cmentarzy w rzeczonej parafii wpędził się w ogromne koszty. Utrzymanie kaplic i innych budowli, strzyżenie trawników, kopanie grobów, grabienie alejek, zdrapywanie mchu z nagrobków i takie tam, to wszystko wymaga przecież pieniędzy. Zarząd dał zatrudnienie kilku osobom z projektu ALU, czy jak on się tam nazywa; chodziło w każdym razie o siłę roboczą dofinansowywaną przez państwo dzięki pośrednictwu biura pracy. Tak czy owak, zatrudniając owe osoby, parafia nie narażała się na jakieś szczególnie wysokie koszty, więc chyba też nie oczekiwała od pracowników zbyt wielkiego wysiłku. Tylko że po jakimś czasie umowy o pracę zmieniły charakter i stały się umowami na czas nieokreślony. Teraz Kościół zaczął ponosić całkowite koszty zatrudnienia. Parafia miała wielu pracowników, a spora ich część, powiedzmy sobie szczerze, nie zapracowywała się na śmierć. Zatrudniono więc jeszcze więcej osób, ale obowiązująca kultura pracy nie pozwalała tym nowym i chętnym zakasać rękawów. Nadgorliwców dotykał ostracyzm.

Trudno było cokolwiek ruszyć z miejsca. Zdarzały się nawet takie sytuacje, że zatrudnieni przez Kościół mieli na boku cały dodatkowy etat! Aż tu nagle nastąpił rozdział Kościoła od państwa, parafia stała się samodzielną jednostką z własną odpowiedzialnością finansową. Nasze zadanie polegało na tym, by pomóc parafii zawrzeć jak najkorzystniejszy kontrakt z przedsiębiorcą, który przejąłby zarząd cmentarzy. W ciągu ostatnich piętnastu lat podobne rozwiązania zastosowało wiele gmin.

Torsten przedstawił wysokość rocznych zysków w koronach i öre. Obecni wymienili między sobą spojrzenia.

Trafił w dziesiątkę, pomyślała Rebeka.

- A przecież — mówił Torsten — nie wyliczyłem jeszcze oszczędności, jakie wynikają dla Kościoła z tego, że ma teraz mniej zatrudnionych, za których ponosi odpowiedzialność jako pracodawca. Oprócz większej ilości pieniędzy w kasie zyskuje więc czas na podstawową działalność, czyli na zaspokajanie duchowych potrzeb parafian. Przecież proboszcz nie powinien być w pierwszym rzędzie administratorem, a niejeden siedzi w administrowaniu po uszy.

Bertil Stensson przesunął w stronę Rebeki kartkę, na której napisał: „Naprawdę dali nam państwo do myślenia”.

Doprawdy?, skomentowała w duchu Rebeka.

O co mu chodzi? Mają teraz pisać do siebie jak dwoje uczniów w tajemnicy przed panią nauczycielką? Uśmiechając się, skinęła lekko głową.

Torsten zakończył prezentację i odpowiedział na kilka pytań. Bertil Stensson podniósł się i oznajmił, że kawę wypiją na dworze, w słońcu.

- My, mieszkańcy dalekiej północy, powinniśmy korzystać z każdej okazji — dodał. — Nieczęsto przesiadujemy w fotelach ogrodowych.

Uczynił zapraszający gest w kierunku podwórza i podczas gdy zebrani tłoczyli się w drzwiach, zabrał Torstena i Rebekę do salonu. Torsten musiał obejrzeć obraz pędzla Larsa Leviego Sunny. Rebeka zauważyła, jak proboszcz przesłał Wikströmowi spojrzenie mówiące: poczekaj z resztą gości na zewnątrz.

- Uważam, że nasze parafie mają właśnie takie potrzeby, o jakich pan mówił — zwrócił się do Torstena. — Tyle tylko że ja potrzebuję pańskiej pomocy już dziś, nie za rok, kiedy może być za późno.

Torsten studiował płótno, które przedstawiało łagodno- oką samicę renifera i ssące ją cielątko. Przez otwarte drzwi do przedpokoju Rebeka ujrzała kobietę, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się z tacą; stały na niej termosy i brzęczały filiżanki.

- Przeżywamy teraz dość trudny okres w naszej parafii

- mówił dalej proboszcz. — Przypuszczam, że słyszeli państwo o zabójstwie Mildred Nilsson.

Skinęli głowami.

- Muszę obsadzić ten wolny etat. To nie tajemnica, że Stefan i Mildred darli ze sobą koty. Stefan jest przeciwnikiem ordynacji kobiet na duchownych. Nie podzielam jego poglądów, lecz muszę je respektować.

A Mildred była naszą czołową lokalną feministką, jeśli mogę się tak wyrazić. Pełnienie funkcji szefa obydwójga nie należało do łatwych zadań. Wiem, że gdy tylko ogłoszę wolne stanowisko, będzie się o nie starała kobieta o wysokich kwalifikacjach. Nie mam do niej żadnych zastrzeżeń, wręcz przeciwnie. Ale dla świętego spokoju i dla higieny pracy chciałbym zatrudnić mężczyznę.

- O niższych kwalifikacjach?

- Tak. Czy to możliwe?

Nie odrywając wzroku od obrazu, Torsten ścisnął brodę.

- Oczywiście — odparł spokojnie. — Ale jeżeli ta odrzucona kandydatka pana zaskarzy, będzie pan zmuszony do finansowego zadośćuczynienia.

- I będę musiał ją zatrudnić?

- Nie, nie. Jeśli ten drugi kandydat dostanie posadę, nie będzie można go jej pozbawić. Sprawdzę, jakie sumy sąd przyznaje poszkodowanym w tego typu sprawach. Zrobię to za darmo.

- To znaczy, że pani robi to za darmo dla szefa, prawda? — proboszcz ze śmiechem zapytał Rebeke.

Wykrzywiła uprzejmie usta. Stensson ponownie zwrócił się do Torstena, już poważnie.

- Byłbym panu bardzo wdzięczny. Ale mam jeszcze jedną sprawę, a w zasadzie dwie.

- Proszę, śmiało!

- Mildred założyła fundację. W okolicznych lasach przebywa wilczyca, dla której pastor żywiła bardzo ciepłe uczucia. Zadaniem fundacji miało być utrzymanie jej przy życiu. A więc odszkodowania dla Saamów, obserwacje z helikoptera we współpracy z Urzędem Ochrony Środowiska...

- No więc?

- Fundacja nie zyskała w parafii takiej aprobaty, jakiej być może życzyłaby sobie Mildred. Nie chodzi o to, że mamy coś przeciwko wilkowi na naszym terenie, ale raczej o zachowanie apolitycznego profilu. Wszyscy, zarówno przeciwnicy wilków, jak i miłośnicy tych zwierząt, mają prawo czuć się w kościele jak u siebie w domu.

Rebeka wyjrzała przez okno. Przewodniczący wspólnoty parafii zaglądał z ciekawością do środka. Pijąc kawę, trzymał pod brodą spodeczek, żeby się nie poplamzić. Choć jego potwornej koszuli chyba już nic nie mogło zaszkodzić. Prawdopodobnie kiedyś była beżowa, a później wyprano ją z niebieską skarpetką.

Całe szczęście, że w supermarkecie znalazł pasujący krawat, pomyślała Rebeka.

- Chcemy rozwiązać fundację i przeznaczyć środki na działalność, która bardziej odpowiadałaby charakterowi Kościoła.

Torsten obiecał przekazać sprawę specjalście od prawa stowarzyszeń.

- I jeszcze na koniec bardzo delikatna kwestia. Mąż Mildred Nilsson ciągle mieszka na plebanii w Poikkijärvi. To okropne — zmusić go do opuszczenia tego domu, ale... no, plebania będzie potrzebna następcy.

- Ależ to żaden problem — powiedział Torsten. — Rebeko, planowałaś zostać tu trochę dłużej, prawda? Mogłabyś spojrzeć na umowę najmu i porozmawiać z... jak się nazywa mąż zmarłej?

- Erik. Erik Nilsson.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu?... — upewnił się Torsten.
— Bo jeśli masz, ja się tym zajmę. To przecież mieszkanie służbowe, więc w najgorszym razie możemy skorzystać z pomocy komornika.

Proboszcz skrzywił się lekko.

- Jeżeli sprawy zajdą aż tak daleko — odparł spokojnie Torsten — to dobrze jest mieć jakiegoś cholernego adwokata, na którego można będzie zwalić winę, prawda?

- Ja to załatwię — zapewniła Rebeka.

- Erik ma klucze Mildred — zwrócił się do Rebeki proboszcz. — To znaczy klucze od kościoła. Chciałbym, żeby mi je oddał.

- Rozumiem.

- Między innymi klucz od sejfu w kancelarii parafialnej. Wygląda... o, tak.

Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i pokazał Rebecce jeden z nich.

- Sejf? — zdziwił się Torsten.

- Na pieniądze, notatki z rozmów z parafianami i... no, rzeczy, których nie chce się stracić — wyjaśnił proboszcz. — Pastor nie przebywa często w kancelarii, a w budynku kręci się zawsze dużo ludzi.

Torsten nie mógł się powstrzymać, by nie zadać tego pytania:

- To policja nie ma tego klucza?

- Nie — odparł Stensson bez zastanowienia. — Nie pytali o klucz. Ale spójrzcie państwo: Bengt Grape nakłada sobie czwarty kawałek tortu kanapkowego. Chodźmy, bo inaczej nic dla nas nie zostanie! Rebeka odwoziła Torstena na lotnisko. Za szybą słońce babiego lata ponad żółtymi cętkami brzoź.

Obserwował ją z boku. Zastanawiał się, czy jest coś między nią a Månsem. Teraz w każdym razie była w ponurym nastroju.

Uszy wciśnięte w ramiona, prosta kreska ust.

- Jak długo tu zostaniesz? — zapytał.

- Nie wiem — odparła niezdecydowanie. — Może na weekend.

- Czyli tak mam powiedzieć Månsewi, gdy zapyta, gdzie zgubiłem jego współpracownicę?

- Raczej nie zapyta.

Zapadła cisza. W końcu Rebeka nie wytrzymała.

- Policja oczywiście nie wie o istnieniu tego cholernego sejfu!

– wybuchła.

Głos Torstena stał się nagle przesadnie cierpliwy.

- Po prostu przeoczyli. A my nie będziemy odwalać za nich roboty. Mamy własną.

- Ona została zamordowana — powiedziała cicho Rebeka.

- Nasza praca polega na rozwiązywaniu problemów klienta. I dopóki nie chodzi o działalność niezgodną z prawem, robimy to, o co klient nas prosi. Oddanie kluczy Kościołowi nie jest czymś nielegalnym.

- Oczywiście, że nie. Oprócz tego pomogę im wyliczyć, ile ewentualnie zapłacą za dyskryminację ze względu na płeć, tak żeby mogli sobie umocnić ten swój klub prawdziwych mężczyzn.

Torsten wyglądał przez boczną szybę.

- No i muszę jeszcze wyeksmitować jej męża — mówiła dalej.

- Powiedziałem, że nie musisz.

Ech, daj spokój, pomyślała. Nie dałeś, mi wyboru. W przeciwnym razie nasłabys na niego komornika.

Przyspieszyła.

Pieniądze są najważniejsze, dodała w duchu. Zawsze.

- Czasami chce mi się rzygać — powiedziała zmęczonym głosem.

- Czasami jest to wliczone w obowiązki zawodowe. Pozostaje tylko wytrzeć buty i iść dalej.

*

Komisarz Anna Maria Mella minęła kapliczkę w Poikkijärvi i podjechała pod dom Lisy Stöckel. Przewodnicząca organizacji kobiecej „Magdalena” mieszkała trochę na uboczu, na grzbiecie góry. Za domem wzniesienie przechodziło stromo w kamieniołomy, po drugiej stronie płynęła rzeka.

Drewniany budynek był na początku prostą letniskową chałupką, wzniesioną w latach sześćdziesiątych. Później ją rozbudowano, ozdobiono wymyślnymi listwami wokół okien i strojną koronkową sycerką na ganku. Teraz wyglądała jak brązowe pudełko po butach przerobione na chatkę z piernika. Obok niej stała podłużna, murszejąca budowla w

czerwonobrazowym kolorze. Blaszany dach, jedno jedyne okno szczeblinowe, pojedyncze szyby. Drewnutnia, schowek i obora, zgadywała Anna Maria. Dawniej musiał tu być inny dom mieszkalny. Rozebrano go i wybudowano domek letniskowy, a oborę zachowano.

Bardzo wolno wjechała na podwórze. Przed samochodem biegały tam i z powrotem trzy ujadające psy. Kilka kur załopotano skrzydłami i ukryło się pod krzewem porzeczki. Przy furtce siedział kot, skoncentrowany na norce jakiegoś gryzonia, w każdej chwili gotowy do skoku. Jedyne poirytowanym ruchem ogona zdradzał, że odnotował przyjazd hałaśliwego forda.

Anna Maria zaparkowała przed domem. Przez boczną szybę zaglądała w rozwarte pyski psów. Zwierzęta, ciągle szczekając, skakały do drzwi. Wprawdzie machały ogonami jak szalone, ale mimo wszystko... Jeden z nich był ogromny. A ponadto czarny. Wyłączyła silnik.

Z domu wyszła kobieta i stanęła na ganku. Miała na sobie nieopisanie brzydki, pikowany płaszcz w różowym kolorze Barbie. Przywołała zwierzęta krótkim:

- Do nogi!

Psy natychmiast przerwały oblężenie i wpadły jak burza na ganek. Kobieta kazała im leżeć. Anna Maria wysiadła z samochodu i przedstawiła się gospodyni, która właśnie do niej podeszła.

Lisa Stöckel miała pięćdziesiąt lat i ogorzałą twarz bez cienia makijażu, ale z białymi kresczkami od ciągłego mrużenia oczu w słońcu. Gdyby bardzo krótko przystrzyżone włosy były jeszcze odrobinę krótsze, jej fryzurę można by porównać do szczotki ryżowej.

Ładna dziewczyna, pomyślała Anna Maria. Jak kowbojka. Jeśli ktoś potrafi sobie wyobrazić kowbojkę w różowym pikowanym odzieniu.

A ten płaszcz pokryty włosami zwierząt był naprawdę szkaradny. Z licznych pęknięć i dziur wyłaziły białe kłaczkowatoliny.

Dziewczyna jak dziewczyna. Wprawdzie Anna Maria знаła

pięćdziesięcioletnie panie, które spotykały się na dziewczynskich obiadach i które pewnie zostaną dziewczynami aż do śmierci, ale Lisa Stöckel nie była dziewczyną. Coś w jej oczach mówiło policjantce, że ona nigdy nie była dziewczyną, nawet w dzieciństwie.

I ta prawie niewidoczna linia biegnąca pod okiem, od nasady nosa po kość policzkową. Mroczny cień spinający kąciaki oczu.

Ból, pomyślała Anna Maria. W ciele albo w duszy. Kobiety weszły na ganek. Psy leżały, skomląc i prosząc, by zezwolono im przywitać się z nieznajomą.

- Stop! — rozkazała Lisa.

To chyba było do psów, choć Anna Maria też stanęła — na wszelki wypadek.

- Boi się pani psów?

- Nie. Jeśli wiem, że są posłuszne — odpowiedziała, spoglądając na czarnego olbrzyma.

Długi różowy jęzor jak krawat wystający z pyska. Łapy jak u lwa.

- To dobrze, bo w kuchni leży jeszcze jeden, ale jest łagodny jak baranek. Zresztą te tutaj też; to tylko banda wsioków bez ogłady. Proszę wejść.

Otworzyła drzwi i komisarz Mella wślizgnęła się do środka.

- Wy cholerne łobuzy! — Lisa zwróciła się pieszczotliwie do psów. Potem uniosła rękę i krzyknęła:

- Na dwór!

Czworonogi zerwały się niemal jednocześnie, znacząc pazurami długie ślady w deskach ganku, pokonały schody jednym radosnym susem, przebiegły przez podwórze i tyle je było widać. Anna Maria rozglądała się po ciasnej sieni. Połowę podłogi zajmowały dwa psie posłania. Stała tam także duża stalowa miska na wodę, gumowce, trzewiki, adidas i praktyczne buty z goreteksu. Brakowało natomiast wolnej przestrzeni dla więcej niż jednej osoby. Na ścianach tłoczyły się kołki i półki. Wisiały tam smycze, rękawice robocze, solidne czapki i rękawiczki, kombinezon i inne rzeczy. Anna Maria zastanawiała się, gdzie wcisnąć kurtkę; wszystkie kołki były zajęte, wieszaki też.

- Kurtkę może pani powiesić na krześle w kuchni — doradziła

Lisa. — Tutaj zaraz przyklei się do niej pełno włosów. I niech pani absolutnie nie ściąga butów!

Prosto z sieni jedne drzwi prowadziły do saloniku, a drugie do kuchni. W pokoju stało kilka kartonów po bananach, teraz wypełnionych książkami. Obok piętrzyły się też książki ułożone w stosy. Pusty i zakurzony regał z wbudowaną gablotą zakrywał krótszą ścianę.

- Planuje pani przeprowadzkę? — zapytała komisarz Mella.

- Nie, po prostu... Uzbierało się tyle kłopotów, a książki... tylko się kurzą.

Kuchnia była urządzona ciężkimi meblami z poźółkłej lakierowanej sosny. Na rustykalnej ławie spała czarna labradorka. Kiedy kobiety weszły do środka, obudziła się i kilka razy zamachała ogonem na powitanie. A potem znów złożyła głowę na posłaniu i usnęła.

- To jest Majken — przedstawiła sukę Lisa.

- Proszę opowiedzieć, jaka ona była — poprosiła Anna Maria, kiedy usiadły. — Wiem, że pracowałyście razem w organizacji o nazwie „Magdalena”.

- Opowiedziałam już temu dość roslemu facetowi z... takimi wąsami.

Lisa Stöckel odmierzyła parę decymetrów przed górną wargą. Anna Maria się uśmiechnęła.

- Svenowi Erikowi Stålnackemu.

- Tak.

- Może pani opowiedzieć jeszcze raz?

- Od czego mam zacząć?

- Kiedy się poznałyście?

Anna Maria nie spuszczała oka z twarzy Lisy. Kiedy ludzie cofali się pamięcią w poszukiwaniu konkretnego zdarzenia, często zmniejszali czujność. Oczywiście jeżeli od początku nie zamierzali kłamać. Niekiedy zapominali na chwilę o osobie siedzącej naprzeciwko. Na sekundę twarz kobiety rozjaśniła się uśmiechem. Na moment zmiękły nieco jej rysy. Lisa Stöckel lubiła pastor Mildred.

- Sześć lat temu. Zaraz po tym, jak wprowadziła się na plebanię. Jesienią miała prowadzić lekcje przedkonfirmacyjne

dla młodzieży, tutaj i w Jukkasjärvi. Poszła ostro jak pies myśliwski. Wyszukała rodziców tych dzieci, które nie zgłosiły chęci udziału. Przedstawiła się i wyjaśniła, dlaczego nauki przedkonfirmacyjne są ważne.

- A dlaczego są ważne? — zapytała Anna Maria, która sto lat temu kompletnie nic z nich nie wyniosła.

- Mildred uważała, że kościół powinien być miejscem spotkań. Nie dbała o to, czy ludzie wierzą, czy nie, to sprawa między nimi a Bogiem, mówiła. Ale gdyby potrafiła ich nakłonić, żeby przyszedli do kościoła na chrzciny, konfirmację, ślub czy inne uroczystości, żeby spotkali innych i żeby poczuli się na tyle swojsko, by zwrócić się właśnie do kościoła, gdy pewnego dnia życie okaże się zbyt ciężkie, to wtedy... A kiedy ludzie mówili jej: „Ale przecież on jest niewierzący, to nieetyczne, że chodzi na te lekcje tylko po to, żeby później dostać prezenty”, ona odpowiadała im, że to przecież fajnie dostawać prezenty, że młodzież w ogóle nie lubi się uczyć, ani w szkole, ani w kościele, ale wykształcony człowiek powinien umieć wymienić ewangelistów i wiedzieć, dlaczego obchodzimy Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki i Wniebowstąpienie.

- A więc pani ma syna albo córkę...

- Nie, nie. To znaczy tak, mam córkę, ale ona była już wtedy po konfirmacji. Teraz pracuje w naszej lokalnej gospodzie. Chodziło o syna kuzynostwa, Nallego. On jest niedorozwinięty umysłowo, i Lars Gunnar nie chciał, żeby syn poszedł do konfirmacji. No więc Mildred chciała o tym ze mną porozmawiać. Napije się pani kawy?

- Tak, chętnie. Odniosłam wrażenie, że Mildred irytowała ludzi.

Lisa wzruszyła ramionami.

- Ona była tylko... taka bezpośrednia i hop do przodu. W jej skrzyni biegów nie było wstecznego.

- Co pani ma na myśli? — zapytała Anna Maria.

- To, że ona nigdy nie komplikowała żadnych spraw. Nie było u niej miejsca na dyplomację ani subtelności towarzyskie. Jeśli uważała, że źle się dzieje, to wykladała kawę na ławę.

Na przykład wtedy, gdy zwróciła się przeciw niej cała ekipa

porządkowa, pomyślała Lisa.

Zamrugła oczami. Obraz, który powstał w jej głowie, nie znikł jednak tak szybko. Najpierw dwa cytrynki płasające nad pachnącym łańcem gęsiówki. Później zwisające witki brzozy, poruszane lekką bryzą znad spokojnej rzeki. I plecy Mildred. Jej bojowy krok. Żwir chrzęszczący pod stopami.

Lisa biegnie za nią truchtem wzdłuż alejki na cmentarzu w Poikkijärvi. Gdzieś w oddali siedzi ekipa porządkowych; mężczyźni celebryją właśnie przerwę na kawę. Robią sobie takie przerwy często, w zasadzie cały czas. Pracują tylko wtedy, gdy patrzy na nich proboszcz. Nikt jednak nie ma odwagi stawiać im specjalnych wymagań. Wystarczy, że ich do siebie zniechęcisz, a będziesz odprawiała ceremonię pogrzebową na górze rozkopanej ziemi. Albo — próbowała przekrzyczeć warkot pily motorowej dwa metry dalej. Zimą będziesz wygłaszała kazania w lodowatym kościele. Proboszcz, ten cholerny mięczak, nie reaguje. Oczywiście nie ma powodu — ci mężczyźni wiedzą, z kim lepiej nie zadzierać.

- Tylko nie wdawaj się z nimi w kłótnię — prosi Lisa.

- Nie będę się kłócić — zapewnia Mildred.

Naprawdę nie zamierza się awanturować.

Mankan Kyrö dostrzega je pierwszy. Jest nieformalnym przywódcą grupy. Szef nieruchomości zupełnie się niczym nie przejmuje. To Mankan podejmuje decyzje. To z nim Mildred ma się nie sprzeczać.

Od razu przechodzi do rzeczy. Pozostali przysłuchują się z zacięciem.

- Grób dla dziecka — mówi — wykopaliście już?

- O co pani pastor chodzi? — odpowiada mężczyzna flegmatycznie.

- Właśnie rozmawiałam z rodzicami. Powiedzieli mi, że wybrali miejsce w północnej części, z widokiem na rzekę, ale pan im odradził.

Mankan Kyrö nie odpowiada. Spluwa soczyście na trawę i próbuje wyłuskać z tylnej kieszeni pudełeczko ze snu- sem.

- Powiedział im pan, że korzenie brzozy wrosną w trumnę i

przebiją ciało niemowlęcia — mówi dalej Mildred.

- A nie wrosną?

- Wrastają wszędzie, niezależnie od tego, gdzie się złoży trumnę, i pan doskonale o tym wie. Nie chciało się panu kopać pod drzewem, bo tam są najgrubsze korzenie i dużo kamieni. To zbyt ciężka robota, po prostu. Nie pojmuję, jak pan, dla własnej wygody, może zaszczepiać w ich głowach takie myśli.

Przez cały czas ani razu nie podnosi głosu. Mężczyźni wokół Mankena wbijają wzrok w ziemię. Jest im wstyd. I nienawidzą tej pastor, która wzbudza w nich to uczucie.

- Aha, i co teraz, według pani, mamy zrobić? — pyta Kyrö. — Wykopaliliśmy grób w zdecydowanie lepszym miejscu, moim zdaniem, ale może powinniśmy ich zmusić, żeby pochowali dziecko tam, gdzie pani chce?

- Nie, nie. Teraz już za późno, udało się panu ich odstraszyć. Chcę tylko, aby pan wiedział, że jeżeli coś takiego zdarzy się ponownie...

Mężczyzna prawie się uśmiecha. Czy ona próbuje mu grozić?

- ...to podda pan moją miłość do pana ciężkiej próbie

- kończy Mildred i odchodzi.

Lisa biegnie za nią. Szybko, żeby nie słyszeć komentarzy za plecami. Potrafi je sobie wyobrazić. Jakby chłop dał jej w łóżku to, czego potrzebuje, może by się uspokoila.

- Kogo więc irytowała? — zapytała Anna Maria.

Lisa wzruszyła ramionami i włączyła ekspres do kawy.

- Od kogo mam zacząć? Od rektora szkoły w Jukkasjärvi, na którego Mildred naciskała, by zajął się problemem mobbingu? Czy od pań w socjalu, w których działania się wtrącała?

- W jaki sposób?

- No, na przykład na plebanii zawsze mieszkały kobiety z dziećmi, które uciekły od swoich facetów...

- Założyła fundację mającą chronić wilka — wtrąciła Anna Maria. — Na ten temat rozgorzała ostra dyskusja.

- Mhm. Nie mam ani mleka, ani ciasteczek, kawa będzie czarna i solo.

Lisa Stöckel postawiła przed gościem obity kubek z re-

klamowym nadrukiem.

- Proboszcz i wielu innych pastorów też jej nie cierpieli. -
Dlaczego?

- Między innymi przez nas, kobiety w „Magdalenie”. Organizacja zrzesza dwieście osób. Dużo ludzi po prostu lubiło Mildred, choć nie należeli do stowarzyszenia, wśród nich sporo mężczyzn — nawet jeżeli są tacy, którzy mówią coś zupełnie innego. Studiowałyśmy z nią Biblię. Brałyśmy udział w odprawianych przez nią nabożeństwach. I zajmowałyśmy się praktycznymi rzeczami.

- Jakimi?

- Przeróżnymi. Na przykład gotowaniem obiadów. Zastanawiałyśmy się, w czym konkretnie możemy pomóc samotnym matkom. Bo one czują się odizolowane od reszty świata, cały czas w kołowym: praca, zakupy, sprzątanie, gotowanie, a później już tylko telewizor. Organizujemy więc wspólne obiady w domu parafialnym w mieście, od poniedziałku do środy, a w czwartki i piątki — tutaj, na plebanii. Dorośli płacą dwadzieścia koron, dzieci piętnaście. Czasami trzeba trochę popracować. Parę razy w tygodniu te kobiety nie muszą robić zakupów ani gotować. Czasami pilnują sobie nawzajem dzieci i wtedy mogą na przykład pojechać do miasta, żeby potrenować albo po prostu odpocząć. Mildred była zwolenniczką praktycznych rozwiązań.

Lisa zaśmiała się i mówiła dalej.

- Każde napomknięcie, że coś w okolicy jest nie tak, jak powinno, wiązało się z ryzykiem. Ona momentalnie łykała haczyk, pytała: „Co możemy zrobić?”, i ani się człowiek obejrzał, a już był zaangażowany w kolejny projekt. „Magdalena” była niesamowicie zgraną drużyną. Który pastor nie chciałby

zgrupować wokół siebie takiej grupy?

- A więc pozostali duchowni byli zazdrośni?

Lisa znów wzruszyła ramionami.

- Powiedziała pani: „«Magdalena» była niesamowicie zgraną drużyną”. Czy to znaczy, że już nie istniejecie?

Lisa wbiła wzrok w stół.

- Nie, istniejemy.

Anna Maria czekała na dalszy ciąg, ale nie nastąpił.

- Miała jakichś bliskich? — zapytała niezrażona.

- Myślę, że nas, zarząd „Magdaleny”.

- A mąż?

Niedostrzegalny ruch tęczy. Komisarz Mella coś w nim dostrzegła.

Liso Stöckel, ty coś przede mną ukrywasz, stwierdziła w duchu.

- To jasne! — odparła Lisa.

- Czy ktoś jej groził? Bała się?

- Ona miała chyba jakiegoś guza albo coś, co uciskało tę część mózgu, w której mieszka strach... Nie, nie bała się. A groźby? Ostatnio nie więcej niż zwykle, zawsze znalazł się ktoś, kto musiał przedziurawić opony w jej samochodzie albo powybijając szyby...

Lisa popatrzyła gniewnie na Annę Marię.

- Już dawno przestała zgłaszać takie rzeczy na policję. Wiele hałasu o nic; przecież nigdy nie da się nic udowodnić, nawet jeżeli wiadomo, kto to zrobił.

- A może mimo wszystko poda mi pani kilka nazwisk? Kwadrans później komisarz Mella wsiadła do swojego forda escorta i odjechała.

Z jakiego powodu człowiek pozbywa się wszystkich książek? To pytanie nie dawało jej spokoju.

Lisa Stöckel stała w kuchni i patrzyła za samochodem, który w oleistej chmurze spalin zniknął za wzniesieniem. A potem usiadła na ławie obok śpiącej labradorki. Głaskała ją po szyi i piersi w taki sam sposób, w jaki suka liże szczenięta, żeby je uspokoić. Majken obudziła się i z oddaniem kilka razy machnęła ogonem.

- Co z tobą, psico? — spytała Lisa. — Nie podnosisz się już, nie witasz z gośćmi.

Struny głosowe ścisnęły się w bolący węzeł. Zapiętko pod powiekami. Nie wypłynęły jednak spod nich żadne łzy.

Musi ją potwornie boleć, pomyślała.

Podniosła się gwałtownie.

O Boże, Mildred! Przebac mi! Wybacz mi, droga... Próbuję

robić to, co powinnam, ale się boję.

Nagle dostała mdłości, wybiegła na świeże powietrze. Zdążyła zaledwie na ganek i tam zwymiotowała.

Psy błyskawicznie stawily się na miejscu. Jeżeli ona nie chce tego dla siebie, to one są skłonne się tym zająć. Odpędziła je nogą.

Ta cholerna policjantka. Wlaziła prosto do jej głowy i otworzyła ją jak książkę z obrazkami. Na każdej stronie scenki z Mildred. A ona nie miała już siły ich oglądać. Na przykład tej pierwszej, sprzed sześciu lat. Karmiła właśnie króliki w klatkach. Białe, szare, czarne i pstrokate zwierzęta podnosiły się na tylnych łapach i przyciskały nosy do metalowej siatki. Rozdzielała suchą karmę i zwiędłe kawałki marchwi do niewielkich miseczek z terakoty. Czuła w sercu żal; króliki wkrótce miały zamienić się w gulasz w lokalnej gospodzie.

Nagle czuje, że ona za nią stoi. Duchowna, która niedawno wprowadziła się na plebanie. Nie spotkały się wcześniej. Lisa nie słyszała, jak tamta nadchodzi. Mildred jest filigranową kobietą w jej wieku, koło pięćdziesiątki. Ma szczupłą, bladą twarz i długie ciemne włosy. Lisa wiele razy usłyszy później od ludzi, że natura obdarzyła nową pastor przeciętną urodą. Że „nie jest piękna, ale...” Nigdy tego nie zrozumie.

Czuje w środku coś osobliwego, ściskając wyciągniętą ku sobie delikatną dłoń. Musi niemal upomnieć własną rękę, by w końcu ją puściła. Pastor mówi. Jej usta też są drobne, wargi cienkie. Jak malutka czerwona brusznica. I podczas gdy borówkowe usta wyrzucają z siebie słowa, słowa, słowa, oczy Mildred śpiewają piękną pieśń. O czymś zupełnie innym.

Po raz pierwszy od dawna — nie pamięta od jak dawna

- Lisa się boi, że widać po niej prawdę. Potrzebowałaby lusterka, żeby sprawdzić. Ona, która przez całe życie nie wyjawiała tajemnic. Ona, która wie, co to znaczy być najładniejszą dziewczyną we wsi. Oczywiście opowiadała czasami o tym, jak się czuła, słysząc nieustannie: „Ale cyce!”, jak zaczęła się garbić, jak nabawiła się problemów z kręgosłupem. Nikt jednak nie znał tysiąca innych sekretów. O kuzynie ojca, kiedy

miała trzynaście lat. Bengt chwycił ją za włosy, owinał je wokół dłoni; miała wrażenie, że za chwilę puszcza u nasady. „Stul pysk”, warknął jej do ucha i zaciągnął do toalety. Tłukł jej czołem o kafelki, żeby zrozumiała, że to nie żarty. Drugą ręką rozpinął jej dzinsy. Rodzina siedziała w salonie na parterze.

Stuliła pysk. Nigdy nie pisnęła ani słówka. Ścięła włosy.

Albo o tym, jak ostatni raz w życiu piła alkohol, w mid-sommar w 1965 roku. Była sama i prawie nieprzytomna, a ich było trzech — chłopaków z miasta. Dwóch z nich mieszka do dziś w Kirunie, całkiem niedawno wpadła na jednego w sklepie ICA Kupolen. Ale tamtego wspomnienia pozbyła się jak kamienia wrzuconego do studni. Teraz wszystko wydawało się tylko złym snem.

Wśród tajemnic znalazły się też chwile z Tommym. Tamtego wieczoru pił wódkę z krewnymi z Lannavaary. To musiało być pod koniec września. Mimmi nie miała więcej niż trzy, cztery lata. Rzeka nie była jeszcze ścięta lodem. Kuzynowie podarowali mu stary oścień. Zupełnie bezużyteczny; Tommy nigdy nie zrozumiał, że chodziło tylko o głupi żart. Zadzwoił do niej nad ranem, jak po taksówkę. Przyjechała, próbowała go przekonać, żeby zostawił prezent u kuzynów, ale jemu udało się już wcisnąć narzędzie do samochodu. Opuścił boczną szybę i śmiejąc się, dźgał ostrzem ciemność.

Kiedy przyjechali do domu, postanowił, że pojedą łowić ryby na oścień. Do świtu zostały jeszcze dwie godziny. Uparł się, żeby mu towarzyszyła. Ktoś musiał przecież wiosłować i trzymać latarkę. Mimmi śpi, powiedziała. No to świetnie, odpowiedział. Na pewno sobie jeszcze tych parę godzin polula. Lisa usiłowała go nakłonić do założenia kapoka, woda była lodowata. Nie dał się przekonać.

- Ożeż kurwa, ale się zrobiłaś porządna — kpił. — Pomyśleć, że ożeniłem się z Ludwisią Porządnisią!

Najwyraźniej zadowolony ze swego poczucia humoru, od czasu do czasu powtarzał pod nosem: „Ludwisią Porządnisią”. A później na rzece komenderował: „Teraz bardziej na cypel, Ludwisiu!”.

Aż w końcu wpadł do wody, plusk, i po kilku sekundach dało

się słyszeć drapanie w reling. Lodowata woda, ciemna noc. Nie krzyczał, ale oddychał głośno i parskał z wysiłku.

Właśnie przez tych kilka sekund Lisa poważnie się zastanawiała, co zrobić. Odpłynąć kilka metrów? Pozwolić łodzi się przesunąć, zniknąć z zasięgu wzroku? Z taką ilością alkoholu w organizmie... Ile by to potrwało? Góra pięć minut.

A później wciągnęła go do łodzi. To nie było proste, sama prawie wypadła za burtę. Nie znaleźli ościenia. Może zatonął, a może tylko odpłynął w siną dal. W każdym razie Tommy był skwaszony. I zły na żonę, choć przecież go uratowała. Niemal czuła, jak go korci, żeby jej przyłożyć.

Nigdy nikomu nie opowiedziała o tym zimnym pragnieniu, by zobaczyć, jak mąż umiera. Jak się topi niczym kociak w worku. Teraz stoi tutaj przed nową pastor. W duszy czuje coś dziwnego. Oczy tej kobiety wdarły się do jej wnętrza. Jeszcze jedna tajemnica do zatopienia w studni. Właśnie spada na dno. A potem błyszczy tam jak klejnot wśród mnóstwa niepotrzebnych rupieci.

*

Wkrótce miną trzy miesiące od dnia, w którym znaleziono jego zamordowaną żonę. Erik Nilsson wysiadł ze swojej skody i zatrzymał się przed plebanią. Ciągle jeszcze było ciepło, chociaż to już wrzesień. Przeraziłwie niebieskie, bezchmurne niebo. Światło przecinające powietrze jak naostrzone noże.

Odwiedził właśnie kolegów w pracy. Miło było ich spotkać. Stanowili dla niego jakby dodatkową rodzinę. Wkrótce wróci do nich na dobre. Zacznie myśleć o czymś innym.

Spojrzał na donice stojące na schodach i ganku. Ze wszystkich żałośnie zwisały uschnięte kwiaty. Pomyślał, że powinien je wnieść do środka. Lada moment trawa skruszeje pod szronem, a gliniane misy popękają od mrozu.

Po drodze zrobił zakupy. Teraz przekręcił klucz w zamku, podniósł torby i łokciem nacisnął klamkę.

- Mildred! — zawołał od progu.

Zatrzymał się. Cicho jak w grobie. Sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych ciszy. Cały świat zamknął usta. Dom orbitował

niczym pusty statek kosmiczny przez oślepiające, nieme uniwersum. Słysząc było jedynie zgrzytliwy obrót ziemi wokół własnej osi. Dlaczego, na Boga, wołał Mildred?

Kiedy żyła, zawsze wiedział, czy jest w domu, czy nie. Gdy tylko wchodził do środka. Nic dziwnego, zwykł mówić. Niemowlęta wyczuwają zapach mamy, nawet jeżeli znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu. Dorośli nie tracą tej umiejętności. Tyle że nie zdają sobie z tego sprawy. Dlatego mówi się o intuicji i szóstym zmyśle.

Czasami nadal czuł obecność Mildred, kiedy wchodził do domu. Czuł, że jest gdzieś w środku. Cały czas w pokoju obok. Upuścił reklamówki na podłogę. Wszedł w ciszę.

Mildred! Dźwięczało mu w głowie.

Wtem ktoś zadzwonił do drzwi.

Kobieta. W dopasowanym płaszczu i wysokich kozaczkach na obcasie. Tak bardzo nieprzystająca do tutejszej rzeczywistości, że nie wyróżniałaby się bardziej, stojąc tylko w bieliźnie. Zdjęła prawą rękawiczkę i wyciągnęła do niego dłoń. Przedstawiła się jako Rebeka Martinsson.

- Proszę wejść — powiedział, gładząc bezwiednie brodę i włosy.

- Dziękuję, nie będę pana trudzić, chciałabym tylko...

- Proszę wejść — powtórzył i ruszył przodem.

Zdecydowanie odradził ściąganie butów i zaprosił gościa do kuchni. Wszędzie panował ład i porządek. Erik sprzątał i gotował za życia Mildred, dlaczego więc miałby przestać to robić po jej śmierci? Nie ruszył jednak jej rzeczy. Czerwony sweter leżał na ławie, papiery i poczta — na blacie kuchennym.

- A więc?... — zaczął życzliwie.

Umiał być życzliwy wobec pań. Przez te wszystkie lata właśnie przy tym stole zasiadało wiele kobiet. Niektóre z jednym dzieckiem na kolanach, a z drugim stojącym obok, uczepionym bluzki mamy. Inne uciekały nie od męża, lecz raczej od siebie. Nie wytrzymały samotności w wynajmowanym mieszkaniu na Lombolo. Stały na ganku i paliły papierosa za papierosem, nie zważając na chłód.

- Przyszłam tutaj z polecenia pracodawcy pana żony — powiedziała Rebeka.

Erik Nilsson właśnie zamierzał usiąść, a może zapytać ją, czy nie napije się kawy, teraz jednak zmienił zdanie. Ponieważ milczał, Rebeka mówiła dalej.

- Chodzi o dwie sprawy. Po pierwsze, chciałabym, żeby pan oddał jej klucze. Po drugie, musi się pan stąd wyprowadzić.

Mężczyzna wyrztał przez okno. Rebeka nie przestawała mówić; teraz ona okazywała opanowanie i życzliwość. Przypomniała mu, że plebania jest lokalem służbowym i że Kościół może mu pomóc w znalezieniu innego mieszkania oraz wynająć firmę przeprowadzkową.

Erik Nilsson zaczął ciężko sapać. Przy zamkniętych ustach każdy oddech brzmiał jak parsknięcie.

Patrzył na nią z odrazą. Rebeka wbiła wzrok w stół.

- Ja pierdolę — powiedział w końcu. — Po prostu rzygać się chce. Czy to żona Stefana Wikströma nie może się już doczekać? Nigdy nie mogła przeboleć, że Mildred dostała największą plebanię.

- Nic o tym nie wiem. Ja tylko...

Uderzył dłonią w stół.

- Straciłem wszystko! Uniósł zaciśniętą pięść, jakby sygnalizując, że nie chce stracić panowania nad sobą.

- Niech pani poczeka.

Wyszedł z kuchni. Rebeka słyszała jego kroki na schodach, a po chwili gdzieś na piętrze. Kiedy wrócił, rzucił na stół pęk kluczy, jakby to była torebka z psią kupą.

- Czy jeszcze coś? — zapytał.

- Musi się pan stąd wyprowadzić — powtórzyła z uporem.

Tym razem popatrzyła mu w oczy.

- Jak się pani czuje? Jak się czuje człowiek pod takim eleganckim płaszczem, gdy wykonuje taką robotę?

Podniosła się z krzesła. Coś w jej twarzy uległo zmianie, coś przemknęło niepostrzeżenie; widział to wcześniej niejedną raz. Nieme cierpienie. Zobaczył odpowiedź w jej oczach. Usłyszał ją tak wyraźnie, jak gdyby rzeczywiście została wypowiedziana: „Jak kurwa”.

Rebeka zbierała rękawiczki ze stołu sztywno i powoli; można by pomyśleć, że musiała je najpierw policzyć: jeden, dwa.

Chwyciła okazały pęk kluczy.

Erik Nilsson westchnął ciężko i przejechał dłonią po twarzy.

- Przepraszam — rzekł. — Mildred pewnie dałaby mi kopa w tyłek. Jaki dziś mamy dzień?

Ponieważ jednak nie doczekał się odpowiedzi, mówił dalej:

- Tydzień. Za tydzień opuszczę to mieszkanie.

Skinęła głową. Odprowadził ją do drzwi. Chciał coś powiedzieć, ale nic stosownego nie przychodziło mu na myśl; przecież teraz nie wypadało zapytać, czy napije się kawy.

- Tydzień — powtórzył do jej pleców, gdy znikwała za drzwiami.

Jak gdyby to mogło jej sprawić radość.

Wytoczyła się z plebani. Chociaż to było tylko jej odczucie, tak naprawdę wcale się nie zataczała. Nogi niosły ją równym krokiem.

Jestem niczym, pomyślała. Mam pustkę w środku. Zero człowieka, zero empatii, nic! Robię wszystko, o cokolwiek mnie poproszą. To jasne. Przecież nie mam nikogo oprócz ludzi z firmy. Wmawiam sobie, że przeraża mnie myśl o powrocie do pracy. Ale tak naprawdę przeraża mnie to, że mogę znaleźć się poza nawiasem. Zrobię wszystko, dosłownie wszystko, żeby czuć się do czegoś przynależna.

Zapatrzona w skrzynkę na listy, nie zauważyła nadjeżdżającego czerwonego forda escorta. Dostrzegła go dopiero wtedy, gdy zwolnił, wjechał przez bramę i zatrzymał się.

Przez Rebekę jakby przeszedł prąd.

Z samochodu wysiadła komisarz Anna Maria Mella. Spotkały się półtora roku wcześniej, kiedy Rebeka była obrońcą z urzędu Sanny Strandgård. To Anna Maria i jej kolega, Sven Erik Stålnacke, uratowali jej życie tamtej nocy.

Komisarz oczekiwała wówczas dziecka i wyglądała jak klocek; teraz była szczupła, choć barczysta. Sprawiała wrażenie silnej, mimo niskiego wzrostu. Włosy miała splecione w taki sam gruby warkocz jak wtedy. Białe równe zęby w opalonej, końskiej twarzy. Policjantka-kucyk.

- Hej! — wykrzyknęła Anna Maria.

Potem umilkła. Wyglądała jak jeden wielki znak zapytania.

- Jestem... — zacięła się Rebeka, lecz po chwili zaczęła od

nowa. — Moja firma chce nawiązać współpracę z parafiami Kościoła Szwecji, mieliśmy spotkanie w sprawie sprzedaży i... potrzebna była pomoc, jeżeli chodzi o plebanię, więc... ponieważ już tu jesteśmy, obiecałam porozmawiać z...

Zakończyła zdanie, wskazując głową dom.

- Ale to nie ma nic wspólnego z... — upewniła się Anna Maria.

- Nie, nie. Kiedy tu przyjechałam, nawet nie zdawałam sobie sprawy, że... Nie. Co się urodziło, dziewczynka czy chłopiec? — zapytała Rebeka, usiłując przywołać uśmiech na twarz.

- Chłopiec. Właśnie wróciłam do pracy po macierzyńskim i prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Mildred Nilsson.

Rebeka skinęła głową. Spojrzała w niebo. Było całkiem puste. Pęk kluczy w kieszeni ważył chyba tonę.

Gdzie ja się znajduję?, przemknęło jej przez myśl. Nie jestem chora. Nic mi nie dolega. Tylko lenistwo. Lenistwo i szaleństwo. Brakuje mi słów. Zjada mnie cisza.

- W dziwnym świecie żyjemy, prawda? — stwierdziła bardziej, niż zapytała, Anna Maria. — Najpierw Wiktor Strandgård, a teraz Mildred Nilsson.

Rebeka znów przytaknęła. Anna Maria się uśmiechnęła, zupełnie nieskrępowana jej milczeniem. Czekała cierpliwie, aż w końcu coś powie.

- Jak pani myśli — wyrzuciła z siebie Rebeka — czy chodzi o kogoś, kto zbierał wycinki na temat morderstwa Wiktora, a później postanowił zrobić ciąg dalszy?

- Niewykluczone.

Anna Maria spojrzała w górę. Słyszała wiewiórkę wspinającą się po sośnie, lecz nie zdążyła jej zobaczyć. Chyba że wbiegła drugą stroną? W każdym razie teraz buszowała w koronie drzewa.

Może to był jakiś szaleniec zainspirowany śmiercią Wiktora Strandgård. Albo ktoś, kto ją znał i wiedział, że będzie odprawiała nabożeństwo, wiedział, o której skończy i wróci do łódki. Ona w ogóle się nie broniła. I dlaczego ten ktoś ją powiesił? To przywodzi na myśl średniowieczne nabijanie głowy na pal. Ku przestrodze innych.

- Jak się pani miewa? — zapytała Anna Maria.

Rebeka odpowiedziała, że dobrze. Że świetnie. Że po tym wszystkim miała, rzecz jasna, trudne chwile, ale udzielono jej pomocy i wsparcia. Anna Maria sprawiała wrażenie zadowolonej. Spojrzała na Rebeke. Usiłowała sobie wyobrazić, jak to wyglądało, kiedy policja przybyła wtedy do chatki w Jiekajärvi. Ona nie mogła pojechać, bo właśnie tamtej nocy zaczęła rodzić. Później jednak często o tym śniła. W ciemnościach i zamieci prowadziła skuter śnieżny. Zakrwawiona Rebeka leżała na saniach. Śnieg rozpryskiwał się na jej twarzy. Cały czas się bała, że za chwilę na coś najedzie. Nagle po prostu utknęła. Stała unieruchomiona na mrozie, słuchając bezradnego wycia silnika. Budziła się wtedy gwałtownie. Patrzyła na Gustava śpiącego jak aniołek między nią a Robertem. Na plecach. W totalnym poczuciu bezpieczeństwa. Rączki uniesione w górę i — jak to u niemowlaka — zgięte w łokciach pod kątem prostym. Wszystko poszło dobrze, zwykła myśleć. Wszystko poszło dobrze.

Wcale nie tak cholernie dobrze, pomyślała teraz.

- Wraca pani wkrótce do Sztokholmu? — zapytała.

- Nie, wzięłam trochę wolnego.

- No, właśnie, w Kurravaarze stoi przecież pani dom po babci. Mieszka tam pani?

- Nie, ja... Nie. Tutaj, we wsi. W gospodzie można wynająć domek letniskowy.

- Czyli nie była pani w Kurravaarze?

- Nie.

Anna Maria przyjrzała się Rebecce badawczo.

- Jeśli pani chce, mogę tam z panią pojechać — zaproponowała.

Rebeka nie chciała. Po prostu na razie nie ma czasu, wyjaśniła. Pożegnały się. Zanim się jednak rozstały, Anna Maria powiedziała:

- Uratowała pani życie tym dzieciom.

Rebeka bez przekonania skinęła głową.

To dla mnie żadne pocieszenie, pomyślała.

- Co się później z nimi stało? — spytała jednak. — Zgłosiłam w opiece społecznej podejrzenie przemoc domowej. - Z

dochodzenia nic nie wyszło. Później cała rodzina stąd wyjechała.

Rebeka zobaczyła nagle przed sobą te dwie dziewczynki, Sarę i Lovę. Odchrząknęła i usiłowała myśleć o czymś innym.

- To są spore wydatki dla gminy — ciągnęła Anna Maria. — Samo dochodzenie to przecież niemałe pieniądze. Opieka nad dziećmi kosztuje cholernie dużo.

A jakie koszty pociąga za sobą przeprowadzenie sprawy sądowej! Z punktu widzenia dzieci lepiej byłoby, gdyby całym tym aparatem zawiadywało państwo. Bo teraz najkorzystniejszym rozwiązaniem dla gminy jest przeniesienie problemu do innej gminy. Najpierw, kuźwa, człowiek wynosi dzieciaki ze strefy wojny na pięćdziesięciu dwóch metrach kwadratowych, a później się dowiaduje, że gmina kupiła rodzinie mieszkanie własnościowe w sąsiedniej Örkelljundze. Ucichła. Zorientowała się, że zaczęła paplać tylko dlatego, że Rebeka wygląda, jakby za chwilę miała przekroczyć jakąś granicę.

Odprowadziła ją wzrokiem, gdy ta ruszyła w stronę gospody. Nagle zateśkniła za dziećmi. Robert był w domu z Gustavem. Chciała wtulić nos w główkę synka, poczuć jego silne, dziecięce ramiona na swojej szyi.

Zrobiła głęboki wdech i wyprostowała plecy. Słońce w spłowiałej jesiennej trawie. Wiewiórka baraszkująca w koronie drzewa po przeciwnej stronie drogi. Na twarz komisarz powrócił uśmiech. Nigdy nie chowała go głęboko. Za chwilę porozmawia z Erikiem Nilssonem, mężem pastor. Potem pojedzie do domu, do rodziny.

W drodze do gospody Rebeka słyszała za sobą szumiący las. Chodź do mnie, mówił. Wejź do środka. Jestem bez końca.

Wyobraziła sobie taką wędrówkę:

Przeraźliwie chude sosny z kutej miedzi. Wiatr wysoko w koronach szumi niczym wzburzona woda. Zwisająca ze świerków brodaczka nadaje im wygląd czarnych pogorzalców. Pod stopami chrzęszczą suche chrobotki i wyjedzone przez dzięcioła szyszki. Kiedy człowiek stąpa po miękkim dywanie z mchu, wzdłuż ścieżki wydeptanej przez zwierzęta, od czasu do

czasu słycać tylko trzask łamanych gałęzek.

Na początku wędrówki myśli są pogmatwane niczym splątana włóczka. Gałęzie, które drapią jej twarz lub tylko muskają włosy, wyciągają z kłębka nitki, jedną po drugiej. Te zaś zatrzymują się później na drzewach albo odfruwają z wiatrem. Aż w końcu głowa jest zupełnie pusta. Rebeka idzie dalej przez las. Przez parujące, odurzające zapachem mokradła, gdzie stopy zapadają się między palsami, a ciało klei się od potu. W górę, grzbietem wzniesienia. Tam gdzie świeży powiew wiatru i karłowate brzozy, pnące się ogniście po ziemi. Tutaj można się położyć. I czekać na pierwszy śnieg.

Nagle wskrzesiła w pamięci tę dziecięcą tęsknotę, by jechać w nieskończoność, jak Indianin. Z myszołowem żeglującym nad głową. W marzeniach Rebeka zawsze podróżowała z plecakiem i spała pod gołym niebem. Zawsze towarzyszył jej pies babci, Jussi. Czasami płynęła kajakiem.

Ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie, jak stała w lesie, wskazywała różne kierunki i pytała tatę: „A jeśli pójdę tam, to dokąd dojdę?”. Tato wymieniał różne nazwy, w zależności od tego, gdzie wskazywał palec i gdzie się akurat znajdowali. To była czysta poezja. Tjålme. Latteluokta. Przez rzekę Rautas. Przez Vistavagge i Drakryggen.

Rebeka musiała się zatrzymać. Niemal naprawdę go teraz zobaczyła. Nie pamiętała rzeczywistej twarzy ojca. Widziała zbyt wiele fotografii, które wyparły jej własne wspomnienia. Rozpoznaje jednak koszulę z bawełny; tak spraną, że w dotyku przypomina gładki jedwab. Czarne i czerwone kreski na białym tle tworzą kratkę. U pasa z ciemnej, błyszczącej skóry wisi nóż. Pięknie zdobiona rękojeść z kości. Rebeka nie może mieć więcej niż siedem lat, to wie na pewno. Na głowie anilanowa niebieska czapka w białe śnieżynki, na nogach solidne trzewiki. Przy pasie niewielka finka. Głównie na pokaz. Rzecz jasna, próbowała jej używać. Chciałaby coś wystrugać. Na przykład figurki, jak Emil ze Smalandii. Ale zbyt tępe ostrze na to nie pozwala. Kiedy potrzebny jej nóż, pożyczka go od taty. Wówczas bez problemu może rozłupywać szczapy, ostrzyć patyki do pieczenia kielbasek i rzeźbić w drewnie, choć z tego ostatniego

raczej nic nie wychodzi.

Rebeka spuściła wzrok i spojrzała na swoje wysokie kozaczki marki Lagersons.

Sorry, odpowiedziała lasowi. Teraz jestem nieodpowiednio ubrana. Micke Kiviniemi przejechał ścierką po blacie kontuaru. Był wtorek, właśnie minęła czwarta po południu. Rebeka Martinsson, ich gość, siedziała samotnie przy oknie i patrzyła na rzekę. Była tu chwilowo jedyną kobietą. Właśnie zjadła skrawki łosia z ziemniakami purée i grzybami z patelni, nieświadoma spojrzeń łapserdaków. Grupa łapserdaków zawsze stawiała się jako pierwsza, w soboty już o trzeciej. Jedli wczesny obiad, wypijali kilka piw i zabijali czas w oczekiwaniu na coś ciekawego w telewizji. Malte Alajärvi jak zwykle z lubością przekomarzał się z Mimmi. Pod wieczór pojawiała się kolejna grupa, by przy piwie pooglądać sport. Zjawiali się tu głównie samotni mężczyźni, choć zaglądało też kilka par i niektóre członkinie pastorskiej ligi kobiet. U Mickego dość często stołował się personel z wioski turystycznej w Jukkasjärvi. Przyplýwali łodzią z drugiej strony rzeki.

- Co tu, kurwa, mamy dziś na obiad? — zapytał zrzędliwie Malte, wskazując na menu. — Gno...

- Gnocchi — wyjaśniła Mimmi. — To taki rodzaj małych klusek. Gnocchi z pomidorami i mozzarella. Możesz do tego zamówić albo kawałek mięsa z grilla, albo kurczaka.

Stanąła przy mężczyźnie i demonstracyjnie wyjęła notes z fartucha.

Jakby go potrzebowała, pomyślał Micke. Przecież ona potrafi przyjąć zamówienie od dwunastoosobowej grupy i niczego nie zapomnieć. Niepojęte!

Spojrzał na Mimmi. Gdyby miał wybierać między nią a Rebeką Martinsson, Mimmi wygrałaby w jego prywatnym rankingu o kilka długości. Jej matkę, Lisę, też kiedyś uważano za piękność, każdy starszy mężczyzna we wsi mógł to poświadczyć. Wciąż była piękna, choć nigdy się nie malowała, chodziła w beznadziejnych ubraniach i sama obcinała sobie włosy. W środku nocy, nożycami do strzyżenia owiec, przynajmniej tak twierdziła córka. Podczas gdy Lisa usiłowała

kryć się z urodą, Mimmi wręcz obnosiła się ze swoimi wdziękami. Fartuszek ciasno przylegający do bioder. Kolorowe włosy wysypujące się spod chusteczki opasującej głowę. Obcisłe czarne bluzki z głębokim dekoltem. Kiedy pochylała się, by wytrzeć stół, każdy mógł zajrzeć między przyjemnie falujące piersi, trzymane w ryzach przez biustonosz z koronkową obwódką. Zawsze czerwony, czarny albo liliowy. Z tyłu można było w przelocie zobaczyć jaszczurkę wytatuowaną po prawej stronie, gdy z dzinsów o niskiej talii wyłaniała się część pośladka.

Pamiętał ich pierwsze spotkanie. Przyjechała akurat z wizytą do matki i zaoferowała się, że może trochę popracować przez jeden wieczór. Ludzie chcieli jeść, a jego brat jak zwykle się nie pojawił, chociaż to właśnie on zapoczątkował cały ten pomysł z knajpą. Micke stał sam za kontuarem. Powiedziała, że może upichcić trochę barowych dań i je podać. Fama rozeszła się jeszcze tego samego dnia. Chłopaki dzwoniły z kibla do kumpli. Wszyscy przyszli, żeby ją zobaczyć.

No i została. Na jakiś czas, odpowiadała wymijająco, gdy chciał się dowiedzieć, na jak długo. Kiedy próbował wyjaśnić, że dobrze byłoby to wiedzieć, by móc zaplanować działalność, odzywała się szorstkim tonem:

- No to nie licz na mnie i już!

Później, kiedy znaleźli się w jednym łóżku, odważył się ponowić pytanie. Jak długo zamierza tu zostać.

- Aż pojawi się coś lepszego — odparła ze śmiechem.

I nie są żadną parą, uświadomiła mu od razu. On sam miał wcześniej kilka dziewczyn. Z jedną nawet zamieszkał. Wiedział więc, jak rozumieć te wszystkie wypowiedzi: jesteś kapitalnym człowiekiem, ale... nie czuję się gotowa... gdybym miała się teraz w kimś zakochać, to właśnie w tobie... nie chcę się wiązać... To wszystko znaczyło jedynie: nie kocham cię. Ale na bezrybiu i rak ryba.

Zmieniła prawie całą gospodę. Zaczęła od tego, że pomogła mu pozbyć się brata, który ani nie pracował, ani nie spłacał długów. Przychodził tylko do lokalu z kompanami i upijał się na koszt firmy. Przebywał w towarzystwie nieudaczników,

którzy traktowali go jak króla, dopóki stawiał im piwo.

- Wybór jest prosty — wyjaśniła bratu. — Albo zamykasz interes i siedzisz tu z długami, albo przekazujesz go Mickemu. W końcu brat podpisał. Miał zaczerwienione oczy. T-shirt, niezmienny od paru dni, wydierał nieświeży zapach. I ta charakterystyczna opryskliwość w głosie. War- kliwy ton alkoholika.

- Ale szyld jest mój — zakomunikował, odsuwając od siebie umowę. — Tutaj roi mi się od pomysłów — dodał, stukając się palcem w głowę.

- Możesz go wziąć, kiedy zechcesz — odparł Micke. Pomyślał: that'll be the day.

Przypomniał sobie, jak brat znalazł w Internecie ten używany, amerykański szyld. LAST STOP DINER, białe neonowe litery na czerwonym tle. Wtedy byli z niego śmiesznie zadowoleni. Później jednak Micke zupełnie o nim zapomniał. Miał już inne plany. „U Mimmi” wydawało mu się o wiele lepszą nazwą gospody. Tylko że dziewczyna nie chciała nawet o tym słyszeć. Stało więc na „Barze i kuchni Mickego”.

- Dlaczego musisz robić takie dziwne rzeczy?

Malte studiował jadłospis z nieszczęśliwą miną.

- To nie jest nic dziwnego — odpowiedziała. — Dokładnie jak nasze kluchy, tylko mniejsze.

- Kluchy i pomidory, czy może być coś dziwniejszego? O, nie! Daj mi coś z zamrażarki. Zjem lazanie.

Mimmi ruszyła do kuchni.

- Tylko nie przynoś mi żarcia dla królików! — zawołał za nią Malte. — Słyszałaś? Żadnej sałaty!

Micke zwrócił się do Rebeki.

- Czy dzisiaj też będzie pani tu nocować?

- Tak.

A gdzie miałabym się podziać?, pomyślała. Dokąd pojechać? Co robić? Tutaj przynajmniej nikt mnie nie zna.

- Ta pastor — zagadnęła — ta, która umarła.

- Mildred Nilsson.

- Jaka ona była?

- Superświetna. Ona i Mimmi to najlepsze, co się przytrafiło tej

wsi. I temu miejscu. Kiedy zaczynałem, przychodziła tu tylko masa kawalerów w wieku od osiemnastu do osiemdziesięciu lat. Ale odkąd wprowadziła się Mildred, zaczęły się też pojawiać kobiety. Rozruszała całą wioskę.

- Pastor namawiała do siedzenia w knajpie?

Micke się zaśmiał.

- Jeżeli już, to do jedzenia! Taka była. Uważała, że kobiety powinny ruszyć się z domów. Odpocząć od kuchni. A jak im się nie chciało gotować, zaczęły przyciągać tu swoich chłopów. Kobiety wniosły do lokalu inny nastrój. Wcześniej siedzieli tu tylko faceci i narzekali.

- Wcale nie narzekaliśmy — zaprotestował Malte, który ukradkiem przysłuchiwał się rozmowie.

- Ty zrzędziłeś i dalej zrzędzisz, Malte! Siedzisz, patrzysz na rzekę i narzekasz na Yngvego Bergqvista i Jukkasjärvi...

- No, ale Yngve...

- Narzekasz na jedzenie i na rząd, i na telewizję, bo nigdy nie pokazują dobrych programów...

- Tylko cholernie denną rozrywkę!

- ...i na wszystko inne!

- Powiedziałem o Yngvem tylko to, że jest zwykłym chujem i oszustem. Sprzeda każde gówno, do którego doda „arctic”. Arctic sleddogs i arctic safari, a Japonce zrobieni w balona płacą dodatkowo dwie stówy za to, żeby pojechać do jakiegoś arctic shithouse.

Micke zwrócił się ponownie do Rebeki.

- Rozumie pani.

Nagle spowaźniał.

- Dlaczego pani pyta? Chyba nie jest pani dziennikar-

- Nie, pytam ze zwykłej ciekawości. Mieszkała tu przecież i... Nie. Adwokat, z którym tu byłam wczoraj... Pracuję u niego.

- Nosi pani jego aktówkę i zamawia bilety na samolot?

- Coś w tym rodzaju.

Rebeka spojrzała na zegarek. Z jednej strony bała się, a z drugiej chciała, żeby Anna Maria Mella wpadła tu poirytowana i zażądała zwrotu klucza od sejfu. Ale widocznie mąż pastor nic o nim nie wspomniał. Może w ogóle nie miał pojęcia, co to za

klucze. Jedno wielkie cholerne bagno. Wyrzała przez okno. Zaczynało zmierzchać. Usłyszała samochód wjeżdżający na zwirowy podjazd przed gospodą.

W jej torebce zabrzączał telefon. Wyjęła go i spojrzała na wyświetlacz. Centrala firmy adwokackiej.

Måns, przemknęło jej przez głowę. Wybiegła na schody.

Dzwoniła Maria Taube.

- Jak ci idzie? — zapytała.

- Nie wiem.

- Rozmawiałam z Torstenem. Powiedział, że macie ich w sieci.

- Mhm...

- I że zostałam, żeby zająć się paroma rzeczami.

Rebeka milczała.

- Byłaś w... no, jakżeż ona się nazywa, ta wieś, w której mieszkała twoja babcia?

- Kurravaara. Nie.

- Jest źle?

- Nie, nie.

- To dlaczego tam nie jedziesz?

- Po prostu tak się złożyło — odpowiedziała Rebeka. — Byłam zbyt zajęta. Musiałam pomóc naszym przyszłym klientom w paru głównianych sprawach.

- Nie wyżywaj się na mnie, kochanie — odparła miękko Maria. — Opowiedz. Co to za główniane sprawy?

Rebeka zdała relację i poczuła się tak zmęczona, że musiała usiąść na schodach. Maria westchnęła.

- Niech go szlag trafi! Zaraz z nim...

- Ani mi się waź! — przerwała jej Rebeka. — Najgorszy jest ten sejf z osobistymi rzeczami zmarłej pastor. To mogą być listy i... cokolwiek. Jeżeli ktoś powinien to dostać, to przede wszystkim jej mąż. I policja. To mogą być dowody rzeczowe, przecież nic nie wiemy.

- Jeśli ten materiał okaże się ważny, jej szef na pewno przekaże go policji — próbowała Maria.

- Może i tak — zgodziła się Rebeka bez przekonania.

Na chwilę zapadła cisza. Rebeka rozgrzebywała żwir czubkiem buta.

- Myślałam, że wybrałaś się na północ, żeby wejść w paszczę lwu — zaczęła Maria. — Przecież dlatego zdecydowałaś się pojechać z Torstenem.

- Tak, tak.

- Rebeka, do jasnej cholery! Przestań mi tak taktakować, okej? Jestem twoją przyjaciółką i muszę ci to powiedzieć. Cały czas się wycofujesz. Jeśli nie masz odwagi pojechać do miasta, jeśli nie masz odwagi pojechać do tej Kurrkavaary...

- Kurravaary.

- ...tylko chowasz się gdzieś w wiejskiej gospodzie nad rzeką, to gdzie się w końcu podziejesz?

- Nie wiem.

Maria Taube umilkła.

- To nie jest takie proste — odezwała się po chwili Rebeka.

- A sądzisz, że ja tak myślę? Jak chcesz, to mogę przyjechać i dotrzymać ci towarzystwa.

- Nie — odburknęła Rebeka.

- W porządku. Wiesz, co powiedziałam. Zaproponowałam ci pomoc.

- Doceniam to, naprawdę, ale...

- Nie musisz doceniać. Za to ja muszę iść popracować, jeśli chcę wrócić do domu przed północą. Zadzwoń jeszcze. Måns pytał, jak się miewasz. Chyba się o ciebie niepokoi. Rebeka, pamiętasz lekcje wuefu na basenie? Jak się wskoczyło do wody z pięciu metrów, to inne wysokości przestawały być straszne, prawda? Idź do tego Kryształowego Kościoła, weź udział w nabożeństwie z tym całym alleluja. Będziesz miała najgorsze z głowy. Czy nie mówiłaś mi przypadkiem jeszcze zimą, że oni wszyscy wyjechali z Kiruny? Sanna z dziećmi, rodzina Thomasa Söderberga...

- Nie powiesz mu nic?

- Komu?

- Månsowi. Że ja... nie wiem.

- Nie, nie powiem. Będę dzwonić, pa! ERIK NILSSON SIEDZI nieruchomo przy stole w kuchni. Jego zmarła żona zajęła miejsce po drugiej stronie. Przez długą chwilę mężczyzna nie ma odwagi nic powiedzieć. Niemal boi się oddychać. Wystarczy

bowiem słowo, najmniejszy ruch, by rzeczywistość z chrzęstem rozprysnęła się na tysiąc kawałków.

Wystarczy, że on zmruży oczy, a ona znów zniknie.

Mildred się śmieje.

Zabawny jesteś, mówi. Potrafisz uwierzyć w nieskończoność wszechświata, w to, że czas jest względny, zakrzywia się i płynie do tyłu.

Zegar na ścianie przestał tykać. Okna są jak czarne zwierciadła. Ileż to razy wzywał żonę przez te ostatnie trzy miesiące. Ile razy pragnął, by w ciemności bezszelestnie podeszła do jego łóżka. Ile razy chciał usłyszeć jej głos w wietrze szepczącym w koronach drzew.

Nie możesz tu zostać, Eriku, mówi.

Erik potwierdza skinieniem głowy. Tylko że tak dużo tego wszystkiego. Co ma zrobić z tym ogromem sprzętów, książek i mebli? Nie ma pojęcia, od czego zacząć. To przeszkoda nie do pokonania. Na samą myśl czuje tak potworne zmęczenie, że musi się położyć, choć jest przecież środek dnia.

Daj sobie z tym wszystkim spokój, mówi Mildred. Olej te rzeczy. Przecież mi na nich nie zależy.

On wie, że to prawda. Meble pochodzą z jej rodzinnego domu. Była jedynaczką pastora. Oboje rodziców straciła w czasie studiów.

Nie okazuje mu żalu. Nigdy nie okazywała. Dlatego potajemnie wciąż się na nią gniewa. Na tę złą Mildred. Nie złą w znaczeniu dokuczliwą czy złośliwą, tylko tę Mildred, która sprawiała mu ból i zadawała rany. Jeśli chcesz ze mną zostać, to świetnie, mawiała za życia. Jesteś jednak dorosłym człowiekiem, i to ty decydujesz o swoim losie.

Czy miała rację?, pyta sam siebie, jak wiele razy wcześniej. Czy można być tak bardzo bezkompromisowym? Żyłem jej życiem w stu procentach. Jasne, że sam tego chciałem. Ale czy miłość nie wymaga od nas, byśmy szli sobie nawzajem na rękę?

Mildred wbija wzrok w stół. Erik nie może znów zacząć myśleć o dzieciach, bo wtedy ona zniknie jak cień. Musi wziąć się w garść. Zawsze musiał brać się w garść. W kuchni jest prawie ciemno.

To ona nie chciała. W pierwszych latach sypiali ze sobą. Wieczorami albo w środku nocy, jeśli ją zbudził. Za każdym razem przy zgaszonym świetle. Po dziś dzień czuł jej drętwą, źle skrywaną niechęć, gdy chciał zrobić coś więcej, niż tylko po prostu go włożyć. W końcu zaniechali seksu. On się do niej nie zbliżał, ona się tym nie przejmowała. Czasami jednak rana się otwierała i wtedy dochodziło do kłótni. Łkając, wyrzucał jej, że go nie kocha, że praca jest dla niej wszystkim, że on chce mieć dzieci. Wówczas rozkładała ręce, pytając: Czego ode mnie chcesz? Jeżeli naprawdę jesteś nieszczęśliwy, to wstań i idź. Pytał: Dokąd? Do kogo? Burze ucichały. Codziennosc toczyła się utartym trybem i to mu zawsze — albo prawie zawsze — wystarczało.

Jej ostry łokieć na blacie stołu. Paznokcie stukający w lakierowaną powierzchnię. Uparcie zamyślona, tak jak wtedy, gdy przychodzi jej do głowy jakaś nowa myśl.

Przyzwyczał się do tego, że gotuje jej obiady. Wyciąga z lodówki talerz przykryty przezroczystą folią i podgrzewa w mikrofalówce, kiedy ona wraca późno do domu. Pilnuje, żeby zjadła. Albo przygotowuje kąpiel. Przypomina, żeby nie nawijała włosów na palec, bo w końcu wyłysieje. Teraz jednak nie wie, co ma zrobić. Co powiedzieć. Chciałby ją zapytać, jak tam jest, w zaświatach.

Nie wiem, odpowiada Mildred. Ale coś mnie ciągnie. Mocno.

Aha, że też nie wpadł na to od razu! Przyszła do niego tylko dlatego, że sama czegoś potrzebuje. Natychmiast ogarnia go lęk, że za chwilę mu zniknie. Puff, i już po niej!

- Pomóż mi — prosi ją. — Pomóż mi stąd odejść.

Ona widzi po nim, że sam sobie z tym nie poradzi. Dostrzega jego gniew. Tajemną nienawiść człowieka niesamodzielnego, zależnego od innych. Ale to nie ma teraz znaczenia. Mildred wstaje. Kładzie dłoń na karku męża. Przyciąga jego twarz do swojej piersi.

No to chodźmy, mówi po chwili.

Dochodzi kwadrans po siódmej, kiedy Erik po raz ostatni w życiu zamyka za sobą drzwi plebanii. Wszystko, co ma, zmieścił w zwykłej reklamówce. Jedna z sąsiadek odsuwa firankę,

przykleja twarz do szyby i z ciekawością patrzy, jak plastikowa torba łąduje na tylnym siedzeniu skody. Mildred siada w fotelu pasażera. Kiedy samochód wytacza się zza bramy, Erik czuje się niemal szczęśliwy. Jak tego lata przed ślubem, kiedy objechali samochodem Irlandię. Mildred uparcie się uśmiecha.

Zatrzymują się u Mickego. Erik pomyślał, że po drodze może oddać klucz tej Martinsson. Ku jego zdumieniu Rebeka stoi przed gospodą. Trzyma w dłoni telefon, lecz nic do niego nie mówi. Ramię zwisa bezwładnie wzdłuż ciała. Kiedy go dostrzeżę, wygląda, jakby chciała uciec. Zbliży się do niej ostrożnie, niemal unieżenie. Jak do biednej, wystraszonej psiny.

- Oto klucz od plebanii — mówi. — Może go pani przekazać pastorowi razem z innymi, które należały do Mildred. I proszę mu powiedzieć, że już tam nie mieszkam.

Rebeka przyjmuje klucz w milczeniu. Nie pyta ani o meble, ani o inne rzeczy. Tylko stoi. Erik chciałby coś powiedzieć. Przeprzić. Przytulić ją, pogłaskać po głowie.

Ale Mildred wysiadła właśnie z samochodu i woła:

- No, chodź już! Nie możesz nic dla niej zrobić. Ktoś inny jej pomoże.

Erik odwraca się więc na pięcie i wraca do skody.

Gdy tylko siada za kierownicą, czuje, jak opuszcza go smutek, którym zaraziła go Rebeka. Droga do miasta jest mroczna i pełna niespodzianek. Mildred siedzi obok. Erik parkuje przy hotelu Ferrum.

- Przebaczyłem ci — odzywa się nagle.

Patrząc na kolana, Mildred kręci lekko głową.

Nie prosiłam o przebaczenie.

*

Dochodzi druga w nocy. Rebeka Martinsson śpi. Ciekawość wspina się przez okno jak pnącza. Zapuszcza korzenie w jej sercu. Wypuszcza czułki i pędy, które niczym przerzuty opanowują jej ciało. Wiję się wokół żeber. Przędzie kokon dokoła klatki piersiowej.

Kiedy Rebeka budzi się w środku nocy, ciekawość zdążyła się już przerodzić w wewnętrzny przymus. Odgłosy z gospody

ucichły w jesiennym mroku. Jakaś gałązka uderza wściekle w blaszany dach. Trupioblade światło księżycy wpada do środka. Połyskuje w pęk kluczy leżącym na sosnowym stole.

Rebeka wstaje i ubiera się w półmroku. Nie musi zapalać lampy. Wystarczy jej ten srebrzysty blask. Spogląda na zegarek. Myśli o Annie Marii Melli. Lubi tę policjantkę. To kobieta, która postanowiła czynić rzeczy prawe.

Brzozy i jarzębiny tańczą na wietrze jak szalone. Sosnowe pnie skrzypią i trzeszczą.

Rebeka wsiada do samochodu i odjeżdża.

Droga na cmentarz jest niedługa, a on sam — niewielki. Odnalezienie grobu pastor nie zajmuje jej dużo czasu. Ogrom kwiatów. Róże. Wrzosa. Mildred Nilsson. Wypolerowane miejsce dla jej męża.

Urodziła się w tym samym roku co mama, przemyka jej przez głowę. W listopadzie mama skończyłaby pięćdziesiąt pięć lat.

I tylko głucha cisza. Ale Rebeka jej nie słyszy. Wiatr wieje tak mocno, że dudni w uszach.

Przez chwilę stoi zapatrzona w nagrobek. Później wraca do zaparkowanego za murem samochodu. W środku otula ją cisza. A co myślałaś?, pyta samą siebie. Że przeźroczyście pastor będzie siedziała na grobie i wskaże ci ręką kierunek?

Tak byłoby, rzecz jasna, łatwiej. Ale to jest jej własna decyzja.

Pastor chce dostać klucz od sejfu Mildred Nilsson. A co się w nim znajduje? Dlaczego nikt nie wspomniał o tym schowku policji? Chcą, żeby ktoś im ten klucz dyskretnie dostarczył. Tym kimś jest Rebeka.

To nie gra żadnej roli, myśli. Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

*

Komisarz Anna Maria Mella obudziła się w środku nocy. To ta kawa. Kiedy piła kawę o zbyt późnej porze, budziła się już po kilku godzinach i przez kilkadziesiąt minut przewracała się z boku na bok, zanim ponownie zapadała w sen. Czasami wstawiała z łóżka. Tak naprawdę to był czas wytchnienia. Cała rodzina spała, a ona mogła posłuchać radia, usiąść w kuchni z

filiżanką rumiankowej herbaty, ułożyć pranie albo zająć się czymkolwiek, pogrążona we własnych myślach.

Zeszła do piwnicy i włączyła żelazko w pralni. Odtworzyła w głowie rozmowę z mężem zmarłej pastor.

Erik Nilsson: Usiądziemy w kuchni, tak żebyśmy mieli pani samochód na widoku.

Anna Maria: Dlaczego?

Erik Nilsson: Nasi znajomi parkują zazwyczaj przy gospodzie, a w każdym razie w pewnej odległości od nas. W przeciwnym razie ryzykują, że ktoś im przetnie opony, porysuje lakier albo coś w tym rodzaju.

Anna Maria: Oj!

Erik Nilsson: Ee, teraz już nie jest tak źle. Ale rok temu... Wtedy co chwila spotykało nas coś takiego.

Anna Maria: Zgłaszali to państwo policji?

Erik Nilsson: Policja jest bezradna. Nawet jeśli wiadomo, kim jest sprawca, to przecież nigdy nie ma dowodów. Nikt nigdy nic nie widział. Ludzie też się po prostu boją. Następnym razem może spłonąć ich szopa.

Anna Maria: Czy ktoś państwu podpalił szopę?

Erik Nilsson: Jeden taki stąd... W każdym razie podejrzewamy, że to on. Opuściła go żona i jakiś czas mieszkała tutaj na plebanii.

Ładnie się zachował, pomyślała Anna Maria. Miał okazję, żeby się odegrać, ale spasował. Mógł przemówić głosem rozgoryczonego, skrytykować bierność policji i w końcu uczynić ją odpowiedzialną za śmierć żony.

Prasowała koszulę Roberta. Boże drogi, jakie ma postrzępione mankiety! Spod żelazka unosiła się para. Pachniało przyjemnie, świeżo wyprasowaną bawełną.

No i umiał rozmawiać z kobietami, to się czuło. Czasami zapominała się i odpowiadała na jego pytania; nie po to, by zyskać jego zaufanie, tylko dlatego, że to jemu udało się zaskarbić jej ufność. Na przykład gdy pytał o dzieci. Znał ich typowe zachowania w zależności od wieku. Był ciekaw, czy Gustav nauczył się już słowa „nie”.

Anna Maria: To zależy. Jak ja mówię: „nie”, to nie rozumie. Ale kiedy on sam...

Erik zanosi się od śmiechu, lecz po chwili poważnieje.

Anna Maria: To duży dom.

Erik Nilsson: (wzdycha) Tak naprawdę to nigdy nie był nasz dom. W połowie plebania, w połowie hotel.

Anna Maria: A teraz jest pusty.

Erik Nilsson: Tak. Kobiety z „Magdaleny” uważały, że ludzie by gadali. Rozumie pani, wdowiec po pastora pociesza się z różnymi babeczkami po przejściach. Myślę, że miały rację.

Anna Maria: Muszę pana zapytać o coś jeszcze... Jak się państwu układało w małżeństwie?

Erik Nilsson: Musi pani?

Anna Maria: ...

Erik Nilsson: Dobrze. Niezmiernie ją szanowałem.

Anna Maria: ...

Erik Nilsson: Nie była tuzinkową kobietą. Ani tuzinkową duchowną. Wszystko, czego się podejmowała, robiła z taką niesamowitą... pasją. Naprawdę czuła powołanie, właśnie tutaj, w Kirunie i w tej wsi.

Anna Maria: Skąd pochodziła?

Erik Nilsson: Urodziła się w rodzinie proboszcza, w Uppsali. Spotkaliśmy się, gdy studiowałem tam fizykę. Zwykła mówić, że walczy z wsamrazością. „Niech tylko ktoś okaże zbyt silne uczucia, a Kościół natychmiast zwołuje grupę kryzysową”. Mówiła za dużo i za szybko. A jak sobie coś umyśliła, pochłaniała ją praca. To mogło doprowadzić człowieka do szaleństwa. Tysiące razy życzyłem sobie, żeby była bardziej w sam raz. Ale... (rozkłada ręce) kiedy odchodzi taka osoba... to jest nie tylko moja strata.

Anna Maria rozejrzała się po domu. W sypialni po stronie Mildred było zupełnie pusto. Żadnych książek. Żadnego budzika. Żadnej Biblii.

Nagle stanął za nią Erik.

- Miała własny pokój — wyjaśnił.

Niewielki pokój ułożony przy ścianie szczytowej. W oknie zamiast roślin znajdowały się lampka i kilka ceramicznych

ptaków. Wąskie łóżko było wciąż niezasałone, musiała je tak zostawić. Na nim, rzucony niedbale, czerwony szlafrok z polaru. Obok na podłodze piętrzył się stos książek. Anna Maria przyjrzała się tytułom. Na samym wierzchu — Biblia. Później *Język wiary dorosłych*, *Słownik biblijny*, kilka książek dla dzieci i młodzieży. Wśród tych ostatnich Anna Maria rozpoznała *Kubusia Puchatka* i *Anię z Zielonego Wzgórza*. Na samym spodzie leżały w nieładzie artykuły powyrywane z gazet.

- Nic tu nie ma do oglądania — powiedział zmęczonym głosem Erik Nilsson. — Tutaj nic dla was nie ma.

To dziwne, pomyślała Anna Maria, składając dziecięce ubrania. On jakby zatrzymał zmarłą przy sobie. Na stole stos nieotwartej poczty. Przy jej łóżku szklanka z wodą, obok okulary do czytania. Wszędzie panował ład i porządek; jedynie żony nie udało mu się uprzętnąć. Mieszkali w ładnym domu. Nieomal wyjętym z czasopism wnętrzarskich. Mimo to Erik Nilsson uważał, że to nie był prawdziwy dom, tylko „w połowie plebania, w połowie hotel”. Powiedział też, że ją „szanował”. Osobliwe.

*

Rebeka jechała powoli do miasta. Pokryty butwiejącymi liśćmi asfalt pochłaniał szarobiałe światło księżyca. Drzewa, wyginane silnym wiatrem, pochylały się, jakby spragnione tego mizernego blasku, nic im jednak nie przypadło w udziale. Pozostały nagie i czarne. Wyżęte i wymęczone przed zimowym snem.

Minęła dom parafialny. Podłużny budynek z białej cegły i ciemnego drewna. Skręciła w Gruvvägen i zaparkowała za starą pralnią chemiczną. Ciągle mogła się rozmyślić. Chociaż nie, nie mogła.

Co może się stać najgorszego?, zadała sobie w myślach pytanie. Złapią mnie i będę musiała zapłacić grzywnę. Wylecę z pracy, której i tak już nie mam.

Skoro posunęła się tak daleko, najgorszą rzeczą byłoby teraz zawrócić i położyć się do łóżka. A na drugi dzień polecieć do

Sztokholmu z nadzieją, że wkrótce pozbiera się na tyle, że znów będzie w stanie pracować.

Ni stąd, ni zowąd pomyślała o mamie. Wspomnienie wypłynęło na powierzchnię z niespodziewaną wyrazistością i siłą. Mama miała ładną fryzurę i własnoręcznie uszyty, groszkowy płaszcz z szerokim paskiem i kołnierzem obszytym futerkiem. Ten, na którego widok sąsiadki wywracały oczami, gdy szła ulicą.

Bo cóż ona sobie wyobrażała? I te kozaczki na wysokim obcasie, których nie kupiła w Kirunie, tylko w Luleå.

To jest jak porażenie serca miłością. Rebeka ma siedem lat i wyciąga do mamy rękę. Jak ona jej się podoba w tym płaszczu! Na twarzy też taka piękna! Kiedyś, gdy była jeszcze młodsza, powiedziała jej: „Mamusiu, jesteś jak Barbie”. A ona objęła ją wtedy ze śmiechem. Rebeka skorzystała z okazji, by wciągnąć w nozdrza wszystkie wspaniałe wonie. Włosy mamy pachniały na swój sposób, a puder — na swój. I te perfumy w zagłębieniu szyi! Rebeka nazywała mamę Barbie również przy innych okazjach, tylko po to, by sprawić jej przyjemność. Ale ona już nigdy nie doceniła komplementu w ten sam sposób. Jakby ów działał zaledwie raz. „Przestań!”, powiedziała w końcu.

Teraz Rebeka zmieniała zdanie. Gdy przyjrzała jej się bliżej, dostrzegła inne szczegóły. To, czego sąsiadki wtedy nie widziały. Że buty są kiepskiej jakości, a paznokcie popękane i ogryzione. Że dłoń prowadząca papierosa do ust drży lekko, tak jak drżą ręce znerwicowanych kobiet.

Kiedy Rebeka powracała w myślach do mamy, zawsze pamiętała ją jako zziębniętą. W dwóch wełnianych swetrach i grubych skarpetach, siedzącą przy kuchennym stole z laminatu. Albo tak jak teraz: z lekko uniesionymi ramionami; pod ładnym płaszczem nie mieści się bowiem żaden ciepły sweter. Ręka bez papierosa schowana w kieszeni. Wzrok matki pada na samochód, zatrzymuje się na Rebecce. Wąskie, przenikliwe oczy. Opuszczone kąciki ust. Która z nas jest teraz szalona?

Ja nie oszalałam, pomyślała Rebeka. Nie jestem taka jak ty.

Wysiadła z saaba i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu parafialnego. Prawie biegła, uciekając od wspomnienia kobiety

w groszkowym płaszczu.

Szczęśliwym trafem lampa nad tylnym wejściem była rozbita. Rebeka zaczęła wypróbować klucze. Dom mógł być wyposażony w alarm antywłamaniowy. Albo w wersji dla ubogich, z syreną w środku budynku dla odstraszenia potencjalnych złodziei. Albo prawdziwy, przekazujący sygnał do centrali alarmowej.

Spokojnie, mówiła sobie. Jeżeli nawet, to nie zjawi się tu krajowa jednostka do zadań specjalnych, tylko zmęczony strażnik, który zatrzyma samochód przed głównym wejściem. A wtedy starczy mi czasu na odwrót.

Nagle zamek zaskoczył. Rebeka przekreśliła klucz i wkroczyła w ciemność. W środku panowała cisza. Nie włączył się żaden alarm. Nie doszło jej żadne tykanie, które przypomina wchodzącemu, że ma tylko sześćdziesiąt sekund na wstukanie prawidłowego kodu. Ponieważ dom parafialny był wkomponowany w zbrocze wzniesienia, tylne wejście znajdowało się na górnej kondygnacji, a główne – na parterze. Rebeka wiedziała, że kancelaria parafialna mieści się na piętrze. Nawet nie próbowała się skradać.

Nikogo tutaj nie ma, przekonywała samą siebie.

Słyszała echo własnych pospiesznych kroków po kamiennej posadzce. Ciasne, bezokienne pomieszczenie ze schowkami znajdowało się przy kancelarii. Musiała zapalić światło.

Tętno podniosło się o parę kresiek, gdy Rebeka nieporadnie usiłowała dopasować klucz do kolejnych szarych, nieoznakowanych szafek. Gdyby teraz ktoś tu wszedł, nie miałyby się gdzie podziać. Nasłuchiwała dźwięków ze schodów i z ulicy. Klucze dzwoniły jak kościelne dzwony.

W zamku trzeciego sejfu klucz przekreślił się z łatwością. Nie miała wątpliwości, że właśnie ten należał do Mildred Nilsson.

Otworzyła go i zajrzała do środka. Szafka była wypełniona prawie po brzegi, choć nie leżało tam wiele rzeczy. Tekturowe pudełeczka i tekstylne sakiewki z biżuterią. Sznur pereł, kilka ciężkich, złotych pierścionków z kamieniami, kolczyki. Dwie stare, gładkie obrączki ślubne, zapewne odziedziczone po przodkach. Mnóstwo papierów w niebieskiej teczce. Obok

jakieś listy. Koperty zaadresowane różnymi charakterami pisma.

Co teraz?, zastanawiała się Rebeka.

Czy proboszcz miał jakiegokolwiek pojęcie o zawartości tej szafki? Czy zauważyłby brak czegoś?

Wciągnęła powietrze w płuca, a potem wszystko przejrzała. Siedząc na podłodze, układała papiery w stosiki. Umysł funkcjonował teraz jak należy: pracował szybko, przyjmował, analizował i sortował informacje. Pół godziny później Rebeka włączyła kopiarkę stojącą w kancelarii.

Listy wzięła ze sobą. Może były na nich odciski palców albo inne ślady. Włożyła je do foliowej torebki, którą znalazła w szufladzie.

Umieściła tam również kopie dokumentów z niebieskiej teczki. Kiedy odłożyła papiery na miejsce, zamknęła szafkę, zgasiła lampę i zamknęła drzwi, dochodziła czwarta nad ranem.

Anna Maria poczuła, jak córka szarpie ją za ramię, i obudziła się.

- Mamusiu, ktoś dzwoni.

Jenny, podobnie jak jej rodzeństwo, wiedziała, że o dziwnych porach nie wolno im otwierać drzwi. Do policjantki w niewielkiej miejscowości mogli dobijać się bardzo różni i dziwni goście. Bliscy płaczu hultaje, którzy szukali jedynej znanej im spowiedniczki, albo koledzy z pracy, z poważną miną i samochodem czekającym przed domem na jałowym biegu. Czasami zaś, wprawdzie bardzo rzadko, ale jednak, ktoś wściekły lub pod wpływem narkotyków, a zazwyczaj jedno i drugie.

Anna Maria wstała, kazała Jenny wejść do łóżka, a sama ruszyła do przedpokoju. W kieszeni szlafroka trzymała telefon komórkowy, z wybranym już numerem centrali. Zanim otworzyła drzwi, zerknęła przez wizjer.

Na zewnątrz stała Rebeka Martinsson.

Mimo zaproszenia nie weszła do środka, zatrzymała się zaraz za progiem. Nie zdjęła płaszcza. Nie chciała herbaty ani nic innego.

- To pani prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa Mildred Nilsson — odezwała się. — To są listy i kopie prywatnych papierów, które były jej własnością.

Wręczyła policjantce torebkę z dokumentami i opowiedziała w skrócie, jak weszła w ich posiadanie.

- Rzecz jasna, to nie byłoby dla mnie korzystne, gdyby wyszło na jaw, od kogo pani dostała te materiały. Gdyby więc mogła pani znaleźć jakieś inne wytłumaczenie, byłabym wdzięczna. A jeśli nie, to...

Wzruszyła ramionami.

- ...będę musiała wypić to piwo — zakończyła z krzywym uśmiechem.

Anna Maria zajrzała do torebki.

- Sejf w kancelarii parafialnej? — spytała.

Rebeka potwierdziła skinieniem głowy.

- Dlaczego nikt nie powiadomił policji, że...

Przerwała w pół słowa i spojrzała na Rebekę.

- Dziękuję pani! Nie zdradzę, jak dotarliśmy do tych papierów.

Rebeka właśnie zbierała się do wyjścia, gdy Anna Maria rzuciła jej na odchodne:

- Postąpiła pani prawidłowo! Zdaje sobie pani z tego sprawę, prawda?

Nie było jasne, czy mówi o tym, co zdarzyło się w Jiek- ajärvi prawie dwa lata temu, czy ma na myśli kopie i listy w plastikowej torebce.

Rebeka poruszyła lekko głową. Ten gest mógł oznaczać potwierdzenie. A może raczej zaprzeczenie?

Po wyjściu kobiety Anna Maria wciąż stała w przedpokoju. Ogarnęła ją nieprzeparta chęć, by zacząć krzyczeć. Do kurwy nędzy!, chciała wrzasnąć. Jak oni, do jasnej cholery, mogli to przed nami ukryć?!

Rebeka Martinsson siedziała na łóżku w swoim domku kempingowym. W szarym kwadracie księżycowego światła rozróżniała tylko zarys oparcia krzesła.

Teraz, uznała. Teraz powinnam wpaść w panikę. Jeżeli ktoś się o tym dowie, będę spalona. Oskarżą mnie o naruszenie miru

domowego i przywłaszczenie, nigdy więcej nie dostanę żadnej pracy.

Panika jednak nie nadchodziła. Ani skrucha. Rebeka czuła tylko i wyłącznie ulgę.

Zatrudnię się jako bramkarz w metrze, pomyślała.

Położyła się i ogarnięta jakąś wariacką radością, wbiła wzrok w sufit.

Między deskami dokazywała mysz. Chrobocząc, biegała w górę i w dół. Rebeka zapukała w ścianę i na moment zapadła cisza.

Po chwili niestrudzone zwierzątko zaczęło od nowa.

Rebeka zasnęła z uśmiechem na ustach. W ubraniu i bez mycia zębów.

Śniła.

Tato niesie ją na barana. Na plecach ma pojemnik na jagody. Trwa sezon na czarne borówki. Z pewnością mu ciężko.

- Nie przechylaj się — prosi, gdy Rebeka wyciąga ręce po brodaczki zwisające z gałęzi.

Za nimi spieszy babcia. W niebieskim swetrze z anilany i szarym huivi¹². Porusza się w lesie w charakterystyczny dla siebie sposób. Nie podnosi stóp wyżej niż to konieczne. Posuwa się do przodu drobnym, oszczędnym truchtem. Towarzyszą im dwa psy. Jussi, elkhund szary, podąża za babcią. Ma już swoje lata, musi się oszczędzać. Jackie, młody mieszaniec szpica, biega to tu, to tam; węszący nos nigdy nie ma dosyć. Znika z pola widzenia, czasami słychać jego szczekanie jakiś kilometr dalej.

Późnym popołudniem Rebeka leży przy ognisku i śpi, podczas gdy dorośli wciąż zbierają jagody. Za poduszkę służy jej polar taty. Popołudniowe słońce ciągle grzeje, choć cienie już się wydłużyły. Ognisko odstrasza komary. Od czasu do czasu podchodzą do niej psy, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Trącają ją nosem w twarz, a potem błyskawicznie odskakują, zanim Rebeka zdąży je pogłaskać albo objąć za szyję.

¹² *Huivi* (fiń.) — szalik.

ŻÓLTONOGA

Zima dobiega końca. Słońce unosi się ponad wierzchołkami drzew i ogrzewa las. Grube płaty śniegu zsuwają się z gałęzi. Uciążliwy czas na polowanie. Głęboka biała pokrywa mięknie za dnia i trudno, brnąc przez nią, gonić zwierzynę. A gdy wilki polują o świcie albo przy świetle księżyca, szreń rani im łapy.

Samica alfa ma cieczkę. Jest poirytowana, nie może sobie znaleźć miejsca. Podchodzących zbyt blisko łapie zębami lub rozstawia po kątach. Staje przed podporządkowanymi sobie samcami i sika z nogą podniesioną tak wysoko, że trudno jej utrzymać równowagę. Cała wataha jest pod wpływem jej zmiennych nastrojów. Wszyscy warczą i wyją. Co chwila wybuchają bójki. Młode wilczki poruszają się niespokojnie na obrzeżach lasu. Któryś ze starych wilków nieustannie je sztorcuje. W trakcie posiłków obowiązuje twarda hierarchia.

Samica alfa jest przyrodnią siostrą Żółtonogiej. Dwa lata temu, dokładnie o tej porze zmierzyła się z poprzednią przewodniczką stada. Tamta miała właśnie wejść w okres rui; przechodząc obok pozostałych suk, demonstrowała swoją dominację. Wyciągnęła posrebrzoną głowę i powarkując groźnie, obnażyła zęby. Ale zamiast pochylić łeb i podwinąć ogon, siostra Żółtonogiej przyjęła wyzwanie. Spojrzawszy Pierwszej w oczy, zjeżyła sierść. Walka wybuchła w ułamku sekundy i skończyła się po niespełna minucie. Stara przewodniczka poniosła porażkę. Głęboka rana szyi i naderwane ucho wystarczyły, by się wycofała, skomląc. Siostra Żółtonogiej przepędziła ją ze stada, które zyskało nową samicę alfa.

Żółtonoga nigdy nie próbowała się zmierzyć ze starą przewodniczką watahy. Nie zamierza też demonstrować siły wobec przyrodniej siostry. Mimo to siostra jakby szczególnie wyraźnie okazuje jej gniew i rozdrażnienie. Nagle chwyta ją za nos i z zaciśniętymi szczękami prowadzi pół okrążenia przez stado. Garbiąc grzbiet i odwracając wzrok, Żółtonoga pełźnie za nią pokornie. Młode wilczki podnoszą się i niespokojnie przebiegają łapami. Po chwili Żółtonoga liże z uległością wargi siostry. Nie interesuje ją walka o władzę.

Trudno zalecać się do srebrnowłosego przewodnika stada. Dawniej to on tygodniami podążał za swoją samicą, zanim w końcu decydowała się, by go do siebie dopuścić. Obwąchiwał jej pupę i ucierał nosa pozostałym samcom. Często, bardzo często wracał do niej i trącał ją łapą, jakby pytając: „No, to co, może teraz?”

A w tej chwili leży leniwie i pozornie nie zwraca uwagi na zaloty siostry Żółtonogiej. Ma siedem lat; jeszcze żaden samiec w stadzie nie wykazał najmniejszego zainteresowania, by zająć jego miejsce. Niewykluczone, że już za rok będzie słabszy, a rola przewodnika — bardziej uciążliwa. Na razie jednak może po prostu wygrzewać się w słońcu, lizać łapy i bawić się śniegiem. Siostra Żółtonogiej kokietuje go nieprzerwanie. Przysiada na tylnych łapach i oddaje mocz wystarczająco blisko Pierwszego, by zwrócić na siebie uwagę. Łasi się do niego, chętna i zakrwawiona pod ogonem. On w końcu ulega i pokrywa ją. Całe stado oddycha z ulgą. Napięcie w grupie natychmiast opada.

Dwa jednoroczniaki budzą Żółtonogą. Chcą poswawo- lić. Jeszcze przed chwilą drzemała pod sosną, a teraz wilczki rzucają się na nią z impetem. Jeden uderza potężnymi łapami w śnieg. Cały ciężar ciała przenosi figlarnie do przodu. Drugi biegnie na łeb na szyję i w ostatniej sekundzie przeskakuje nad wilczycą. Ona podnosi się i rusza za nimi. Ujadają i szczekają, aż echo rozchodzi się po lesie. Przerażona wiewiórka czmycha w górę jak ruda kreska. Żółtonogą dogania wilczka, który kończy bieg, wywracając w śniegu dwa koziołki. Mocują się trochę i już po chwili nadchodzi jej kolej, by uciekać. Sunie jak strzała między drzewami. Przystaje czasem, żeby dać młodym szansę, lecz zaraz rusza z kopyta. Nie da się złapać, dopóki sama nie będzie tego chciała.

CZWARTEK. 7 WRZEŚNIA

O wpół do siódmej rano Mimmi zrobiła sobie przerwę na śniadanie. Pracowała od piątej. Teraz woń świeżo upieczonego chleba i kawy łączyła się z zapachami lazanii i pyttipanny¹³.

Pięćdziesiąt aluminiowych pojemników wypełnionych jedzeniem stygło na blacie z nierdzewnej stali. Mimmi pracowała przy otwartych drzwiach, ponieważ w kuchni zawsze robiło się gorąco. Ale też dlatego, że chciała sprawić przyjemność mężczyznom stołującym się w gospodzie. Była dla nich towarzyszem. Lubili na nią patrzeć, jak krząta się to tu, to tam, jak napełnia kawą dzbanek. Mimo jej obecności mogli jeść w spokoju. Mimmi nigdy nie rzucała im badawczych, krzywych spojrzeń, gdy któryś z nich, przeżuując, zapomniał zamknąć usta albo gdy poplamiał koszulę.

Zanim usiadła do śniadania, wybiegła ponownie do jadalni i jeszcze raz dopieściła gości, dolewając im kawy. Kusiała dokładką, podsuwając koszyk z pieczywem. W tym momencie należała do nich wszystkich; była ich żoną, córką i matką. Jej pasiaste włosy nie wyschły jeszcze po porannym prysznicu, splecione i ukryte pod bandaną opasającą głowę. Czowała na sobie wystarczająco dużo spojrzeń, którymi wciąż ją obrzucano. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na to, by pracować w gospodzie z rozpuszczonymi włosami, ociekającymi wodą na obcisłą bluzeczkę z H&M. „Miss wetter and wetter T-shirt”. Postawiła dzbanek z kawą na podgrzewaczu i oznajmiła:

- Proszę, częstujcie się. Muszę sobie klapnąć na piętnaście minut.

- Mimmi, chodź tu i nalej — zanucił zaczepnie jeden z mężczyzn.

Kilku z nich miało zaraz ruszyć do pracy. Pili zbyt gorącą kawę niewielkimi łykami, prędko, by zdążyć wypić jak najwięcej. Pochłaniali kanapki w dwóch kęsach. Inni spędzali tu prawie godzinę, zanim bez pośpiechu wracali do samotności. Czasami próbowali sprowokować jakąś rozmowę, przeglądali bezcelowo

13 Pyttipanna — klasyczna szwedzka potrawa, składająca się ze smażonych ziemniaków pokrojonych w kostkę, cebuli i wieprzowiny.

wczorajszą gazetę; dzisiejsza miała przyjść dopiero za parę godzin. We wsi nie mówiło się, że ktoś jest bezrobotny, na zwolnieniu czy na wcześniejszej emeryturze. Mówiło się, że ktoś „siedzi w domu”.

Rebeka była jedynym nietutejszym gościem. Siedziała samotnie przy stoliku z widokiem na rzekę i wyglądała przez okno. Jadła kefir z müsli, bez pośpiechu sączyła kawę.

Mimmi miała w mieście garsonierę. Nie pozbyła się jej, mimo że właściwie przeprowadziła się do Mickego, który mieszkał obok gospody. Kiedy postanowiła zostać we wsi, mama zaproponowała bez przekonania, żeby zamieszkała u niej. Lisa czuła się zmuszona jej to zaoferować, choć córce i tak nigdy nie przyszłoby do głowy skorzystać z zaproszenia. Mimmi prowadziła z Mickem gospodę od ponad trzech lat, a dopiero w zeszły poniedziałek matka wręczyła jej zapasowy klucz do swojego domu.

- Nigdy nic nie wiadomo — powiedziała, błędząc wzrokiem dookoła. — Jak coś się stanie albo... W środku są przecież psy.

- Jasne — skwitowała kwaśno Mimmi, biorąc klucz. — Psy.

Zawsze tylko te cholerne psy, pomyślała.

Lisa zauważyła, że córce zepsuł się humor, ale roztrząsanie takich rzeczy nie było w jej stylu. Zresztą musiała już iść. Jeżeli nie na spotkanie z grupą „Magdalena”, to do zwierzaków w domu. Może trzeba było posprzątać klatki królików, a może któryś z psów miał zaplanowaną wizytę u weterynarza...

Mimmi wdrapała się na drewniany blat obok lodówki. Gdy podciągnęła nogi, mogła siedzieć tu wśród świeżych przypraw rosnących w puszkach po konserwach. To było wyśmienite miejsce. Po drugiej stronie rzeki rozciągało się Jukkasjärvi. Czasami przepływała jakaś łódź. Dawniej, kiedy lokal był warsztatem, to okno tutaj nie istniało. Mimmi dostała je w prezencie od Mickego. „W tym miejscu chciałabym mieć okno”, powiedziała kiedyś. A on je dla niej wprawił.

Nie złościła się na psy. Nie była też o nie zazdrosna. Najczęściej nazywała je swoimi braćmi. Chociaż kiedy mieszkała w Sztokholmie, Lisa nigdy nie przyjechała do niej z wizytą. Nawet nie zadzwoniła. „To jasne, że cię kocha - pocieszał ją Micke

- przecież jest twoją matką”. Nic nie rozumiał.

Mamy jakąś wadę genetyczną, tłumaczyła sobie. Przecież ja też nie potrafię kochać.

Jeśli już spotkała jakiegoś prawdziwego skurwiela, to mogła oczywiście nie tyle się zakochać — bo to zbyt grzeczne określenie, zbyt mdła i poprawna wersja uczucia — ile wpaść w nałóg, w stan psychozy i uzależnienia. Zdarzało się. Zwłaszcza raz, w okresie sztokholmskim. Kiedy człowiek wyrывał się z takiego związku, wyrывał żywe mięso z własnego ciała.

Z Mickem było zupełnie inaczej. Z nim mogłaby mieć dzieci, gdyby kiedyś uwierzyła, że zdoła obdarzyć je miłością. Micke był dobry. On był po prostu dobrym człowiekiem.

Za oknem kilka kur grzebało w jesiennej trawie. Mimmi właśnie zatopiła zęby w świeżo upieczonej bułce, gdy usłyszała znajomy dźwięk motoroweru. Pojazd zatrzymał się na zwirowym podjeździe. Nalle, pomyślała.

Zdarzało się często gęsto, że chłopak przyjeżdżał do gospody już rano. Jeśli obudził się wcześniej niż ojciec i jeśli udało mu się czmychnąć niezauważenie. Zgodnie z zasadami bowiem śniadanie miał jeść w domu.

Po chwili stał za oknem, przy którym siedziała Mimmi, i pukał w szybę. Miał na sobie jaskrawożółte spodnie, które kiedyś, razem z szelkami, należały do pracownika urzędu telekomunikacji. Odblaskowe lamówki u dołu nogawek już dawno przestały błyszczeć, zniszczone wielokrotnym praniem. Na głowie nosił niebieską uszatkę z grubego, nieprzemakalnego materiału.

Zielona pikowana kurtka była zdecydowanie za krótka, sięgała zaledwie do pasa.

Młodzieniec obdarzył Mimmi jednym ze swych komicznych, filuternych uśmiechów, które dzieliły twarz na dwie części. Pokażna szczeka wędrowała w prawo, podczas gdy oczy zwężyły się pod nienaturalnie uniesionymi brwiami. Dziewczyna musiała odwzajemnić uśmiech; nieważne, że właśnie przeszkodziło jej w śniadaniu.

Otworzyła okno. Nalle wsunął ręce do kieszeni kurtki i wyłowił trzy jajka. Popatrzył na Mimmi, jakby właśnie dokonał

skomplikowanej czarodziejskiej sztuczki. A przecież jajka z kurnika przynosił jej prawie codziennie.

- Cudownie! Dziękuję! Czyżby odwiedził nas Zalotnik Zack?

Z gardła chłopaka wydobył się stłumiony śmiech. Hmm-hmm. Jak silnik, który nie chce zaskoczyć i robi to w odrobinę zwolnionym tempie.

- A może Zmywająca Zmora?

Nalle zaprzeczył radośnie. Wiedział, że to tylko żarty, ale na wszelki wypadek energicznie pokręcił głową. Nie przyszedł tutaj, żeby zmywać.

Gdy tylko usłyszał pytanie: „Głodny, prawda?”, obrócił się na pięcie i już go nie było.

Mimmi zeskoczyła ze swojego miejsca, zamknęła okno, jednym haustem wypila kawę i ugryzła potężny kęs kanapki. Kiedy weszła do jadalni, Nalle siedział już naprzeciw Rebeki Martinsson. Powiesił kurtkę na oparciu sąsiedniego krzesła, czapkę zostawił na głowie.

Taki tu mieli zwyczaj. Mimmi ściągnęła mu uszatkę i zmierzwiła krótko ostrzyżone włosy.

- A może usiądziesz po drugiej stronie? Będiesz mógł patrzeć, czy drogą nie przejeżdżają jakieś wypasione auta.

Rebeka uśmiechnęła się do chłopaka.

- Może siedzieć ze mną — powiedziała.

Ręka Mimmi znów zbliżyła się do Nallego. Pomasowała go po plecach.

- Chcesz placuszki czy kefir i kanapki?

Doskonale знаła odpowiedź, jednak chciała dać muoka- zję do rozmowy. I do podjęcia decyzji. Patrzyła, jak usta przez kilka sekund formują słowo, by w końcu zdecydowanie je z siebie wyrzucić.

- Placuszki!

Mimmi zniknęła w kuchni. Wyjęła z lodówki piętnaście mininaleśników i włożyła je do kuchenki mikrofalowej.

Ojciec Nallego i jej mama byli kuzynami. Zanim Lars Gunnar przeszedł na emeryturę, pracował w policji. Od niemal trzydziestu lat sprawował również funkcję łowczego, co oczywiście także dawało mu pewną władzę. Podobnie jak syn

był słusznej postury. Swego czasu wzbudzał respekt jako policjant. W dodatku ludzki policjant, jak to mówili ludzie. Wciąż się zdarzało, że przychodził na pogrzeby starych hultajów. Często był jedynym żalobnikiem oprócz pastora.

Kiedy Lars Gunnar spotkał mamę Nallego, był już po pięćdziesiątce. Mimmi zapamiętała jego pierwszą wizytę u Ewy. Nie mogłam mieć więcej niż sześć lat, przeszło jej przez głowę.

Siedzieli w salonie na skórzanej kanapie. Mama Lisa kursowała między kuchnią a pokojem, przynosząc a to ciasto, a to mleko, a to kawę i Bóg wie co jeszcze. To było w czasach, kiedy umiała się dostosowywać. Później, po rozwodzie, zupełnie przestała piec i gotować. Mimmi wyobrażała sobie domowe posiłki matki. Na stojąco, oparta o blat kuchenny, wlewa coś w siebie prosto z puszki, może zimną zupę mięsną Bonga.

Ale wtedy... Lars Gunnar obejmował Ewę ramieniem — niebywale czuły gest, jak na mężczyznę z tej wsi, a szczególnie jak na niego. Był dumny. Ona zaś — może nie słodka, lecz o wiele młodsza, gdzieś między dwudziestką a trzydziestką. Mimmi nie miała pojęcia, gdzie ta pracownica opieki socjalnej na urlopie spotkała swoją miłość. W każdym razie wkrótce złożyła wypowiedzenie w biurze w... Norrköping, o ile jej pamięć nie myli, dostała pracę w tutejszej gminie i przeprowadziła się do jego domu rodzinnego, w którym Lars Gunnar wciąż mieszkał. Po roku urodził się Nalle. Choć wtedy nazywał się Björn. Stosowne imię¹⁴ dla dzidziusia, który zapowiadał się na zapaśnika.

Z pewnością nie było jej lekko, myślała Mimmi. Przyjechać z dużego miasta na prowincję, wylądować na urlopie macierzyńskim, pchać wózek tam i z powrotem wzdłuż wiejskiej drogi i nie mieć do kogo otworzyć ust, nie licząc paru wiejskich bab. Że też nie zwariowała! Choć Bogiem a prawdą przecież właśnie to zrobiła. Mikrofalówka się wyłączyła, dając znak brzęknięciem. Mimmi przybrała placuszki dwiema gałkami lodów i łyżką dżemu truskawkowego. Napelniła mlekiem dużą szklankę i posmarowała masłem trzy kromki

14 *Björn (szw.) – niedźwiedź.*

razowego chleba. Z garnka stojącego na piecu wyjęła trzy jajka na twardo. Dołożyła jeszcze jabłko i w końcu zaniósła Nallemu tacę ze śniadaniem.

- Nie dostaniesz więcej placuszków, dopóki nie zjesz wszystkiego — pouczyła go surowo.

Kiedy chłopiec miał trzy lata, zachorował na zapalenie opon mózgowych. Eva zadzwoniła do ośrodka zdrowia; poradzili jej, żeby trochę odczekała. No i stało się to, co się stało.

A kiedy miał pięć lat, jego mama się przeprowadziła. Zostawiła go z Larsem Gunnarem i wróciła do Norrköping.

Albo raczej uciekła, stwierdziła Mimmi.

We wsi się mówiło, że Eva opuściła własne dziecko. Że niektórzy nie umieją stanąć na wysokości zadania. Zadawano sobie pytanie, jak tak można. Jak tak można zostawić syna.

Mimmi nie wie, jak można. Wie jednak, jak to jest, gdy człowiek zaczyna się dusić. Potrafi sobie wyobrazić, jak Evę roznosiło w tym różowym domu pokrytym eternitem.

Został w nim Lars Gunnar z Nallem. Niechętnie wspominał o Evie.

- A co miałem zrobić? — pytał. — Przecież nie mogłem jej zmusić.

Kiedy Nalle skończył siedem lat, wróciła. Albo raczej — Lars Gunnar pojechał po nią do Norrköping. Sąsiadka opowiadała, jak na rękach wnosił żonę do domu. Wkrótce rak dokończył dzieła. Trzy miesiące później Eva umarła.

- A co miałem zrobić? — pytał znów Lars Gunnar. — Przecież była matką mojego syna.

Pochował ją na cmentarzu w Poikkijärvi. Na pogrzeb przyjechały jej matka i siostra. Nie zabawiły długo we wsi. Zostały na stypie dokładnie tyle, ile musiały. Jak gdyby przejęły od Evy jej wstyd. Pozostali żałobnicy nie patrzyli im w oczy.

- A Lars Gunnar normalnie je pocieszał! — opowiadano sobie po ceremonii. — Dlaczego nie mogły zaopiekować się Eva, jak umierała? On wziął na siebie cały ciężar. I to było po nim widać. Schudł z pewnością co najmniej piętnaście kilo. Poszarzał i zmizerniał.

Mimmi się zastanawiała, jak potoczyłyby się losy tych ludzi,

gdyby już wtedy we wsi była Mildred. Może Eva znalazłaby wspólny język z kobietami z „Magdaleny”? Może rozstałaby się z mężem, ale została tutaj; może nie zabrakłoby jej sił, żeby opiekować się Nallem? Może nawet nie musiałyby się rozwodzić?

Kiedy Mimmi pierwszy raz spotkała Mildred, ta siedziała na platformie motoroweru Nallego. Za trzy miesiące miał skończyć piętnaście lat. Nikt we wsi nie komentował faktu, że niepełnosprawny umysłowo chłopak prowadzi pojazd mechaniczny, choć jeszcze do tego nie dorósł. Boże drogi, to przecież syn Larsa Gunnara. Nie było im łatwo. Dopóki więc Nalle porusza się tylko po wiejskiej drodze...

- Oj, moja pupa! — śmieje się Mildred w głowie Mimmi, zeskakując z platformy.

Mimmi siedzi na krześle przed gospodą. Osłonięta od wiatru, pali papierosa i wystawia twarz do słońca, z nadzieją, że nabierze kolorów. Nalle wygląda na zadowolonego. Macha im ręką na pożegnanie, zawraca i rusza ostro, aż żwir pryska spod kół. Dwa lata wcześniej był konfirmandem u nowej pastor.

Mimmi i Mildred przedstawiają się sobie. Dziewczyna jest nieco zaskoczona, nie wie, czego ma oczekiwać po Mildred, choć tyle o niej słyszała. Że jest kłótniwa. Że mówi, co myśli. Że jest taka mądra. Że jest taka głupia. Teraz pastor stoi przed nią i wygląda całkiem zwyczajnie, a nawet — szczerze mówiąc — dość nieciekawie. Mimmi spodziewała się jakiejś kumulacji energii wokół Mildred Nilsson, a widzi tylko kobietę w średnim wieku, w niemodnych dżinsach i praktycznych butach ecco.

- To prawdziwy dar boży! — mówi pastor, wskazując głową oddalający się motorower.

Mimmi odpowiada coś niewyraźnie, po czym dodaje, wzdychając, że Larsowi Gunnarowi nie jest łatwo.

To jest jak odruch warunkowy. Cała wieś śpiewa balladę o Larsie Gunnarze, jego słabowitej żonie i ich upośledzonym chłopcu, a refren brzmi: „Jakże mi go żal... I pomyśleć, co inni muszą przechodzić... Łatwo mu nie było”.

Między brwiami pastor pojawia się wyraźna bruzda. Mildred

patrzy badawczo na Mimmi.

- Nalle to ogromny dar! — powtarza.

Dziewczyna milczy. Nie zgadza się z tym, że „wszystkie dzieci to dar i wszystko ma swój sens”.

- Nie pojmuję, dlaczego ludziom nie znudziło się mówić o Nallem jak o ciężarze. Czy pomyślałaś kiedyś o tym, jak wszystkim w jego towarzystwie poprawia się nastrój?

To prawda. Wystarczy wrócić pamięcią do wczorajszego dnia. Nalle ma nadwagę. Zawsze jest głodny, więc jego ojciec wciąż musi pilnować, żeby chłopiec bez przerwy nie jadł. To niewykonalne zadanie. Kobiety we wsi nie potrafią się oprzeć jego spożywczym zalotom, zresztą Micke i Mimmi czasami też nie. Na przykład wczoraj. Nalle wyrósł w kuchni jak spod ziemi. Pod pachą trzymał niewielką kochinčinę. Anni nie znosi dużo jaj, ale jest grzeczna i oddana, nie ma nic przeciwko temu, żeby ją pogłaskać. Na odłączenie od stadka nie ma jednak ochoty. Zaniepokojona wierzga więc krótkimi nogami i gdacze pod potężnym ramieniem młodzieńca.

- Anni! — zwraca się Nalle do Mickego i Mimmi. — Kanapka!

Pochyla głowę i przekręca ją w lewo, patrzy na nich filuternie spod grzywki.

Nie wiadomo, czy zdaje sobie sprawę, że nie uda mu się ich oszukać.

- Natychmiast wynieś kurę na dwór! — Mimmi próbuje być surowa.

Micke wybucha śmiechem.

- Anni woła jeść? No to chyba najlepiej będzie, jak coś dostanie.

Nalle odmaszerowuje na podwórko z kurą pod pachą i z kanapką w drugiej ręce. Na dworze wypuszcza nioskę, a kanapkę wpycha pospiesznie do ust. - Hola! — krzyczy Micke z ganku. — To nie było przypadkiem dla Anni?

Chłopiec odwraca się z teatralnie zatroskaną miną.

- Koniec — odpowiada zrezygnowany.

Pastor Mildred mówi dalej:

- Wiem oczywiście, że Larsowi Gunnarowi bywa ciężko. Ale gdyby Nalle nie był upośledzony, czy naprawdę sprawiałby ojcu

większą radość? Ciekawa jestem.

Mimmi przygląda jej się uważnie. Nie może odmówić pastor racji.

Przypomina sobie Larsa Gunnara i jego braci. Nie pamięta ich ojca, dziadka Nallego. Ale słyszała o nim to i owo. Isak był surowy. Poskramiał dzieci pasem. A czasami nawet cięższym sprzętem. Miał pięciu synów i dwie córki.

- Ożeż! — wyznał kiedyś Lars Gunnar. — Tak bardzo bałem się ojca, że czasami sikałem w majtki. A chodziłem już wtedy do szkoły.

Mimmi doskonale pamięta ten komentarz. Była wtedy zaledwie dziewczynką. Nie mogła uwierzyć, że ten olbrzymi mężczyzna kiedykolwiek się bał. Albo że był mały. I sikał w majtki!

Musieli się nieźle starać, by nie upodobnić się do ojca, ci wszyscy bracia. A przecież w jakiś sposób pozostał w nich na zawsze. Z tą pogardą dla słabości, surowością przechodzącą z ojca na syna. Mimmi myśli o kuzynach Nallego. Kilku z nich mieszka we wsi; są członkami koła łowieckiego, przesiadują w gospodzie.

Nalle jest odporny na to wszystko. Na powracające od czasu do czasu rozgoryczenie Larsa Gunnara na Evę, ojca i świat jako taki. Na jego irytację z powodu niepowodzeń syna. Na uzalenie się nad samym sobą i nienawiść, które tak naprawdę wpływają na powierzchnię dopiero po alkoholu, a przecież cały czas czają się gdzieś w środku.

Nalle czasami zwiesza głowę, ale nie na dłużej niż kilka sekund. Jest szczęśliwym dzieckiem w ciele dorosłego mężczyzny. Przegrzeczny i przeuczciwy. Nie imają się go rozgoryczenie ani głupota.

Gdyby nie miał uszkodzonego mózgu. Gdyby był normalny. Mimmi próbuje sobie wyobrazić, jak wyglądałby wtedy krajobraz między ojcem a synem. Jałowy i mizerny. Poskramiany pogardą dla skrywanej skrętnie słabości.

Mildred chyba nawet nie przypuszcza, jak bardzo ma rację.

Mimmi nie wdaje się jednak w żadne dyskusje. Wzrusza tylko ramionami, wypowiada formułkę, że miło się było spotkać, i dodaje, że musi wracać do pracy.

Mimmi usłyszała, jak Lars Gunnar woła w jadalni gospody:

- Nalle, do jasnej cholery!

Nie ze złością. Raczej ze zmęczeniem i rezygnacją.

- Przecież ci mówiłem. Śniadania jemy w domu.

Mimmi wyszła z kuchni. Nalle siedział zawstydzony, ze zwieszoną głową. Oblizwał mleczne wąsy nad górną wargą. Po naleśnikach, kanapkach i jajkach na tacy nie było ani śladu. Zostało jedynie nienaruszone jabłko.

- Czterdzieści koron! — oznajmiła Mimmi ojcu chłopca, może odrobinę zbyt radośnie. A niech ma, dusigrosz jeden!, pomyślała.

Jego zamrażarka była wypełniona darmowym mięsem, które dostawał od członków koła łowieckiego. Kobiety ze wsi pomagały mu w prowadzeniu gospodarstwa. Sprzątały, prały, przychodziły z domowymi wypiekami i zapraszały go z synem na obiady.

Kiedy Mimmi zaczęła pracować w gospodzie, Nalle jadał tu śniadania za darmo.

- Nie dawajcie mu nic do jedzenia, jak do was przyjdzie — przypominał Lars Gunnar. — Chłopak tylko zgrubnie.

Micke częstował więc Nallego śniadaniem, skoro jednak Lars Gunnar na to nie pozwalał, nie miał sumienia żądać zapłaty.

Mimmi miała sumienie.

- Nalle zjadł śniadanie — oznajmiła Larsowi Gunnarowi pierwszy raz, gdy miała poranną zmianę. — Cztery dychy!

Mężczyzna popatrzył na nią zdumiony. Rozejrzał się po lokalu w poszukiwaniu Mickego, podczas gdy on spał w domu.

- Mielście mu nic nie dawać, kiedy przyjdzie na zebry.

- Jeżeli ma tutaj nie jeść, to pilnuj, żeby trzymał się od nas z daleka. Jak przyjdzie, to dostanie jeść. A jak zje, to musisz zapłacić.

Od tamtego razu płacił też Mickemu, jeśli to on miał ranną zmianę.

Teraz Lars Gunnar nawet się do niej uśmiechnął i zamówił placuszki oraz kawę. Stał ciągle przy Nallem i Rebecie, nie mogąc się zdecydować, gdzie usiąść. W końcu wybrał sąsiedni stolik.

- Chodź tutaj — zwrócił się do syna. — Może ta pani nie chce, żebyś jej przeszkadzał.

Pani nie odpowiedziała, a Nalle nadal siedział tam, gdzie siedział. Kiedy Mimmi wróciła z zamówionym śniadaniem, Lars Gunnar zapytał ją:

- Czy Nalle może tu dzisiaj zostać?

- Więcej! — wykrzyknął Nalle, widząc stosik placuszków ojca.

- Najpierw jabłko — odparła niewzruszona Mimmi. — Nie — odpowiedziała, zwracając się do ojca Nallego. — Dzisiaj mam kupę roboty. „Magdalena” planuje u nas wieczorne zebranie i kolację.

Grymas niezadowolenia niczym lekki prąd powietrza przemknął przez twarz ekspolicjanta. Podobnie było w przypadku większości mężczyzn, gdy padała nazwa tej kobiecej organizacji.

- Chociaż na chwilę — nie poddawał się Lars Gunnar.

- Pytales mamę?

- Nie chcę nagabywać Lisy. Ma urwanie głowy przed wieczornym spotkaniem.

- A którąś z pozostałych kobiet? Przecież wszystkie go uwielbiają.

Widziała, jak Lars Gunnar rozważa różne możliwości. Niczego na tym świecie nie dostaje się za darmo. Jasne, że miał kogo zapytać. Tylko że wtedy musiałby poprosić o przysługę. Kłopotać. Zaciągnąć u kogoś dług wdzięczności. Rebeka Martinsson spojrzała na Nallego, który siedział ze wzrokiem wbitym w jabłko. Trudno było dociec, czy czuje się ciężarem, czy raczej ciąży mu konieczność zjedzenia owocu.

- Nalle może pobyć ze mną, o ile oczywiście będzie chciał — odezwała się nagle.

Lars Gunnar i Mimmi popatrzyli na nią zaskoczeni. Ona sama sprawiała wrażenie zdziwionej.

- No... nie mam na dzisiaj żadnych specjalnych planów — ciągnęła niezrażona. — Może pojedę na wycieczkę... Jeżeli zechce mi towarzyszyć, to... Zostawię państwu numer komórki.

- Ta pani mieszka w domku kempingowym — wyjaśniła Mimmi Larsowi Gunnarowi. — Rebeka...

- ...Martinsson.

Mężczyzna skinął głową na powitanie.

- Lars Gunnar, ojciec Nallego — przedstawił się. — Jeżeli to nie będzie dla pani kłopot...

Jasne, że będzie, ale ona ma gest, pomyślała Mimmi, zirytowana.

- To naprawdę żaden kłopot — zapewniła Rebeka.

Skoczyłam z pięciu metrów, dodała w duchu. Teraz mogę robić to, na co mam ochotę.

*

Komisarz Anna Maria Mella siedziała w pokoju konferencyjnym komendy policji, w którym zwołała poranną naradę na temat dokumentów znalezionych w sejfie Mildred Nilsson.

Oprócz niej w pomieszczeniu znajdowało się jej dwóch kolegów: Sven Erik Stålnacke i Fred Olsson. Na stole przed nimi leżało około dwudziestu listów, prawie wszystkie rozpieczętowane.

- No, to do roboty! — zachęciła komisarz.

Podobnie jak Fred Olsson włożyła chirurgiczne rękawiczki i zaczęła czytać.

Sven Erik trzymał splecione dłonie na blacie stołu; wiewiórcza kita pod jego nosem zjeżyła się jak szczotka ryżowa. Wyglądał, jakby chciał kogoś zamordować. Wciągał gumowe rękawiczki bez pośpiechu, niczym bokser zakładający skórzane ochraniacze. Przejrzeli wszystkie listy. Większość pochodziła od członków parafii, którzy mieli jakieś problemy. Chodziło o rozwody, śmierć, zdradę i niepokój o dzieci.

Anna Maria uniosła jedną kartkę.

- To przecież niemożliwe — rzekła. — Popatrzcie, tego się nie da czytać. To wygląda jak poskręcany sznur telefoniczny, strona za stroną.

- Pokaż — powiedział Fred, wyciągając rękę.

Najpierw trzymał list tak blisko oczu, że niemal dotykał nosem. Później stopniowo oddalał go, by w końcu czytać z wyprostowanymi ramionami.

- To tylko kwestia odpowiedniej techniki — wyjaśnił, na zmianę to mrużąc, to wytrzeszczając oczy. — Na początku dostrzega się jedynie króciutkie wyrazy, jak „i”, „mój” czy „tak”, a potem za ich pomocą można rozszyfrować resztę. Zajmę się tym. Odłożył nieczytelne pismo na bok i wrócił do listu, który właśnie czytał. Lubił taką robotę. Grzebanie w bazach komputerowych, wyszukiwanie, porównywanie banków danych, szukanie osób bez stałego miejsca zamieszkania. „The truth is out there”, zwykł mówić, odpalając komputer. Miał wiele dobrych wtyczek w swojej książce adresowej i sporą sieć kontaktów; ludzi, którzy znają się na tym i owym.

- Tutaj mamy kogoś wkurzonego — oznajmił po chwili, pokazując współpracownikom różowy papier listowy z galopującymi końmi w prawym górnym rogu. — „Wkrótce nadejdzie twój CZAS, Mildred — czytał. — Wkrótce WSZYSTKIM objawi się prawda o tobie. Głosisz KŁAMSTWO i żyjesz w KŁAMSTWIE. Jest nas DUŻO i znudziły się nam twoje KŁAMSTWA”. Ble, ble, ble.

- Włóż to do plastikowej koszulki — poleciła Anna Maria. — Te interesujące wyślemy do analizy. Shit!

Fred i Sven Erik podnieśli wzrok.

- Patrzcie! — krzyknęła. — Spójrzcie na to!

Rozłożyła kartkę papieru i pokazała kolegom rysunek.

Kobieta o długich włosach wisiała z pętlą na szyi. Artysta miał wprawna rękę. Nie był profesjonalistą, ale z pewnością był zdolnym amatorem, to nie ulegało wątpliwości. Wokół dyndającego ciała wiły się jęzory ognia, a w tle na cmentarnym wzniesieniu widniał czarny krzyż.

- Co tam jest napisane na samym dole? — zapytał Sven Erik.

- „WKRÓTCE, MILDRED” — przeczytała na głos Anna Maria.

- To... — zaczął Fred.

- ...wysyłam od razu do Linköping! — dokończyła komisarz. — Jeśli są odciski palców... Musimy zadzwonić do SKL¹⁵

- i powiedzieć, że chcemy to mieć ekspresowo.

- No to biegnij — powiedział Sven Erik. — Ja i Fred przejrzymy

15 Statens Kriminaltekniska Laboratorium — Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne.

resztę.

Anna Maria włożyła rysunek i kopertę do dwóch oddzielnych koszulek i pospiesznie wyszła z pokoju.

W poczuciu obowiązku Fred Olsson pochylił się ponownie nad stosikiem listów.

- Ten też jest piękny — skomentował. — Ktoś tu napisał, że pastor jest wredną histeryczką nienawidzącą mężczyzn, która powinna się mieć na baczności, bo „naprawdę mamy cię cholernie dosyć, pierdolona suko, i uważaj, jak wychodzisz wieczorem, rozglądaj się, bo nie poznają cię twoje wnuki”. Przecież, o ile wiemy, nie miała dzieci? Jak więc mogła mieć wnuki?

Sven Erik wciąż siedział nieruchomo, wpatrzony w drzwi, za którymi zniknęła Anna Maria. Całe lato. Całe lato te listy leżały w sejfie, podczas gdy on z kolegami błędzili po omacku jak idioci.

- Jedyne, co chciałbym teraz wiedzieć — odezwał się, patrząc na Freda — to jak, do jasnej cholery, ci księża mogli zataić przede mną, że Mildred Nilsson miała prywatny sejf w kancelarii parafialnej!

Fred Olsson nie odpowiadał.

- Mam ogromną chęć wytrzepać tym panom skórę i zapytać, czym oni się zajmują. I czy zdają sobie sprawę, czym my się zajmujemy. - Tylko że Anna Maria obiecała Rebecce Martinsson...

- zaczął Fred.

- Ale ja nic nie obiecywałem! — krzyknął Sven Erik i trzasnął pięścią w stół, aż ten podskoczył.

Wstał i uczynił bezsilny ruch dłonią.

- Spokojnie — zapewnił — nie polecę i nie zrobię nic głupiego. Muszę tylko... nie wiem, wziąć się w garść.

To powiedziawszy, wyszedł z pokoju. Drzwi zatrasnęły się za nim z hukiem.

Fred Olsson wrócił do listów. Właściwie tak było najlepiej. Lubił pracować sam.

Proboszcz Bertil Stensson i pastor Stefan Wikström stali w pokoiku obok kancelarii parafialnej, wpatrzeni w sejf Mildred Nilsson. Rebeka Martinsson oddała klucze zarówno do plebanii w Poikkijärvi, jak i do kasy pancерnej.

- Uspokój się — upomniał podwładnego Bertil Stensson. — Pomyśl o... — Przerwał, wskazując głową kancelarię, w której siedziały urzędniczki.

Stefan Wikström zerknął na swojego szefa. Ściągnięte usta nadawały twarzy proboszcza zadumany wyraz. Usta marszczyły się i wygładzały jak u chomika. Krępe ciało w odprasowanej różowej koszuli z Shirt Factory. Odważny kolor. Proboszcz korzystał z rad córek i wiedział, że róż podkreśla jego opaleniznę i srebrną, chłopięcą czuprynę.

- Gdzie się podziały listy? — zapytał Stefan Wikström. - Może je spaliła? — zaproponował Bertil Stensson.

Pastor podniósł głos o pół tonu.

- A mnie zapewniała, że wszystkie zachowa. Pomyśl, jeśli dostały się w ręce którejś kobiety z „Magdaleny”... Co mam powiedzieć żonie?

- Nic — odparł spokojnie proboszcz. — Muszę się skontaktować z jej mężem. Oddać mu biżuterię.

Stali w milczeniu.

Stefan nie mógł oderwać wzroku od sejfu. Miał nadzieję, że to będzie moment wyzwolenia. Że z listami Mildred Nilsson w ręce pożegna się z nią na dobre. A teraz... Trzymała go za kark równie mocno jak wcześniej.

Czego ode mnie żadasz, Panie, zapytał w duchu. Napisano, że nie kuszysz ponad to, co potrafimy znieść, teraz jednak doprowadziłeś mnie do granic wytrzymałości.

Poczuł się usidlony. Przez Mildred, żonę, urząd duchownego i powołanie. Nieustannie dawał, ale nie otrzymywał nic w zamian. A po śmierci Mildred czuł się usidlony również przez swojego szefa.

Kiedyś cieszył się z relacji, która się między nimi wytworzyła. Jak między ojcem a synem. Teraz jednak przyszło mu za to zapłacić. Leżał u stóp Bertila. Ze spojrzeń urzędniczek w kancelarii mógł wywnioskować, co szef mówił o nim za jego

plecami. Kobiety przekrzywiały głowy, a na ich twarzach malowała się swojego rodzaju litość. Niemal słyszał głos Bertila: „Stefanowi nie jest łatwo. To człowiek wrażliwszy, niż nam się wydaje”. Wrażliwszy, czyli słabszy. Tego, że parę razy proboszcz zastąpił go w nabożeństwach, nie pominięto milczeniem. Poinformowano o tym wszystkich, choć pozornie tylko przypadkowo. Stefan czuł się pomniejszony i wykorzystany.

Mógłbym zupełnie zniknąć, pomyślał nagle. Bóg i wróbelkiem się zaopiekuję.

Mildred. Wtedy, w czerwcu, zniknęła. Zupełnie niespodziewanie. Teraz jednak wróciła. Organizacja „Magdalena” podźwignęła się. Agresywnie domagała się w probostwie, aby na urząd pastora powołano więcej kobiet. A Bertil chyba zapomniał, jaka Mildred była naprawdę. Teraz wyrażał się o niej ciepło i z sympatią. Miała ogromne serce, wzdychał. Miała większe zdolności duszpasterskie niż ja sam, przyznawał szczerze. Tym samym uznawał, że była zdolniejszą duszpasterką niż Stefan, ponieważ oczywiście Bertil był zdolniejszy od niego.

Ja w każdym razie nie jestem kłamcą, pocieszał się Stefan. Mildred była agresywną awanturką. Zwabiała do siebie kobiety po przejściach i oferowała ich duszom ogień zamiast balsamu. Śmierć nie może zmienić tego faktu. To była dość uciążliwa myśl, ta o sponiewieranych ludziach, w których Mildred wywoływała pożar. Wielu mogłoby potwierdzić, że wznieciła w nich ogień.

Tylko że ja nie jestem po przejściach, pomyślał. To nie dlatego. Ze wzrokiem wbitym w sejf wrócił pamięcią do jesieni 1997 roku.

Proboszcz Bertil Stensson wzywa do siebie Stefana i Mildred. W zebraniu uczestniczy również proboszcz administrator, Mikael Berg, w roli odpowiedzialnego za sprawy personalne. Siedzi sztywno na krześle. Ma około pięćdziesiątki i spodnie, które liczą dziesięć, piętnaście lat. W tamtych czasach Mikael ważył też dziesięć, piętnaście kilo więcej. Rzadkie włosy

przylegają ciasno do głowy. Od czasu do czasu Berg gwałtownie wciąga powietrze w płuca. Ręka nagle podnosi się w górę i niepewna, gdzie ma się podziać, jeszcze bardziej przygląda włosy, by po chwili wrócić na kolano.

Stefan siedzi naprzeciw niego. Obiecał sobie, że zachowa spokój. Przez całą tę rozmowę zachowa spokój. Pozostali mogą sobie podnosić głos, ale nie on.

Czekają na Mildred. Ma przyjść prosto ze spotkania modlitwonego w szkole; uprzedziła ich, że może się spóźnić kilka minut.

Bertil Stensson wygląda przez okno. Zmarszczka między brwiami.

I oto nadchodzi Mildred. Przekracza próg, pukając jednocześnie do drzwi. Zaróżowione policzki. Włosy skręcone od wilgoci jesiennego powietrza.

Rzuca kurtkę na krzesło, nalewa sobie kawy z termosu.

Bertil Stensson wyjaśnia cel spotkania. Parafia jest na najlepszej drodze do podziału na dwa obozy, zaczyna. Na obóz Mildred i — nie mówi: „obóz Stefana”, tylko — „resztę”.

- Cieszy mnie zaangażowanie, jakim udało ci się zarazić tyle osób, Mildred. Ale sytuacja staje się niemożliwa. To zaczyna przypominać wojnę między pastor feministką a pastorem, który nienawidzi kobiet.

Stefan niemal podskakuje na krzesło.

- Przecież to nieprawda, że nienawidzę kobiet! — wtrąca oburzony.

- Dobrze, nieprawda, ale w prasie tak właśnie przedstawiono panującą u nas sytuację — mówi proboszcz i kładzie na stole poniedziałkowy numer NSD.

Nikt nie musi do niego zaglądać. Wszyscy czytali artykuł z nagłówkiem *Duchowna nie pozostaje dłużna*. Zacytowano w nim fragmenty kazania Mildred z ubiegłego tygodnia. Pastor mówiła wtedy o stule, która pierwotnie była częścią ubioru starożytnych Rzymianek i której zaczęto używać jako elementu szaty liturgicznej w IV wieku. „Według Mildred Nilsson współczesne stroje duchownych są więc właściwie strojami kobiecymi — pisze autor artykułu.

- Akceptuję mężczyzn na stanowisku pastora, albowiem napisano: nie ma już ani mężczyzny, ani kobiety, nie ma już Żyda ani poganina”.

Wikary też wypowiedział się w artykule. „Stefan Wikström zaznacza, że nie czuje się osobiście dotknięty tym kazaniem. Kocha kobiety, choć nie chce ich widzieć na ambonie”.

Serce ciąży Stefanowi jak kamień. Czuje się oszukany. Wprawdzie właśnie tak się wyraził, ale w szerszym kontekście zabrzmiało to bardzo niewłaściwie. Dziennikarz zapytał go:

- Kocha więc pan swoich braci. A co z kobietami? Nienawidzi ich pan?

On zaś odpowiedział naiwnie, że wręcz przeciwnie. Kocha je.

- Ale nie chce pan ich widzieć na ambonie?

- Zgadza się — odparł. — Nie chcę.

W gruncie rzeczy tak właśnie uważa. Ale nie zawarł w tej wypowiedzi żadnej hierarchii wartości. W jego mniemaniu posługa diakonisy jest równie ważna jak posługa pastora.

Teraz proboszcz podkreśla, że nie życzy sobie więcej tego typu manifestacji Mildred.

- A co z manifestacjami Stefana? — pyta spokojnie duchowna. — Ani on, ani jego rodzina nie biorą udziału w moich nabożeństwach. Nie mamy wspólnych konfirmacji, bo Stefan odmawia współpracy ze mną.

- Nie mogę obejść Słowa Bożego — ucina Stefan.

Mildred niecierpliwie porusza głową. Bertil uzbraja się w cierpliwość. Słyszeli to już kilka razy, uświadamia sobie Stefan. Cóż jednak ma począć, przecież chce głosić prawdę.

- Jezus wybrał na swoich uczniów dwunastu mężczyzn

- przekonuje. — Arcykapłan zawsze był mężczyzną. Jak daleko musimy odejść od Słowa Bożego, próbując dopasować się do obowiązujących dzisiaj wartości, zanim w końcu zrezygnujemy z chrześcijaństwa?

- Wszyscy apostołowie i arcykapłani byli również Żydami — odpowiada Mildred. — Jak ustosunkowujesz się do tego faktu? Przeczytaj *List do Hebrajczyków*. Obecnie Chrystus jest naszym arcykapłanem.

Bertil unosi ręce w geście oznaczającym, że nie ma zamiaru

wdawać się w dyskusję, którą słyszał już wielokrotnie.

- Szanuję was obydwój — mówi. — Stefanie, przystałem na to, żeby w twoim rejonie nie powołano żadnej kobiety. Jeszczeraz pragnę podkreślić, że stawiacie zarówno mnie, jak i parafię w kłopotliwej sytuacji. Skupiacie się na konflikcie. Ja zaś chciałbym wezwać was do zaprzestania polemiki, zwłaszcza tej prowadzonej z ambony.

Nagle zmienia wyraz twarzy z surowego na łagodny. Mruga niemal porozumiewawczo do Mildred.

- Możemy przecież skoncentrować się na naszej wspólnej posłudze. Byłbym rad, gdybym nie musiał wysłuchiwać, że w kościele epatuje się takimi pojęciami, jak dominacja mężczyzn czy struktury płci.

Mildred, proszę, uwierz Stefanowi, kiedy zapewnia, że niczego nie manifestuje, nie biorąc udziału w twoich nabożeństwach.

Mildred ani drgnie. Wbija wzrok w oczy Stefana.

- To jest Słowo Boże — powtarza Stefan, wytrzymując jej spojrzenie. — Nie mogę go pominąć.

- Mężczyźni biją kobiety — odpowiada Mildred. Nabiera powietrza w płuca i mówi dalej. — Mężczyźni ujmują im wartości, dominują nad nimi, szykanują je i zabijają. Albo kaleczą im organy płciowe, odbierają życie żeńskim noworodkom, zmuszają kobiety do zakrywania twarzy chustą, zamykają na klucz, gwałcą, zabraniają się kształcić, oferują niższe zarobki i mniejsze możliwości sprawowania władzy. Odmawiają prawa do święceń kapłańskich. Nie mogę tego pominąć.

Przez trzy sekundy panuje całkowita cisza.

- No nie, Mildred... — próbuje Bertil.

- Przecież ona upadła na głowę! — krzyczy Stefan. — Nazywasz mnie... Porównujesz mnie do mężczyzn, którzy stosują przemoc wobec kobiet? To nie jest dyskusja, to zwykłe oszczerstwo, i nie wiem...

- Co? — pyta chłodno Mildred.

Stoją naprzeciw siebie, gdzieś w tle słyszą apele Bertila i Mikaela Berga: „Uspokójcie się! Usiądźcie!”.

- Co w tym wszystkim jest oszczerstwem?

- Po prostu nie ma takiej możliwości — Stefan zwraca się do przełożonego. — Nie możemy się porozumieć. Nie muszę się godzić na... Nie ma szansy na jakąkolwiek współpracę, chyba to rozumiesz?

- Może dlatego, że nigdy nie potrafiłeś współpracować

- słyszy za sobą Mildred, gdy wybiega z pokoju.

Proboszcz Bertil Stensson stał niemo przed sejfem. Wiedział, że jego młodszy kolega czeka na pocieszające słowa. Lecz cóż miał mu powiedzieć?

To oczywiście, że nie spaliła ani nie wyrzuciła tych listów. Gdyby tylko wcześniej wiedział o ich istnieniu! Był zły na Stefana, że nic mu o nich nie powiedział.

- Czy powinienem wiedzieć o czymś jeszcze? — zapytał.

Stefan Wikström przyglądał się swoim dłoniom. Tajemnica spowiedzi była ciężkim krzyżem.

- Nie — odparł.

Ku swemu zdumieniu Bertil uświadomił sobie, że tęskni za Mildred. Na wieść o morderstwie przeżył szok. Nie przypuszczał jednak, że będzie mu jej brakowało. Z pewnością nie był sprawiedliwy, ale to, co wcześniej lubił u Stefana, tę jego uczynność i... ech, śmieszne słowo, podziw dla szefa... Wszystko to teraz, po śmierci Mildred, odbierał jako uciążliwą służalczość. Te dwie jego pocięchy powinny się uzupełniać. Niejednokrotnie postrzegał ich bowiem jako dzieci, mimo że Stefan ma ponad czterdzieści, a Mildred miała więcej niż pięćdziesiąt lat. Może dlatego, że obydwójce urodzili się w rodzinach proboszczów?

O tak, ona wiedziała, jak drażnić ludzi. Czasami za pomocą minimalnych środków.

Tak było na przykład w trakcie kolacji z okazji święta Trzech Króli. Teraz, gdy pomyślał, jak bardzo się wtedy zirytował, uważał, że był małostkowy. Ale przecież nie wiedział, że to będzie jej ostatnia taka wieczerza.

Stefan i Bertil patrzą jak zaczarowani na stołową inwazję Mildred. Kilka lat wcześniej zapoczątkowali tradycję uroczystych kolacji w święto Trzech Króli. Proboszcz i wikary

siedzą obok siebie, naprzeciw mają Mildred. Kelnerzy sprzątaję po głównym daniu, Mildred mobilizuje siły.

Zaczyna od pozyskania dwóch żołnierzy do swojej małej armii. W jedną rękę bierze młynek do soli, w drugą — do pieprzu. Przykłada je do siebie i puszcza w tany, podczas gdy sama, jakby pogrążona w myślach, przysłuchuje się konwersacji prowadzonej przy stole. Rozmawia się o intensywnym okresie bożonarodzeniowym, który właśnie się kończył, o grasującym ostatnio męczącym przeziębieniu i tego typu sprawach. Mildred wgniata do środka miękkie brzegi świecy. Bertil zauważa wtedy, że Stefan niemal trzyma się kantu stołu, by nie wyrwać jej świecznika i nie krzyknąć: „Przestań we wszystkim dłużyć!”. Kieliszek wciąż stoi po jej stronie, niczym królowa na szachownicy oczekująca na swoją kolej.

Kiedy później Mildred zaczyna opowiadać o wilku, o którym przed świętami pisano w gazetach, bezwiednie przesuwa w stronę kolegów solniczkę i pieprzniczkę. Po chwili wprawia w ruch kieliszek. Relacjonuje wędrówkę zwierzęcia z Rosji przez Finlandię; szkło w jej dłoni zatacza ogromne kręgi, wyciągnięte ramię przekracza wszelkie granice. Zaróżowione winem policzki płoną. Mildred mówi bez przerwy. Co jakiś czas przestawia nakrycie stołu. Stefan i Bertil czują się dziwnie spięci i skrepowani jej posuwistymi ruchami po obrusie.

Trzymaj się swojej strony stołu!, chcieliby krzyknąć.

A ona zdradza im swoje plany. Pod auspicjami Kościoła chciałaby założyć fundację chroniącą wilka. Uważa, że Kościół jako właściciel ziemi ma w zasadzie obowiązek ochraniać zwierzęta.

Bertil, pod wrażeniem jednoosobowej szachowej krucjaty, przechodzi do kontrataku.

- Moim zdaniem Kościół powinien skupiać się na swojej podstawowej działalności, czyli na posłudze w parafiach, a nie na uprawie lasu. W zasadzie nie powinniśmy być nawet właścicielami tego lasu. Zarządzanie kapitałem zostawmy innym.

Mildred protestuje.

- Jesteśmy powołani do zawiadywania ziemią — mówi.

- Jeżeli mamy coś posiadać, to właśnie grunty, nie akcje. Ziemia w rękach Kościoła ma szansę być wykorzystywana we właściwy sposób. Teraz przywędrowała do nas ta wilczyca, przebywa na naszych terenach. Jeśli nie otoczymy jej szczególną pieczę, to długo nie pożyje, doskonale o tym wiesz. Wkrótce padnie łupem któregoś z myśliwych albo hodowcy reniferów.

- A fundacja...

- ...temu zapobiegnie, tak! Jeżeli będziemy mieć pieniądze, we współpracy z Urzędem Ochrony Środowiska możemy wilczycę oznakować i śledzić, co się z nią dzieje.

- Ale w ten sposób zrazisz do siebie wielu ludzi — oponuje Bertil. — W Kościele musi być miejsce dla wszystkich: myśliwych i Saamów, i przyjaciół wilków, wszystkich. Dlatego nie możemy opowiedzieć się tylko po jednej stronie.

- A co z naszą powinnością? — pyta Mildred. — Jako chrześcijanie mamy obowiązek chronić Ziemię, w tę ochronę zaś musimy przecież wliczyć gatunki zwierząt zagrożone wyginięciem, prawda? A jeżeli chodzi o apolityczność... Gdyby Kościół od początku miał takie nastawienie, to chyba ciągle jeszcze mielibyśmy niewolnictwo.

Bertil i Stefan nie mogą powstrzymać się od śmiechu. Że też ona zawsze musi tak przesadzać!

Bertil Stensson zatrzasnął drzwiczki sejfu, przekręcił klucz i schował go do kieszeni. W lutym Mildred dopięła swego i założyła fundację. Ani on, ani Stefan nie wyrazili sprzeciwu.

Cały ten pomysł z fundacją złościł Bertila od samego początku. Teraz zaś, gdy spojrzął na wszystko z perspektywy czasu, najbardziej irytowało go to, że on sam nie protestował ze zwykłego tchórzostwa. Bał się, że będzie postrzegany jako przeciwnik wilków i Bóg wie co jeszcze. Udało mu się jednak przekonać Mildred do mniej prowokującej nazwy niż Fundacja na rzecz Ochrony Wilków na Północy. Stało na Fundacji Parafii Jukkasjärvi na rzecz Ochrony Dzikich Zwierząt. Zarówno Mildred, Stefan, jak i Bertil zostali upoważnieni do reprezentowania fundacji samodzielnie.

Wczesną wiosną, kiedy żona Stefana pojechała z dwojgiem

najmłodszych dzieci do swojej mamy pod Katrine- holmem i zatrzymała się tam na dłużej, Bertil przestał o tym wszystkim myśleć.

Później, już po fakcie, oczywiście trochę mu cała ta sytuacja doskwierała.

Choć Stefan powinien był oczywiście coś powiedzieć, pomyślał na swoją obronę.

*

Rebeka zaparkowała na podwórzu przed domem swojej babci w Kurravaarze. Nalle wyskoczył z samochodu i zaciekawiony obiegł dookoła budynek.

Jak szczęśliwy szczeniak, pomyślała Rebeka, gdy patrzyła, jak chłopak znika za węglem.

Po chwili ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Przecież nie można go porównywać do psa.

Wrześniowe słońce na szarym eternicie. Łagodne strumienie wiatru płynące przez wysokie trawy, jesiennie wyblakłe i mało pożywne. Niska woda w rzece, w oddali jakaś łódź. Dolatujący z drugiej strony odgłos piły tarczowej. Poza tym cisza i spokój.

Lekka bryza na twarzy, jak delikatne muśnięcie dłonią.

Rebeka jeszcze raz spojrzała na dom. Okna były w opłakanym stanie. Należałoby zdjąć je z zawiasów, oskrobać, wymienić kit i pomalować. Tą samą ciemnozieloną farbą, żadną inną. Pomyślała o upchanej w zejściu do piwnicy wełnie mineralnej, która miała chronić przed zimnym powietrzem, szronem na ścianach i plamami wilgoci. Powinno się ją stamtąd usunąć, a całość porządnie uszczelnić i ocieplić. Zamontować wentylator. Zbudować solidną ziemiankę. Uratować pozbawioną szyb szklarnię, zanim będzie za późno.

- Chodź, wejdzimy do środka! — krzyknęła do Nallego, który stał w zagrodzie Larssonów przy spichlerzu z czerwono-brązowych bali i próbował otworzyć drzwi.

Przybiegł na skróty przez pole ziemniaków. Buty oblepiły się błotem.

- Pani? — odezwał się, wskazując na nią, gdy wszedł na ganek.

- Rebeka — odpowiedziała. — Mam na imię Rebeka.

Skinął głową. Wkrótce zapyta ją ponownie. Zrobił to już kilkakrotnie, ale jeszcze ani razu nie wypowiedział jej imienia. Weszli po schodach do kuchni. Wychłodzonej i wilgotnej. Wewnątrz było zimniej niż na dworze. Nalle przekroczył próg jako pierwszy. Bez zażenowania otwierał po kolei szafy i schowki, szafki i szuflady.

Świetnie, pochwaliła go w myślach Rebeka. Otwieraj, niech wylecą wszystkie duchy.

Uśmiechnęła się do olbrzymiej, niezdarnej postaci, do krzywych, filuternych uśmiechów, które czasami jej posyłał. Jak dobrze, że tu z nią przyjechał.

Rycerz na koniu może wyglądać również w ten sposób.

Ponieważ wszystko było tak jak dawniej, ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa. Objęło ramieniem. Posadziło na sofie obok Nallego, który znalazł karton po bananach pełen starych komiksów i wybierał najciekawsze, wszystkie kolorowe. Najwięcej z Kaczorem Donaldem. *Agent X-9*, *Fantoma* i *Bustera* włożył z powrotem do pudła. Rebeka rozejrzała się. Pomalowane na niebiesko krzesła ustawione wokół wypolerowanego starością stołu z dwiema klapami. Brzęcząca lodówka. Czarny piec firmy NÄfveqvarn i białe kafelki z naklejkami przedstawiającymi różne przyprawy. Obok pieca na drewno stał piec elektryczny, z pomarańczowymi i brązowymi pokrętkami. Wszędzie widać babciną rękę. Na drewnianej półce nad piecem obok suszonych kwiatów tłoczyły się garnki i chochelki z nierdzewnej stali. Żona wujka Affego, Inga Liii, ciągle jeszcze wieszała tam bukieciki. Kocanka, wrotycz, wełnianka, jaskier i krwawnik. Nawet kilka różowych nieśmiertelników z kwaciarni, choć tych za czasów babci nie było. Utkane przez babcie gałgankowe dywaniki, również na ławie kuchennej, jako osłona. Wyszywane obrusiki leżące na wszystkim, nawet na stojącej w kącie starej maszynie do szycia z napędem na pedały. Szerokie haftowane taśmy przytrzymujące tace, między innymi tę wyłożoną zapalkami, którą dziadek zrobił w ostatnim okresie życia, kiedy już był chory. Dekoracyjne poszewki na poduszki, wszystkie utkane lub wydziergane na szydełku przez babcie.

Czy mogłabym tutaj zamieszkać?, zadała sobie pytanie. Spojrzała na łąkę. Od jakiegoś czasu nikt jej nie kosił ani nie wypalał, to było widać na pierwszy rzut oka. Trawa rosła kępami, przedzierając się przez zeszlóroczną, splątaną i spleśniałą warstwę. Pod spodem nornice wykopały z pewnością tysiące korytarzy. Stąd, z góry, Rebeka mogła też zobaczyć, jak wygląda dach obory. Ciekawe, czy w ogóle da się go jeszcze uratować. Nagle poczuła się przygnębiona. Opuszczony dom umiera. Powoli, ale nieodwracalnie. Kruszy się i przestaje oddychać. Pęka, zapada się, zarasta grzybem.

Od czego zacząć?, zastanawiała się. Same okna to praca na dobrych kilka tygodni albo i więcej. Nie potrafię kryć dachów. Na balkon lepiej nie wychodzić, bo może nie wytrzymać.

Wtem całym domem zatrzęsło. Na dole trzasnęły drzwi. Wydając delikatne dźwięki, zatańczył niewielki dzwonek rurowy z napisem: „Jopa virkki puu visainen kielin kante- lon kajasi tuota soittoa suloiista”¹⁶.

Głos Sivvinga rozbrzmiał w każdym kącie. Wspiął się po schodach, przedarł przez drzwi sieni.

- Halo!

Po kilku sekundach mężczyzna stanął w progu kuchni. Sąsiad babci. Rozrośnięty na wszystkie strony. Włosy białe i miękkie jak wiosenne bazie. Pożółkły podkoszulek wojskowy pod solidną niebieską kurtką. Szeroki uśmiech na widok Rebeki, która właśnie podniosła się z ławy.

- Rebeka!

Nie powiedział nic więcej. Dwa kroki i już stał przy niej. Otoczył ją ramionami.

Nie mieli w zwyczaju się obejmować nawet wtedy, gdy była dzieckiem. Ale tym razem nie zeszywniała, wręcz przeciwnie. Zamknęła oczy na dwie sekundy, dokładnie tyle, ile trwało powitanie. Wyplynęła na morze spokoju. Jeśli nie liczyć uścisków dłoni, to żaden człowiek nie dotknął jej od... imprezy firmowej na Lido, kiedy Erik Rydén, witając się z nią, wziął ją w

16.Jopa virkki... (fiń.) – „Przemówiły słoje drzewa/Struny graniem rozbrzmiewały/Owym błogim brzmieniem” (cytat z Kalevali, fińskiego eposu narodowego, w przekładzie Jerzego Litwiniuka).

objęcia. Wcześniej zaś — jakieś pół roku temu, gdy w przychodni pobrano jej krew do badania.

Sivving rozluźnił uścisk, ciągle jednak trzymał ją za lewe ramię.

- Jak się masz?

- Dobrze — odpowiedziała z uśmiechem.

Na moment twarz mu spoważniała. Zajrzał Rebecę w oczy, a po chwili puścił jej rękę i znów się uśmiechnął.

- Masz ze sobą towarzysza!

- Tak jest! Ma na imię Nalle.

Nalle siedział zagłębiony w lekturze *Kaczora Donalda*. Nie wiadomo było, czy umie czytać, czy tylko ogląda obrazki.

- W takim razie zapraszam do siebie na kawę, bo mam w domu coś precudownego, koniecznie musicie zobaczyć! Nalle, pijesz kawę, czy do drożdżówki wolisz sok?

Nalle i Rebeka poszli za Sivvingiem jak dwoje cieląt.

Sivving, pomyślała Rebeka i uśmiechnęła się pod nosem. Będzie dobrze. Powoli zrobi się jedno, potem drugie okno.

Dom Sivvinga Fjällborga stał po drugiej stronie drogi. Rebeka powiedziała, że przyjechała do Kiruny służbowo, a później wzięła kilka dni urlopu. Sąsiad nie zadawał uciążliwych pytań. Na przykład, dlaczego wnuczka sąsiadki nie nocuje w Kurravarze. Ona natomiast zarejestrowała, że Sivving powłóczy lewą nogą, lekko, choć zauważalnie, a jego lewe ramię zwisa trochę bezwładnie wzdłuż tułowia. Ale też o nic nie pytała.

Od kilku lat Sivving mieszkał w domowej kotłowni, w piwnicy. W ten sposób zmniejszył powierzchnię do sprzątnięcia i poczucie pustki. Z reszty domu korzystał tylko wtedy, gdy z wizytą przyjeżdżały do niego dzieci i wnuki. Kotłownię urządził bardzo przytulnie. Potrzebne na co dzień naczynia i sprzęty kuchenne mieściły się na ciemnej bejcowanej półce. Przy jednej ze ścian stało łóżko, oprócz którego w pomieszczeniu znajdowały się: niewielki stół kuchenny z laminowanym blatem, krzesło, szafka na miednicę i maszynka elektryczna.

Na posłaniu obok łóżka leżała wyżlica Bella, przy niej zaś — czworo szceniąt. Suka podniosła się szybko i przywitała z gośćmi. Nie miała czasu na dłuższe pieszczoty, wciągnęła tylko w nozdrza zapach przybyszów, a potem dwa razy trąciła

pyskiem swojego pana i polizała go w rękę.

- Dobrze, dobrze, kochana — odpowiedział Sivving. — No i co, Nalle? Śliczne, prawda?

Nalle jakby go nie słyszał. Z uniesieniem wpatrywał się w szczenięta.

- O! — powiedział. — O! — powtórzył i przykucnąwszy przed posłaniem, wyciągnął rękę po jednego ze śpiących maluchów.

- Nie wiem... — zaczęła z obawą Rebeka.

- Spokojnie, niech weźmie — odparł Sivving. — Bella okazuje się bardziej ufną mamą, niż przypuszczałem.

Suka położyła się obok pozostałych trojga szczeniąt. Nie spuszczała oczu z Nallego, który podniósł czwartego i usiadł z nim w objęciach, oparty o ścianę. Obudziwszy się, malec próbował atakować rękę i rękaw chłopca.

- I pomyśleć, że one właśnie tak funkcjonują — zaśmiał się Sivving. — Jakby miały wmontowany przycisk on/off. W jednej sekundzie kręcą się jak fryga, a w drugiej- bum! — padają i śpią. Pili kawę w milczeniu. Nie przeszkadzała im cisza. Wystarczało im, że patrzą na leżącego na plecach Nallego i czworo szczeniąt, które — pokonawszy jego nogi — tarosiły go za ubranie i walecznie wspinały się na pokaźny brzuch. Bella wykorzystwała okazję, by wyżebrać przy stole drożdżówkę. Gdy usiadła koło Rebeki, z pyska zwisały jej dwie nitki śliny.

- Widzę, że nauczyłaś się ładnie prosić! — zaśmiała się Rebeka.

- Na posłanie! — krzyknął Sivving, wskazując ręką kierunek.

- Myślę, że ona słabo słyszy na to ucho, którym cię słucha. — Rebeka śmiała się coraz donośniej.

- Sam jestem sobie winien — przyznał Sivving. — Ale wiesz, jak to jest. Człowiek siedzi tu sam jak kolek i... jak tu nie ulec takim prośbom? No więc dzielę się tym, co mam, a potem...

Rebeka skinęła głową.

- Wiesz co? — powiedział nagle radośnie. — Jak już masz ze sobą takiego rosłego młodzieńca, to moglibyście mi pomóc wyciągnąć pomost. Myślałem, że wywlekę go na brzeg traktorem, ale obawiam się, że nie wytrzyma.

Pomost był przesiąknięty wodą i ciężki. Rzeka niska i niespieszna. Nalle z Sivvingiem stali w wodzie i ciągnęli każdy

ze swej strony. Ostatnie w tym sezonie owady kąsały ich w karki. Słońce i wysiłek sprawiły, że wkrótce na brzegu urosła kupka ubrań. Nalle włożył zapasowe gumowce Sivvinga. Rebeka przebrała się w domu babci. Jeden kalosz był popękany i już po chwili przemoczyła skarpetę. Teraz stała na brzegu i ciągnęła pomost z całych sił. W bucie czuła chlupiącą wodę. Na plecach — strużki potu. U nasady włosów również. Mokre i słone.

- W końcu człowiek czuje, że żyje! — wydyszała.

- W każdym razie ciało — odparł Sivving.

Spojrzał na nią z zadowoleniem. Wiedział, że ciężka fizyczna praca może być ratunkiem dla cierpiącej duszy. Miałby ją czym zająć, gdyby wróciła tu na dłużej. Później jedli w kotłowni mięsną zupę z chlebem. Sivving wyczarował trzy stolki i wszyscy zmieścili się przy stole. Rebeka założyła suche skarpety.

- Cieszę się, że ci smakuje — powiedział Sivving do Nallego, który wlewał w siebie zupę, zagryzając chlebem z grubą warstwą masła i sera. — Możesz tu przyjeżdżać i pomagać mi jeszcze nieraz.

Nalle skinął głową z ustami pełnymi jedzenia. Bella leżała na posłaniu z czwórką ssących maluchów. Czasami strzygła uszami. Mimo zamkniętych oczu wszystkich kontrolowała.

- Ty także, Rebeko, jesteś mile widziana — dodał.

Przytakując, wyjrzała przez okno w piwnicy.

Czas płynie tu wolniej, pomyślała. Chociaż oczywiście upływa. Nowy pomost. Nowy dla mnie, bo przecież ma już parę lat. Kot, który właśnie znika w trawie, to nie stara Mirri Larssonów. Mirri już dawno nie żyje. Nie wiem, jak wabią się psy szczekające w oddali. Kiedyś wiedziałam. Rozpoznawałam ochryple i zapalczywe ujadanie walecznej Pilkki. Mogła tak w nieskończoność. Sivving. Niedługo będzie potrzebował pomocy w odśnieżaniu i zakupach. Może potrafiłabym tu wytrzymać?

*

Anna Maria Mella wjechała swoim czerwonym fordem na podwórze zagrody Magnusa Lindmarka. Zdaniem Lisy Stockel

i Erika Nilssona ów mężczyzna nie robił tajemnicy z tego, że nienawidził Mildred. Kiedyś poprzecinał jej opony w samochodzie i podłożył ogień pod stodołę należącą do plebanii. Właśnie mył volvo; na widok gościa odłożył wąż. Miał około czterdziestki. Był raczej niski, choć krzepki. Kiedy komisarz wysiadła z samochodu, podwinął rękawy koszuli. Może chciał zademonstrować muskuły.

- Prowadzi pani lokomotywę parową?

Po chwili zrozumiał, że ma do czynienia z policjantką. Anna Maria widziała, jak zmienia się jego twarz, jak wstępuje na nią pogarda przemieszana ze sprytem. Powinna była wziąć ze sobą Svena Erika.

- Nie mam ochoty odpowiadać na żadne pytania — oznajmił mężczyzna, zanim komisarz w ogóle otworzyła usta.

Anna Maria się przedstawiła. Nie mogła go do niczego zmusić.

- Nawet pan nie wie, o co chciałam zapytać — spróbowała.

- W porządku, niech zgadnę — powiedział, nadając twarzy sztuczny wyraz zamyślenia. Palcem wskazującym pocierał brodę. — O cipec, a nie pastor, która dostała to, na co zasłużyła? A teraz muszę się wsłuchać w siebie i sprawdzić, czy mam ochotę o tym mówić. Oj, nie, nie mam ochoty.

Oho, pomyślała Anna Maria. Facet nieźle się nakręca.

- Okej — odparła, uśmiechając się niedbale. — No to nie pozostaje mi nic innego, jak wsiąść do lokomotywy parowej i odjechać.

Obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem. Na pewno mnie zawoła, zdążyła pomyśleć.

- Jak złapiecie kolesia, który ją zabił, to zadzwonie do mnie. Przyjadę i uścisknę mu dłoń.

Zrobiła jeszcze kilka kroków. Trzymając rękę na klamce, odwróciła się w stronę mężczyzny. Milczała. - To była pierdolona dziwka! Dostała to, na co zasłużyła. Nie masz notesu? Zapisz!

Anna Maria wyciągnęła z kieszeni notatnik i długopis. Napisała: „pierdolona dziwka”.

- Wygląda na to, że Mildred Nilsson wzburzała w ludziach krew — powiedziała jakby do siebie.

Mężczyzna podszedł do niej; zatrzymał się niepokojąco blisko.

- Zebyś, kurwa, wiedziała! — przyznał jej rację.

- Dlaczego był pan na nią zły?

- Zły? — zapytał i splunął. — Zły to jestem na psa idiotę, jak stoi pod drzewem i szczeka na wiewiórkę. Żaden ze mnie farbowany lis; przyznaję otwarcie, że jej nienawidziłem. Zresztą nie tylko ja.

Mów dalej, pomyślała Anna Maria, potakując ze zrozumieniem.

- Dlaczego pan jej nienawidził?

- Bo rozwalila mi małżeństwo, dlatego! Bo chłopak zaczął się moczyć w łóżku, jak miał jedenaście lat! Mieliśmy trochę problemów, Anki i ja, to fakt, ale po tym, jak żona porozmawiała z Mildred, nie było już mowy o ich rozwiązaniu. Powiedziałem: „Jak chcesz iść do poradni rodzinnej, to ja też pójdę”, ale ta pierdolona pastor tak długo tłukła jej różne rzeczy do głowy, aż Anki w końcu mnie zostawiła. Wzięła ze sobą dzieci. Nie wiedziała pani, że Kościół się czymś takim zajmuje, prawda?

- Nie, ale...

- Anki i ja klóciliśmy się, to prawda. Ale czy pani też się czasem nie prztyka ze swoim facetem? - Często. Ale pan był tak rozjuszony, że...

Przerwała, wertując notatki.

- ...podłożył ogień pod jej stodołę, przedziurawił opony, rozbił szyby w szklarni...

Magnus Lindmark uśmiechnął się do niej szeroko i oznajmił aksamitnym głosem:

- Tylko że to nie byłem ja.

- Ach tak? A co robił pan w nocy w wigilię midsom- mar?

- Już mówiłem. Spałem u kumpla.

Anna Maria przeczytała w notatniku.

- Fredrik Korpi. Często nocuje pan u kolegów?

- Jak człowiek jest tak nawalony, że nie może prowadzić samochodu, to...

- Powiedział pan, że nie tylko pan nienawidził Mildred Nilsson. Kto jeszcze?

Mężczyzna zatoczył ręką łuk.

- Każdy.

- Słyszałam, że była też lubiana.

- Przez masę histerycznych bab.

- I część mężczyzn.

- Którzy też są histerycznymi babami. Proszę zapytać kogośkolwiek, przepraszam za wyrażenie, prawdziwego mężczyznę, to się pani dowie. Ona zaczęła się czeplić nawet koła łowieckiego. Chciała cofnąć dzierzawę i chuj wie co jeszcze. Ale jeżeli pani myśli, że Torbjörn ją zabił, to grubo się pani, kurwa, myli.

- Torbjörn?

- Torbjörn Ylitalo, leśniczy zatrudniony przez Kościół i przewodniczący związku łowieckiego. Wiosną wybuchła wielka awantura. On z pewnością chętnie wsadziłby jej strzelbę do jadaczki. Ożeż kurwa, jak ona zaczęła z tą swoją wilczą fundacją... A to przecież wszystko kwestia różnic klasowych. Pierdolone sztokholmczyki! Cholernie łatwo kochać im dzięki zwierzątka. Ale tego dnia, gdy wilki pojawią się na ich polach golfowych i na werandach, na których sztokholmczyki sączą sobie drinki, gdy zaczną im zżerać pudle na podwieczorek, wtedy dopiero, kurwa, zaczniesz się polowanie!

- Z tego, co wiem, Mildred nie pochodziła ze Sztokholmu.

- Nie, ale gdzieś tam z południa. Kuzyn Torbjörna stracił przez wilki elkhunda. W dziewięćdziesiątym dziewiątym, jak pojechał do teściów na Boże Narodzenie. To był myśliwski czempion, miał dyplom tropowca. Wie pani, ten kuzyn siedział u Mickiego i płakał, kiedy opowiadał o tym, jak go znalazł. Albo raczej jego resztki. Został tylko szkielet i trochę krwawych ochłapów.

Obserwował ją. Miała twarz bez wyrazu. Czyżby myślał, że ona zemdleje na wieść o szkielecie i krwi? Zrozumiawszy, że nie usłyszy od niej żadnego komentarza, mężczyzna odwrócił głowę, spojrział na wierzchołki sosen i podążył wzrokiem za strzępami obłoków na zimnym błękicie nieba.

- Musiałem iść do adwokata, żeby móc spotkać własne dzieci. Kurwa mać! Mam nadzieję, że cierpiała, zanim wyzionęła ducha. Prawda, że cierpiała?

*

Kiedy Rebeka i Nalle wrócili do „Baru i kuchni Mickego”, dochodziła piąta po południu. Lisa Stöckel szła w kierunku gospody; Nalle wybiegł jej na spotkanie.

- Pies! — wołał, wskazując na Majken Lisy. — Malutki!

- Oglądaliśmy szczenięta — wyjaśniła Rebeka.

- Beka! — krzyknął, pokazując swoją towarzyszkę podróży.

- Oho, teraz będzie pani popularna — uśmiechnęła się Lisa.

- Szczeniaki są nie do przebiccia — odpowiedziała nieśmiało Rebeka.

- Chyba psy w ogóle — dodała Lisa. — Prawda, że lubisz psy, Nalle? Słyszałam, że pani zaopiekowała się dziś chłopcem. Bardzo pani dziękuję. Mogę pokryć koszty jedzenia czy innych rzeczy — wyciągnęła z kieszeni portfel.

- Nie, nie trzeba! — zapewniła Rebeka i machając gwałtownie ręką, niechcący wytrąciła Lisie portfel z dłoni.

Wypadły z niego plastikowe karty. Biblioteczna, ze spółdzielni spożywców, z sieci ICA, karta płatnicza VISA i prawo jazdy.

I fotografia Mildred.

Lisa pochyliła się, by wszystko zgarnąć, ale Nalle zdążył już podnieść zdjęcie. Zostało zrobione podczas wycieczki autobusowej zorganizowanej przez „Magdalenę”. Jechały na rekolekcje do Uppsali. Zatrzymały się gdzieś po drodze, by rozprostować nogi. Zaskoczona Mildred śmiała się, protestując, do obiektywu. Aparat trzymała Lisa.

- Hired! — wykrzyknął Nalle i przytulił fotografię do policzka.

Uśmiechał się do Lisy, która stała przed nim z niecierpliwie wyciągniętą ręką. Musiała się powstrzymać, by nie wyrwać mu zdjęcia. Co za szczęście, że nikt więcej tego nie widzi.

- Byli sobie bardzo bliscy — wyjaśniła, wskazując głową chłopca, który wciąż przyciskał zdjęcie Mildred do policzka.

- To musiała być wyjątkowa pastor — powiedziała Rebeka z powagą.

- Bardzo. Bardzo wyjątkowa.

Rebeka pochyliła się i pogłaskała psa.

- On jest prawdziwym darem — odezwała się znów Lisa. —

Człowiek zapomina o kłopotach, gdy przebywa w jego towarzystwie.

- To nie jest suka? — zapytała Rebeka ze zdziwieniem, zaglądając zwierzęciu pod brzuch.

- Mówię o Nallem — wyjaśniła Lisa. — A to jest Maj-ken — przedstawiła labradorkę, poklepując ją z roztargnieniem. — Mam dużo psów.

- Lubię psy — wyznała Rebeka i pogłaskała Majken po uszach. Gorzej z ludźmi, co?, pomyślała Lisa. Wiem. Też taka byłam. Chyba wciąż taka jestem. Chociaż Mildred do wszystkiego potrafiła mnie przekonać. Od samego początku. Na przykład do wykładu na temat prywatnych finansów. Próbowала odmówić. Ale Mildred była... uparta, to śmieszne słowo. Nie można zawrzeć w nim opisu tej kobiety.

- Nie obchodzą cię? — pyta Mildred. — Nie obchodzą cię inni ludzie?

Lisa siedzi na podłodze z Brunonem, obcina mu pazury.

Majken stoi obok niczym czujna pielęgniarzka. Pozostałe psy czekają w sieni, licząc, że ich kolej nigdy nie nadejdzie. Jeśli będą leżały cicho i spokojnie, to może Lisa o nich zapomni?

Mildred siedzi na ławie i wyjaśnia, o co jej chodzi. Jak gdyby błąd polegał na tym, że Lisa nie potrafi zrozumieć. Organizacja „Magdalena” chce pomóc kobietom, które finansowo znalazły się na lodzie. Przez długi czas bezrobotne, przebywają na długotrwałych zwolnieniach lekarskich, korzystają z zasiłków, komornik depcze im po piętach, a szuflady mają pełne papierów z biur inkasowych, różnych instytucji i Bóg wie czego jeszcze. Mildred dowiedziała się przypadkiem, że Lisa pracuje w gminie jako doradczyni finansowa. Namawia ją więc, żeby przygotowała kurs dla tych kobiet. Żeby pomogła im uporządkować domowe budżety.

Lisa chce odmówić. Powiedzieć: tak, to prawda, nie obchodzą mnie inni ludzie. Powiedzieć, że dba tylko o swoje psy, koty, kozy, owce i jagnięta. O chudą jak szczapa kłępę, którą dokarmiła zeszłej zimy.

- Nie przyjdą na żaden wykład — odpowiada, obcinając ostatni

pazur Brunona. Klepie go czule na pożegnanie i odsyła do zwierzaków w sieni. Podnosi się z podłogi.

- Kiedy je zaprosimy, powiedzą: „O, jaki świetny pomysł!” — mówi dalej. — A później już nigdy się nie pojawią.

- Zobaczymy — kwituje Mildred, mrużąc oczy.

Po chwili rozciąga w szerokim uśmiechu te swoje borówkowe usta. Pokazuje rząd zębów, drobnych jak u dziecka.

Lisie uginają się kolana. Spogląda w drugą stronę i mówi: „No dobrze, przyjdę”, tylko po to, żeby pastor już sobie poszła, zanim ona sama padnie jak długa.

Trzy tygodnie później Lisa wygłasza wykład przed grupą kobiet. Rysuje na białej tablicy koła i kawałki tortu — czerwone, zielone i niebieskie. Zerka ukradkiem na Mildred, choć ledwie ma odwagę spojrzeć w jej stronę. Przygląda się za to innym słuchaczkom. Ubranym trochę odświętnie, a jakże. Tanie bluzeczki, zmechacone swetry. Biżuteria w złotym kolorze. Prawie wszystkie słuchają z uwagą. Inne wbijają w wykładowczynię niemal nienawistny wzrok, jak gdyby to ona była przyczyną ich niepowodzeń.

Wkrótce Lisa daje się wciągnąć w inne projekty organizacji. Niejako z rozpędu. Przez jakiś czas uczestniczy nawet w studiach kółka biblistycznego. W końcu jednak się poddaje. Nie może patrzeć na Mildred, bo ma wrażenie, że wszyscy czytają jej z twarzy jak z otwartej książki. Nie potrafi oderwać od niej wzroku, to przecież widać wyraźnie. Nie wie, gdzie się podziać. Nie słyszy, co mówią ludzie. Gubi długopis, gubi watek. W końcu przestaje tam przychodzić.

Trzyma się z daleka od organizacji. Nie może sobie znaleźć miejsca, czuje się dotknięta nieuleczalną chorobą. Budzi się w środku nocy. Wciąż myśli o pastor. Zaczyna biegać. Dziesiątki kilometrów. Najpierw wzdłuż szosy. Później, gdy ziemia jest już wystarczająco sucha — po lesie. Jedzie do Norwegii i kupuje jeszcze jednego psa, springer spaniela. Przez jakiś czas ma zajęcie. Wymienia kit we wszystkich oknach i nie pożyczka jak wcześniej glebogryzarki od sąsiada, tylko w jasne majowe wieczory przekopuje ręcznie całe poletko pod ziemniaki. Czasami słyszy, jak w domu dzwoni telefon, ale nie podnosi

słuchawki.

- Możesz mi już oddać fotografię, Nalle? — poprosiła Lisa, starając się, by jej głos zabrzmiał jak najbardziej neutralnie. Chłopiec trzymał zdjęcie obiema rękami. Uśmiech na twarzy od ucha do ucha.

- Hired — powiedział. — Hušta.

Lisa, wpatrzona w Nallego, w końcu odebrała mu zdjęcie.

- Tak, hušta — powtórzyła bezwiednie.

I zaraz odezwała się do Rebeki, może zbyt szybko, choć ta chyba nic nie zauważyła.

- Nalle był konfirmantem Mildred. Nauczanie go przed konfirmacją było dość... niekonwencjonalne. Pastor zrozumiała, że on jest tylko dzieckiem. Huštali się więc na placu zabaw, pływali łódką i jedli pizzę. Prawda, Nalle, że ty i Mildred

jedliście pizzę? Quattro stagione, nie?

- Dzisiaj zjadł trzy porcje zupy — wtrąciła Rebeka.

Nalle ruszył w kierunku kurnika. Rebeka krzyknęła za nim: „do widzenia!”, ale jakby nie słyszał.

Lisa też sprawiała wrażenie nieobecnej. Chyba naprawdę nie słyszała pożegnalnych słów Rebeki, gdy ta ruszyła w stronę swojego domku kempingowego. Odpowiedziała coś z roztargnieniem, odprowadzając wzrokiem Nallego.

Lisa podążyła śladem chłopca jak lis za swą ofiarą. Kurnik leżał na tyłach gospody. Wciąż myślała o tym, co powiedział Nalle, gdy zobaczył Mildred na zdjęciu. „Hired. Hušta”. Przecież on się nigdzie nie huštał. Chciałaby zobaczyć huštawkę w jego rozmiarze! Nie mogli być więc razem na placu zabaw.

Nalle otworzył drzwi do kurnika. Miał jak zwykle zebrać jajka dla Mimmi.

- Nalle! — próbowała zwrócić jego uwagę. — Nalle, widziałeś, jak Mildred się hušta?

Uniosła rękę wysoko nad głowę.

- Hušta! — odparł.

Weszła za nim do środka. Patrzyła, jak chłopak wkłada ręce

pod wysiadujące kury i wyjmując jajko za jajkiem. Śmiał się, gdy ze złością dziobały go po dłoniach.

- Czy to było wysoko? To była Mildred?

- Hired — odparł chłopiec.

Włożył jajka do kieszeni i wyszedł.

Boże drogi, co ja wyprawiam, pomyślała Lisa. Przecież on tylko powtarza moje słowa. - Widziałeś rakiety? — zapytała, naśladując ręką tor lotu. — Łuuusz!

- Łuuusz! — uśmiechnął się Nalle i zamaszystym ruchem wyciągnął jajko z kieszeni.

Na szosie stanął samochód Larsa Gunnara. Zatrąbił.

- Twój tatuś — oznajmiła Lisa.

Podniosła rękę w geście pozdrowienia. Czowała, jak niechętna i sztywna jest jej dłoń. Ciało ją zdradzało. Nie potrafiła zmierzyć się wzrokiem z tym mężczyzną, nie potrafiła z nim zamienić nawet słowa.

Zatrzymała się za gospodą, patrząc, jak Nalle biegnie do samochodu.

Nie myśl o tym, upomniała samą siebie. Mildred nie żyje. Nic nie może tego zmienić.

*

Anki Lindmark mieszkała na drugim piętrze przy Kyrkogatan 21D. Na dźwięk dzwonka uchyliła drzwi i spojrzała na Annę Marię zza łańcucha zabezpieczającego. Miała trzydzieści lat, może trochę mniej. Włosy rozjaśnione domowym sposobem, z odrostami. Długi sweter i dżinsowa spódnica. Przez szparę w drzwiach Anna Maria zauważyła ze zdumieniem, że kobieta jest dość wysoka, z pewnością o pół głowy wyższa od byłego męża. Komisarz Mella przedstawiła się.

- Czy pani jest byłą żoną Magnusa Lindmarka?

- A co takiego zrobił? — zapytała kobieta, a oczy za łańcuchem momentalnie się powiększyły. — Czy coś się stało chłopcom?

- Nie — uspokoiła ją Anna Maria. — Chciałabym tylko zadać pani kilka pytań. To nie potrwa długo.

Anki Lindmark wpuściła ją do środka. Zabezpieczyła drzwi łańcuchem i przekręciła zamek.

Weszły do czystej i wysprzątananej kuchni. Płatki owsiane, kakao i cukier w plastikowych pojemnikach Tupperware. Niewielka serwetka na mikrofalówce. Na parapecie wazon z drewnianymi tulipanami, szklany ptak i miniaturowe taczki. Do drzwi lodówki i zamrażarki magnesami przyczepione były dziecięce rysunki. W oknach wisiały prawdziwe zasłonki z wiązaniami, zazdrostkami i marszczeniami.

Przy stole siedziała mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta o marchewkowych włosach. Rzuciła Annie Marii nieprzyjemne spojrzenie. Wytrząsnęła z pudełka papierosa i zapaliła.

- To moja mama — wyjaśniła Anki, kiedy usiadły.

- A gdzie są pani dzieci? — zapytała komisarz Mella.

- U siostry. Ich kuzyn ma dzisiaj urodziny.

- Pani były mąż, Magnus Lindmark... — zaczęła Anna Maria.

Usłyszawszy imię byłego zięcia, kobieta z papierosem parsknęła, wydmuchując obłok dymu.

- ...przyznał, że nienawidził Mildred Nilsson — ciągnęła policjantka.

Anki Lindmark potwierdziła skinieniem głowy.

- Dopuścił się też umyślnego uszkodzenia jej mienia — kontynuowała Anna Maria.

Już po sekundzie chciała się ugryźć w język. „Dopuścił się umyślnego uszkodzenia”, co za oficjalna gadka! To zwięzione oczy tej marchewkowej kobiety sprawiły, że nagle stała się taka formalna. Szenie Eriku, przyjdź i pomóż mi!, poprosiła w duchu. On wiedziałby, jak się zwracać do kobiet.

Anki wzruszyła ramionami.

- No więc tak, wszystko, o czym teraz mówimy, zostanie między nami — zapewniła Anna Maria, usiłując przysunąć do siebie szelfy kontynentalne. — Boi się go pani?

- Wyjaśnij, dlaczego tutaj mieszkasz — zachęciła matka.

- No, najpierw, jak od niego odeszłam, to mieszkałam u mamy w Poikkijärvi, w takim małym domku...

- Sprzedałyśmy go — wtrąciła kobieta z papierosem. — Nie możemy się tam teraz pokazywać. Mów dalej!

- ...ale Magnus przynosił mi artykuły z gazet. O pożarach i tego typu rzeczach, i w końcu nie miałam

odwagi tam mieszkać.

- A policja była całkowicie bezradna — dodała matka, uśmiechając się smutno.

- On nie robi nic złego chłopcom, nie. Ale czasami, jak wypije, to... No, to przychodzi i wrzeszczy, kopie w drzwi i wyzywa mnie na schodach... Od kurew i co mu tam do głowy przyjdzie... Dobrze więc, że mieszkamy tutaj, blisko sąsiadów. No i nie mamy żadnych okien na parterze. Zanim dostałam to mieszkanie i odważyłam się zostać sama z chłopcami, to mieszkalam u Mildred. Właśnie wtedy poszły u niej okna, a on... I później te pocięte opony... I pożar w stodole...

- To wszystko sprawka Magnusa?

Anki wbiła oczy w stół. Jej matka pochyliła się ku komisarz Melli.

- Tylko policja, kuźwa, nie wierzy, że to on.

Anna Maria postanowiła nie wdawać się w dyskusję o różnicy między wiarą a możliwością udowodnienia tego, w co się wierzy. Pokiwała tylko w zamyśleniu głową.

- Liczę na to, że znajdzie sobie nową kobietę — powiedziała Anki. — Że urodzą im się dzieci. Chociaż teraz jest trochę lepiej, po tym jak porozmawiał z nim Lars Gunnar.

- Lars Gunnar Vinsa — uzupełniła matka. — Jest policjantem, czy raczej był, już dawno przeszedł na emeryturę. Jest też łowczym w tutejszym kole łowieckim. Pogadał kiedyś z Magnusem. Jeżeli Magnus się czegoś boi, to tego, że straci członkostwo w kole.

Lars Gunnar Vinsa, jasne, że wiedziała, kim jest. Został mu jeszcze tylko rok do emerytury, kiedy zaczęła pracować w Kirunie, ale nigdy nie prowadzili żadnej wspólnej sprawy. Nie mogła więc powiedzieć, że go zna. Wiedziała, że ma upośledzonego syna. Przypomniała sobie też, jak się o tym dowiedziała. Lars Gunnar i jego kolega złapali heroinistkę, która rozrabiała w Kupolen. Lars Gunnar zapytał, czy dziewczyna ma w kieszeniach jakieś strzykawki, bo chciał ją zrewidować. „Nie, skąd, kurwa, zostawiłam w domu”. Włożył więc ręce do jej kieszeni, by je przeszukać, i ukłął się igłą. Dziewczyna przyjechała na komendę z krwawiącym nosem i z

górną wargą jak pęknięta piłka futbolowa. Koledzy nie pozwolili Larsowi Gunnarowi, by złożył na siebie doniesienie, takie chodziły słuchy. To był rok 1990. Żeby dostać pewną odpowiedź na test HIV, trzeba byłoczekać pół roku. W tym czasie dużo mówiło się o jego sześcioletnim synu, opuszczonym przez matkę. Chłopiec miał tylko ojca.

- Czyli Lars Gunnar rozmawiał z Magnusem po pożarze? — zapytała.

- Nie, to było po kocie.

Anna Maria czekała w milczeniu.

- Miałam kotkę — zaczęła Anki i odchrząknęła, jakby coś utkwilo jej w gardle. — Skrällan. Kiedy wyprowadzałam się od Magnusa, chciałam ją wziąć ze sobą, ale nigdzie jej nie mogłam znaleźć. Pomyślałam, że przyjadę po nią innym razem. Bałam się. Nie chciałam spotkać Magnusa. A on wydzwaniał, nawet do mamy. Czasami po nocach. W każdym razie kiedyś zadzwonił do pracy i powiedział, że na klamce u drzwi do mieszkania powiesił torebkę z moimi rzeczami.

Umilkła.

Matka wydmuchnęła w stronę Anny Marii chmurę dymu, która po chwili rozproszyła się w zwiewne welony.

- W torbie była Skrällan — dokończyła opowieść córki

- i jej młode. Piątka. Wszystkie bez głów. Tylko krew i futerko.

- I co pani zrobiła?

- A co miała zrobić? — kontynuowała matka. — Przecież wy nic nie możecie! Nawet Lars Gunnar to powiedział. Jak się przychodzi na policję, to trzeba zgłosić przestępstwo. A to? Mogłoby ewentualnie podpaść pod znęcanie się nad zwierzętami, gdyby koty cierpiały. Ale ponieważ poobcinał im głowy, to z pewnością nie zdażyły się nacierpieć. Można by to zakwalifikować jako umyślne uszkodzenie mienia, gdyby zwierzęta miały jakąś wartość, na przykład były rasowe, albo gdyby chodziło o drogiego psa myśliwskiego. Ale to były zwykłe bure mieszańce.

- Tak — przyznała Anki. — Jednak nie sądzę, żeby mógł zabić...

- No, dobrze, a jak się tu przeprowadziłaś — przerwała jej matka. — Zapomniałaś, jak to było z Peterem?

Zdusiła niedopałek i od razu wyłowiła nowego papierosa. Zapaliła.

- Peter mieszka w Poikkijärvi. Też jest rozwiedziony, ale, Boże, co to za złoty i miły chłopak! No więc Anki i Peter zaczęli się trochę spotykać.

- Jak kumple, nic więcej — wtrąciła córka.

- Pewnego ranka, gdy Peter jechał do pracy, Magnus zajechał mu drogę i wysiadł z samochodu. Nie dało się przejechać, bo Magnus zaparkował w poprzek wąskiej, żwirowej drogi. No więc Magnus wyskakuje z auta, wyciąga z bagażnika kij bejsbolowy i podchodzi do samochodu Petera. Ten siedzi tam w środku, sądzi, że za chwilę umrze, myśli o swoich dzieciach, myśli, że może zostanie rośliną. A Magnus nagle zaczyna rechotać. Potem wraca do auta i rusza z kopyta, aż żwir pryska spod kół. Tak się skończyło wasze randkowanie, no nie, Anki?

- Nie chcę się z nim awanturować. Jest dobry dla dzieci.

- No, tylko że ledwie masz odwagę wyjść do sklepu. Przecież prawie w ogóle nie widać różnicy w porównaniu z tym, jak byłaś jego żoną. Mam tego cholernie dosyć! A policja gównem może!

- Dlaczego był taki zły na Mildred? — zapytała Anna Maria.

- Mówił, że to ona na mnie wpłynęła, i dlatego od niego odeszłam.

- A wpłynęła?

- Nie, wie pani, jestem dorosłym człowiekiem! Sama podejmuję decyzje. I powiedziałam mu to.

- A co on na to?

- „Czy to Mildred kazała ci tak powiedzieć?”

- Wie pani, co robił w noc poprzedzającą midsommar?

Anki pokręciła głową.

- Uderzył kiedyś panią?

- Ale chłopców nigdy.

Nadszedł koniec wizyty.

- Jeszcze tylko ostatnia rzecz — poprosiła Anna Maria.

- Kiedy pani mieszkała u Mildred... Jak odbierała pani jej męża? Jak im się układało?

Anki Lindmark i jej matka wymieniły się spojrzeniami.

Lokalny temat rozmów, pomyślała komisarz Mella.

- Ona przychodziła i wychodziła jak kocica — powiedziała Anki. — Ale on chyba nie miał nic przeciwko temu, więc... No, w każdym razie nigdy nie byli skłóceni ani nic w tym rodzaju.

*

Wieczór nadszedł niepostrzeżenie. Kury stłoczyły się na grzędzie. Wiatr ucichł i położył się w trawie.

Rozmyły się kontury. Trawy, drzewa i domy zlały się w jedno z granatowym niebem. Dźwięki przybliżały się, nabierały ostrości.

Idąc w kierunku gospody, Lisa Stöckel słuchała żwiru pod swoimi stopami. W ślad za nią człapała labradorka Majken. Za godzinę miało się zacząć jesienne zebranie „Magdaleny”, a później wspólna kolacja.

Postanowiła, że zachowa umiar w picciu i spokój. Wytrzyma nerwowo, słuchając tego całego gadania. Że muszą iść dalej bez Mildred. Że Mildred jest teraz obecna w równym stopniu jak za życia. Musi tylko przygryźć wargi i siedzieć na tyłku. Nie wolno jej podnieść się z krzesła i zacząć krzyczeć: „Koniec z nami! Bez Mildred nic nie może być takie jak dawniej! Ona wcale nie jest obecna. Obróci się w proch, a na razie jest gnijącą mazią w ziemi. A wy obróciacie się w zrzedliwe baby z fibromialgią i zwykle plotkary. Będziecie czytały «Poradnik domowy» i «Kuriera ICA» i jak zwykle usługiwały swoim chłopom”.

Kiedy weszła do środka i zobaczyła córkę, ten strumień myśli się urwał.

Mimmi. Przeciągała ścierką po stołach i parapetach. Trójkolorowe włosy zwinięte w dwa grube koki nad uszami. Różowa koronka biustonosza wyzierająca z dekoltu obcisłej czarnej bluzeczki. Zarumienione i spocone policzki; pewnie stała w kuchni i przygotowywała kolację.

- Co nam podasz? — zapytała Lisa.

- Będzie trochę kuchni śródziemnomorskiej. Na przystawkę dostaniecie pieczywo z oliwkami, a do tego różne pasty — odpowiedziała Mimmi, cały czas ścierając kurze. Przeszła do lśniącego blatu kontuaru. Wycierała go teraz do sucha

ręcznikiem, który zawsze nosiła za paskiem fartucha.

- Zrobiłam tzatziki, tapenade i hummus. Później dostaniecie fasolową zupę z pistou. Pomyślałam, że najlepiej trzymać się wersji wegetariańskiej dla wszystkich, połowa z was i tak jest trawożerna.

Podniosła oczy i uśmiechnęła się łobuzersko do matki, która właśnie ściągnęła kaszkiet.

- Matko ty moja! — wybuchła Mimmi. — Coś ty, kurde, zrobiła z głową? Czy teraz psy wygryzają ci przydługie włosy?

Lisa przeciągnęła dłonią po wystrzyżonej czuprynie, usiłując ją wygładzić. Mimmi spojrzała na zegarek.

- Zdążę — zawyrokowała. — Bierz krzesło i siadaj!

Zniknęła za wahadłowymi drzwiami.

- Na deser lody z mascarpone i moroszką — zawołała z kuchni. — Lody są normalnie...

Dokończyła gwizdem zachwytu.

Lisa wyciągnęła na środek krzesło, powiesiła płaszcz na oparciu i usiadła. Majken natychmiast położyła się u jej stóp. Nawet tak krótki spacer zmęczył sędziwą labradorkę; a może coś ją bolało? Prawdopodobnie to drugie.

Lisa siedziała cicho jak w kościele, podczas gdy ręka Mimmi sunęła przez włosy, a nożyczki wyrównywały je na grubość palca.

- Jak teraz będzie? Bez Mildred? — zapytała córka. — Tutaj włosy strasznie ci się skręcają! - Myślę, że będziemy ciągnąć stare projekty, jak zwykle.

- Które?

- Obiady dla matek z dziećmi, czyste majtki i wilczyce.

Projekt „czyste majtki” zaczął się od zbiórki darów.

Okazało się, że praktyczna pomoc, jaką opieka społeczna miała do zaoferowania uzależnionym kobietom, była nastawiona głównie na mężczyzn. W paczkach z odzieżą kobiety znajdowały slipy i jednorazowe golarki, a nie majtki i tampony. Musiały więc zadowolić się męskimi gaciami i pieluchami zamiast podpasek. „Magdalena” zaproponowała urzędowi opieki socjalnej współpracę, która polegała na zakupie majtek, tamponów i innych środków higieny osobistej, na przykład

dezodorantów i balsamów. Później wyszukano współpracowników kontaktów. Nazwisko osoby pierwszego kontaktu przekazywano właścicielowi domu, który zgodził się na wynajęcie mieszkania uzależnionej kobiecie. W razie jakichkolwiek problemów gospodarz mógł zadzwonić do „kontaktu”.

- A co zrobicie z wilczycą?

- Liczymy na to, że wspólnie z Urzędem Ochrony Środowiska zaczniemy ją w końcu monitorować. Wkrótce spadnie śnieg i łatwo ją będzie wytropić, dogonić skuterem. Jeśli nie zapewnimy jej ochrony, ma marną szansę na przeżycie. Odłożyliśmy w fundacji trochę pieniędzy, zobaczymy.

- W każdym razie teraz już się nie wymigasz! — zawyrokowała Mimmi. - Co masz na myśli?

- Teraz ty będziesz siłą napędową „Magdaleny”.

Lisa zdmuchnęła kilka włosów, które kłuły ją pod okiem.

- Nigdy!

Mimmi się roześmiała.

- Myślisz, że masz wybór? To trochę humorystyczne, bo przecież raczej nie jesteś typem zaangażowanej działaczki. Chyba nigdy nie przyszłoby ci do głowy, że...? Boże, jak się dowiedziałam, że zostałeś przewodniczącą... Micke musiał mi udzielić pierwszej pomocy.

- Nie wątpię — odparła sucho Lisa.

Jasne, w duchu przyznała córce rację. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy. Dużo rzeczy, które mnie dotyczą, nie przyszłoby mi do głowy...

Palce Mimmi w jej włosach. Szczęk nożyczek.

Ten wczesnoletni wieczór..., pomyślała Lisa.

Siedziała w kuchni i szyła nowe pokrowce na posłania dla psów. Ostrza nożyczek uderzały o siebie, wydając metaliczny odgłos. Suuisz, suuisz, ciach, ciach. W salonie był włączony telewizor. Dwa psy leżały na sofie, można by prawie ulec złudzeniu, że — lekko znudzone — oglądają Aktuell. Tnąc, Lisa jednym uchem słuchała wiadomości. Po chwili zagłuszył je huk maszyny. Prosty ścieg łączący kawałki materiału, pedał do

dechy.

Karelin spał i chrapał na posłaniu w sieni. Nic nie wyglądał zabawniej niż chrapiący pies. Leżał na plecach z łapami w górze, lekko odchyłonymi na boki. Jedno ucho zasłaniało mu oko, jak piracka przepaska. Majken leżała na łóżku w sypialni z łapą na nosie. Od czasu do czasu dobiegały z jej gardła ciche pomrukiwania, a nogami wstrząsał dreszcz. Młody springer spaniel leżał ufnie obok.

Wtem Karelin zrywa się z posłania i zaczyna ujadać jak wariat. Psy w salonie momentalnie zeskakują z sofy i dołączają do kolegi w przedpokoju. Majken i szczeniak też nie dają na siebie długo czekać. Omal nie przewracają Lisy, która również wstała. Na wszelki wypadek, gdyby Lisa mimo wszystko przeoczyła to poruszenie, Karelin wpada do kuchni i obwieszcza donośnie, że ktoś stoi na ganku, że mają gości, że ktoś właśnie przyszedł! Przyszła Mildred, nowa pastor. Stoi przed drzwiami. W wieczornym słońcu jej włosy przeobrażają się w koronę ze złota.

Psy rzucają się na przybyłą, szczęśliwe. Szczekają, krzyczą i piszczą, a Bruno nawet śpiewa z radości. Ogony chłuszczą futrynę i poręcz ganku.

Mildred, pochylona, wita się ze zwierzętami. Dobrze. Pastor i Lisa nie mogą zbyt długo na siebie patrzeć. Kiedy Lisa dostrzegła ją na dworze, poczuła, że obie weszły do rwącej rzeki. Teraz mają chwilę, by się oswoić ze sobą. Spoglądają na siebie, lecz od razu uciekają wzrokiem. Psy liżą Mildred po twarzy. Tusz rozmazuje się pod brwiami, ubranie oblepia sierścią.

Nurt jest wartki. Trzeba się czegoś trzymać. Lisa chwytła klamkę u drzwi. Każę psom wrócić na posłania. Zazwyczaj ryczy na nie i trąbi; zwierzęta nie przejmują się jej podniesionym głosem; tym razem komenda pada prawie szeptem.

- Do domu — mówi Lisa i bez przekonania wskazuje ręką kierunek.

Psy patrzą na nią zbite z tropu. Nie krzyczą? Tak czy owak, zawracają.

Mildred nabiera powietrza. Nie ukrywa złości. Wyciąga trochę

szyję, Lisa jest o głowę wyższa.

- Gdzie byłaś? — pyta z irytacją.

Lisa unosi brwi.

- Tutaj.

Jej oczy zatrzymują się na śladach lata, na usianej piegami twarzy Mildred. Delikatnych włoskach nad górną wargą i wzdłuż kości szczękowej, wypłowiących od słońca.

- Wiesz, co mam na myśli — Mildred nie daje za wygraną. — Dlaczego nie przychodzisz na zajęcia kółka bibli- stycznego?

- Bo... — zaczyna Lisa, szukając jakiegoś sensownego wyjaśnienia.

Nagle ogarnia ją złość. Dlaczego musi się tłumaczyć? Czy nie jest dorosła? Czy mając pięćdziesiąt dwa lata, nie można robić tego, na co ma się ochotę?

- Mam inne ciekawe zajęcia — mówi bardziej opryskliwie, niżby chciała.

- Jakież to inne ciekawe zajęcia?

- Chyba wiesz!

Stoją jak dwa rozjuszony renifery. Ich klatki piersiowe to wznoszą się, to opadają.

- Chyba wiesz, dlaczego nie przychodzę — wyrzuca w końcu z siebie Lisa. Teraz stoją w rzece zanurzone po pachy. W rwącym nurcie pastor traci grunt pod nogami. Robi krok do przodu. Jednocześnie zdumiona i wściekła. Coś jeszcze czai się w jej oczach. Otwiera usta, wciąga powietrze jak człowiek, który za moment zniknie pod wodą.

Porwana przez kipiela Lisa wypuszcza z ręki kłamekę. Zbliża się do Mildred. Chwyta ją za kark. Przyciąga do siebie. Pod palcami czuje włosy delikatne jak u dziecka.

Mildred w jej ramionach. Jaką ma aksamitną skórę! Wtaczają się, splecione, do środka; drzwi stoją otworem, uderzając rytmicznie o poręcz ganku. Dwa psy wymykają się na dwór. Jedyna sensowna myśl Lisy: na pewno zostaną w pobliżu.

W sieni kobiety potykają się o buty i posłania zwierząt. Lisa idzie tyłem, wciąż złączona uściskiem z pastor. Jedno ramię wokół jej talii, drugie wokół szyi. Mildred przywiera do niej całym ciałem, popycha lekko do przodu; jej dłonie pod bluzką

Lisy, palce na sutkach.

Zataczają się przez kuchnię, padają na łóżko w sypialni. A tam leży Majken i pachnie intensywnie; nie mogła sobie odmówić wieczornej kąpieli w rzece.

Mildred na plecach. Naga. Usta Lisy na jej twarzy. Dwa palce głęboko w pochwie.

Majken podnosi głowę i rzuca im krótkie spojrzenie. Potem, wzdychając, układa się wygodnie do snu, wciska nos między łapy. Niejeden raz widziała, jak parzą się członkowie stada. Nic w tym dziwnego.

Później parzą kawę i rozmrażają drożdżówki. Jedzą bez umiaru, głodne jak wilki. Rozbawiona Mildred dokarmia psy. Lisa ostro protestuje — jeszcze się rozchorują! — ale próbując zachować surowy ton, wybucha śmiechem.

Siedzą w kuchni w środku jasnej nocy. Każda po swojej stronie, każda z kołdrą zarzuconą na ramiona. Psy się wygłupiają, zarażone nastrojem niespodziewanego święta.

Od czasu do czasu ich ręce spotykają się nad stołem.

Palec wskazujący Mildred nagabuje grzbiet dłoni Lisy: „Jesteś?”. On na to: „Tak!”. Palce Lisy wypytyują przegub Mildred: „Poczucie winy? Skrucha?”. On na to: „Nie!”.

Lisa znów się śmieje.

- Teraz chyba będę musiała wrócić do kółka biblijnego!

Mildred odpowiada salwą śmiechu. Kawalek ciasta wypada jej z ust, na stół, na podłogę.

- I pomyśleć, mój Boże, czego człowiek nie zrobi, żeby zachęcić wiernych do studiowania Biblii!

Mimmi stanęła przed Lisa, sprawdzając rezultat swoich starań. Nożyce w ręce jak wyciągnięty miecz.

- No, teraz przynajmniej nie będę musiała się wstydzić.

Zmierwiła pospiesznie włosy matki, a potem wyciągnęła ręcznik zza fartucha i zdecydowanymi ruchami strzepnęła włosy z jej karku i ramion.

Lisa dotknęła ręką języka na głowie.

- Nie przejrzysz się w lustrze? — zapytała Mimmi.

- Nie, na pewno jest dobrze.

*

Jesienne zebranie organizacji „Magdalena”. Micke Kiviniemi nakrył stół z drinkami przy samych schodach przed wejściem do gospody. Było już ciemno, prawie czarno, lecz wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Micke wytyczył niewielką ścieżkę od szosy, przez żwirowe podwórze aż do schodów. Zaznaczył ją rzędem tealightów w słoiczkach. Na schodach i na stole postawił własnoręcznie wykonane lampiony.

Oczywiście dostał zasłużoną nagrodę. Już z daleka słyszał te wszystkie ochy i achy uczestniczek. Oto i one. Nadchodziły truchtem, spokojnie i sadząc wielkie kroki. Trzydzieści kobiet. Najmłodsza miała dwadzieścia dziewięć, najstarsza — siedemdziesiąt pięć lat.

- Jak ładnie! — chwaliły go. — Można by pomyśleć, że jesteśmy za granicą.

Odwzajemniał się uśmiechem. Nie odpowiadał. Schronił się za stolikiem z drinkami. Jak obserwator zwierząt w kryjówce. Miały się nim nie przejmować, miały zachowywać się naturalnie, jakby nie istniał. Był w świetnym humorze, wydawało mu się, że znów jest chłopakiem, który leży między drzewami na opadłych liściach i z ukrycia podgląda dziewczyny.

Obszerny plac przed gospodą niczym olbrzymia przestrzeń wypełniona dźwiękami. Nieustanny chrząst żwiru, śmichy-chichy, trąkot i paplanie. Głosy niosły się w powietrzu. Pięły się zarozumiale ku rozgwieżdżonej czerni nieba. Wyległy śmiało na brzeg rzeki, dotarły do zabudowań po drugiej stronie. Wessane w lesie przez czarne świerki i spragnione mchy, wybiegły na szosę i przypomnially wsi: jesteśmy!

Kobiety ładnie pachniały i były ładnie ubrane. Oczywiście nie dało się ukryć, że nie są zamożne. Niemodne sukienki. Bawełniane długie swetry na kloszowych spódnicach w kwiaty. Włosy ondulowane domowym sposobem. Buty z supermarketu.

Z punktami zebrania uporały się w ciągu trzydziestu paru

minut. Listy obowiązków wypełniały się szybko nazwiskami chętnych, więcej rąk znalazło się w powietrzu, niż było trzeba. Później zasiadły do kolacji. Większość z nich nie miała wprawy w picie, więc — radośnie skonsternowane — dość szybko wprawiły się w stan alkoholowego upojenia. Mimmi podśmiewała się z nich, biegając między stolikami. Micke nie wychodził z kuchni.

- O mój Boże! — wykrzyknęła jedna z kobiet, gdy Mimmi wniosła deser — tak świetnie nie bawiłam się od czasu...

Przerwała, machając szczupłą ręką w poszukiwaniu odpowiednich słów. Ramię wystawało z rękawa sukienki, jak zapalka.

- ...od czasu pogrzebu Mildred — dokończyła inna.

Na moment zapanowała cisza. Potem wszystkie wybuchły histerycznym śmiechem, przekrzykiwały się nawzajem, że to prawda, iż pogrzeb Mildred był... no, śmiertelnie radosny; śmiały się z tego kiepskiego żartu na cały głos i tak długo, jak dużo był wart.

Pogrzeb. Kiedy spuszczano trumnę, stały tam w czerni. Wczesne lato kłuło w oczy ostrym słońcem. Trzmiela lądowały ciężko w pogrzebowych wiązankach. Liście brzozy były świeże i błyszczące, jakby powleczone woskiem. Korony drzew niczym zielone świątynie, pełne napalonych ptasich samców i chętnych samic. Przyroda sygnalizowała: nic mnie to nie obchodzi, nigdy się nie zatrzymam, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Całe to nieziemsko piękne lato jako tło dla potwornej dziury w ziemi i mocno wylakierowanej trumny.

Obrazy w ich wyobraźni. W worku skóry jej czaszka jak rozbita donica.

Majvor Kangas, jedna z członkiń organizacji, po obowiązkowej kawie zaprosiła je do domu.

- Chodźcie ze mną! — zawołała. — Mój chłop pojechał do lasu, nie chcę być sama.

Ruszyły więc do niej. Siedziały zgaszone w salonie na czarnych, miękkich kanapach ze skóry. Nie miały sobie dużo do powiedzenia, nawet o pogodzie. Ale w Majvor odezwała się buntowniczka.

- Słuchajcie, babki, pomóżcie mi!

Przyniosła z kuchni wysoki stółek, postawiła go przed szafą w przedpokoju, wspięła się na najwyższy stopień i otworzyła drzwiczki na samej górze. Wyjęła stamtąd jakieś dziesięć butelek. Dwie kobiety stojące obok odbierały od niej whisky, calvadosy, koniaki i likiery.

- To są rzeczy dla smakoszy — powiedziała jedna z nich, czytając etykiety. — Dwunastoletnia single malt.

- Dostajemy ciągle od synowej, kiedy wraca z zagranicznych podróży — wyjaśniła Majvor. — Ale Tord nigdy ich nie otwiera, bo jeżeli już częstuje kogoś alkoholem, to stawia na stół bimber i grog. Ja się raczej nie lubuję w takich trunkach, ale teraz...

Pozwoliła sobie zakończyć efektowną pauzą. Kobiety, przytrzymując ją za ręce, pomogły jej zejść ze stołka jak królowej z tronu.

- Co powie Tord?

- A co ma powiedzieć? — odparła Majvor. — Nawet jak w zeszłym roku skończył sześćdziesiąt lat, to nie zajrzał do szafki.

- Niech sobie pije tę swoją truciznę!

Trochę się nabzdryngoliły. Śpiewały psalmy. Wyznawały sobie nawzajem oddanie. Wygłaszały mowy.

- Wznieśmy toast za Mildred! — zaproponowała Majvor. — To była najbardziej niezłomna kobieta, jaką spotkałam w życiu!

- Ona była szalona!

- Teraz będziemy szalone na własną rękę!

Śmiały się. Trochę płakały. Dominował jednak śmiech.

To był pogrzeb.

Teraz Lisa Stöckel patrzyła na te same kobiety. Jadły lody z mascarpone i chwaliły Mimmi, która właśnie przebiegła obok.

Dadzą sobie radę, pomyślała. Na pewno sobie poradzą.

Poczuła radość. Choć może nie tyle radość, ile ulgę.

Jednocześnie złowiła ją samotność; wbiła haczyk w serce i nawijała żyłkę.

Po kolacji Lisa wracała w ciemnościach do domu. Było już po północy. Przeszła obok cmentarza i wspięła się na grzbiet wzniesienia biegnącego w górę rzeki. Minęła dom Larsa

Gunnara; w świetle księżyca widać było tylko kontury. W żadnym oknie nie paliła się lampa.

Pomyślała o kuchni.

Prawdziwy wódz. Najsilniejszy mężczyzna we wsi. Ten, który zmusił przedsiębiorcę odsnieżającego okolice, by w pierwszej kolejności odsnieżał drogę do Poikkijärvi, a dopiero później do zdecydowanie większego Jukkasjärvi. Ten, który pomógł Mickemu, kiedy wynikły problemy z prawem wyszynku.

Pomógł nie dlatego, że sam dużo pił w gospodarstwie. Ostatnimi czasy zresztą pił dość rzadko. Kiedyś było inaczej. Jeszcze parę lat temu mężczyźni chłali cały czas. W piątek, sobotę i co najmniej raz w środku tygodnia. Wtedy naprawdę chłali do upadłego. Później prawie codziennie kupowali sobie piwo. Tak było. Ale pewnego dnia trzeba było dać sobie na wstrzymanie, bo inaczej wszystko trafiłby szlag.

Lars Gunnar uspokoił się, jeżeli chodzi o alkohol. Ostatni raz naprawdę pijanego Lisa widziała go sześć lat temu. Jakiś rok przed tym, jak we wsi pojawiła się Mildred.

Przyszedł wtedy do niej do domu. Wciąż potrafiła przywołać w pamięci obraz, jak siedzi u niej w kuchni. Prawie nie widać pod nim krzesła. Łokieć oparty na kolanie, czoło w otwartej dłoni. Ciężki oddech. Minęła jedenasta wieczorem.

Nie chodzi tylko o to, że przyszedł pijany. Butelka stoi przed nim na stole. Miał ją ze sobą, trzymał w ręku jak flagę sygnalizacyjną: wypilem i — kurwa mać! — jeszcze będę pił. Lisa leżała już w łóżku, kiedy zapukał do drzwi. Nie słyszała oczywiście tego pukania, to psy oznajmiły jej, że ktoś się zbliża, gdy tylko Lars Gunnar postawił nogę na ganku.

Oczywiście okazuje jej coś w rodzaju zaufania, przychodząc do niej. Osłabiony alkoholem i uczuciami. Tylko że ona nie wie, co z tym zrobić. Nie jest do tego przyzwyczajona. Że ludzie jej się zwierniają. Nigdy nie zachęcała do wyznań.

Ale Lars Gunnar jest jej krewnym. A Lisa potrafi dochować tajemnicy i on doskonale o tym wie.

Lisa stoi w szlafroku i wysłuchuje śpiewki o jego podłym życiu. O nieszczęśliwej i zdradzieckiej miłości. O Nallem.

- Przepraszam — bełkocze Lars Gunnar. — Nie powinienem

był tu przychodzić.

- W porządku — odpowiada niepewnie Lisa. — Mów, mów śmiało, a ja w tym czasie...

Nic nie przychodzi jej do głowy, ale przecież musi zacząć coś robić, żeby po prostu nie wybiec nagle z domu.

- ...a ja w tym czasie przygotuję obiad na jutro!

Tak więc on opowiada, a ona kroi mięso i warzywa na zupę. W środku nocy. Seler, marchewkę, pory, brukiew, ziemniaki, Boga i jego ciotkę. Jednak Lars Gunnar nie widzi w tym nic dziwnego, zajęty własnymi problemami.

- Musiałem wyjść z domu — wyznaje. — Zanim wyszedłem...

Nie jestem trzeźwy, przyznaję. Zanim przyjechałem do ciebie, siedziałem na skraju łóżka Nallego ze strzelbą przy jego głowie.

Lisa milczy. Kroi marchew w talarki, jakby niczego nie słyszała.

- Myślałem, jak to będzie — wzdycha Lars Gunnar — kto się nim zajmie, gdy ja odejdę? Przecież on nie ma nikogo.

To prawda, Lisa przyznała mu rację. Doszła właśnie do swojej piernikowej chatki na samym szczycie wzniesienia. Księżyc otoczył srebrną lamówką przepych snycerskich detali na werandzie i wokół okien.

Weszła na schody. Psy w środku, słysząc jej kroki, czekały i kręciły się jak frygi. Kiedy otworzyła drzwi, wybiegły na dwór, by obsikać granice ogrodu na wieczór.

Weszła do salonu. Jedyne, co w nim zostało, to pusty regał na książki i kanapa.

Nalle nie ma nikogo, pomyślała.

ŻÓŁTONOGA

Nadchodzi wiosna. Jeszcze tylko gdzieniegdzie pozostały pojedyncze płaty śniegu pod niebieskawym świerkiem i sztywną sosną. Ciepła bryza od południa. Słońce sączy się przez gałęzie. Niewielkie gryzonie szeleszczą w zeszlórocznej trawie. W powietrzu unoszą się setki zapachów, jak w wielkim kotle. Żywica i brzoza, która właśnie wypuszcza listki. Ciepła ziemia. Otwarte wody. Słodki zajac. Ostry lis.

Samica alfa znalazła nową norę. Przejęła starą lisią jamę, która leży na południowym stoku, jakieś dwieście metrów nad leśnym jeziorem. Wprawdzie to lekka, piaszczysta ziemia, wilczyca jednak sporo się napracowała. Poszerzyła wejście, dopasowując je do swoich potrzeb. Wyniosła wszystkie stare śmieci po lisach i na głębokości trzech metrów wykopała nowe legowisko. Żółtonoga i jeszcze jedna wadera czasami jej pomagały, ale przewodniczka stada prawie wszystko zrobiła sama. Teraz całe dni spędza w pobliżu nory. Wyleguje się w wiosennym słońcu i drzemie. Pozostałe wilki przynoszą jej pożywienie. Kiedy zbliża się do niej z jedzeniem samiec alfa, samica wstaje i wychodzi mu na powitanie. Liże go i skomle z oddaniem, zanim pożre przyniesione dary. Pewnego ranka samica alfa wchodzi do nory i tego dnia już jej nie opuszcza. Późnym wieczorem rodzi szczeniaki. Wylizuje je do czysta. Zjada wszystkie błony, pępowiny i łożysko. Wpycha maluchy pod brzuch. Nie musi wynosić na zewnątrz żadnego martwego płodu. Lis i kruk zostaną bez obiadu.

Pozostali członkowie watahy prowadzą życie na zewnątrz nory. Polują na drobne zwierzęta i cały czas trzymają się w pobliżu. Czasami słyszą słabe popiskiwanie, gdy jakieś szczenię rusza niezdarnie w złym kierunku. Albo gdy odpycha je któreś z rodzeństwa. Tylko przewodnikowi stada wolno wczołgać się do środka z pożywieniem dla matki.

Po dwudziestu dwóch dniach samica po raz pierwszy wynosi szczenięta z nory. Pięcioro maluchów. Pozostałe wilki nie posiadają się ze szczęścia. Witają się z nimi ostrożnie. Wąchają

je i trącają pyskiem. Liżą po okrągłych brzuskach i pod ogonkami. Już po krótkiej chwili matka wnosi je z powrotem do nory. Natłok nowych wrażeń wyczerpał oseski. Dwa jednoroczne wilczki puszczają się w radosną pogoń po lesie.

W życiu stada zaczyna się cudowny okres. Wszyscy chcą pomagać przy maluchach. A te figlują niez mordowanie i zarażają figlarnością resztę. Nawet samica alfa wdaje się w zabawę z przeciąganiem starej gałęzi. Szczenięta rosną i wciąż są głodne. Ich nosy się wydłużają, uszy nabierają szpiczastego kształtu. Zmiany zachodzą szybko. Jedno- roczniaki leżą na straży przy norze, podczas gdy inne wilki polują. Kiedy dorośli wracają, młodzieńcy podnoszą się i wybiegają im naprzeciw.

Żebrzą, skomlą i liżą pyski starszyny. W odpowiedzi starszyna zwraca czerwone kawałki połkniętego mięsa. Może coś skapnie także dla opiekunów dzieci?

W następnych miesiącach Żółtonoga nie wyrusza na samotne wędrówki. Nieustannie przebywa w towarzystwie stada. Właśnie leży na plecach i udaje bezsilną ofiarę. Dwa maluchy rzucają się na nią, jeden zaciska ostre zęby na jej wargach, drugi atakuje bez pardonowo ogon. Wilczyca przewraca tego, który przed chwilą wisiał u jej pyska, i nakrywa go potężną łapą. Maluch pracuje teraz ciężko, żeby się oswobodzić. Walczy dzielnie i w końcu udaje mu się uciec. Okrąża wilczycę na pociesznie puszystych łapach, wraca do punktu wyjścia i warcząc hardo, rzuca się jej na głowę. Gryzie ją zapalczywie po uszach, zabawa trwa w najlepsze. Nagle maluchy zapadają w głęboki, ufny sen. Jeden między przednimi łapami Żółtonogiej, drugi z głową na brzuszku brata. Wilczyca korzysta z okazji i też ucina sobie drzemkę. Od niechcenia próbuje złapać natrętną osę, bez powodzenia — usypiające bzykanie unosi się nad kwiatami. Poranne słońce wspina się ponad wierzchołki sosen. Ptaki pikują w powietrzu, polując na uskrzydłone owady, by po chwili zwrócić je prosto w rozwarte dzioby swoich piskląt.

Żółtonoga leży, zmęczona szczenięcymi igraszkami. Szczęście przetacza się przez nią jak wiosenne wody.

PIĄTEK, 8 WRZEŚNIA

Komisarz Sven Erik Stålnacke obudził się o wpół do piątej rano.

Cholerny kot! To była jego pierwsza myśl.

Zazwyczaj o tej porze budził go Manne. Wskakiwał na łóżko i zaskakująco ciężko lądował na brzuchu swojego pana. Kiedy Sven Erik, mrucząc, obracał się na bok, kot zaczynał wędrówkę wzdłuż jego ciała niczym alpinista wzdłuż grzbietu góry. Czasami miauczał żałośnie, co oznaczało, że albo jest głodny, albo chce wyjść. Najczęściej jedno i drugie. Teraz, od razu. Czasami Sven Erik protestował i nie wstawał. Mamrotał coś w rodzaju: „To przecież środek nocy, koci dupku!”, i owijał się ciasno koldrą. W tej sytuacji, podczas spaceru po ciele pana, Manne coraz bardziej wysuwał pazury. W końcu wbijał je w jego głowę.

Zrzucenie kota na podłogę i wypędzenie z sypialni niewiele dawało. Wówczas bowiem Manne z całą determinacją zabierał się do tapicerki mebli lub do firanki.

- To cholernie sprytny kot — mawiał Sven Erik. — Wie, że po czymś takim wyrzucę go z domu, a przecież o to cały czas mu chodziło!

Sven Erik należał do mężczyzn, którzy wzbudzają respekt. Miał silne ramiona i szerokie dłonie. Miał też owo coś, zarówno w wyrazie twarzy, jak i w całej postawie, co świadczyło o wieloletnim doświadczeniu w obcowaniu ze wszystkim — z ludzką mizerią i awanturnikami na haju. Mimo to z upodobaniem dawał się pokonywać kotu.

Tego ranka Manne nie wyrwał go ze snu. Obudził się sam. Z przyzwyczajenia. A może z tęsknoty za tym pręgowanym młodzieńcem, który nieustannie terroryzował go swoimi zachciankami.

Usiadł ciężko na skraju łóżka. Przecież już nie zaśnie. Mijała właśnie czwarta noc, odkąd ten przeklęty kot gdzieś przepadł. Nie było powodu do niepokoju, gdy zniknął na noc, dwie noce. Ale cztery?

Sven Erik zszedł na dół i otworzył drzwi wejściowe. Noc, szara

jak wełna, ruszała na spotkanie dnia. Mężczyzna gwizdnął przeciągle; po chwili wrócił do kuchni po kocią konserwę i stojąc na ganku, uderzał łyżką o puszkę. Żadnego odzewu. W końcu zrezygnował. Miał na sobie tylko slipy i zaczął marznąć. Tak to jest, myślał. Cena wolności. Ryzyko, że przejeździe cię samochód albo porwie lis. Prędzej czy później.

Odmierzył kawę i wyspał do perkolatora.

To chyba i tak lepiej, nie przestawał rozmyślać o kocie. Lepiej, niż gdyby miał się rozchorować i zaniemóc; wtedy musiałbym zabrać go do weterynarza. To dopiero byłoby cholerstwo!

Perkolator zabulgotał. Sven Erik wrócił do sypialni, żeby się ubrać.

A może Manne zadomowił się u kogoś innego? Kiedyś już mu się to zdarzyło. Wrócił do domu po dwóch, trzech dniach i w ogóle nie był głodny. Najwyraźniej najedzony i wyspany. Ze pewnością jakiejś kobiecinnie zrobiło się żal zwierzaka i przygarnęła go na chwilę. Jakaś emerytka, która nie ma innych zajęć niż karmienie kota gotowanym łososiem i pojenie śmietanką.

Nagle poczuł niepohamowaną złość do tej nieznannej osoby, która zaopiekowała się nie swoim kotem. Czy ten człowiek nie rozumie, że gdzieś kogoś trawi niepokój, bo nie ma pojęcia, co się stało z pupilem? Przecież z daleka widać, że Manne nie jest bezdomny — futerko mu się błyszczy, a on sam jest ufny i oddany. Powinien oczywiście kupić mu obrozę. Już dawno powinien był to zrobić, ale bał się, że Manne gdzieś się zaczepi i uwięźnie. To mu przeszkadzało — wizja kota, który nie może się uwolnić z chaszcy i umiera z głodu. Albo wisi na drzewie.

Sven Erik zaczynał dzień od solidnego śniadania. W pierwszych latach, kiedy odeszła od niego Hjördis, tylko wypijał w biegu kawę. Zmienił nawyki. Teraz jednak bez entuzjazmu jadł niskotłuszczowy jogurt z ekologicznym müsli. Perkolator ucichł i po kuchni rozniósł się zapach świeżo zaparzonej kawy.

Sven Erik przejął Mannego od córki, gdy ta przeprowadziła się do Luleå. Nie powinien był go brać. Teraz tak myślał. To tylko cholerny kłopot, naprawdę cholerny kłopot.

Anna Maria Mella siedziała przy stole w kuchni i piła poranną kawę. Minęła siódma. Jenny, Petter i Marcus jeszcze spali. Gustav już nie. Łobuzował w sypialni na piętrze, wspinając się po tacie.

Przed nią na stole leżała kopia tego straszego rysunku z wiszącą Mildred. Rebeka Martinsson skopiowała też inne papiery, tylko że Anna Maria nic z nich nie rozumiała. Nie cierpiała cyfr, matematyki i podobnych rzeczy.

- Dobry!

Jej szesnastoletni syn Marcus wczłapał do kuchni. Ubrany! Otworzył lodówkę.

- Wielkie nieba! — wykrzyknęła Anna Maria. — Pali się na piętrze czy co?

Zaśmiał się. Wziął mleko i płatki. Usiadł koło mamy.

- Mam dziś klasówkę — powiedział, siorbiąc. — A przed sprawdzianem nie powinno się lecieć do szkoły prosto z łóżka. Trzeba najpierw dostarczyć organizmowi energii.

- Kim ty jesteś? — zapytała Anna Maria. — I co zrobiłeś z moim synem?

To Hanna, pomyślała. Niech ją Bóg błogosławi. Hanna to sympatia Marcusa. Najwidoczniej zaraziła go swoim ambitnym podejściem do nauki.

- Cool — chłopak skomentował leżący na stole rysunek. — Co to jest?

- Nic — skwitowała, odbierając mu kartkę. Odwróciła ją.

- Ale ja nie żartuję! Pozwól mi obejrzeć!

Ponownie wziął rysunek do ręki.

- Co to znaczy? — zapytał, wskazując na grób widoczny za dyndającym ciałem.

- No... chyba to, że ma umrzeć i że zostanie pochowana.

- Tak, ale co TO znaczy? Nie widzisz?

Anna Maria spojrzała na rysunek.

- Nie.

- To przecież jakiś symbol — upierał się Marcus.

- Mogła z krzyżem.

- Ale przypatrz się dokładnie! Jej kontury są dwa razy grubsze

niż kontury reszty. A krzyż zagłębia się w ziemię i kończy hakiem.

Anna Maria wyteńczyła wzrok. Marcus miał rację.

Wstała, zebrała papiery. Powstrzymała się, by nie pocałować syna na pożegnanie. Zmierzyła mu tylko włosy.

- Powodzenia na klasówce! — zawołała, wychodząc.

W samochodzie zadzwoniła do Svena Erika.

- Tak — potwierdził, kiedy przyniósł własną kopię rysunku. — Ten krzyż przechodzi w półokrąg i kończy się haczykiem.

- Musimy się dowiedzieć, co to znaczy. Kto może odpowiedzieć na takie pytanie?

- Co wiadomo z laboratorium?

- Dopiero dzisiaj dostaną rysunek. Jeśli znajdą na nim wyraźne odciski, to dowiemy się więcej już po południu. W przeciwnym razie to trochę potrwa...

- Na pewno jest gdzieś jakiś profesor religioznawstwa, który potrafi wyjaśnić takie symbole — powiedział Sven Erik, zamyślając się. - Ty to masz łeb! — pochwaliła go Anna Maria. — Fred wyszuka nam eksperta, a później prześlemy rysunek faksem. Ubieraj się, zaraz po ciebie przyjadę.

- A dokąd...?

- Pojedziesz ze mną do Poikkijärvi. Chcę porozmawiać z Rebeką Martinsson, jeżeli tam jeszcze jest.

Komisarz Mella ruszyła gwałtownie bladoczerwonym fordem. Siedzący obok Sven Erik odruchowo przycisnął stopy do podłogi. Że też ona zawsze musi prowadzić jak młodociany gangster!

- Rebeka Martinsson dała mi też kopie różnych dokumentów. Nic z tego nie rozumiem. To znaczy domyślałam się, że chodzi o coś związanego z finansami, ale przecież wiesz...

- Nie skontaktujemy się ze specami od przestępczości gospodarczej?

- Oni zawsze mają pełne ręce roboty. Człowiek wysłał pytanie i dostaje odpowiedź za miesiąc. Równie dobrze możemy zapytać Martinsson. Ona już widziała te papiery. I wie, dlaczego chciała

je nam przekazać.

- Czy to naprawdę dobry pomysł?

- Masz lepszy?

- Ale czy ona rzeczywiście chce być w to wplątana?

Anna Maria niecierpliwie potrząsnęła warkoczem.

- To przecież ona dała mi kopie i listy! Poza tym w nic nie będzie wplątana. Ile jej to zajmie? Najwyżej zmarnuje dziesięć minut urlopu.

Zahamowała nagle i skręciła w lewo, w Jukkasjärvivägen, po czym rozpedziła się do dziewięćdziesiątki, by znów wyhamować i wziąć ostry zakręt w prawo, ku Poikkijärvi. Sven Erik trzymał się uchwytu w drzwiach. Myśl o tym, że przydałby mu się środek przeciw chorobie lokomocyjnej, przywiodła nieuchronnie myśl o kocie, który nie cierpi jazdy samochodem.

- Manne gdzieś przepadł — powiedział, patrząc na skąpane w słońcu sosny migające za oknem.

- Oj! Dawno?

- Cztery dni temu. Nigdy nie był tak długo poza domem.

- Wróci, zobaczysz — pocieszyła go. — Ciągłe jeszcze jest ciepło, to jasne, że kot chce pohasać na świeżym powietrzu.

- Nie — zaprzeczył Sven Erik zdecydowanym głosem.

- Jestem pewien, że przejechał go samochód. Już nigdy go nie zobaczę.

Chciałby, żeby się z nim nie zgodziła. Żeby protestowała, zapewniała, że to nieprawda. On wtedy wytrwałby w przekonaniu, że kot jest już na zawsze stracony. W ten sposób chciał wyrzucić z siebie odrobinę niepokoju i smutku, ale też nakarmić się nadzieją podtrzymywaną przez Annę Marię. Jednak komisarz Mella nie podjęła tematu.

- Nie podjedziemy pod sam domek kempingowy. Myślę, że Rebeka Martinsson nie życzy sobie tego typu rozgłosu.

- Co ona właściwie tutaj robi? — zapytał Sven Erik.

- Nie wiem.

Anna Maria już miała powiedzieć, że według niej z tą kobietą nie jest zbyt dobrze, ale ugryzła się w język.

Wtedy Sven Erik z pewnością zmusiłby ją, żeby zawróciła. Zawsze był wyczulony na takie sprawy bardziej od niej. Może

wynikało to stąd, że ona ciągle jeszcze ma stosunkowo małe dzieci. Niemal cały instynkt opiekuńczy zużywa więc w domu.

*

Rebeka Martinsson otworzyła drzwi domku kempingowego. Kiedy zobaczyła policjantów, między jej brwiami pojawiły się dwie głębokie bruzdy.

Anna Maria stała z przodu; z jej spojrzenia przebijało jakieś podniecenie, jak u wężącego setera. Sven Erik trochę z tyłu. Rebeka nie widziała go od czasu, gdy leżała w szpitalu, prawie dwa lata temu. Bujne włosy nad uszami, wtedy przyprószone siwizną, teraz były zupełnie srebrne. Wąsy wciąż wyglądały jak martwy gryzoń. Mężczyzna sprawiał wrażenie lekko speszonego; najwyraźniej rozumiał, że ani on, ani Anna Maria nie są tu mile widziani.

Nawet jeżeli uratowaliście mi życie, pomyślała Rebeka.

Przez jej głowę prześlizgiwały się pospieszne myśli. Jak jedwabne chusteczki w dłoniach magika. Sven Erik na skraju szpitalnego łóżka: „Weszliśmy do jego mieszkania i zrozumieliśmy, że musimy panią znaleźć. Dziewczynki są całe i zdrowe”.

Najlepiej pamiętam to, co było przed i po, uświadomiła sobie Rebeka. Przed i po. Właściwie powinnam go zapytać, jak to wszystko wyglądało, gdy dotarli do chatki. On z pewnością potrafi zdać relację, bez pomijania krwi ani martwych ciał.

Chcesz, żebym cię zapewnił, że postąpiłaś słusznie, odezwał się w niej znajomy głos. Że działałaś w obronie koniecznej. Że nie miałaś wyboru. Zapytaj tylko, Sven Erik na pewno powie to, co chcesz usłyszeć.

Usiedli. Goście na łóżku Rebeki. Rebeka na jedynym krześle w mieszkaniu. Na niewielkim elektrycznym grzejniku suszyła się para skarpet, T-shirt i majtki, zakrywając naklejkę z napisem: „Ei saa peittää”¹⁷.

Rebeka spojrzała z zakłopotaniem na mokre ubrania. Ale co miała zrobić? Zwinąć mokrą bieliznę w kulkę i cisnąć pod

¹⁷ *Ei saa...* (fiń.) – *Nie wolno zakrywać.*

łóżko? Albo za okno?

- No więc? — zapytała krótko, nie siląc się na uprzejmość.

- Chodzi o kopie, które od pani dostałam — wyjaśniła Anna Maria. — Niektórych zupełnie nie rozumiem.

Rebeka objęła dłońmi kolana.

Dlaczego?, pomyślała. Dlaczego człowiek musi pamiętać? Pogrążyć się i rozpamiętywać? Jaką ma z tego korzyść? Kto zagwarantuje, że to naprawdę pomoże? Że nie utonie się w ciemności?

- Proszę was... — zaczęła. Mówiła bardzo cicho. Sven Erik patrzył na jej szczupłe palce oplatające kolana. — Proszę państwa... proszę mnie zostawić w spokoju. Przekazałam wam kopie i listy. Zdobyłam je, popełniając przestępstwo. Jeśli to wyjdzie na jaw, zapłacę utratą posady. Poza tym ludzie tutaj nie wiedzą, kim jestem. To znaczy wiedzą, jak się nazywam, ale niemają pojęcia, że to ja byłam zamieszana w wydarzenia w Jiekajärvi.

- Ja też panią proszę! — zaapelowała Anna Maria, siedząc jak przymurowana, mimo że Sven Erik najwyraźniej zamierzał wstać. — Borykamy się z morderstwem kobiety. Jeśli ktoś panią zapyta, co tu robiliśmy, to powie pani, że szukaliśmy zaginionego psa.

Rebeka spojrzała na nią.

- No świetnie — wycedziła. — Dwoje policjantów w cywilu w poszukiwaniu zaginionego psa. Pora, by kierownictwo policji zastanowiło się, czy naprawdę rozsądnie wykorzystuje swoje zasoby.

- Może chodzi o mojego psa? — próbowała bez przekonania Anna Maria.

Milczeli przez chwilę. Sven Erik umierał z zażenowania i niesmaku.

- Niech no spojrzę — powiedziała w końcu Rebeka, wyciągając rękę.

- Chodzi mi o to — wyjaśniła komisarz, wyjmując z teczek dokument.

Podala go Rebecce.

- To wyciąg z księgi rachunkowej. Ta pozycja jest zaznaczona

markerem.

Rebeka wskazała na liczbę w kolumnie z nagłówkiem „1930”.

- Dziewiętnaście trzydzieści to konto aktywów, rachunek czekowy. Po stronie kredytowej zapisano zmniejszenie majątku o sto siedemdziesiąt dziewięć tysięcy koron, które wpłynęły na konto siedemdziesiąt sześć dziesięć, czyli „pozostałe wydatki związane z personelem”. Ale na marginesie dopisano ręcznie ołówkiem: „szkolenie??”.

Rebeka odgarnęła za ucho pasemko włosów.

- A to? — zapytała Anna Maria. — Co znaczy DK?

- Dowód księgowy, potwierdzenie prawdziwości operacji finansowej. To może być faktura albo jakiś inny dokument potwierdzający, na co wydatkowano pieniądze. Wygląda na to, że pastor Nilsson miała zastrzeżenia właśnie do tych kosztów, dlatego skopiowałam ten dokument.

- O jaką firmę tu chodzi? — zapytała komisarz.

Rebeka wzruszyła ramionami. Po chwili jednak wskazała na prawy górny róg strony.

- Numer organizacji zaczyna się na osiemdziesiąt jeden. To znaczy, że chodzi o jakąś fundację.

Sven Erik pokręcił głową.

- Fundacja Parafii Jukkasjärvi na rzecz Ochrony Dzikich Zwierząt — wyrecytowała Anna Maria po sekundzie namysłu. — Pastor Nilsson była jej założycielką.

- Tutaj miała zastrzeżenia do kosztów — przypomniała Rebeka.

Znów zapadło milczenie. Sven Erik po raz kolejny odpędził muchę, która uparcie próbowała na nim usiąść.

- Wygląda na to, że ta kobieta niektórych bardzo irytowała — odezwała się Rebeka.

Anna Maria uśmiechnęła się smutno.

- Rozmawiałam wczoraj z jednym takim. Nienawidził Mildred Nilsson za to, że jego żona mieszkała u niej z dziećmi, po tym jak od niego odeszła. Opowiedziała o kociętach z poobcinanymi głowami.

- A my nic nie możemy zrobić — zakończyła. — Te nierasowe kociaki nie przedstawiają żadnej wartości, nie można więc

zakwalifikować czynu jako umyślnego uszkodzenia mienia. Prawdopodobnie nie zdążyły się także nacierpieć, więc nie było to znęcanie się nad zwierzętami. Czasami człowiek czuje się bezsilny i chyba z większym pożytkiem pracowałby w dziale owocowym w ICA. Nie wiem, czy pani też miewa takie odczucia?

Rebeka uśmiechnęła się krzywo.

- Prawie w ogóle nie zajmuję się sprawami karnymi — odparła wymijająco. — Z reguły tylko przestępczością gospodarczą. Chociaż tak, oczywiście, kiedy stoję po stronie oskarżonego... Zdarza się, że czuję do siebie coś w rodzaju niechęci. Kiedy człowiek reprezentuje osobę naprawdę pozbawioną sumienia, musi sobie cały czas powtarzać: „Każdy ma prawo do obrony”. Jak mantrę, jak zaklęcie, które ma zagłuszyć... — Nie dokończyła: „pogardę dla siebie samej”, tylko wzruszyła ramionami.

Anna Maria zauważyła, że Rebeka często wzrusza ramionami. Może w ten sposób otrząsa się z niechcianych myśli? Przerywa męczący strumień świadomości? A może jest taka jak Marcus, który wiecznym wzruszaniem ramion podkreśla dystans do reszty świata?

- Nigdy nie zastanawiała się pani nad tym, żeby przejść na drugą stronę? — zapytał Sven Erik. — Co chwila ogłaszają u nas nabór na stanowisko asesora prokuratury. Ludzie niechętnie się tu osiedlają.

Rebeka się uśmiechnęła, odrobinę zakłopotana.

- No jasne — zreflektował się Sven Erik i widać było, że poczuł się jak idiota. — Przecież pani zarabia trzy razy więcej niż prokurator.

- Nie, nie o to chodzi — odparła Rebeka. — Akurat teraz w ogóle nie pracuję, więc moja przyszłość...

Znów wzruszyła ramionami.

- A mnie pani powiedziała, że jest tu służbowo — wtrąciła Anna Maria.

- Tak, bo od czasu do czasu pracuję. I kiedy jeden ze współdziałalców firmy planował podróż na północ, postanowiłam z nim pojechać...

Jest na zwolnieniu lekarskim, zrozumiała Anna Maria. Sven Erik rzucił jej błyskawiczne spojrzenie; on też pojął. Rebeka podniosła się z krzesła, sygnalizując, że rozmowa skończona. Pożegnali się. Policjanci zdążyli zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszeli za sobą jej głos.

- Groźba bezprawna — zawołała.

Odwrócili się. Rebeka stała na malusieńkim ganku. Lekko pochylona, z ręką opartą o jeden ze słupów, na których był osadzony daszek.

Jakże ona młodo wygląda!, pomyślała Anna Maria. Dwa lata temu ta dziewczyna była nastawiona na karierę. Superszczupła, superdrogo ubrana, profesjonalnie ostrzyżone, ciemne włosy ułożone w modną fryzurę. Teraz jej włosy były o wiele dłuższe i — podobnie jak Anny Marii — obcięte zupełnie prosto. Miała na sobie tylko dżinsy i T-shirt. Żadnego makijażu. Patrząc na jej wystające kości biodrowe i zmęczoną, lecz wyprostowaną sylwetkę, Anna Maria pomyślała o przedwcześnie dorosłych dzieciach, które czasami spotykała w pracy. „Dzieci dmuchawce”, które opiekowały się swoimi rodzicami dotkniętymi alkoholizmem albo chorobą psychiczną. Które gotowały obiady rodzeństwu, zachowywały pozory normalności na tyle, na ile się dało, i wprowadzały w błąd zarówno opiekę społeczną, jak i policję.

- Ten mężczyzna od kociaków — mówiła dalej Rebeka

- stosował groźbę bezprawną. Najprawdopodobniej chodziło mu o to, żeby zastraszyć byłą żonę. Wedle prawa groźba nie musi być wypowiedziana. A kobieta poczuła się zagrożona, prawda? Albo stalking, uporczywe nękanie wymierzone w spokój ofiary. W zależności od tego, czego się dopuścił wcześniej, to by wystarczyło jako podstawa do zakazania mu kontaktów z byłą żoną.

Kiedy Sven Erik i Anna Maria wracali wiejską drogą, minął ich żółtawy mercedes. W środku siedzieli Lars Gunnar i Nalle Vinsa. Kierowca długo za nimi patrzył. Sven Erik uniósł rękę w geście pozdrowienia; przecież nie minęło wiele lat, odkąd jego

kolega przeszedł na emeryturę.

- No właśnie — powiedział, odwracając się za samochodem, który zmierzał do „Baru i kuchni Mickego”. — Lars Gunnar mieszka w tej wsi, ciekawe, jak tam z jego synem.

*

Proboszcz Bertil Stensson odprawiał południową mszę w kiruńskim kościele. Raz na dwa tygodnie w czasie przerwy na lunch mieszkańcy miasta mogli przystąpić do komunii.

W niewielkiej sali zebrało się około dwudziestu osób.

Wikariusz Stefan Wikström siedział w piątym rzędzie, najbliżej środkowego przejścia, i żałował, że w ogóle tu przyszedł.

W jego głowie odżyło wspomnienie z dzieciństwa.

Ojciec, również proboszcz, siedzi na ławie w kuchni. Stefan obok; ma może dziesięć lat. Chłopiec trzyma coś w ręce, teraz już nie pamięta co, i nie przestając paplać, koniecznie chce to coś pokazać. Ojciec milczy, odgradzony płachtą gazety niczym zasłoną w świątyni. Wtem chłopiec zaczyna płakać. Po chwili słyhać błagalny głos matki za plecami: „Może posłuchasz wreszcie, co ma do powiedzenia, czekał na ciebie cały dzień”. Stefan dostrzega kątem oka, że matka ma na sobie fartuch. To musi być pora obiadowa. Ojciec opuszcza gazetę, zirytowany, że przerwano mu lekturę. To przecież jego jedyna chwila wytchnienia przed obiadem! Poza tym czuje się dotknięty oskarżającym tonem żony.

Ojciec Stefana nie żył już od wielu lat. Biedna matka również. Ale Stefan, tak jak wtedy wobec rodziców, czuł się teraz wobec proboszcza — jak męczące dziecko, które nieustannie domaga się uwagi.

Zamierzał zrezygnować z południowej mszy. Jakiś głos w środku przekonywał go: nie idź tam! Mimo to poszedł. Wmawiał sobie, że to nie ze względu na proboszcza, tylko z potrzeby przystąpienia do komunii.

Sądził, że po śmierci Mildred będzie mu lżej, było jednak ciężiej. Zdecydowanie ciężiej.

To trochę jak w przypowieści o synu marnotrawnym. Stefan był tym obowiązkowym, porządnym synem, który został w domu.

Ileż razy pomagał Bertilowi! Brał nudne pogrzeby i nabożeństwa w szpitalu i domu starców, otwierał młodzieży kościół w piątkowe wieczory i odciążał proboszcza w pracy papierkowej, ten bowiem był beznadziejnym administratorem. Bertil Stensson był też zwyczajnie próżny. Zarezerwował dla siebie współpracę z Hotelem Lodowym w Jukkasjärvi. Śluby i chrzciny w kaplicy z lodu należały do proboszcza. Zagarniał też wszystkie wydarzenia, które dawały choć cień szansy na odnotowanie w lokalnej prasie — na przykład udział w sztabie kryzysowym zwołanym po wypadku autobusowym, w którym zginęło siedmioro nastolatków w drodze na narty, albo specjalne nabożeństwa na zamówienie zgromadzenia parlamentarnego Saamów. A tak w ogóle proboszcz uwielbiał mieć wolne. I Stefan mu to umożliwił, zastępując go i przejmując jego obowiązki.

Mildred Nilsson była jak ten syn marnotrawny. Albo raczej: jak syn marnotrawny, który wciąż jeszcze mieszkał w domu, zanim — gnany niepokojem — wyruszył w dalekie strony. Głośny i niespokojny, musiał działać ojcu na nerwy, tak jak Mildred. Wszyscy myśleli, że to on, Stefan, najbardziej jej nie cierpiał. Mylili się; Bertil potrafił tylko umiejętniej skrywać swoją niechęć.

Kiedy żyła, było inaczej. Wokół wszystkiego, czego ta kobieta się tknęła, wybuchały kłótnie i spory. A Bertil czuł wdzięczność i satysfakcję, bo miał Stefana, syna, który pozostał u boku ojca. Stefan przypominał sobie, jak Bertil wchodził do jego pokoju w domu parafialnym. Robił to w szczególny sposób, jakby specjalnym kodem przekazując informację: jesteś moim wybranym. Zazwyczaj pojawiał się, uchylając drzwi, i wsuwał głowę do środka; wyglądał jak sowa — gęste, srebrne włosy, przysadzista sylwetka i okulary do czytania — albo na czubku głowy, albo na czubku nosa. Stefan wtedy odrywał się od swoich papierów. Bertil niemal niepostrzeżenie spoglądał przez ramię, wślizgiwał się do pokoju i zamykał za sobą drzwi. Zanurzał się w fotelu z westchnieniem ulgi. I z uśmiechem. Za każdym razem Stefanowi pikało serce. Zazwyczaj proboszcz nie przychodził z żadną konkretną sprawą, czasami tylko prosił

o drobną radę; można było odnieść wrażenie, że przez chwilę po prostu chce posiedzieć w spokoju. Wszyscy biegali do Bertila, a Bertil wymykał się do Stefana.

Ale po śmierci pastor to również się zmieniło. Mildred przestała uwierać proboszcza jak krzywy szew w bucie. Nagle zaczęła mu przeszkadzać sumiennosc Stefana. Coraz częściej Bertilowi zdarzało się mówić: „Przecież nie musimy być aż tak formalni” albo „Bóg pozwala na praktyczne rozwiązania” — były to sformułowania żywcem zaczerpnięte z wokabularza Mildred!

A kiedy mówił o zmarłej pastor, wyrażał się tak pozytywnie, że Stefanowi robiło się niedobrze od tych wszystkich kłamstw.

Bertil przestał go też odwiedzać w pokoju. Stefan siedział, niezdolny do zakończenia jakiegokolwiek pracy, męczył się i czekał. Czasami proboszcz mijał otwarte drzwi. Teraz jednak obowiązywały inne kody, inne sygnały: szybkie kroki, krótkie spojrzenia, skinienie głową, pospieszny uśmiech. To znaczyło: spieszę się, jak leci? Zanim Stefan zdążył odwzajemnić uśmiech, Bertila już nie było.

Wcześniej zawsze wiedział, co robi proboszcz, teraz nie miał pojęcia. Personel kancelarii pytał o Bertila i patrzył dziwnie na Stefana, gdy ten z wymuszonym uśmiechem kręcił głową.

Zmarłej Mildred nie dało się pokonać. W dalekich stronach została pupilkiem ojca.

Nabożeństwo dobiegało końca. Śpiewano ostatni psalm; za chwilę wszyscy mieli pójść w pokoju Pańskim.

Stefan też powinien pójść. Prosto do domu. Nie mógł jednak nic na to poradzić, nogi same poniosły go do Bertila.

Proboszcz, zajęty rozmową z jednym z wiernych, rzucił Stefanowi szybkie spojrzenie, ale nie dopuścił go do siebie; wikary musiał poczekać.

Jak źle to wyszło! Gdyby Bertil przerwał na chwilę rozmowę i przywitał się ze Stefanem, ten mógłby tylko podziękować za mszę i odejść. Teraz wyglądało na to, że coś mu leży na wątrobie. Musiał więc naprędce wymyślić jakiś pretekst.

Pomszalny rozmówca w końcu sobie poszedł. Stefan czuł się zmuszony wyjaśnić swoją obecność.

Chciałem przyjąć sakrament Wieczerzy Pańskiej — powiedział. Bertil skinął głową. Kościelny, trzymając wino i komunikanty, zerknął szybko na proboszcza. Stefan podreptał za nimi do zakrystii i nieproszony wziął udział w modlitwie pokomunijnej.

- Czy masz jakieś wiadomości z tego sztokholmskiego biura? — zapytał wikary, kiedy skończyli się modlić. — Na temat fundacji?

Bertil nie bez trudu uwalniał się z ornatu, stuły i alby.

- Nie wiem — zawahał się. — Może jednak jej nie rozwiążemy? Jeszcze się nie zdecydowałem.

Kościelny w rekordowo ślimaczym tempie wlewał wino do piscyny i wkładał opłatki komunijne do cyborium.

Stefan zazgrzytał zębami.

- Myślałem, że jesteście zgodni co do tego, że Kościół nie powinien mieć takiej fundacji — powiedział cicho.

Poza tym decyzja należy do rady kościelnej, a nie wyłącznie do ciebie, dodał w duchu.

- Owszem, ale na razie ją mamy — odparł proboszcz tonem, w którym Stefan wyczuł niecierpliwość. — Niezależnie od moich zapatrywań kwestię wykorzystania pieniędzy, czy na ochronę wilczycy, czy na szkolenie, poruszmy trochę później, jesienią.

- A co z dzierżawą terenów łowieckich?

Bertil uśmiechnął się szeroko.

- Słuchaj, chyba ani ty, ani ja nie powinniśmy się teraz nad tym rozwodzić. W odpowiednim czasie rada kościelna podejmie decyzję.

Powiedziawszy to, poklepał Stefana po ramieniu i wyszedł. - Pozdrów, proszę, Kristin! — dodał, nie odwracając się.

Stefan poczuł gulę w gardle. Patrzył na swoje ręce, na sztywne, długie palce. Prawdziwe dłonie pianisty, mawiała matka za życia. Pod koniec, kiedy mieszkała w domu opieki i coraz częściej brała go za ojca, to gładzenie o dłoniach bardzo go męczyło. Matka trzymała jego szczupłe palce i kazała personelowi je oglądać. Patrzcie!, wołała. Zupełnie nienaznaczone fizyczną pracą. Dłonie pianisty. Ręce pracu-

jącego głową.

Pozdrów Kristin.

Gdyby Stefan odważył się ujrzeć rzeczywistość taką, jaka jest naprawdę, to małżeństwo z Kristin okazałoby się jego życiową pomyłką. Niemal czuł, jak hardziej w nim dusza. Wobec Bertila i wobec żony.

Niańczyłem ich wystarczająco długo, pomyślał. To się musi kiedyś skończyć.

Mama na pewno pojęła, o co chodziło z Kristin. Tym, co go w niej urzekło, było właśnie podobieństwo do jego matki. Odrobinę lalkowaty wygląd, czarujący sposób bycia, dobry smak.

Mama nie mogła tego nie zauważyć. „Jakie osobiste”, powiedziała o mieszkaniu Kristin, kiedy pierwszy raz odwiedziła narzeczoną syna. „Jakie przytulne”. Studiował wtedy w Uppsali. Przytulne i osobiste, dwa dobre słowa, których można było użyć, gdy nie dało się — nie kłamiąc — powiedzieć: piękne albo wysmakowane. Pamiętał niemal rozbawiony uśmiech matki, kiedy Kristin chwaliła się kompozycjami z nieśmiertelników i suszonych róż.

Kristin była dzieckiem, które w dość miernym stopniu potrafi brać przykład z innych. Nigdy nie wyrosła na rasową żonę pastora, taką jak jego matka. A jaki szok przeżył, kiedy pierwszy raz znalazł się w domu bałaganiary Mildred! Zaprosiła wszystkich kolegów z pracy z rodzinami na bożonarodzeniowego grzańca. Zaiste trudno o ciekawsze zbiorowisko ludzi! Rodziny pastorów, Mildred, jej parodystycznie uciemieniony mąż z brodą i w fartuchu oraz trzy kobiety, które tymczasowo znalazły schronienie na plebanii w Poikkijärvi. Jedna z nich miała ze sobą dwoje dzieci, u których z pewnością można było zdiagnozować większość istniejących zaburzeń zachowań i emocji.

Ale dom Mildred był jakby wyjęty z obrazów Carla Larssona¹⁸. Przytulny, choć nieprzesłodzony, odznaczał się taką samą

18 Carl Larsson (1853-1919) — malarz i architekt wnętrz, jeden z najbardziej popularnych szwedzkich artystów, łączący cechy narodowego romantyzmu i secesji. Do dziś pozostaje symbolem szwedzkości.

wysmakowaną prostotą, jak rodzinny dom Stefana, zapamiętany z dzieciństwa. Zupełnie nie pasował do Mildred. Czy naprawdę do niej należał?, zastanawiał się wikary. Oczekiwał artystycznego nieładu, orientalnych poduszek i dywanów, stosów wycinków prasowych zalegających proste regały. Pamiętał reakcję Kristin. „Dlaczego nie mieszkamy na plebanii w Poikkijärvi? Jest przestronniejsza, a nam przydałoby się więcej miejsca, choćby ze względu na dzieci”. Mama musiała zauważyć, że ów rys delikatności u Kristin, który tak go pociągał, zawierał w sobie nie tylko kruchość, ale również destrukcję. Coś pękniętego i ostrego, czym Stefan prędzej czy później miał się skaleczyć.

Nagle poczuł żal do matki. Dlaczego nic mu nie powiedziała? Powinna go była ostrzec.

I Mildred. Mildred, która wykorzystywała biedną Kristin!

Pamiętał ten dzień na początku maja, pamiętał, jak wymachiwała tymi listami.

Próbował wypędzić ją z pamięci, powracała jednak równie natrętnie jak za życia. Właziła z butami do duszy. Dokładnie tak, jak wtedy.

- Pięknie! — mówi Mildred, wpadając jak burza do pokoju wikarego.

Jest piąty maja. Niespełna dwa miesiące później będzie martwa. Teraz jednak jest bardziej niż żywa, jej policzki i nos czerwienią się jak powleczone woskiem jabłka. Zatrząskuje nogą drzwi.

- Nie, nie, siedź! — mówi do Bertila, który próbuje podnieść się z fotela dla gości. — Chcę się rozmówić z wami obydwoma.

Rozmówić się. Co za wstęp! Już samo to świadczy o jej usposobieniu.

- Myślałam o tej wilczycy — mówi pastor.

Noga Bertila podrywa się i zakłada na drugą, ramiona krzyżują się na piersi. Stefan rozpiera się w fotelu. Obaj budują dystans. Czują, że Mildred zbesztala ich, zanim w ogóle wyjaśniła, o co jej chodzi.

- Kościół dzierżawi ziemię Związkowi Łowieckiemu w Poikkijärvi za tysiąc koron rocznie — kontynuuje Mildred.

- Umowa opiewa na siedem lat i jest przedłużana automatycznie, chyba że zostanie wcześniej wypowiedziana. Tak było od 1957 roku. Plebanię zajmował wówczas proboszcz, który bardzo lubił polować...

- Ale co to ma do rzeczy? — wtrąca Bertil.

- Pozwól mi dokończyć! Wprawdzie każdy może zostać członkiem związku, ale korzyści z dzierżawy czerpią tylko zarząd i koło łowieckie. A ponieważ zgodnie ze statutem liczba członków koła nie może przekroczyć dwudziestu, nie dopuszcza się do niego żadnych nowych osób. W praktyce zarząd wybiera nowego członka dopiero wtedy, gdy któryś ze starych umrze. A wszyscy w zarządzie należą do koła. Tak więc działają w nim jedni i ci sami jegomoście. W ciągu ostatnich trzynastu lat nie przybył ani jeden nowy członek.

Przerywa i wbija wzrok w Stefana.

- Oczywiście z wyjątkiem ciebie. Kiedy Elis Wiss opuścił dobrowolnie koło łowieckie, zostałeś wybrany na jego miejsce, sześć lat temu, prawda?

Stefan milczy; nie podoba mu się sposób, w jaki Mildred wypowiada słowo „dobrowolnie”. W duchu jednak bieleje z wściekłości. Mildred mówi dalej.

- Wedle statutu tylko kołu łowieckiemu wolno korzystać ze sztucerów, co oznacza, że koło ma zapewniony monopol na łosie. Jeżeli chodzi o pozostałą zwierzynę, to stosowni członkowie związku mogą oczywiście wykupić dobowe karty łowieckie, ale wszystkie upolowane sztuki dzieli się później pomiędzyzwiązkowych aktywistów, a o sposobie podziału decyduje - surprise! — zarząd. A ja uważam tak: zarówno LKAB¹⁹, jak i Yngve Bergqvist są zainteresowani dzierżawą, LKAB z myślą o pracownikach, Yngve — o turystach. Moglibyśmy więc znacznie podnieść dzierżawne. Mówię o naprawdę solidnej podwyżce. Za te pieniądze moglibyśmy zająć się sensowną gospodarką leśną. Bo, tak poważnie, czym właściwie zajmuje się Torbjörn Ylitalo? Jest na usługach koła

19 Luossavaara-Kiirunavaara Aktiebolag — szwedzki państwowy koncern wydobywczy zajmujący się wydobywaniem i przetwórstwem rud żelaza.

łowieckiego! Zapewniamy więc temu męskiemu klubowi darmowego pracownika.

Torbjörn Ylitalo jest nadleśniczym zatrudnionym przez Kościół. Jednym z dwudziestu członków koła łowieckiego i przewodniczącym związku łowieckiego. Stefan zdaje sobie sprawę, że Torbjörn sporą część etatu poświęca konserwacji ambon, stanowisk łowieckich i chatek myśliwskich. Że wspólnie z łowczym, Larsem Gunnarem, planuje polowania.

- No więc tak — podsumowuje Mildred. — Zdobędziemy środki na gospodarkę leśną, ale też, przede wszystkim, na ochronę wilczycy. Kościół może przekazać fundacji dzierżawę w ramach darowizny. Urząd Ochrony Środowiska już oznakował wilczycę, teraz są potrzebne pieniądze na jej monitorowanie.

- Nie rozumiem, dlaczego podejmujesz ten temat ze mną i Stefanem? — przerywa jej Bertil, nie podnosząc głosu. — Przecież zmiany w zasadach dzierżawy leżą w gestii rady kościelnej?...

- A ja uważam — odpowiada Mildred — że to jednak przede wszystkim sprawa naszej parafii.

W pokoju zapada milczenie. Bertil kiwa głową. Stefan czuje, jak ból w lewym ramieniu promieniuje w stronę karku.

Doskonale rozumieją, o co jej chodzi. Wiedzą nawet, jak potoczy się dyskusja, jeśli dojdzie do niej w parafii i — rzecz jasna — w lokalnej gazecie. Członkowie męskiego klubu urządzają darmowe polowania w lasach należących do Kościoła, a oprócz tego przywłaszczają sobie zwierzynę, której sami nie upolowali.

Stefan jest członkiem koła łowieckiego. Wie, że nie ujdzie mu to na sucho.

Proboszcz też ma swoje powody, by udzielać poparcia kołu łowieckiemu. Jego członkowie wypełniają mu zamrażarkę. U Bertila zawsze można zjeść filety z łosia i dzikie ptactwo. W podzięce za cichą aprobatę swojego imperium członkowie koła potrafią dokonać też innych rzeczy. Na przykład zbudować drewniany domek letniskowy proboszcza i zadbać o niego.

Stefan myśli o swoim miejscu w kole łowieckim. Nie, on go dotyka, jakby to był ciepły, gładki kamień. Jego tajemny,

szczęśliwy kamień. Ciągle pamięta ten dzień, w którym został przedstawiony nadleśniczemu. Dłoń Bertila na ramieniu Stefana. „Nasz nowy wikary poluje”, powiedział proboszcz. „Byłby rad, gdyby został przyjęty do koła łowieckiego”. Torbjörn Ylitalo, możnowładca feudalny w leśnym imperium Kościoła, skinął głową, nie pozwalając sobie na nieprzyjazną minę. Dwa miesiące później Elis Wiss wypowiedział przynależność do koła. Po czterdziestu trzech latach! Stefan został jednym z dwudziestu.

- To przecież niegodziwe! — nie kryje oburzenia Mildred.

Proboszcz podnosi się z fotela.

- Możemy powrócić do tej dyskusji, kiedy nie będziesz w afekcie — zwraca się do Mildred.

Wychodzi. Zostawia Stefana na jej pastwę.

- Ale jak on to sobie wyobraża — pyta Stefana Mildred.

- Skoro gdy tylko o tym pomyślę, wpadam w afekt.

Nagle uśmiecha się szeroko.

Stefan patrzy na nią zdumiony. Z czegoż ona się śmieje? Czy naprawdę nie rozumie? Przecież właśnie udowodniła, że jest kompletnie, ale to kompletnie niemożliwa! Że właśnie wypowiedziała wojnę, niemającą sobie równych. Jak gdyby w środku tej inteligentnej kobiety — bo Mildred naprawdę jest inteligentna, Stefan musi to przyznać — mieszkała niedorozwinięta, bełkotliwa idiotka. I co on ma teraz zrobić? Nie może stąd, ot tak, wybiec; to przecież jego pokój. Siedzi więc, niezdecydowany, na swoim miejscu.

Mildred poważnie, otwiera torebkę i wyciąga z niej trzy koperty. Stefan poznaje charakter pisma.

Wstaje i bierze do ręki listy, napisane przez jego żonę. Czuje, jak ściska go w dołku. Kristin. Kristin! Stefan wie, co to za listy, choć ich nie czytał. Opada z powrotem na fotel.

- Dwa z nich odznaczają się dość nieprzyjemnym tonem — mówi Mildred.

Tak, Stefan sobie wyobraża. To przecież nie pierwszy raz. Powraca stara, dobrze znana śpiewka Kristin. Mimo pewnych modyfikacji — zawsze ta sama. Przeszedł to już dwa razy. Najpierw osiedlają się w nowym miejscu. Kristin prowadzi

chóry dziecięce i szkółkę niedzielną; jest czarującą ptaszyną, która w każdej tonacji wyśpiewuje zalety nowej parafii. Jednak gdy to pierwsze zakochanie — tak, Stefan świadomie używa tego słowa — gdy pierwsze zakochanie mija, zaczyna się etap niezadowolenia. Rzeczywiste i urojone krzywdy, które Kristin kolekcjonuje jak znaczki. Bóle głowy, wizyty u lekarza i zarzuty pod adresem Stefana, że nie traktuje jej problemów wystarczająco poważnie. Później dochodzi do prawdziwych zgrzytów między nią a którymś z pracowników albo wiernych. W końcu Kristin wyrusza na wyprawę wojenną. W ostatnim miejscu urządziła istny cyrk; w konflikt zaangażował się związek zawodowy, pracownica kancelarii parafialnej zażądała, by jej załamanie nerwowe zakwalifikowano jako chorobę zawodową. A Kristin czuła się tylko niesprawiedliwie oskarżona. Nie mieli innego wyjścia, musieli się przeprowadzić. Pierwszy raz z jednym dzieckiem, drugi raz z trójką. Teraz najstarszy syn chodzi do gimnazjum, to newralgiczny okres.

- Mam jeszcze dwa, w tym samym stylu — oznajmia Mildred. Wychodzi, zostawiając Stefana z listami w ręce.

Usidliła go jak pardwę, czuje Stefan, nie wiedząc, czy ma na myśli Mildred, czy żonę.

*

Szef Rebeki Martinsson, Måns Wenngren, siedział w swoim skrzypiącym fotelu. Nie zauważył wcześniej, że mebel zgrzyta w irytujący sposób, kiedy reguluje się jego wysokość. Myślał o Rebecce. A potem przestał.

W zasadzie miał masę roboty. Powinien odpowiedzieć na zaległe telefony i mejle. Zadbać o klientów. Od jakiegoś czasu jego asystenci kładli żółte samoprzylepne karteczki z wiadomościami na siedzeniu fotela, by je dostrzegł. Teraz jednak, kiedy do lunchu została już tylko godzina, Måns równie dobrze mógł odłożyć to wszystko na później.

Zwykł mówić o sobie „niespokojny duch”. I od razu niemal słyszał Madelene, swoją byłą żonę: „To oczywiście brzmi lepiej niż męczyzna kapryśny, niewierny i uciekający od siebie samego”. Tylko że „niespokojny duch” nie był jedynie

wymysłem. Niepokój dopadł Månsa już w kołysce. Jego matka wspominała, że przekrzyczał prawie wszystkie swoje niemowlęce noce. „Uspokoił się odrobinę, kiedy zaczął chodzić. Na jakiś czas”.

Jego brat, starszy o trzy lata, opowiadał tysiące razy o tym, jak sprzedawali choinki. Jeden z dzierżawców rodziny zaproponował braciom pracę w czasie ferii. Byli zaledwie chłopcami, Måns właśnie zaczął szkołę. Umiał już jednak liczyć, twierdził brat. Zwłaszcza pieniądze. Sprzedawali więc choinki. Dwóch nieletnich handlarzy: siedem i dziesięć lat. „W jakiś cholerny, niezrozumiały sposób Måns zarabiał dużo więcej niż my, pozostali”, mówił brat. „Nie mogliśmy pojąć, jak on to robi, pobierał przecież taką samą prowizję jak my, cztery korony od choinki. Ale podczas gdy my tylko staliśmy, zmarznięci jak cholera, i czekaliśmy, aż wybije piąta, Måns biegał w kółko i rozmawiał z ludźmi, którzy oglądali drzewka. Jeśli ktoś narzekał, że za wysokie, to Måns obiecywał, że może je na miejscu skrócić. Nikt nie mógł odmówić skrzatowi z piłą równie dużą jak on sam. Wiecie, na czym polegał cały dowcip? Od tych odciętych kawałków Måns odpilowywał gałęzie, robił z nich spore wiązanki i sprzedawał po pięć koron za sztukę. Zarobione piątki wkładał prosto do kieszeni. Dzierżawca... jakżeż on się, kurde, nazywał, Mårtensson? No więc dzierżawca był wściekły, ale co mógł zrobić?”

Tutaj brat robił pauzę, podnosił brwi i przybierał minę, która mówiła wszystko o bezsilności dzierżawcy wobec przebiegłości syna właściciela lasu. „Biznesmen”, kończył. „Od zawsze biznesmen”.

Aż do osiągnięcia wieku średniego Måns bronił się przed tą etykietką. „Prawo to nie to samo, co biznes”, wyjaśniał.

„Jasne, kurwa, że to samo”, odpowiadał brat. „Jasne, kurwa, że to samo”.

Brat we wczesnej młodości mieszkał za granicą i robił Bóg wie co, aż w końcu wrócił do Szwecji, poradził sobie jakoś ze studiami, został magistrem nauk społecznych i obecnie piastował stanowisko szefa Zarządu Opieki Społecznej w Kalmarze.

Måns po jakimś czasie przestał się bronić. Dlaczego zawsze musiał tłumaczyć się przed bratem z sukcesu?

„Jasne”, odpowiadał teraz. „Biznes i pieniądze w banku”. I dorzucał historię o kupionym ostatnio samochodzie, pakiecie akcji czy chociażby najnowszym modelu telefonu komórkowego.

Nienawiść brata wyczytywał z oczu bratowej. Måns tego nie pojmował. Bratu udało się utrzymać swoje małżeństwo. Dzieci przyjeżdżały w odwiedziny.

Nie, nie mogę dłużej zwlekać, pomyślał i podniósł się ze skrzypiącego fotela.

Maria Taube zaćwierkotała pożegnalne „do widzenia!” i odłożyła słuchawkę. Cholerni klienci! Dzwonią i zasypują człowieka pytaniami tak ogólnymi i niesprecyzowanymi, że nie sposób na nie odpowiedzieć. Pół godziny zajmuje zrozumienie, o co im w ogóle chodzi.

Usłyszała pukanie do drzwi i zanim zdążyła otworzyć usta, Måns wsunął głowę do środka.

Naprawdę niczego się nie nauczyłeś w tym swoim ekskluzywnym Lundsbergu?, pomyślała zirytowana. Na przykład, żeby poczekać na „proszę!”?

Jak gdyby czytając w jej myślach, skrywanych pod uśmiechem, zapytał:

- Masz czas?

Ciekawe, kiedy ostatnio dostał odmowną odpowiedź na to pytanie, pomyślała Maria, wskazując ręką na fotel dla petentów i rozłączając kolejną rozmowę telefoniczną.

Zamknął za sobą drzwi. Zły znak. Maria pognała myślami w poszukiwaniu czegoś, co mogła przeoczyć. Może pojawił się jakiś klient, który ma prawdziwy powód do niezadowolenia? Nic jej nie przychodziło do głowy. To było w tej robocie najgorsze.

Maria radziła sobie ze stresem, hierarchią i masą nadgodzin, ale ta ciemna przepaść, która czasami otwierała się pod nogami... Taka jak pomyłka Rebeki. Tak cholernie łatwo przepuścić kilka milionów koron.

Måns usiadł, rozejrzał się dookoła i zaczął bębnić palcami po udzie.

- Ładny widok — wyszczerzył zęby.

Zza okna napierała na nich brudnobrązowa fasada sąsiedniego budynku. Maria roześmiała się grzecznie, darowała sobie jednak komentarz.

No, wyduś to z siebie w końcu, zachęcała szefa w duchu.

- Jak ci idzie z...

Dokończył nieokreślonym gestem nad stosem papierów na jej biurku.

- Dobrze! — wypaliła, powstrzymując się od wyjaśnienia, czym się akurat zajmuje. Przecież widać, że nie jest tym zainteresowany.

- Tak... Masz jakieś wieści od Rebeki? — zapytał. Ramiona Marii opadły o jakiś centymetr.

- Owszem.

- Słyszałem od Torstena, że zatrzymała się tam na północy.

- Tak.

- Co robi? Maria się zawahała.

- Nie wiem dokładnie.

- E, nie bądź taka cholernie niemożliwa. Wiem, że to ty zaproponowałaś, żeby tam pojechała. Chyba całkiem uczciwie mogę powiedzieć, że nie uważam tego za najlepszy pomysł. A teraz chcę się dowiedzieć, jak ona się czuje. Zrobił pauzę.

- W końcu jest tu zatrudniona.

- Sam ją zapytaj — zaproponowała Maria.

- To nie takie proste. Kiedy ostatnio próbowałem, urządziła niezłą scenę, nie wiem, czy pamiętasz.

Maria przypomniała sobie, jak Rebeka odpłynęła łódką z firmowej imprezy. Ta kobieta jest nieobliczalna.

- Nie mogę z tobą rozmawiać o Rebecce. Chyba rozumiesz, że byłaby z tego powodu diabelnie niezadowolona.

- A ja? — nie ustępował Måns.

Maria uśmiechnęła się przelotnie.

- Ty i tak wciąż jesteś niezadowolony.

Måns ponownie wyszczerzył zęby, ożywiony tym bezceremonialnym brakiem szacunku dla szefa.

- Pamiętam, jak u mnie zaczynałaś — powiedział. — Grzeczna i posłuszna. Robiłaś, co ci się kazało.

- Wiem — odparła. — I pomyśleć, co ta firma robi z ludźmi...

*

Rebeka i Nalle stanęli przed drzwiami Sivvinga niczym dwoje najemnych robotników. Zaprosił ich do środka, jakby wyczekiwał z utęsknieniem, i znów zaprowadził do kotłowni. Bella leżała w drewnianej skrzynce wyściełanej gałgankowymi dywanikami. Spała ze szczeniakami pod brzuchem. Kiedy przyszli goście, otworzyła tylko jedno oko i przywitała ich kilkoma uderzeniami ogona. Rebeka przyjechała po Nallego około pierwszej. Zadzwoiła do drzwi, otworzył jego ojciec. Stał w progu, ogromny. Poczuli się jak pięcioletnia dziewczynka, która pyta rodziców kolegi, czy może on wyjść na podwórko, żeby się z nią pobawić.

Sivving nastawił kawę i nakrył do stołu. Przygotował kubki z grubej porcelany w wielkie pomarańczowe, żółte i brązowe kwiaty. Włożył chleb do koszyczka, wyciągnął z lodówki masło i opakowanie wędzonej kiełbasy.

W piwnicy było dość chłodno. Zapach psa i świeżo ugotowanej kawy²⁰ mieszał się z wilgotną wonią ziemi i betonu. Przez wąskie piwniczne okienko pod sufitem wpadało blade słońce.

Sivving przyjrzał się Rebecce. Musiała wyciągnąć ubrania z magazynu babci. Rozpoznał czarny anorak z białymi płatkami śniegu. Ciekawe, czy Rebeka wie, że ta kurtka należała kiedyś do jej mamy. Prawdopodobnie nie.

Chyba też nikt jej nie powiedział, jak bardzo jest do matki podobna. Te same brązowe długie włosy i ta sama ciemna oprawa kwadratowych oczu. I tęczówka w nieokreślonym piaskowym kolorze z ciemniejszą obwódką.

Szczenięta się obudziły. Duże łapy i uszy, wygrzebywanki i przepychanki, ogony jak śmigielka, wybijające takt o brzeg skrzynki. Rebeka i Nalle usiedli na podłodze i dzielili się z Bellą

20 W Norlandii wciąż istnieje tradycja gotowania kawy. Grubo zmieloną kawę zalewa się zimną wodą, doprowadza do wrzenia i odstawia na kilka minut, aż opadną fusy.

kanapkami, podczas gdy Sivving sprzątał ze stołu.

- Nic chyba nie pachnie tak ładnie — odezwała się Rebeka, trzymając nos w uchu jednego ze szczeniąt.

- Akurat ten nie jest jeszcze zaklepany — powiedział Sivving. — To co, bierzesz?

Maluch wgrzyzał się ostrymi zębami w dłoń Rebeki. Jego czekoladowa sierść była tak krótka i miękka, że sprawiała wrażenie delikatnej skóry. Tylne łapy do połowy zanurzone były w bieli.

Rebeka włożyła go z powrotem do skrzynki i wstała.

- To niemożliwe. Poczekam na zewnątrz.

Niewiele brakowało, a powiedziałyby, że jest zbyt zapracowana, by sprawić sobie psa.

Później kopali ziemniaki. Sivving szedł przodem i zdrową ręką wrywał łęciny, Rebeka postępowała za nim z motyką.

- Ani łopatą, ani motyką. No, nie mogę kopać. Myślałem, że poproszę Lenę, jak przyjedzie na weekend z chłopcami.

Lena była jego córką.

- Ja ci chętnie pomogę — zaoferowała się Rebeka.

Przekopywała motyką lekką, piaszczystą ziemię i wyciągała ziemniaki, które w niej zostały.

Nalle bawił się ze szczeniętami. Od czasu do czasu Rebeka i Sivving prostowali plecy i spoglądali w jego kierunku. Nie mogli powstrzymać się od uśmiechów. W wyciągniętej wysoko nad głowę ręce chłopiec trzymał sznurek z przymocowanym doń skrzydłem głuszca. Biegał w kółko po trawie, unosząc wysoko kolana, i pisał z radości, a za nim sunęło pięć szczeniaków, gnanych niepohamowanym instynktem łowieckim. Bella wygrzewała się w jesiennym słońcu. Niekiedy podnosiła głowę, by złapać irytującą końską muchę i sprawdzić, co robią maluchy.

To oczywiście nienormalne, pomyślała Rebeka. Nie potrafię przebywać w pracy w towarzystwie rówieśników, ale u boku starca i niedorozwiniętego umysłowo chłopca czuję, że mogę być sobą.

- Pamiętasz? Kiedy byłam małą, po zakończonych wykopkach

wy, dorośli, rozpalaliście wieczorem ognisko, a my, dzieci, piekłyśmy ziemniaki znalezione na kartoflisku.

- Na wierzchu spalone na węgiel, trochę upieczone pod skórką i surowe w środku. Jasne, że pamiętam. Wracaliście później upačkane od stóp do głów sadzą i ziemią.

Rebeka uśmiechnęła się na to wspomnienie. Dzieciom już od małego wpajano respekt przed ogniem i w zasadzie nie wolno im było bawić się przy ognisku. Ale to powykopkowe było wyjątkiem. Należało wyłącznie do nich — do Rebeki, jej kuzynów i dzieci Sivvinga — Matsa i Leny. Siedzieli w jesiennych ciemnościach, wpatrzeni w jęzory ognia. Grzebali patykami w żarze. Czuli się jak Indianie z ksiązek przygodowych.

Wrócili do babci dopiero między dziesiątą a jedenastą wieczorem, prawie w środku nocy. Szczęśliwi i brudni jak nieboskie stworzenia. Dorośli zdążyli już wykąpać się w saunie, teraz siedzieli przy wieczornym małym co nieco. Babcia, żona wujka,

Inga Lili, i żona Sivvinga, Maj Lis, piły herbatę. Sivving i wujek Affe sączyli tuborga.

Rebeka pamiętała mężczyzn z naklejki na butelce. Hvergang.

Razem z resztą dzieci zatrzymała się w sieni; mieli na tyle rozumu, by nie wnieść do kuchni połowy kartofliska.

- Oho, nadchodzą Hotentoci — śmiał się Sivving. — Nie wiem, ilu ich jest, bo w sieni ciemno jak w kopalni, a przybysze czarni jak smoła. Proszę o szeroki uśmiech, to policzymy rzędy zębów. Ze śmiechem wzięli od babci ręczniki. Ruszyli pędem do ciągle jeszcze nagrzonej sauny, która znajdowała się nad brzegiem rzeki, i szorowali się do białości.

*

Przewodniczący związku łowieckiego Torbjörn Ylitalo stał na podwórzu. Piłował drewno na opał. Anna Maria Mella zatrzymała samochód i wysiadła. Mężczyzna, stojący do niej tyłem, nie słyszał, jak nadjeżdżała, jego uszy szczelnie przykrywały czerwone ochraniacze. Wykorzystując sytuację, komisarz swobodnie rozejrzała się dookoła.

W oknie, za firankami w drobną kratkę, stały zadbane pelargonie. A więc prawdopodobnie żonaty. Rabatki odchwaszczone. Na trawniku ani jednego listka. Płot elegancko wymalowany tradycyjną farbą fału, czerwono-brązowy z białym wykończeniem. Anna Maria pomyślała o własnych sztachetach, pokrytych kropkami pleśni, i o farbie lateksowej odchodzącej płatami z południowej ściany domu.

W przyszłe wakacje musimy zacząć malowanie, pomyślała.

Tylko czy przypadkiem tego samego postanowienia nie powzięła ubiegłej jesieni?

Piła tarczowa wżerała się w sośninę z przeraźliwym jazgotem. Kiedy Torbjörn Ylitalo rzucił ostatni kawałek drewna na ziemię i schylił się po nowy, metrowej długości, komisarz Mella krzyknęła: „halo!”.

Mężczyzna obejrzał się, ściągnął ochraniacze z uszu, powiesił je na szyi i wyłączył piłę. Miał koło sześćdziesiątki i ogorzałą twarz o grubych rysach, choć wyjątkowo zadbaną. Resztki włosów na głowie, podobnie jak broda, były siwe i przystrzyżone. Ściągnawszy ochronne okulary, rozpiął roboczą niebieską kurtkę, wyjął parę modnych szkieł bez oprawek i wcisnął je na kulfoniasty nos. Płatki uszu zwisały jak spore kawałki wyprawionej skóry. Anna Maria zwróciła uwagę, że i po nich przejechała maszynka do golenia.

Nie to co u Svena Erika, pomyślała. Z jego uszu wyrastały czasami istne wiedźmine miotłki.

Usiedli w kuchni. Komisarz przystała na filiżankę kawy, kiedy Torbjörn zapewnił, że i tak będzie parzył dla siebie.

Włączył ekspres i zaczął bezradnie przeszukiwać zamrażarkę. Odetchnął z ulgą na wieść, że Anna Maria nie jada ciasta. - Ma pan teraz urlop przed sezonem na łosie? — zapytała.

- Nie, ale wie pani, w pracy mogę dość swobodnie dysponować czasem.

- Mhm, jest pan nadleśniczym zatrudnionym przez Kościół.

- Tak.

- A także przewodniczącym związku łowieckiego oraz członkiem koła łowieckiego?

Potwierdził skinieniem głowy.

Przez chwilę rozmawiali niezobowiązująco o polowaniach i o zbiorze jagód.

Z kurtki, którą wciąż miała na sobie, Anna Maria wyciągnęła notes i długopis. Położyła je na stole.

- Jak już panu powiedziałam, chodzi o Mildred Nilsson. Słyszałam, że nie żyli państwo w zgodzie.

Torbjörn patrzył na nią bez uśmiechu. Nie uśmiechnął się dotąd ani razu. Bez pośpiechu przełknął łyk kawy, odstawił filiżankę na podstawkę i zapytał:

- Kto tak powiedział?

- A było tak?

- Cóż, mówienie źle o zmarłych napawa mnie niesmakiem, ale ona naprawdę siała we wsi rozgoryczenie i niezgodę.

- W jaki sposób?

- Powiem bez ogródek. Mildred Nilsson nienawidziła mężczyzn. Jestem szczerze przekonany, że zależało jej na tym, by kobiety odchodziły od mężów. A w takiej sytuacji niewiele da się zrobić.

- Jest pan żonaty?

- Yes!

- Czy Mildred Nilsson próbowała przekonać pana żonę do rozwodu?

- Nie, jej nie. Ale inne tak.

- A tak dokładniej, o co się państwo sprzeciali?

- No... Mildred miała na przykład taki popieprzony pomysł związany z parytetem w kółku łowieckim. Więcej kawy?

Anna Maria pokręciła głową.

- Wie pani, co drugie miejsce dla kobiet. To miało być warunkiem przedłużenia umowy o dzierżawę terenów łowieckich.

- Rozumiem, że panu się ten pomysł nie podobał.

Ślamazarny wręcz mężczyzna nabrał teraz wyrazistości.

- Przecież oprócz niej nikt nie uważał tego za dobry pomysł! Nie jestem żadnym szowinistą, ale moim zdaniem o te wszystkie miejsca w zarządach firm, Riksdagu czy naszym skromnym kole łowieckim powinno się konkurować na równych zasadach. To dopiero byłby brak równouprawnienia,

gdyby pani dostała takie miejsce tylko dlatego, że jest kobietą. Czy wtedy ktoś by panią szanował? A poza tym: czy to naprawdę coś złego, że mężczyźni zajmują się polowaniem? Czasami myślę, że myślistwo to nasz ostatni przyczółek. Pozwólcie nam ten przyczółek zachować! Przecież ja, kurwa, nie upierałem się, żeby zostać członkiem jej kółka biblijnego.

- Czyli byli państwo o to skłóceni, pan i Mildred?

- Skłóceni jak skłóceni, ona doskonale wiedziała, co myślę.

- Magnus Lindmark powiedział, że pan z chęcią włożyłby jej strzelbę do jadaczki.

Przez moment zastanawiała się, czy powinna mu to powiedzieć. Ale tamten skurwiol, który odrąbał kociętom głowy, po prostu sobie na to zasłużył.

Torbjörn Ylitalo nie wyglądał na poruszonego. Może nawet po raz pierwszy zawitał na jego ustach lekki uśmiech. Zmęczony, prawie niezauważalny.

- Tutaj chyba bardziej chodzi o jego własne emocje — powiedział. — Ale Magnus jej nie zabił. Zresztą ja też nie.

Anna Maria milczała.

- Gdybym chciał ją zabić, tobym ją zastrzelił, a później zakopał porządnie w jakimś torfowisku.

- Czy wiedział pan o tym, że chciała wypowiedzieć wam umowę o dzierżawę?

- Tak, ale w radzie kościelnej nie miała nikogo po swojej stronie, więc to było bez znaczenia.

Mężczyzna podniósł się z krzesła.

- Jeżeli nie ma pani więcej pytań, to chciałbym wrócić do roboty.

Anna Maria wstała. Patrzyła, jak Torbjörn stawia filiżanki na blacie przy zlewie, a potem wkłada do lodówki dzbanek z ciepłą kawą.

Powstrzymała się od komentarza. Rozstali się spokojnie na podwórzu.

Prosto od nadleśniczego pojechała do Erika Nilssona. Chciała go zapytać, czy wie, kto wysłał żonie rysunek z wisielcem.

Zaparkowała przed furtką plebanii. Z przepelnionej skrzynki

na listy wystawały gazety i różne koperty, wieko się nie domykało. Wkrótce to wszystko zaleje deszcz; rachunki, reklamy i gazety zamienią się w papierową breję. Anna Maria widziała już takie pękające w szwach skrzynki. Dzwonią zaniepokojeni sąsiedzi, policja wchodzi do środka, a tam śmierć. W takiej czy innej postaci.

Wciągnęła haust powietrza. Najpierw naciśnie klamkę. Jeżeli mąż Mildred tam leży, to drzwi prawdopodobnie nie są zamknięte na klucz. A jeżeli są, to zajrzy do środka przez okna. Weszła na ganek, ozdobiony bez przepychu snycerskimi detalami. Stały tam białe krzesła z wikliny i kilka dużych niebieskich donic, których zawartość zamieniała się w cement z resztkami uschniętych kwiatów.

W chwili gdy Anna Maria położyła rękę na klamce, ta poruszyła się i ktoś otworzył drzwi od wewnątrz. Komisarz nie krzyknęła. Prawdopodobnie nawet nie drgnęła. W duchu jednak podskoczyła razem z sercem. Ścisnęło ją w dołku.

Na ganek wyszła kobieta, niemal zderzyła się z Anną Marią, i wrzasnęła, przerażona.

Miała około czterdziestu lat, szeroko otwarte brązowe oczy i długie, gęste rzęsy. Niewiele wyższa od Anny Marii, czyli po prostu niska. Tylko że drobniejsza i delikatniejsza. Dłoń, którą przycisnęła do piersi, miała długie palce i szczupły przegub.

- Oj! — powiedziała i uśmiechnęła się.

Anna Maria wyjaśniła, kim jest. - Czy zastałam Erika Nilssona? — dodała.

- Ech... Nie ma go tutaj — odparła kobieta. Jej głos odpłynął gdzieś w dal.

- Wyprowadził się stąd — uzupełniła. — No więc tak, plebania należy do kościoła. Naprawdę nikt go nie zmuszał, żeby... Przepraszam, nazywam się Kristin Wikström.

Wyciągnęła na powitanie filigranową rękę. Po chwili, odrobinę zakłopotana, poczuła, że powinna wyjaśnić swoją obecność w tym miejscu.

- Mój mąż, Stefan Wikström, ma się tu wprowadzić, teraz kiedy Mildred... To znaczy nie tylko on. Oczywiście ja z dziećmi też.

Zaśmiała się.

- Erik Nilsson nie zabrał ze sobą ani mebli, ani żadnych innych rzeczy. Nie wiemy, gdzie się podział, i... przyjechałam tutaj, żeby zobaczyć, co jest do zrobienia.

- Czyli pani nie wie, gdzie jest mąż Mildred Nilsson?

Kristin Wikström pokręciła głową.

- A pani mąż? — zapytała Anna Maria.

- Też nie wie.

- Nie, chodzi mi o to, gdzie go znajdzie.

Nad górną wargą kobiety pojawiły się drobne zmarszczki.

- Czego pani od niego chce?

- Chcę mu zadać kilka pytań.

Kristin znów pokręciła głową, tym razem z zatroskaną miną. - Bardzo bym chciała, żeby w końcu zostawiono go w spokoju. Stefan miał bardzo ciężkie lato. Żadnego urlopu. Cały czas policja. Dziennikarze dzwonią nawet po nocach, wyobraża sobie pani? A my nie chcemy wyłączać telefonu z kontaktu, bo moja mama jest stara i schorowana, więc gdyby musiała do nas zadzwonić...

No i ten strach, wszyscy się boimy, że w okolicy grasuje jakiś szalenciec, który... Człowiek nie ma odwagi wypuścić dzieci z domu. Cały czas niepokoję się o Stefana.

Ale o smutku po zmarłej pastor nie wspomniała ani słowem, pomyślała chłodno Anna Maria.

- Czy jest w domu? — zapytała bezlitośnie.

Kobieta westchnęła. Spojrzała na policjantkę, jakby ta była dzieckiem, które ją rozczarowało. Bardzo rozczarowało.

- Tak naprawdę to nie wiem — odparła. — Nie należę do kobiet, które kontrolują wszystkie poczynania męża.

- Spróbuję więc najpierw na plebanii w Jukkasjärvi, a jeśli go tam nie zastanę, to pojedę do miasta — oznajmiła Anna Maria, powstrzymując się, by nie wznieść oczu ku niebu.

Kristin Wikström stoi na ganku plebanii w Poikkijärvi. Odprowadza wzrokiem czerwonego forda escorta. Nie przypadła jej do gustu ta policjantka. Nikt nie jest w jej guście. No, nie do końca. Niektórzy — owszem. Przecież kocha

Stefana. I dzieci. Kocha swoją rodzinę.

W głowie ma projektor filmowy. To chyba dość rzadkie, myśli. Poza tym jej prywatny kinematograf czasami wyświetla nieprawdopodobne obrazy. Teraz jednak Kristin zamknie oczy i obejrzy swój ulubiony film. Jesienne słońce ogrzewa jej twarz. Wciąż jeszcze trwa późne lato, trudno uwierzyć, że o tej porze w Kirunie może być tak ciepło. Chociaż to świetnie się składa. Ponieważ film jest z wiosny.

Przez okno wpadają promienie majowego słońca. Kolory są miękkie. Obraz jest tak rozmyty, że ona sama wygląda, jakby była otoczona aureolą. Siedzi na krześle w kuchni. Stefan obok, pochylony, z głową w jej objęciach. Ona przeciąga delikatną dłonią po jego włosach. Szepcze: „ciiii...”. On płacze. „Ta Mildred...”, mówi, łkając, „wkrótce zabraknie mi sił”. Chce tylko ciszy i spokoju. Spokoju w pracy. Spokoju w domu. A Mildred rozsiewa truciznę po całej parafii. Kristin głaszcze jego miękkie włosy. To święta chwila. Stefan zazwyczaj jest taki silny. Nigdy nie szuka u żony oparcia. Więc ona tym bardziej rozkoszuje się rolą pocieszycielki. Nagle coś sprawia, że Kristin podnosi oczy. W drzwiach stoi ich najstarszy syn, Benjamin. Boże, jak on wygląda! Na głowie długie czarne strąki, na pupie potargane, obcisłe dzinsy. Chłopak, wpatrzony w rodziców, nie odzywa się ani słowem. W jego spojrzeniu czai się coś dzikiego. Kristin marszczy brwi, dając znak, by wyszedł. Wie, że Stefan nie życzy sobie, aby dzieci widziały go w takim stanie.

W tym momencie film się kończy. Kristin chwytą za poręcz schodów. To będzie ich dom — jej i Stefana. Jeżeli mąż Mildred myśli, że nikt nie odważy się ruszyć jego mebli, to się grubo myli. W drodze do samochodu Kristin wyświetla sobie jeszcze raz swój ulubiony film. Tym razem wymazuje jednak Benjaminą.

*

Anna Maria wjechała na podwórze plebanii w Jukkasjärvi. Zadzwoniła do drzwi, ale nikt nie otwierał.

Kiedy się obejrzała, zobaczyła chłopaka idącego w stronę domu. Był w wieku Marcusa, może odrobinę młodszy. Miał

długie, farbowane, kruczoczarne włosy. Oczy podkreślone czarnym ołówkiem. Był ubrany w zniszczoną kurtkę z czarnej skóry i czarne, obcisłe dżinsy z ogromnymi dziurami na kolanach.

- Hej! — zawołała Anna Maria. — Mieszkasz tutaj? Szukam Stefana Wikströma, czy wiesz...

Więcej nie zdążyła powiedzieć. Chłopiec wbił w nią wzrok, a po chwili obrócił się na pięcie i zaczął uciekać. Biegł wzdłuż drogi. Anna Maria opanowała odruch, by puścić się za nim w pogoń. Dlaczego miałyby go łapać?

Wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku miasta. Jadąc przez wieś, rozglądała się za chłopakiem w czerni, ale przepadł bez śladu.

Czy to było któreś z dzieci pastora? A może ktoś, kto zamierzał się włamać do domu? I jej obecność go zaskoczyła? Jednak w jej głowie tłukło się coś jeszcze.

Żona Stefana Wikströma. Nazywa się Kristin Wikström.

Kristin. Komisarz Mella już gdzieś to imię widziała.

W końcu na to wpadła. Zjechała na pobocze, zatrzymała samochód i wzięła do ręki stosik listów do Mildred, uznanych przez Freda Olssona za najbardziej interesujące. Dwa z nich były podpisane imieniem Kristin. Anna Maria przebiegła je wzrokiem. Pierwszy, opatrzony marcową datą, był napisany starannym charakterem pisma:

„Niech nas pani zostawi w spokoju. Chcemy wyciszenia. Mój mąż potrzebuje spokoju, by móc pracować. Życzy sobie pani, żebym uklękała? Padam na kolana. I proszę: niech nas pani zostawi w spokoju”.

Drugi został wysłany miesiąc później, przez tę samą osobę, choć tym razem pismo było bardziej zamaszyste, zakrętasy dłuższe, a niektóre wyrazy wielokrotnie przekreślone:

„Może myślisz, że nie WIEMY. Ale wszyscy rozumieją, że nieprzypadkowo starałaś się o posadę w Kirunie zaledwie rok po tym, jak mój mąż dostał tu pracę.”

ZAPEWNIAM cię, że WIEMY. Współpracujesz z grupami i organizacjami, których JEDYNYM zadaniem jest działanie na jego szkodę. Zatrujesz studnię swoją NIENAWIŚCIĄ. Tę NIENAWIŚĆ wypijesz kiedyś sama!”.

Co z tym teraz zrobić?, zastanawiała się Anna Maria. Wrócić i przyprzeć ją do ściany?

Zadzwoiła z komórki do Svena Erika.

- Porozmawiajmy najpierw z jej mężem — zaproponował. — Tak czy owak wybierałem się do domu parafialnego, żeby przejrzeć księgi rachunkowe tej fundacji na rzecz wilczycy.

*

Stefan Wikström wzdychał ciężko za swoim biurkiem. Sven Erik Stålnacke zajął miejsce w fotelu dla gości. Anna Maria stała ze skrzyżowanymi ramionami, oparta o drzwi.

Ona czasami zachowuje się tak... niepedagogicznie, pomyślał Sven Erik o komisarz Melli.

Właściwie sam powinien zająć się tym mężczyzną, tak byłoby lepiej. Anna Maria nie pałała do pastora sympatią i nie starała się tego ukryć. Rzecz jasna Sven Erik też czytał o awanturach między Mildred a Stefanem, ale teraz przecież byli tutaj służbowo.

- Tak, wiem o tych listach — przyznał Stefan Wikström.

Siedział z łokciem opartym o blat biurka i z ukrytym czołem w rozpostartych palcach dłoni.

- Moja żona... czasami... czasami niedomaga. Nie żeby była psychicznie chora, ale od czasu do czasu jest trochę niestabilna. Kobieta, która pisała listy, to tak naprawdę nie ona.

Policjanci milczeli.

- Raz na jakiś czas widuje duchy w biały dzień. Nigdy by nie... Chyba nie wierzą państwo, że...

Oderwał dłoń od czoła i uderzył nią w stół.

- To zupełnie absurd! Boże drogi, Mildred miała setkę wrogów!

- Między innymi pana? — zapytała Anna Maria.

- Zdecydowanie nie! Czy ja też jestem podejrzany? Mildred i ja

nie zgadzaliśmy się w pewnych sprawach merytorycznych, to prawda, ale żebym ja albo biedna Kristin, żebyśmy mieli coś wspólnego z tym morderstwem...

- Ależ my wcale tego nie twierdzimy — odparł Sven Erik.

Zmarszczył brwi w specyficzny sposób, więc Anna Maria wstrzymała się z komentarzem.

- Co Mildred powiedziała o tych listach?

- Poinformowała mnie tylko, że je dostała.

- Jak pan myśli, dlaczego ich nie wyrzuciła?

- Nie wiem, ja zbieram nawet kartki, które dostajemy na Boże Narodzenie.

- Czy ktoś jeszcze o nich wiedział?

- Nie. I byłbym wdzięczny, gdyby tak pozostało.

- To znaczy, że Mildred nie mówiła nikomu o tych listach?

- Tak. O ile mi wiadomo, nie mówiła.

- Był pan jej wdzięczny?

Stefan Wikström mrugnął kilkakrotnie.

- Co?

Omal nie wybuchł śmiechem. Wdzięczny! Miałby być wdzięczny Mildred? Co za niedorzeczna myśl! Ale co miał powiedzieć? Nie mógł niczego zdradzić. Mildred wciąż trzymała go w klatce. A z jego żony uczyniła kłódkę. I oczekiwała od niego wdzięczności.

W połowie maja upokorzył się, prosząc ją o listy. Poszedł z nią na spacer. Przemierzali właśnie Skolgatan, w drodze do szpitala, w którym miała kogoś odwiedzić. To najgorsza pora roku. Oczywiście nie w rodzinnym Lund, tylko tutaj, w Kirunie. Ulice są pełne pozimowego żwiru i wszelkiego rodzaju nieczystości, które wylażą spod topniejącego śniegu. Ani krzty zieleni. Jedynie brud, śmieci i te przyzmy żwiru.

Stefan rozmawiał z żoną przez telefon. Bawiła z najmłodszymi dziećmi u swojej mamy w Katrineholmie. Brzmiała radośniej.

Stefan patrzy na Mildred. Ona też wygląda na radosną. Odwraca twarz do słońca, wdycha powietrze głęboko i z rozkoszą. Szczęśliwi ci, którym zabrakło zmysłu estetycznego! Brud i żwir nie wpływają na ich samopoczucie.

Czy to nie dziwne, myśli z rozgoryczeniem Stefan, że Kristin czuje się weselsza i silniejsza, gdy jest z dala od niego? Nie tak wyobrażał sobie małżeństwo; powinni przecież czerpać siłę z siebie nawzajem, wspierać się na co dzień. Już dawno zaakceptował to, że żona nie jest dla niego wsparciem, jakiego oczekiwał. Wygląda na to, że on też przestaje jej wystarczać. „No, jeszcze jakiś czas”, odpowiada mgliście Kristin na pytanie, jak długo zamierza zostać u mamy.

Mildred nie chce mu oddać listów.

- W każdej chwili możesz mi zdruzgotać życie — mówi Stefan z krzywym uśmiechem.

Mildred zatrzymuje na nim spojrzenie.

- Masz świetną okazję, by spróbować mnie obdarzyć zaufaniem — odpowiada.

Stefan nie spuszcza z niej wzroku. Kiedy tak idą ramię przy ramieniu, widać wyraźnie, jaka jest drobna. Jej przednie zęby rzeczywiście są nienaturalnie wąskie. Mildred w każdym calu przypomina nornicę. - Na następnym zebraniu rady kościelnej zamierzam poddać pod dyskusję dzierżawę terenów łowieckich. Umowa z kołem łowieckim w Poikkijärvi wygasa przed Bożym Narodzeniem. Jeżeli wydzierżawimy je komuś innemu, kto może zapłacić...

Stefan nie wierzy własnym uszom.

- Czy ja dobrze słyszę? — pyta, zdumiony swoim spokojem. — Próbujesz mnie szantażować? Grozisz mi? Jeżeli zagłosuję za przedłużeniem umowy, to opowiesz o Kristin? To przecież podłość! Mildred, czy tak wygląda twoje prawdziwe oblicze?

Stefan ma wrażenie, że jego usta żyją odrębnym życiem. Wykrzywiają się w płaczliwym grymasie.

Odrobina wypoczynku zapewni Kristin psychiczną równowagę. Ale jeśli ta historia z listami wyjdzie na jaw... Stefan wie, że żona sobie z tym nie poradzi. Znow zacznie oskarżać ludzi, że oczerniają ją za plecami. Przysporzy sobie jeszcze więcej wrogów. Wkrótce będzie prowadziła wojnę na kilku frontach. Aż oboje poniosą klęskę.

- Nie — zapewnia Mildred. — Nie grozę ci. Tak czy owak nic nie zdradzę. Chciałabym tylko, żebyś...

- Poczul wdzięczność?
- ...mógł wyświadczyć mi przysługę w jednej sprawie
- kończy zmęczona.
- Wbrew sumieniu?

W końcu Mildred wybucha. Ukazuje swoje prawdziwe

ja.

- E, daj spokój! Przecież nie o to tutaj chodzi. To nie jest kwestia sumienia.

Sven Erik Stålnacke powtórzył pytanie.

- Był pan jej wdzięczny? Jeżeli wziąć pod uwagę, że nie byliście najlepszymi przyjaciółmi, to chyba dość wspaniałomyślnie z jej strony, że nie powiedziała nikomu o tych listach?

- Tak — wydusił z siebie w końcu Stefan.

Sven Erik zamruczał coś pod nosem. Plecy Anny Marii odkleiły się od drzwi.

- Jeszcze jedna sprawa — odezwał się Sven Erik. — Księgi rachunkowe fundacji na rzecz wilka. Są tutaj, w domu parafialnym?

Tęczówki Stefana poruszyły się niespokojnie jak rybki akwariowe w słoiku.

- Słucham?

- Księgi rachunkowe fundacji na rzecz wilka. Czy tutaj się je przechowuje?

- Tak.

- Chciałbym je zobaczyć.

- A czy nie jest potrzebne jakieś zezwolenie od prokuratora? — spytał duchowny.

Policjanci wymienili szybkie spojrzenia. Sven Erik podniósł się z krzesła.

- Przepraszam, muszę skorzystać z toalety. Gdzie... ?

- Na lewo, przez drzwi do kancelarii i zaraz znów na lewo.

Sven Erik zniknął w korytarzu. Anna Maria wyciągnęła kopię rysunku z wiszącą Mildred.

- Ktoś przysłał ten rysunek pastor Nilsson. Czy widział go pan wcześniej?

Stefan Wikström wziął kartkę od komisarz. Ręka mu nie zadrżała.

- Nie — odpowiedział.
- A pan nie dostał czegoś podobnego?
- Nie.
- I nie ma pan pojęcia, kto mógł jej to przysłać? Mildred nigdy o tym nie wspominała?
- Nie zwierzałyśmy się sobie.
- Czy mógłby pan sporządzić dla mnie listę osób, z którymi według pana Mildred mogła o tym rozmawiać? Mam na myśli osoby pełniące jakiś urząd w kościele albo pracujące tutaj, w domu parafialnym.

Anna Maria przyglądała się piszącemu pastorowi z nadzieją, że Sven Erik jak najszybciej wywiąże się z zadania.

- Ma pan dzieci? — zapytała nagle.
- Tak, trzech synów.
- Ile lat ma najstarszy?
- Piętnaście.
- Jak wygląda? Jest do pana podobny?

Stefan Wikström momentalnie zmienił ton głosu, zaczął jakby przeciągać słowa.

- Trudno powiedzieć. Nie wiadomo, jak wygląda naprawdę pod tą całą tapetą farby i szminki. Przechodzi teraz w życiu... pewien etap.

Podniósł wzrok, uśmiechnął się. Anna Maria zrozumiała, że ten ojcowski uśmiech, ta pauza retoryczna i słowo „etap” to elementy stosowane przez Wikströma rutynowo w rozmowach o synu.

Uśmiech zgasł jednak dość szybko.

- Dlaczego pyta pani o Benjamina?

Anna Maria wyjęła mu listę z rąk.

- Dziękuję panu za pomoc — powiedziała, wychodząc.

Prosto z pokoju wikarego Sven Erik Stålnacke skierował kroki do kancelarii parafialnej. Zastał tam trzy kobiety; jedna podlewała kwiaty w oknach, dwie pozostałe siedziały przed komputerem. Policjant przedstawił się jednej z nich. Była mniej więcej w jego wieku, przed sześćdziesiątką, miała błyszczący nos i przyjazne oczy.

- Chcielibyśmy przejrzeć księgi rachunkowe tej fundacji na rzecz wilka — powiedział.

- Okej.

Podeszła do regału z dokumentami i wróciła z teczką, w której prawie nic nie było. Sven Erik wyobrażał sobie kolumny cyfr i stosy papierów, faktur oraz rachunków.

- Czy to naprawdę wszystko? — zapytał z niedowierzaniem.

- Tak — odparła. — Nie ma tu specjalnie dużo transakcji, głównie wpłaty.

- Pożyczę ją na chwilę.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Proszę ją zachować. To tylko wydruki i kopie. Mogę je z łatwością odtworzyć.

- Czy mógłbym... — odezwał się Sven Erik, ścisząc głos. — Chciałbym zapytać o jedną rzecz. Może...

Wskazał głową pustą klatkę schodową. Kobieta wyszła za nim.

- Jest tutaj faktura dotycząca kosztów szkolenia — powiedział.

— Opiewa na dość sporą sumę...

- Tak, wiem, o którą panu chodzi.

Zastanawiała się przez chwilę, jakby brała rozbieg.

- To nie było w porządku. Mildred strasznie się wtedy zdenerwowała. Pod koniec maja Stefan pojechał z rodziną na urlop do Stanów Zjednoczonych. Za pieniądze fundacji.

- Jak to możliwe?

- On, pastor Nilsson i proboszcz Stensson zostali upoważnieni do reprezentowania fundacji samodzielnie, każde z osobna. Stefan mógł więc bez problemu podjąć pieniądze. Może sądził, że nikt tego nie zauważy, a może naumyślnie chciał Mildred rozdrażnić, nie mam pojęcia.

- Co było później?

Kobieta spojrzała na niego.

- Nic. Puścili to w niepamięć. Mildred stwierdziła, że Stefan przecież odwiedził Yellowstone, gdzie przeprowadza się reintrodukcję wilka, więc... O ile wiem, nie wybuchła z tego powodu żadna awantura.

Sven Erik podziękował i kobieta wróciła na swoje miejsce przed komputerem. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien

wrócić do Stefana Wikströma i zapytać go o tę podróż. Ale przecież nie spieszyło się, mogli z nim porozmawiać jutro. Czuł instynktownie, że potrzebuje trochę czasu do namysłu. A straszenie ludzi na nic się w takiej sytuacji nie zdaje.

- Ani drgnął — zapewniała go Anna Maria w samochodzie. — Kiedy pokazałam mu rysunek, ani drgnął. Albo jest totalnie nieczuły, albo był zajęty ukrywaniem emocji. No wiesz, jeśli człowiek jest bardzo skoncentrowany na granii nieporuszonego, to czasami zapomina, że powinien też udawać jakieś inne reakcje. Sven Erik mruknął coś pod nosem.

- Powinien okazać zainteresowanie. Przyjrzeć się rysunkowi. Ja bym zareagowała, poczuła się wstrząśnięta, gdyby chodziło o kogoś bliskiego. Albo przynajmniej żadna sensacji, gdybym tej osoby nie znała czy nie lubiła. Na pewno obejrzałabym obrazek z bliska.

Tak naprawdę on przecież nie odpowiedział na moje ostatnie pytanie, uderzyło ją nagle. Kiedy zapytałam, czy nie wie, kto mógł jej przysłać ten rysunek, odparł tylko, że się sobie nie zwierzali.

Wchodząc do kancelarii, Stefan Wikström poczuł lekkie mdłości. Powinien pojechać do domu i zjeść obiad. Kobiety przyglądały mu się z zaciekawieniem.

- Zadawali rutynowe pytania na temat Mildred — odezwał się. Urzędniczki skinęły głowami, wiedział jednak, że umierają z ciekawości. Co za wyrażenie: rutynowe pytania!

- Rozmawiali z wami? — zapytał.

Odpowiedziała kobieta, która pomogła Svenowi Erikowi.

- Tak, ten ogromny mężczyzna chciał obejrzeć księgę rachunkową fundacji.

Stefan zamarł.

- Chyba mu jej nie dałaś? Nie mają prawa... - Oczywiście, że dałam. Chyba nie ma w niej żadnych tajemnic?

Spojrzała na niego przenikliwie. Stefan czuł na sobie wzrok pozostałych kobiet. Obrócił się na pięcie i kilkoma susami

wrócił do swojego pokoju.

Proboszcz może sobie myśleć, co chce. Stefan musi z nim porozmawiać. Zadzwoił na jego telefon komórkowy.

Bertil siedział w samochodzie. Jego głos zanikał od czasu do czasu.

Stefan opowiedział o wizycie policjantów. I o tym, że pożyczyci księgę rachunkową fundacji.

Proboszcz raczej nie był wzburzony. Stefan dodał, że obaj są członkami zarządu fundacji, więc formalnie nie doszło do nieprawidłowości, lecz mimo wszystko...

- Jeżeli dowiedzą się o tym media, to wiadomo, jak nas przedstawią. Okrzykną nas malwersantami.

- Będzie dobrze, zobaczysz — odparł spokojnie proboszcz. — Ale teraz muszę zaparkować. Cześć, usłyszymy się później!

Opanowanie Bertila wskazywało, że Stefan nie miał szansy na wsparcie ze strony przełożonego, jeśli jego podróż do USA wyjdzie na jaw. Proboszcz nigdy by się nie przyznał, że dogadał się w tej sprawie ze Stefanem. „Fundacja ma dużo pieniędzy, które teraz leżą zupełnie bezużyteczne”, powiedział wtedy. Zaczęli snuć plany podróży, która mogłaby pogłębić ich kompetencje. Byli członkami zarządu fundacji zajmującej się ochroną dzikich zwierząt, a nie wiedzieli nic o wilkach. Postanowili więc, że Stefan pojedzie do Yellowstone. Później tak się jakoś złożyło, że w podróży towarzyszyła mu żona z dziećmi; w ten sposób Stefanowi udało się wyrwać ich z Katrineholmu.

Mężczyźni zakładali, że nie przyznają się Mildred, jak sfinansują podróż. Ale oczywiście któraś z kobiet w kancelarii pobiegła do pastor na skargę.

Mildred dopadła Stefana zaraz po jego powrocie z podróży. Opanowanym głosem wyjaśnił jej wagę tego, że ktoś w zarządzie fundacji ma niezbędną wiedzę. I jak dobrze się stało, że tym kimś jest on — myśliwy i znawca lasu. Ludzie traktowali go z respektem i zrozumieniem, których ona nigdy nie zdobędzie, nawet gdyby starała się przez tysiąc lat.

Oczekiwał wybuchu złości. W jakimś sensie nawet się na to cieszył. Odczuwał radość na samą myśl o czerwonej,

spektakularnej utracie kontroli Mildred na tle jego niebieskiego spokoju i opanowania.

Ale Mildred oparła się tylko o jego biurko. Spoczęła na nim całym ciężarem i Stefanowi przeszło przez głowę, że może ona skrywa przed nimi jakąś poważną chorobę, serca albo nerek. Odwróciła ku niemu twarz. Zupełnie białą pod pierwszą wiosenną opalenizną. Oczy niczym dwa czarne guziki. Śmieszne szmaciane zwierzątko, które naraz ożyło, przemówiło ludzkim głosem i niespodziewanie okazało się potwornie groźne.

- Kiedy będę rozmawiała z radą kościelną na temat dzierżawy terenów łowieckich, nie próbuj się wychylać, zrozumiałeś? W przeciwnym razie policja będzie musiała zbadać, czy ta twoja podróż nie jest nadużyciem finansowym. Usiłował jej wytłumaczyć, że sama się ośmiesza.

- Wybór należy do ciebie — odparła. — Nie mam zamiaru cackać się z tobą w nieskończoność.

Odprowadził ją zdumionym wzrokiem. Kiedy ona się z nim cackała? Przecież parzy równie boleśnie jak pokrzywa.

Stefan pomyślał o proboszczu. Pomyślał o swojej żonie. Później o Mildred. I o spojrzeniach kobiet w kancelarii. Nagle wydało mu się, że traci kontrolę nad oddechem. Dyszał jak pies zamknięty w nagrzanym samochodzie. Musi się uspokoić.

Wybrnę z tego!, pomyślał. Czegóż mi brakuje?

Już od najmłodszych lat lgnął do kolegów, którzy lubili go prześladować i wykorzystywać. Był ich chłopcem na posyłki, oddawał im cukierki. Później przebijał opony i rzucał kamieniami, by udowodnić, że syn pastora nie jest mięczakiem. A teraz, jako dorosły, wchodzi nierzadko w towarzystwo i sytuacje, w których traktowany jest jak śmieć.

Chwycił za telefon. Tylko jedna rozmowa.

*

Lisa Stockel siedzi na schodach swojej piernikowej chatki, albo — jak chce Mimmi — pracy dyplomowej naćpanego cukiernika. Wkrótce ruszy do gospody. Ostatnio jada tam codziennie. Mimmi nie widzi w tym nic dziwnego. Lisa ma teraz w kuchni

tylko jeden głęboki talerz, łyżkę i otwieracz do konserw dla kota. Psy włączą się po ogrodzie. Węszą i obsikują krzewy porzeczek, jakby lekko zbite z tropu. Nie rozumieją, dlaczego pani ich nie strofuje.

Sikajcie sobie, gdzie chcecie, myśli Lisa, uśmiechając się do siebie.

Twardość serca to dziwna rzecz. Tak jak stopy latem. Człowiek może biegać boso po szyszkach i kamieniach. Ale kiedy pięta pęknie, to głęboko.

Twardość, która zawsze była jej siłą, teraz okazuje się słabością. Lisa szuka słów, by wytłumaczyć to Mimmi, ale ich nie znajduje. Wszystko, co było do powiedzenia, powinna była wyznać dawno temu, teraz już za późno.

Zresztą co miałyby powiedzieć? Prawdę? Wykluczone. Pamięta, jak Mimmi miała szesnaście lat. Lisa i Tommy byli już dawno po rozwodzie. Tommy pił w każdy weekend. Całe szczęście, że był takim zdolnym brukarzem. Dopóki miał pracę, dopóty w tygodniu ograniczał się do piwa. Mimmi się niepokoiła. To rozumiała. Namawiała mamę, żeby z nim porozmawiała. Kiedyś zapytała: „Czy on cię w ogóle nie obchodzi?”. Lisa odpowiedziała: „Owszem”. Kłamała. Ona, która postanowiła skończyć z kłamstwami. Ale córka to córka. Bo jej samej przecież gównu na Tommym zależało. „Dlaczego w ogóle wyszłaś za męża za tatę?”, spytała Mimmi innym razem. Lisa uświadomiła sobie wtedy, że najzwyczajniej w świecie nie wie. Poczuli się tym odkryciem oszołomiona. Nie mogła sobie przypomnieć, co czuła i myślała, kiedy się spotkali, zaczęli ze sobą sypiać, ogłosili zaręczyny, kiedy została przez niego zaobrączkowana. Później przyszła na świat Mimmi. Była takim wspaniałym dzieckiem. A jednocześnie kajdanami, które na zawsze połączyły Lisę z

Tommyem. Lisa wątpiła w swoje uczucia macierzyńskie. Co tak naprawdę matka powinna czuć do dziecka? Nie miała pojęcia. „Mogłabym dla niej umrzeć”, myślała niekiedy, patrząc na śpiącą córeczkę. Tyle że to nic nie znaczyło. To tak jak dzisiaj obiecać komuś daleką podróż, gdyby jutro wygrało się milion w totolotka. Łatwiej umrzeć dla dziecka w teorii, niż w

rzeczywistości kwadrans mu poczytać. Śpiąca Mimmi wzbudzała w niej chorobliwą tęsknotę i wyrzuty sumienia. Nie śpiąca Mimmi, szukająca rączkami jej ciała i bliskości, wywoływała ciarki.

Wiele lat Lisa żyła w przeświadczeniu, że nigdy nie uwolni się od męża. A kiedy w końcu jej się to udało, nie mogła wyjść ze zdumienia, jakie to proste. Wystarczyło się spakować i wyprowadzić. Łzy i wrzaski były jak oliwa w wodzie.

Z psami nigdy nie było problemu. One nie przejmują się jej chmurnością. Są do bólu szczere i niestrudzenie radosne.

Podobnie jak Nalle. Lisa uśmiecha się na myśl o tym chłopcu. Widzi, jaki on ma wpływ na swoją nową koleżankę, Rebekeę Martinsson. Kiedy Lisa ujrzała ją po raz pierwszy, we wtorek wieczorem, kobieta miała na sobie długi płaszcz i lśniąca apaszkę, z pewnością jedwabną. Sztywna sekretarka jakiejś szczy, czy kim tam ona jest. Było w niej... może mikrosekundowe opóźnienie. Jak gdyby zawsze się wahała, nim udzieli odpowiedzi, uczyni gest czy chociażby uniesie kąciki ust. Nalle nie przejmuje się takimi rzeczami. Włazi ludziom do serca, nie ściągając butów. Już po jednym dniu w jego towarzystwie

Rebeka założyła anorak z lat siedemdziesiątych i niedbale związała włosy zwykłą recepturką, która przy ściągnięciu wyrywa połowę z nich.

Nalle nie potrafi też kłamać. Co drugi czwartek Mimmi podaje w gospodarstwie afternoon tea. To picie herbaty przekształciło się w imprezę, na którą do Poikkijärvi przyjeżdżają nawet kobiety z miasta. Świeżo upieczone scones z dżemem, siedem rodzajów ciasteczek. W ostatni czwartek Mimmi huknęła nagle: „Kto ponadgryzał ciasteczka?!”. Nalle, który właśnie jadł podwieczorek, błyskawicznie podniósł rękę i bezzwłocznie wyznał: „ja”.

Błogosławiony Nalle, myśli Lisa.

Słowa wypowiedane przez Mildred tysiące razy.

Mildred. Kiedy twardość Lisy pękła, w szczelinę wlała się Mildred. Zaraziła ją sobą.

Jeszcze trzy miesiące temu leżały w kuchni na rozsuwanej

ławie. Łóżko jak zwykle było okupowane przez psy, a Mildred prosiła: „Nie zganiaj ich, nie widzisz, jak im dobrze?”.

Na początku czerwca Mildred ma w zasadzie pełne ręce roboty. Zakończenie roku szkolnego, konfirmacje, zakończenia grup dziecięcych, zakończenia grup juniorów, zakończenia grup młodzieżowych i masa ślubów. Lisa leży na lewym boku, wsparta na łokciu. W prawej ręce trzyma papierosa. Mildred śpi, a może nie, najprawdopodobniej znajduje się w stanie pomiędzy snem a jawą. Jej plecy są pokryte miękkim puszkim, włoski rosną wzdłuż kręgosłupa. To dodatkowy dar. Lisa, ze swoim bzikiem na punkcie psów, ma kochankę, której plecy przywodzą

na myśl brzuch szczeniaka. A może brzuch wilczycy?

- O co ci tak naprawdę chodzi z tą wilczycą? — pyta Lisa.

Wiosna upłynęła Mildred pod znakiem wilka. W wieczornym wydaniu Aktuellt pastor dostała dziewięćdziesiąt sekund i cały czas mówiła o wilku. Stowarzyszenie muzyczne „Tusen Toner” zorganizowało koncert, z którego dochód zasilił konto fundacji. Mildred wygłosiła nawet kazanie o wilczycy.

Teraz odwraca się na plecy. Bierze od Lisy papierosa. Lisa wodzi palcem po jej brzuchu.

- Oj — mówi i widać, że stara się skupić nad odpowiedzią. — Jest coś specjalnego w kobietach i wilkach. Jesteśmy do siebie podobne. Patrząc na tę wilczycę, uświadamiam sobie, do czego jesteśmy stworzone. Wilki są niesamowicie wytrzymałe. Pomyśl, że one żyją na obszarach podbiegunowych, w pięćdziesięciostopniowym mrozie, i na pustyni, w pięćdziesięciostopniowym upale. Świadome swego rewiru, bez pardonowo wyznaczają jego granice. Poruszają się swobodnie na ogromnych obszarach. Pomagają sobie w stadzie, są lojalne, kochają swoje szczenięta ponad wszystko. Są takie jak my.

- Przecież nie masz szczeniaków — mówi Lisa i natychmiast żałuje tych słów, ale Mildred nie czuje się urażona.

- Za to mam was — śmieje się. — Wilki zostają w stadzie, kiedy trzeba — kontynuuje kazanie — a kiedy trzeba, odchodzą. Nie boją się konfliktów i w razie potrzeby potrafią się odgryźć. Są

takie... pełne życia. Są szczęśliwe.

Wydmuchuje dym z papierosa. W zamyśleniu próbuje puszczać kółka.

- To ma związek z moją wiarą — dodaje. — Biblia jest pełna mężczyzn, którym powierzono jakieś ważne zadanie, ważniejsze niż wszystko inne: żona, dzieci... no, wszystko. Abraham i Jezus, i... Musisz wiedzieć, że mój tato też poszedł w ich ślady w swoim powołaniu. Na mamie spoczywał ciężar odpowiedzialności za dom, wizyty u dentysty i kartki bożonarodzeniowe. A dla mnie Jezus jest tym, który pozwala kobietom myśleć, wyrwać się skądś, jeśli zajdzie taka potrzeba, być taką wilczycą właśnie. Kiedy czuję, że rozgoryczenie i marudność biorą górę, słyszę, jak Chrystus mówi do mnie: daj spokój, bądź szczęśliwa!

Lisa wciąż rysuje niewidoczne znaki na jej brzuchu, wodzi palcem po piersiach i biodrach.

- Wiesz, że oni jej nienawidzą? — odzywa się nagle.

- Jacy oni? — pyta Mildred.

- Mężczyźni we wsi. Ci z koła łowieckiego. Torbjörn Ylitalo. Na początku lat osiemdziesiątych skazano go za naruszenie prawa łowieckiego. Zastrzelił wilka w Dalarnie. Stamtąd pochodzi jego żona.

Mildred siada na ławie.

- Żartujesz!

- Nie żartuję. Właściwie powinni mu odebrać pozwolenie na broń. Ale mój kuzyn pracował wtedy jako policjant. A ponieważ o takich rzeczach decyduje właśnie policja, więc Lars

Gunnar wykorzystał swoje znajomości i... Dokąd się wybierasz?

Mildred zeskakuje z ławy. Psy, przekonane, że pora na spacer, w szalonym pędzie wpadają do kuchni. Mildred nie zwraca na nie uwagi. Wciąga pospiesznie ubranie.

- Dokąd się wybierasz? — powtarza Lisa.

- Ten pierdolony klub facetów! — krzyczy Mildred. — Jak mogłaś? Jak mogłaś nic mi nie powiedzieć?

Lisa siada. Wiedziała od dawna. Przecież była żoną Tommy'ego, a on był kumplem Torbjörna. Przygląda się Mildred, która nie może sobie poradzić z zapięciem zegarka i w końcu

wkłada go do kieszeni.

- Polują za darmo — pieni się Mildred. — Kościół usługuje im we wszystkim. Nie dopuszczą do siebie żadnego dupka z zewnątrz, o kobietach nie wspominając. A kobiety pracują, dwoją się i troją, i czekają na zapłatę w niebie. Mam tego, kurwa, dosyć! Przecież widać wyraźnie, jak Kościół zapatruje się na kobiety i mężczyzn, ja tym chujom jeszcze pokażę!

- Boże, jak ty przeklinasz!

Mildred odwraca się do Lisy.

- Ty też powinnaś! — mówi na odchodne.

*

Magnus Lindmark stał przy oknie w kuchni. Zmierzchało. Nie zapalał światła. Wszystkie kontury oraz przedmioty traciły ostrość i rozplywając się, nikły w ciemności.

Mimo to zobaczył dwóch mężczyzn zbliżających się do jego domu. Łowczy Lars Gunnar Vinsa i przewodniczący związku łowieckiego, Torbjörn Ylitalo, szli wzdłuż szosy. Magnus schował się za firanką. Czego, kurwa, chcą? I dlaczego nie przyjechali samochodem? Zaparkowali gdzieś dalej? Dlaczego? Magnus poczuł się nieswojo.

Czegokolwiek by chcieli, powie im, że nie ma czasu. W odróżnieniu od nich ma pracę. No, dobrze, Torbjörn jest nadleśniczym, ale, kurwa, kiedy on ostatnio pracował?

Niewiele osób odwiedzało Magnusa, odkąd Anki odeszła od niego z chłopcami. Przedtem drażnili go ci wszyscy krewni żony i koledzy synów. A nie miał w zwyczaju udawać i robić dobrej miny do złej gry. W końcu doszło do tego, że siostry i koleżanki żony wychodziły natychmiast, gdy tylko wracał do domu. Jemu to odpowiadało. Nie potrafił zaakceptować ludzi, którzy godzinami siedzą i bajdu- rzą. Naprawdę nie mają nic innego do roboty?

Mężczyźni byli już na ganku i pukali do drzwi. Ponieważ jego samochód stał na podwórzu, Magnus nie mógł udawać, że go nie ma w domu.

Torbjörn i Lars Gunnar weszli do środka, nie czekając, aż gospodarz im otworzy.

Torbjörn zapalił lampę.

Lars Gunnar rozejrzył się po kuchni. Magnus jakby dopiero teraz ją zobaczył.

- Jest trochę... Miałem ostatnio dużo rzeczy na głowie

- powiedział. W zlewie stała góra brudnych naczyń i zatęchłych kartonów po mleku. Przed drzwiami dwie papierowe torby wypełnione po brzegi pustymi kwaśnymi puszkami. Ubrania, które rzucił na podłogę w drodze do łazienki, ciągle się tam poniewierały; powinien je zanieść do pralni. Stół zavalony reklamami, pocztą, starymi popołudniówkami, a wśród papierów — talerz z zaschniętym kefirem. Na blacie obok mikrofalówki leżał rozebrany silnik motorówki. Magnus miał go kiedyś naprawić.

Goście nie chcieli kawy. Piwa też nie. Magnus wyjął z lodówki pilznera, piątego tego wieczoru.

Torbjörn od razu przeszedł do rzeczy.

- Co ty wygadujesz policji? — zapytał.

- O co ci, kurwa, chodzi?

Oczy Torbjörna się zwięzły. W postawie Larsa Gunnara było coś ciężkiego.

- Nie udawaj głupiego, chłopcze — odezwał się nadleśniczy. — Że niby chciałem zabić naszą pastor.

- Gówno prawda! Ta policjantka pieprzy tylko trzy po trzy, ona...

Więcej nie zdążył powiedzieć. Lars Gunnar zrobił krok do przodu i dał mu w pysk. Cios przypominał policzek wymierzony przez niedźwiedzia grizzly.

- Nie będziesz nam tu kłamał w żywe oczy!

Magnus zamrugał i przyłożył dłoń do piekającej twarzy.

- O co, kurwa... — zaskomlał.

- Wstawiałem się za tobą, jak potrzebowałeś pomocy

- powiedział Lars Gunnar. — Cholerny z ciebie nieudacznik, zawsze cię za takiego uważałem. Ale ze względu na twojego ojca zostałeś wybrany do koła łowieckiego. Zostałeś w nim mimo paru szczeniackich wybryków.

W Magnusie obudziła się przekora.

- A co? A ty może jesteś lepszym człowiekiem? Szla-

chetniejszym niż ja?

Teraz Torbjörn pchnął go w pierś. Magnus zatoczył się do tyłu, uderzył udami o blat szafki.

- Posłuchaj teraz, chłopcze! Wytrzymałem z tobą — mówił dalej Lars Gunnar — kiedy razem z kumplami wypróbowałeś nową broń na znakach drogowych. Albo w zeszłym roku, kiedy wywołałeś tę cholerną bójkę w domku myśliwskim. Masz słabą głowę. Mimo to pijesz i robisz potwornie głupie rzeczy.

- Tę bójkę, kurwa, zaczął kuzyn Jimmy'ego...

Torbjörn wymierzył mu kolejny cios w klatkę piersiową.

Magnusowi puszka wypadła z ręki. Piwo wylało się na podłogę.

Lars Gunnar wytarł czoło. Pot spływał mu teraz wzdłuż brwi i po policzkach.

- I te cholerne kociaki...

- Tak, ja pierdolę... — potwierdził Torbjörn.

Magnus zaśmiał się po pijacku, niezbyt mądrze.

- A co tam, kurwa, kilka kotów...

Lars Gunnar zdzielił go prosto w nos. Zaciśniętą pięścią. Twarz jakby pękła. Krew zalewała usta ciepłym strumieniem.

- No, spróbuj! — krzyczał Lars Gunnar, wskazując palcem brodę. — Tu, no, tu! Wal, śmiało! Teraz masz okazję przyłożyć prawdziwemu facetowi. Ty pierdolony tchórze, umiesz tylko dręczyć kobiety. Wstyd tylko przynosisz! No, wal!

Zgiętymi dłońmi przywoływał Magnusa. Wyciągał brodę na przynętę.

Magnus trzymał prawą rękę pod rozbitym nosem, krew spływała do rękawa. Lewą ręką pomachał w odmownym geście. Wtem Lars Gunnar oparł się ciężko o stół.

- Wychodzę — odezwał się do Torbjörna. — Zanim napytam siebie biedy.

W drzwiach odwrócił się jeszcze.

- Możesz nas podać do sądu. Mam to gdzieś. Tego właśnie się po tobie spodziewałem.

- Ale nas nie podasz — powiedział Torbjörn, kiedy łowczy wyszedł z kuchni. — A teraz mordą w kubel i żadnego gadania o mnie i o kole łowieckim, rozumiesz?

Magnus kiwnął głową.

- Gdy tylko usłyszę o twojej niedomkniętej gębie, osobiście dopilnuję, żebyś tego pożałował, jasne?

Magnus ponownie skinął głową. Po czym przechylił ją do tyłu, żeby zatamować krwotok. Krew spływała teraz do gardła. Smakowała jak żelazo.

- Pod koniec roku zostanie przedłużona umowa o dzierżawę terenów łowieckich — mówił dalej Torbjörn. — Gdyby ludzie zaczęli gadać albo urządzać awantury... No, kurwa, nigdy nic nie wiadomo. Nic nie jest pewne na tym świecie. W każdym razie masz zapewnione miejsce w kole, ale musisz być grzeczny.

Zapadła cisza. - No, teraz nałóż sobie na to trochę lodu — poradził Magnusowi, zanim wyszedł.

Lars Gunnar siedział na schodach. Ręce miał splecione na głowie.

- Idziemy — powiedział Torbjörn.

- Wiesz... Mój stary bił matkę — odezwał się Lars Gunnar. — Więc strasznie się wkurwiam... Powiniennem był go zabić. Znaczy się starego. Kiedy skończyłem szkołę policyjną i wróciłem do domu, próbowałem namówić matkę, żeby się z nim rozwiodła. Ale wtedy, w latach sześćdziesiątych, trzeba było najpierw porozmawiać z pastorem. No i ten skurwiol przekonał ją, żeby została przy mężu.

Torbjörn patrzył na zarośniętą łąkę graniczącą z zagrodą Magnusa.

- No, chodźże już!

Lars Gunnar podniósł się z mozołem.

Wciąż myślał o tamtym pastorze z błyszczącą łysiną i szyją zrobioną jakby z pęt kielbasy. Ożeż! Matka w najładniejszym płaszczu. Torebka na kolanach. Lars Gunnar siedział obok, aby dodać jej otuchy. Duchowny się uśmiechał. Jakby to był jakiś cholerny żart. „Sędziwa kobieto”, przemówił do niej. Właśnie skończyła pięćdziesiąt lat, miała przed sobą jeszcze trzy dekady życia! „Nie lepiej pogodzić się z małżonkiem?” Matka długo potem milczała. „No, to masz już to z głowy”, powiedział Lars Gunnar. „Pogadałaś z pastorem i teraz spokojnie możesz się z

ojcem rozwieść”. Ale ona pokręciła głową. „Teraz, jak wyprowadziliście się z domu, jest trochę łatwiej”, odpowiedziała.

„*No bo jak on by sobie sam poradził?*”

Magnus odprowadził wzrokiem mężczyzn znikających za zakrętem. Otworzył zamrażarkę, wyciągnął mielone mięso i położył się na sofie z kolejnym piwem w ręce oraz lodowatą plastikową torebką na nosie. Włączył telewizor. Zaczął oglądać jakiś film dokumentalny o karłach. To dopiero biedne dupki!

*

Rebeka Martinsson kupuje u Mimmi obiad na wynos. Pojedzie do Kurravaary. Może zostanie na noc. Z Nallem u boku czuła się tam dobrze. Teraz spróbuje sama. Wykąpie się w saunie i zanurzy w rzece. Zna to uczucie. Zimna woda, ostre kamienie pod stopami. Haust powietrza, stalowa otchłań, szybkie ruchy ramion w wodzie. I to niewytłumaczalne poczucie jedności ze swoim ja z różnych okresów życia. Rebeka wskakiwała do tej wody i pływała w niej, gdy miała lat sześć, dziesięć, trzynaście, aż do dnia, w którym się stąd wyprowadziła. Te same duże kamienie, ta sama linia brzegowa. Ten sam chłód jesiennego wieczoru, który niczym rzeka powietrza płynie nad rzeką wody. To wszystko jest jak rosyjska matroszka, która zebrawszy w końcu swoje części, skręca górę z dołem ze świadomością, że nawet tej najmniejszej nie grozi w środku żadne niebezpieczeństwo.

Po kąpeli Rebeka planuje samotny obiad w kuchni, a później oglądanie telewizji. Podczas zmywania posłucha radia. Może wpadnie do niej Sivving, gdy zobaczy światło w oknie?

- A więc pojechała pani dzisiaj z Nallem na poszukiwanie przygód?

To Micke, właściciel gospody. Ma przyjazne oczy, które wydają się kłócić z kolczykiem w uchu i z wytatuowanymi, umięśnionymi ramionami.

- Tak, pojechałam — odpowiada Rebeka.

- Fajnie. Mildred i Nalle często robili wspólne wycieczki.

- Tak, słyszałam.

Czyli coś dla niej zrobiłam, dodała w duchu.

Mimmi wręcza jej zapakowany obiad.

- Jutro wieczorem... — zaczyna Micke. — Czy nie zechciałyby pani trochę u nas popracować? Sobota, koniec urlopów, początek roku szkolnego, będzie tu mnóstwo ludzi. Pięć dych za godzinę, od ósmej do pierwszej, plus napiwki.

Rebeka patrzy na niego ze zdumieniem.

- Jasne — odpowiada, usiłując ukryć rozbawioną minę. — Dlaczego nie?

Odjeżdża, czując figlarną radość.

ŻÓŁTONOGA

Listopad. Światło poranka jest szare i niemrawe. W nocy padał śnieg i w cichym lesie wciąż jeszcze wirują płatki, lekkie jak puch. Gdzieś w oddali słychać wołanie kruka.

Wilcza wataha śpi w niewielkim zagłębieniu, przysypana śniegiem. Nie wystają im nawet uszy. Wszystkie szczenięta oprócz jednego przeżyły lato. Teraz stado liczy jedenaście osobników.

Żółtonoga wstaje i otrząsa się z bieli. Węszy. Śnieg przykrył jak koc wszystkie stare smużki woni. Wymiótł powietrze i ziemię. Wilczyca wyostrza zmysły. Fenomenalne oko. Wprawne ucho. Właśnie słyszy łosia, który podnosi się z legowiska i otrzepuje ze śniegu. Jakiś kilometr od stada. Głód przypomina o sobie, wierząc w brzuchu wilczycy coraz większą dziurę. Żółtonoga budzi pozostałych członków watahy, donosi o tropie. Jest ich wystarczająco wielu, by upolować duże zwierzę.

Łoś nie jest łatwą zdobyczą. Ma silne nogi i ostre racice, bez trudu może przetrząść wilkowi szczękę, skruszyć ją jak gałązkę. Ale Żółtonoga jest doświadczoną łowczynią. I odważną.

Stado rusza truchtem. Wkrótce poczują zapach ofiary. Siedmiomiesięczne szczeniaki, upominane przez dorosłych a to poirytowanym poszczekiwaniami, a to delikatnym capnięciem, pozostają na tyłach. Choć polują już same na drobną zwierzynę, w tych łowach będą tylko obserwatorami. Czują, że w powietrzu wisi coś niecodziennego, i drżą, usiłując powstrzymać podniecenie. Starsi oszczędzają siły. Jedyne podnoszone od czasu do czasu pyski świadczą o tym, że nie chodzi o zwykły przemarsz, tylko o wymagające wysiłku polowanie. Porażka jest bardziej prawdopodobna niż sukces, ale Żółtonoga nie zwalnia kroku. Jest głodna. I nie ustaje w ciężkiej pracy na rzecz innych. Nie ma odwagi wypuszczać się na samotne wyprawy, tak jak dawniej. Przeczuwa, że niedługo zostanie wykluczona ze stada. Pewnego pięknego dnia nie pozwolą jej do niego wrócić. Jej przyrodnią siostrą, suką alfa, trzyma ją bardzo krótko. Do pary przewodników Żółtonoga zawsze zbliża się na ugiętych tylnych łapach, z ciałem wygiętym

w łuk. Okazuje im poddaństwo. Sunie zadem po ziemi. Czołga się i liże im pyski. Jest najzdolniejszą łowczynią w grupie, ale to nie ma już znaczenia. Poradzą sobie bez niej i wszyscy wiedzą, że jej czas jest policzony.

Również pod względem warunków fizycznych Żółtonoga ma przewagę. Jest szybka i zwinna. Największa ze wszystkich samic w stadzie. Tyle że nie ma głowy do przewodnictwa. Uwielbia samotne wycieczki. Nie lubi sprzeczek i często odwodzi innych od kłótni, prowokując do zabawy. Jej siostra natomiast, wstając z legowiska, przeciąga się i omiata wszystkich twardym spojrzeniem, jakby pytała: „No co, czy ktoś chce się dzisiaj ze mną poprzytykać?”. Bezkompromisowa i niebojaźliwa. Albo się dostosowujesz, albo spadasz; wkrótce nauczą się tego jej dzieci. W razie konfliktu przewodniczka nigdy nie zawahałaby się zabić. Rywalizujące stada mają się na baczności. Nie przekraczają rewiru watahy, która ma taką samicę alfa. Jej niepokój sprawia, że wszyscy ruszają w drogę, w poszukiwaniu czy to zdobyczy, czy to większego terytorium.

Łoś wyczuł zbliżających się napastników. Wilki słyszą trzask łamanych gałęzi, gdy byczek rzuca się do ucieczki. Żółtonoga przechodzi w galop. Świeży śnieg nie jest głęboki, istnieje duże ryzyko, że łoś zdąży im uciec. Żółtonoga odrywa się od stada, biegnie po półkolu, by potem je przeciąć.

Po dwóch kilometrach wataha dogania byka. Żółtonoga zastępuje mu drogę, napiera nieznacznie, trzymając się z daleka od rogów i racic. Pozostałe wilki otaczają ogromne zwierzę. Łoś przebiera kończynami, gotowy, by odeprzeć pierwsze natarcie. Na atak odważa się jeden z samców. Wgryza się w tylną nogę na wysokości stawu skokowego. Łoś się wyrzywa, wilkowi jednak udaje się wygryźć mięśnie i więzadła. Powstaje duża rana. Atakujący nie odskakuje wystarczająco szybko, byk kopie go z całej siły, wilk turla się po śniegu jak piłka. Kiedy staje ponownie na czterech łapach, trochę utyka. Ma złamane zębra. Pozostałe wilki się cofają. Krwawiący łoś znika w zaroślach.

Ma jeszcze zbyt dużo sił. Najlepiej zmusić go do ucieczki, zmęczyć biegiem i utratą krwi. Wilki ruszają więc za zdobyczą.

Tym razem wyciągnięty kłusem. Nie spieszą się. Wkrótce i tak dopadną łosia. Kulejący samiec podąża ich śladem. W najbliższym czasie jego życie będzie całkowicie zależne od powodzenia stada w łowach. Jeżeli zdobycz okaże się zbyt mała, nie zostanie ani kostka, kiedy nadejdzie jego kolej. Jeśli pogoń będzie zbyt długa, zabraknie mu sił. A w głębszym śniegu ból uniemożliwi mu utrzymanie dostatecznego tempa.

Po pięciu kilometrach wataha znów przechodzi do ataku. Tym razem najcięższą robotę wykonuje Żółtonoga. Wysuwa się na czoło galopującej grupy. Odległość między łosiem a stadem szybko maleje. Biegną tak zwartym szykiem, że Żółtonoga czuje za sobą głowy pozostałych wilków. Wszystko, co się teraz liczy, to Ten Duży. Jego krew w jej nozdrzach. Mają go! Żółtonoga uwiesza się jego tylnej nogi. To najgroźniejszy moment. Nie wypuszcza zdobyczy z pyska i już sekundę później inny wilk dopada drugiej nogi. Jeszcze inny przejmując błyskawicznie chwyt Żółtonogiej, gdy ta puszcza, by jednym susem skoczyć do przodu i zacisnąć szczęki na gardle łosia. Zwierzę pada na kolana. Żółtonoga targa go za szyję. Duży próbuje zebrać wszystkie siły, by się podnieść. Wyciąga głowę ku niebu. Wtedy przewodnik stada łapie go za pysk i przyciąga ku ziemi. Żółtonoga chwytając jeszcze raz za gardło i w końcu je rozdziera.

Życie wypływa z łosia błyskawicznie. Śnieg barwi się na czerwono. Szczeniaki dostają sygnał: teraz! Idą jak burza, rzucają się na dogorywające zwierzę. Dzielą się triumfem, szarpią za nogi i pysk. Starsze wilki rozdzierają byka mocnymi szczękami. Ciało paruje w chłodzie poranka.

W koronach drzew zbierają się czarne ptaki.

SOBOTA, 9 WRZEŚNIA

Anna Maria Mella wyjrzała przez okno w kuchni. Sąsiadka wycierała zewnętrzne parapety. Znowu! Czyściła je raz w tygodniu. Anna Maria nigdy u niej nie była, ale wyobrażała sobie, że wszystko tam leży na swoim miejscu, nigdzie nie ma ani odrobiny kurzu, a całość jest upiększona różnymi ozdobami.

Ta dbałość sąsiadów o dom i ogród. Wieczne wydłubywanie mleczy z trawnika. Staranne odśnieżanie i formowanie perfekcyjnych śnieżnych wałów. Mycie okien. Zmiana firanek. To wszystko wprawiało Annę Marię w stan uporczywego rozdrażnienia. Czasami — współczucia. Teraz jednak odczuwała rodzaj zazdrości. Żeby tak kiedyś mieć wysprzątaną całą dom... To by dopiero było!

- Ona znowu wyciera parapety — powiedziała.

Robert mruknął coś niezrozumiale znad strony z działem sportowym i kubka z kawą. Gustav siedział przed szafką z garnkami i wyciągał całą jej zawartość.

Anna Maria poczuła, jak zalewa ją fala niechęci. Mieli właśnie zacząć sobotnie porządki. Ale to ona musiała wykazać inicjatywę. Zakasać rękawy i zmobilizować pozostałych. Marcus nocował u Hanny. Wymigał się, łobuz! Powinna się oczywiście cieszyć, że syn ma dziewczynę i przyjaciół. Najgorszy scenariusz to nieprzystosowane i wyobcowane dzieci. Ale ten jego pokój!

- Dzisiaj to ty przypomnisz Marcusowi, że ma posprzątać — oznajmiła Robertowi. — Ja już nie mam siły truć. — Halo! — zawołała po chwili. — Słyszysz mnie?

Robert podniósł wzrok znad gazety.

- No przecież chyba możesz odpowiedzieć? Bo nie wiem, czy mnie słuchasz, czy nie!

- Tak, przypomnę mu — odpowiedział Robert. — Dlaczego się tak unosisz?

Anna Maria opanowała się.

- Przepraszam. To tylko... To ten cholerny pokój Marcusa. Po prostu zaczynam się bać. Naprawdę myślę, że tam robi się

coraz niebezpieczniej. Bywałam w kwaterach narkomanów, które w porównaniu z jego pokojem wyglądały jak wyjęte z „Pięknych wnętrz”.

Robert z powagą pokiwał głową.

- Omszałe ogryzki przemawiające ludzkim głosem... — zaczął.

- Przerażają mnie!

- ...tańczą naćpane w oparach sfermentowanej skórki od banana. Musimy kupić kilka klatek dla naszych nowych przyjaciół.

Trzeba kuć żelazo, póki...

- Jeśli ty zaczniesz w kuchni, to ja wezmę się za piętro

- zaproponowała.

Tak będzie najlepiej, pomyślała. Na piętrze panował prawdziwy chaos. W sypialni poniewierały się brudne ubrania i rozbebeszone torby, nierozpakowane po urlopie. Parapety były zasłane martwymi muchami i zeschniętymi liśćmi. W ubikacji lepiło się od brudu. A pokój dziecięcy...

Anna Maria westchnęła. Odgruzowywanie i sortowanie nie było najmocniejszą stroną Roberta. Zajęłoby mu to całą wieczność. Lepiej, żeby wyczyścił piec, pozmywał i odkurzył na dole.

Jakie to wszystko cholernie przykre, pomyślała. Tysiące razy postanawiali, że będą sprzątać w czwartki. Wówczas mieliby to z głowy już przed piątkowym obiadem, mogliby później zjeść coś wyjątkowo dobrego. Soboty spędzaliby rodzinnie, robiąc przyjemniejsze rzeczy niż cotygodniowe porządki, weekendy automatycznie by się wydłużyły, a oni więcej przebywaliby razem, oczywiście super-duper szczęśliwi w tym lśniącem czystością domu.

Ale zawsze było inaczej. W czwartek czuli się wykończeni i odkurzanie oraz machanie mopem po prostu nie wchodziło w rachubę. W piątek przymykali oczy na bałagan, wypożyczali jakiś film, przy którym ona zawsze zasypiała, a sobota schodziła na sprzątanii, czyli połowa weekendu szła na straty. Czasami doprowadzali mieszkanie do porządku dopiero w niedzielę; wtedy i tak najczęściej zaczynało się od wybuchu złości Anny Marii.

A przecież było jeszcze mnóstwo rzeczy, z którymi po prostu nie nadążali. Stosy ubrań w pralni; nigdy ich nie ubywało, choć Anna Maria robiła, co mogła. Wszystkie okropne garderoby. Ostatnio, kiedy wsadziła głowę do szafy Marcusa — pomagała mu czegoś szukać, nie pamięta czego — podniosła parę wełnianych swetrów i nagle wypełził spod nich jakiś podłużny robaczek, by momentalnie zniknąć w niższych pokładach ciuchów i innych kłopotów. Nie chciała o tym myśleć. Kiedy ostatnio zdejmowała osłonę wanny? A te wszystkie cholerne szuflady z żelastwem? Jak to się dzieje, że innym starcza na to czasu? I sił?

Leżący w przedpokoju służbowy telefon zaczął grać znajomą melodię. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany sztokholmski numer.

Mężczyzna przedstawił się jako Christer Elsner, profesor religioznawstwa. Chodziło o symbol, o który pytała policja w Kirunie.

- Tak, słucham — odpowiedziała Anna Maria.

- Niestety, nigdzie go nie znalazłem. Przypomina alchemiczny symbol oznaczający próbę czy próbowanie, ale różni się tym haczykiem w półokręgu. Półokrąg symbolizuje często coś niedoskonałego albo ludzkiego.

- Czyli on po prostu nie istnieje? — zapytała komisarz, rozczarowana.

- To nie takie proste — odparł profesor. — Co istnieje, a co nie? Czy Kaczor Donald istnieje?

- Nie — odpowiedziała. — Jedynie w wyobraźni.

- W pani głowie?

- Tak. Także w głowach innych, ale nie w rzeczywistości.

- Hm. A jak ma się sprawa z miłością?

Anna Maria roześmiała się, zaskoczona. Jak gdyby przepłynęło przez nią coś miłego. To, że oddała się innym myślom, sprawiło, że odżyła.

- A to mi pan zabił ćwieka!

- Nie mogłem znaleźć tego znaku, ale trzeba pamiętać, że szukałem go w przeszłości. Symbole powstają również dzisiaj. Może chodzić o jakiś nowy. Sporo symboli istnieje w pewnych

gatunkach muzyki. Zresztą tak jak w niektórych gatunkach literackich, na przykład fantasy i tym podobnych.

- Kto się może na tym znać?

- Krytycy muzyczni. A jeżeli chodzi o literaturę, to w Sztokholmie na Starym Mieście jest bardzo dobra księgarnia specjalizująca się w literaturze science fiction i fantasy.

Rozłączyli się. Anna Maria chętnie porozmawiałaby trochę dłużej. Tylko co by mu powiedziała? Gdyby mogła zamienić się w psa... Profesor wyszedłby z tym psem do lasu na spacer. Podzieliliby się z nim swoimi najnowszymi przemyśleniami; to przecież nic dziwnego, wiele osób rozmawia ze swoim czworonogiem. A ona, chwilowo zamieniona w zwierzę, słuchałaby tylko, bez przymusu udzielania inteligentnych odpowiedzi.

Weszła do kuchni. Robert nie ruszył się z miejsca.

- Muszę wyskoczyć do pracy — oznajmiła. — Wrócę za godzinę. Zastanawiała się przez moment, czy nie przypomnieć mu o sprzątanii. Pomyślała jednak, że nie warto. I tak sam by nie zaczął. Gdyby zaś go poprosiła, a później zastała przy kuchennym stole, tak jak teraz, byłaby tylko rozczarowana i zła. Pocałowała go na pożegnanie. Lepiej żyć w zgodzie.

Po dziesięciu minutach była w pracy. W jej przegródce na pocztę leżał faks z SKL-u. Na rysunku znaleźli masę odcisków palców, głównie Mildred Nilsson. Przyjrzą się dokładnie pozostałym. To zajmie parę dni.

Zadzwoiła do biura numerów i poprosiła o telefon do księgarni science fiction na sztokholmskiej Starówce. Mężczyzna po drugiej stronie linii od razu znalazł właściwy numer i połączył ją ze sklepem.

Komisarz Mella wyjaśniła sprawę kobiecie, która podniosła słuchawkę. Opisała symbol.

- Sorry — odparła ekspedientka. — Teraz nic mi nie przychodzi do głowy. Ale proszę przefaksować ten rysunek, to popytam klientów.

Anna Maria obiecała, że prześle, podziękowała za pomoc i rozłączyła się.

W tym samym momencie zadzwonił telefon.

- Musisz przyjechać — powiedział bez wstępów Sven Erik Stalnacke. — Chodzi o tego pastora, Stefana Wikströma.

- Tak?

- Zniknął.

*

Kristin Wikström stała w kuchni na plebanii w Jukkasjärvi i zanosila się płaczem.

- Tutaj! — krzyczała do Svena Erika. — Tutaj jest jego paszport! Jak może pan o to pytać? Przecież mówię, że nigdzie nie wyjechał. Miałby zostawić rodzinę? On, najwspanialszy... Mówię panu, że coś się musiało stać!

Rzuciła paszport na podłogę.

- Rozumiem — odparł Sven Erik. — Ale mimo to pewne rzeczy musimy robić po kolei. Czy mogłaby pani usiąść?

Jakby go nie słyszała. Zrozpaczona chodziła po kuchni. Tłukąc się o meble, nabijała sobie siniaki. Na ławie siedziało dwóch chłopców, mieli może pięć i dziesięć lat, na zielonej podstawce budowali coś wspólnie z klocków lego i wyglądało na to, że nie przeszkadza im ani rozpacz mamy, ani obecność policjantów.

Dzieci, pomyślała Anna Maria. One mogą znieść wszystko.

W jednej chwili własne problemy wydały się jej całkiem błahe.

No i co z tego, że ja sprzątam więcej niż Robert?

- Co teraz będzie? — wykrzyknęła Kristin. — Jak ja sobie poradzę?

- A więc mąż nie przyszedł na noc do domu — podsumował Sven Erik. — Jest pani tego pewna?

- Nie leżał w łóżku — zakwiliła. — W piątki zawsze zmieniam pościel, jego jest nienaruszona.

- A może wrócił późno i położył się na kanapie? — próbował Sven Erik.

- Jesteśmy małżeństwem! Dlaczego nie miałby spać przy mnie?

Sven Erik Stalnacke pojechał do Jukkasjärvi, żeby zapytać Stefana Wikströma o podróż, którą zafundował rodzinie na koszt kościelnej fundacji. Na plebanii zastał tylko jego żonę, która — robiąc wielkie oczy — przywitała go słowami: „Właśnie

miałam dzwonić na policję”.Najpierw pożyczył klucze od kościoła i pobiegł tam co tchu. Żaden pastor nie zwiślał z balustrady chóru. Sven Erik musiał na chwilę usiąść w ławce, tak wielką poczuł ulgę. Później zadzwonił na komendę z prośbą o sprawdzenie pozostałych kościołów w mieście. W końcu skontaktował się z Anną Marią.

- Potrzebne nam będą numery kont bankowych pani męża. Ma je pani?

- Ale czy wy nie rozumiecie?! Musicie wszcząć poszukiwania! Coś się musiało stać! On nigdy by nie... Może leży gdzieś...

Zamilkła. Spojrzała na synów. I jednym susem znalazła się w ogrodzie. Sven Erik pobiegł za nią. Anna Maria skorzystała z okazji, by się rozejrzeć.

Otwierała pospiesznie szuflady w kuchni. Portfela nie było. Nie znalazła go też w żadnym z okryć wiszących w przedpokoju. Weszła na piętro. Kristin Wikström mówiła prawdę. Nikt nie spał w nocy po jednej stronie małżeńskiego łóża.

Z sypialni widać było miejsce, w którym cumowała łódź pastor Nilsson. Miejsce zbrodni.

Wtedy było przecież zupełnie jasno, pomyślała Anna Maria. Wigilia midsommar.

Żadnego zegarka na rękę na stoliku pastora. Zegarek i portfel miał widocznie ze sobą.

Zeszła na parter. Jeden pokój wyglądał na gabinet Stefana. Szuflady biurka były zamknięte na klucz. Po chwili poszukiwania znalazła kluczyk za książkami na regale. Otworzyła. Nie było tego dużo. Kilka listów, po których szybko przebiegła wzrokiem. Żaden nie miał związku z nim i Mildred. Żaden nie był od ewentualnej kochanki. Wyjrzała przez okno. Sven Erik i Kristin rozmawiali na podwórzu. Świetnie.

Zazwyczaj oczekiwali kilka dni. Najczęściej chodziło przecież o dobrowolne zniknięcia.

Seryjny, pomyślała. Jeżeli pastor faktycznie nie żyje, to właśnie taki zwał nam się na głowę. Jak nic.

Kristin osunęła się na ogrodową ławkę. Sven Erik wydobywał z niej informacje na każdy możliwy temat. Do kogo mają zadzwonić, żeby znaleźć opiekuna dla dzieci? Nazwiska

przyjaciół i krewnych Stefana; może ktoś z nich wie więcej niż ona? Czy mają domek letniskowy? Czy ten samochód na podwórzu to ich jedyny?

- Nie — łkała Kristin. — Zginął też jego samochód.

Tommy Rantakyrö zadzwonił z informacją, że przejeździ wszystkie kościoły i kaplice w okolicy. Nie znaleźli żadnego martwego pastora.

Ogromny kocur, bardzo pewny siebie, spacerował zwirową alejką prowadzącą do domu. Nie poświęcił obcemu mężczyźnie ani sekundy uwagi. Nie zmienił kursu, nie wślizgnął się w wysoką trawę. Może tylko odrobinę ugiął łapy i opuścił ogon. Ciemnoszara sierść była długa i miękka, wyglądała prawie jak puch. Sven Erik pomyślał, że temu zwierzęciu nie można ufać. Płaska głowa, żółte oczy. Gdyby taki ogromny potwór rzucił się na Mannego, Manne nie miałby szans.

Oczami wyobraźni komisarz zobaczył, jak jego Manne leży gdzieś po kociemu, może w rowie, może pod jakimś domem. Pokiereszowany i osłabiony. Łatwa zdobycz dla lisa albo psa myśliwskiego. Wystarczy tylko złamać kręgosłup, trzask-prask. Anna Maria dotknęła jego ramienia. Odeszli kilka kroków. Kristin Wikström patrzyła przed siebie. Z prawą ręką zaciśniętą w pięść gryzła jeden z palców.

- No i co ty na to? — zapytała komisarz.

- Ogłosimy jego zaginięcie — odpowiedział, patrząc na żonę wikarego. — Mam złe przeczucia. Na razie tylko w kraju. I na przejściach granicznych. Sprawdzimy linie lotnicze, jego konta i komórkę. No i będziemy musieli porozmawiać z kolegami, przyjaciółmi i krewnymi.

Anna Maria skinęła głową.

- Nadgodziny.

- Tak, ale co, kurde, ma powiedzieć prokurator? Jak prasa się o tym dowie, to...

Sven Erik rozłożył ręce w geście bezsilności.

- Musimy ją też zapytać o listy — przypomniała Anna Maria. — Te, które napisała do Mildred.

- Ale nie teraz — zaprotestował Sven Erik. — Dopiero jak ktoś przyjedzie po dzieci.

*

Micke Kiviniemi spoglądał na lokal ze strategicznego punktu za kontuarem baru. Pan w swoim królestwie. W chaotycznym, hałaśliwym królestwie, które pachniało wyziewami z kuchni, dymem papierosowym, piwem i wodą kolońską podszytą wonią potu. Rozlewał piwo taśmowo; czasami wlewał do kieliszka czerwone wino, trochę rzadziej białe, a parę razy ktoś nawet zamówił whisky. Mimmi biegała między stolikami niczym zwierzątko w cyrku. Przekomarzała się serdecznie z gośćmi i przyjmowała zamówienia, wycierając blat. Micke słyszał jej: „Kurczak w jarzynach albo lazanie, co podać?”.

W kącie szumiał telewizor, w barze dudniła muzyka. Rebeka Martinsson pocila się w kuchni. Podgrzewała dania w mikrofalówce, jedno za drugim. Wychodziła po kosze z brudnym szkłem i wracała z czystym. Jak w przyjemnym filmie. Wszystkie smutki wydały się jej nagle bardzo odległe: urząd podatkowy, bank, poniedziałkowe ranki, gdy budziła się tak strasznie zmęczona, że nie miała siły wstać, i leżała, słuchając szczurów rozrabiających w śmietniku.

Gdyby jeszcze Mimmi okazała choć odrobinę zazdrości o Rebeke, której dał pracę, byłoby perfekcyjnie. Ale ona powiedziała tylko, że to dobry pomysł. Micke ugryzł się w język i nie wyskoczył z uwagą, że facetom przybyła jeszcze jedna laska do oglądania. Mimmi na pewno by tego nie skomentowała, wydawało mu się jednak, że ona ma gdzieś niewielki kuferek, w którym skrzętnie przechowuje jego potknięcia, pomyłki i gafy. Pewnego pięknego dnia, kiedy kuferek będzie wypełniony po brzegi, Mimmi spakuje manatki i odejdzie. Bez ostrzeżenia. Ostrzegają jedynie te kobiety, którym zależy.

Ale teraz jego królestwo było pełne życia jak mrowisko na wiosnę.

To jest praca, z którą sobie radzę, myślała Rebeka, spłukując talerze spryskiwaczem. Za chwilę miały wjechać do zmywarki. Nie trzeba myśleć, nie trzeba się koncentrować. Tylko

przynieść, podnieść, wynieść. Szybko. Cały czas tempo. Nie była świadoma swojej uśmiechniętej twarzy, gdy przydźwigała kolejny koszyk ze szkłem i postawiła go przed Mickem.

- Dobrze pani idzie? — zapytał, odwzajemniając uśmiech.

Poczuła, jak w kieszeni fartucha wibruje telefon. To nie mogła być Maria Taube. Wprawdzie pracowała bez przerwy i umiaru, ale z pewnością nie w sobotni wieczór! W soboty bawiła się w mieście, pijąc drinki, które jej stawiano.

Na wyświetlaczu widniał numer Månsa. Serce jej podskoczyło.

- Rebeka, słucham — krzyknęła do słuchawki, przyciskając rękę do drugiego ucha, żeby cokolwiek usłyszeć.

- Tu Måns — odkrzyknął Måns Wenngren.

- Poczekaj chwilę, tutaj jest potworny hałas.

Przebiegła przez lokal, pokazała telefon Mickemu i uniosła rozcapierzoną dłoń, dodając bezgłośnie: „pięć minut”. Skinął głową przyzwalająco; Rebeka wymknęła się na dwór. Chłodne powietrze zjeżyło jej włoski na ramionach.

Teraz usłyszała, że po drugiej stronie linii też jest piekielnie głośno. Måns był w jakimś lokalu. Wtem zrobiło się cicho.

- No, teraz mogę rozmawiać — powiedziała.

- Ja też. Gdzie jesteś? — zapytał.

- Przed „Barem i kuchnią Mickego” w Poikkijärvi. To taka mała wioska niedaleko Kiruny. A ty? - Przed Spyan²¹. To taka mała wiejska gospoda na obrzeżach Stureplan.

Zaśmiała się. Måns też był radosny. Życzliwy. Pewnie nie do końca trzeźwy. Teraz nie miało to jednak znaczenia. Nie rozmawiali ze sobą od tego wieczoru, kiedy odpłynęła łódką z Lido.

- Imprezujesz? — zapytał.

- Nie. Tak naprawdę, to... pracuję na czarno.

Zaraz się wkurzy, pomyślała. Chociaż może nie. Zaryzykowała. Måns wybuchnął śmiechem.

- Coś takiego! A co konkretnie robisz?

- Dostałam dobrą robotę na zmywaku. Stawka: pięćdziesiąt koron za godzinę, za cały wieczór zgarnę dwieście pięćdziesiąt.

21 Spyan (szw.) — dosłownie: rzygowina; potoczna nazwa ekskluzywnego baru o angielskiej nazwie: The Spy Bar.

Obiecano mi też, że mogę sobie zatrzymać napiwki. No, ale nie wiem, strasznie mało ludzi przychodzi tu do kuchni, żeby wcisnąć pomywacze jakieś datki, chyba więc dałam się zrobić w konia.

Słyszała śmiech Månsa. Parskające „hy, hy, hy”, zakończone niemal błagalnym „uhu, hu, hu, ha”. Wiedziała, że temu ostatniemu towarzyszy ocieranie łez.

- Ja cię smolę, Martinsson! — nie przestawał się śmiać, pociągając nosem.

Mimmi wystawiła głowę za drzwi, sygnalizując spojrzeniem: sytuacja kryzysowa.

- Słuchaj, muszę kończyć, w przeciwnym razie potrąca mi z wypłaty.

- To znaczy, że będziesz im jeszcze winna? A kiedy wrócisz?

- Nie wiem.

- Chyba będę musiał po ciebie przyjechać. Jesteś nieobliczalna. No to przyjedź, pomyślała.

O wpół do dwunastej do gospody przyjechał Lars Gunnar Vinsa. Był bez Nallego. Stojąc w progu, omiótł wzrokiem lokal, tak jak wiatr omiata ziemię, poruszając trawy. Wszyscy poczuli jego obecność. Kilka rąk uniosło się w pozdrawiającym geście. Parę głów kiwnęło nieznacznie na powitanie. Kilka rozmów ucichło, spowolniało, by po chwili znów się potoczyć. Odwróciło się parę twarzy. Łowczy został dostrzeżony. Pochylony nad kontuarem baru, zapytał Mickego:

- Ta Rebeka Martinsson... Pojechała już?

- Nie — odparł Micke. — Dzisiaj tu nawet pracuje.

Coś w spojrzeniu Larsa Gunnara sprawiło, że Micke mówił dalej.

- To tylko jednorazowa fucha, dziś jest tu mnóstwo ludzi, a Mimmi ma przecież pełne ręce roboty.

Lars Gunnar wysunął swoje niedźwiedzie ramię i wyciągnął Mickego z baru.

- Chodź. Chcę z nią porozmawiać i chcę, żebyś ty też posłuchał. Mimmi i Micke zdążyli wymienić spojrzenia, zanim ten ostatni zniknął z byłym policjantem za wahadłowymi drzwiami kuchni.

O co chodzi?, pytały oczy dziewczyny.

Nie mam pojęcia, odpowiedziały jego. Jeszcze jeden powiew wiatru w trawie. Rebeka stała w kuchni i splukiwała naczynia spryskiwaczem.

- Ach tak, pani Rebeko Martinsson. Pani pozwoli ze mną. Porozmawiamy z panią i z szefem.

Wyszli przez tylne drzwi. Księżyc jak srebrna łuska nad czarną rzeką. Stłumione odgłosy z gospody. Zaszumiało w koronach sosen.

- Chciałbym, żeby pani opowiedziała Mickemu, kim pani jest — zaczął spokojnie Lars Gunnar.

- A czego dokładnie pan sobie życzy? Nazywam się Rebeka Martinsson.

- Może pani wyjaśni, co pani tu robi?

Rebeka spojrzała na Larsa Gunnara. Jeżeli czegoś się nauczyła w pracy, to właśnie tego, żeby nigdy nie paplać i nie trajkotać.

- Wygląda na to, że coś panu leży na wątrobie — powiedziała. — Proszę mówić dalej.

- Pochodzi pani stąd. To znaczy nie do końca stąd, tylko z Kurravaary. Pracuje pani jako adwokat i to pani dwa lata temu zabiła tych trzech pastorów w Jiekajärvi.

Dwóch pastorów i jednego chorego młodzieńca, pomyślała.

Nie poprawiła go jednak. Stała w milczeniu.

- Myślałem, że pani jest sekretarką — odezwał się Micke.

- Rozumie pani chyba, że jesteśmy ciekawi, my, mieszkańcy tej wioski, dlaczego pani stoi tutaj w kuchni i pracuje pod fałszywą banderą. Tyle, ile pani tu dziś zarobi, normalnie wydaje pani pewnie w Sztokholmie na lunch. Dlaczego się tu pani zagnieździła i... węszy? Tak naprawdę mnie to nic nie obchodzi. Ludzie mogą robić, co im się żywnie podoba. Ale uważam, że Micke ma prawo wiedzieć. A poza tym... Uciekł od niej wzrokiem i spojrzał na rzekę. Westchnął. Coś mu ciążyło na duszy. — ...wykorzystuje pani Nallego. On ma rozumu nie więcej niż mały chłopiec. A pani nie ma skrupułów, żeby wkradać się w jego łaski!

W drzwiach ukazała się Mimmi. Micke popatrzył na nią, dając do zrozumienia, żeby do nich podeszła, zamknęła drzwi i

milczała.

- Tak mi się wydawało, że znam skądś to nazwisko — mówił dalej Lars Gunnar. — Wie pani, ja jestem starym policjantem, więc doskonale znam tę historię z Jiekajärvi. W końcu spadło mi bielmo z oczu. Pani zamordowała tych mężczyzn. W każdym razie Vesę Larssona. Możliwe, że prokurator nie znalazł wystarczających podstaw do oskarżenia, ale musi pani wiedzieć, że dla nas, policjantów, to nic nie znaczy. Nic, kurwa! W dziewięćdziesięciu procentach przypadków, kiedy znamy winnego, nie wnosi się oskarżenia. Ma pani powód, by się cieszyć. Uniknąć odpowiedzialności za morderstwo to nie lada wyczyn, trzeba być naprawdę sprytnym. Nie wiem, co pani tutaj robi. Czy spodobała się pani ta historia z Wiktoorem Strandgårdem i na własną rękę bawi się pani w prywatnego detektywa, czy pracuje pani dla gazety. Gównu mnie to obchodzi. W każdym razie teraz koniec maskarady.

Rebeka popatrzyła na nich.

Powinnam oczywiście wygłosić jakąś mowę, pomyślała. Wykrzyzczyć coś na swoją obronę.

Ale co ma powiedzieć? Że nareszcie może myśleć o czymś innym niż o wszywaniu kamieni w kieszenie płaszcza? Że nie daje sobie rady jako adwokatka? Że należy do tej rzeki? Że uratowała życie córkom Sanny Strandgård?

Ściągnęła fartuch i oddała go Mickemu. Odwróciła się bez słowa. Nie wróciła przez gospodę. Minęła kurnik, przecięła szosę i ruszyła do swojego domku kempingowego.

Nie biegnij!, upomniała się. Czują na plecach ich spojrzenia.

Nikt za nią nie poszedł, nie zażądał wyjaśnień. Zgarnęła swoje rzeczy do torby i nesesera, wrzuciła je na tylne siedzenie wynajętego samochodu i odjechała.

Nie uroniła ani jednej łzy.

Jaką to gra rolę?, pomyślała. Oni są zupełnie bez znaczenia. Wszyscy są bez znaczenia. Nikt nic nie znaczy.

ŻÓLTONOGA

Lodowaty luty. Dni są już dłuższe, ale mróz trzyma jak mocna ręka Boga. Niewzruszenie. Słońce to wciąż tylko obrazek na niebie, powietrze jest ostre jak szkło. Pod grubą białą pierzyną myszy i nornice przemieszczają się swoimi ścieżkami. Zwierzęta kopytne ogryzają zlodowaciałą korę drzew. Chudną i czekają na wiosnę.

Ani siarczysty mróz, ani sztormy, które białą falą unicestwiają cały krajobraz, nie przeszkadzają jednak wilczemu stadu. Wręcz przeciwnie, to najlepszy czas. Najlepsza pogoda. W czasie śnieżycy wilki urządzają sobie piknik z zabawą na świeżym powietrzu. Jedzenia jest pod dostatkiem. Mają rozległy rewir i świetną grupę łowiecką. Nie męczą ich ani upały, ani żadne krwi muchy.

Czas Żółtonogiej jest policzony. Błyszczące zęby suki alfa mówią, że już pora. Wkrótce. Niedługo. Teraz. Żółtonoga próbowała wszystkiego. Czołgała się, prosiła na kolanach, żeby pozwolono jej zostać. Lecz tego lutowego poranka nie wolno jej zbliżyć się do rodziny. Suka alfa przymierza się do ataku. Jej szczęki kłapią złowrogo.

Mijają godziny. Żółtonoga nie odchodzi od razu. Porusza się w pobliżu watahy. Czeką na znak do powrotu. Ale przewodniczka stada jest nieubłagana. Wstaje i jeszcze raz ją przegania.

Jeden z samców, brat Żółtonogiej, odwraca wzrok. A głowa wilczycy chciałaby wcisnąć nos w jego futro i spocząć na jego boku.

Młode, patrząc na nią, opuszczają ogony. A jej żółte łapy chciałyby wyciągnąć się w pogoni za maluchami. Biec od świerka do świerka. Fingując atak, wywijając koziółki w śniegu, by po chwili znów ruszyć ze szczeniakami deptającymi jej po piętach.

Szczenięta wkrótce skończą rok; czupurne, lekkomyślne i wciąż takie szczenięce! Rozumieją jednak wystarczająco dużo, by zachować spokój i trzymać się na uboczu. Marudzą niezdecydowane. Żółtonoga chciałaby wypuścić przed nich rannego zająca i zobaczyć, jak pędzą za nim w nieładzie, takie

radosne.

Próbuje ostatni raz. Robi niepewny krok. Tym razem samica alfa goni ją aż do skraju lasu. Wilczyca chowa się pod nagie, szare gałęzie sędziwych świerków. Stojąc tam, obserwuje watahę i jej przewodniczkę, która spokojnie wraca do swoich.

Od dzisiaj będzie spała sama. Do tej pory odpoczywała wśród odgłosów śpiącego stada. Poszczekiwania i gonitwy w snach, pomrukiwania, wzdychanie i puszczenie bąków. Teraz podczas niespokojnej drzemki będą czuwały tylko jej uszy.

Jej nos wypełnią obce zapachy. Wyprą pamięć sióstr i braci, przyrodniego rodzeństwa i kuzynów, szczeniaków i starców. Rusza wolnym klusem. Nogi prowadzą w jedną stronę. Tęsknota w drugą. Tutaj żyła. A tam będzie musiała przeżyć.

NIEDZIELA, 10 WRZEŚNIA

Niedzielny wieczór. Rebeka Martinsson siedzi na podłodze w pokoju, w babcinym domu w Kurravaarze. Pali w kominku. Pled na ramionach, ręce splecione na kolanach. Od czasu do czasu wyciąga polano z drewnianej skrzynki z napisem „Szwedzka Spółka Cukrownicza”. Wzrok utkwiony w ogniu. Zmęczone ciało. Wyniosła z domu wszystkie dywany, koce, kołdry, materace i poduszki. Wytrzepała je i porozwieszała na dworze. Wyszorowała podłogę szarym mydłem i wypucowała okna. Umyła talerze, kubki i filiżanki. Wytarła kuchenne szafki. Parter zostawiła nietknięty. Otworzyła wszystkie okna i przez cały dzień wietrzyła zatechłe pomieszczenia. Teraz pali w kuchennym piecu i w kominku, żeby pozbyć się wilgoci. Oczywiście że święciła dzień święty. Odpoczywała przecież myślą. Teraz miała ją w ogniu. Jak w prawiecznych czasach.

Sven Erik Stålnacke siedzi w salonie. Telewizor jest włączony, ale bez fonii, na wypadek gdyby jakiś kot zaczął miauczeć na dworze. To i tak nie ma znaczenia, komisarz już kiedyś widział ten film. Tom Hanks zakochuje się w pięknej syrenie.

Dom ziele pustką po kocie. Przez parę godzin Sven Erik spacerował tam i z powrotem wzdłuż szosy i po cichutku przywoływał Mannego, wpatrzony w rów. Teraz czuje się zmęczony. Nie tyle od chodzenia, ile od wyęžania słuchu. Od tych wszystkich przedsięwzięć, które donikąd nie prowadzą.

I żadnego znaku życia od zaginionego pastora. Już w sobotę wiadomość przeciekła do obydwu popołudniówek. Cała rozkładówka o zniknięciu. Komentarz kogoś z grupy profilerów w biurze kryminalnym, ale nie tej psychiatry, która gościła u nich w lipcu. Jedna z gazet wyszperała stary przypadek z lat siedemdziesiątych. Na Florydzie jakiś szaleniec zabił z premedytacją dwóch kaznodziejów przebudzeniowych. Później morderca sam został pozbawiony życia przez współwięźnia, kiedy sprzątał toalety, ale zanim umarł, ponoć nieraz się chwalił, że popełnił więcej zbrodni, nie tylko te, za które go skazano. Duże zdjęcie Stefana Wikströma, a w tekście

pod nim słowa: „pastor, ojciec trojga dzieci, zrozpaczona żona”. Nie wspomniano o ewentualnej malwersacji, dzięki Bogu. Komisarz zanotował również, że nigdzie nie napisano o tym, iż zaginiony jest przeciwnikiem kapłaństwa kobiet.

Rzecz jasna poinformowano obywateli, że nie przeznaczono żadnych dodatkowych środków na osobistą ochronę pastorów i proboszczów. Koledzy policjanci tracili otuchę, czytając w jednej z gazet: „Policja: nie możemy ich ochronić!”. Gazeta „Expressen” miała kilka rad dla tych, którzy czują się zagrożeni: przebywaj jak najwięcej w towarzystwie, zmień nawyki, nie wracaj z pracy do domu zawsze tą samą drogą, zamykaj drzwi na klucz, nie parkuj w pobliżu samochodów dostawczych.

Chodziło oczywiście o jakiegoś szaleńca, który będzie działał tak długo, aż powinie mu się noga.

Sven Erik pomyślał o Mannem. W pewnym sensie zaginięcie jest gorsze niż śmierć. Nie można pograć się w żalobie. Pozostaje jedynie męczarnia niepewności. Głowa jest jak studzienka ściekowa, pełna potwornych domysłów na temat tego, co się mogło stać.

Boże drogi, Manne to przecież tylko kot. A gdyby chodziło o jego córkę? Ta myśl jest zbyt wielka. Nie do ogarnięcia.

Proboszcz Bertil Stensson siedzi na sofie w salonie. Na parapecie za nim stoi lampka koniaku. Prawa ręka spoczywa na grzbiecie mebla, za karkiem żony. Lewa ręka głaszcze jej piersi. Kobieta nie odrywa oczu od telewizora, w którym pokazują jakąś powtórkę z Tomem Hanksem, lecz kąciki jej ust unoszą się przyzwalająco. Bertil pieści jedną pierś i bliźnę po drugiej. Pamięta niepokój żony cztery lata temu, po operacji. „Chcę się czuć pożądana, mimo sześćdziesiątki”, powiedziała. A on pokochał bliźnę bardziej niż ten wzgórek, którego już tam nie ma. Gwoli przypomnienia o kruchości życia. Ciernie wasze pierwej niż wypuszczą tarny swoje, za zielona w gniewie Bożym jako wichrem porwane będą. Ta bliźna przywraca rzeczom właściwe proporcje. Pomaga mu zachować równowagę między pracą a czasem wolnym, między obowiązkiem a miłością.

Czasami myślał, że chciałby wygłosić kazanie o bliźnie. Ale to nie przystoi. Poza tym wydawało mu się, że w jakiś niewytłumaczalny sposób dopuściłby się też innego nadużycia. Gdyby wyraził słowami to, co blizna dla niego znaczy, straciłaby moc. To ona wygłasza kazanie Bertilowi. A on nie ma prawa wykorzystać go dla innych.

Wtedy, cztery lata temu, rozmawiał z Mildred. Nie ze Stefanem. Nie z biskupem, choć są przyjaciółmi od wieków. Pamięta, że płakał. Że Mildred umiała słuchać. Czuł, że może na niej polegać.

Doprowadzała go do szaleństwa. Choć teraz, gdy tak siedzi z blizną żony pod palcami lewej dłoni, nie może sobie przypomnieć, co tak naprawdę go prowokowało. Cóż z tego, że była zacieklą feministką i że nie zawsze wyczuwała, co wchodzi w zakres działalności Kościoła.

Dyskwalifikowała go jako szefa. To mu przeszkadzało. Nie pytała nigdy o pozwolenie. Nie pytała o radę. Nie potrafiła się podporządkować.

Zaskakuje go własny dobór słów. Podporządkować się. Naprawdę nie jest apodyktycznym szefem! Chłubi się tym, że zostawia podwładnym swobodę działania i odpowiedzialność. Choć oczywiście wciąż jest zwierzchnikiem.

Czasami musiał to podkreślić. Tak jak w przypadku tej historii z pogrzebem. Pewien mężczyzna wystąpił z Kościoła, ale przychodził na nabożeństwa prowadzone przez Mildred. Później zachorował i umarł. Zdążył jednak przekazać swą prośbę, by mistrzynią świeckiej ceremonii pogrzebowej była Mildred. A ona spełniła jego ostatnią wolę. Proboszcz mógł oczywiście popatrzeć przez palce na to drobne wykroczenie, ale przekazał jej sprawę do diecezjalnej komisji dyscyplinarnej i Mildred została wezwana do biskupa na rozmowę. Wtedy uważał, że postępuje jak najbardziej słusznie. Bo po co istnieją przepisy, jeśli człowiek się do nich nie stosuje?

Wróciła później do pracy jak gdyby nigdy nic. O spotkaniu z biskupem nie wspomniała nawet słowem. Nie była ani poskromiona, ani zła, ani obrażona. Bertil miał niejasne przeczucie, że biskup stanął po jej stronie. Może przyznał się

Mildred, że musi z nią porozmawiać i udzielić jej nagany, bo nalega na to proboszcz Stensson. Może w tajnej zмовie uznali go za przeczulonego, niepewnego swojej roli przywódcę, a nawet trochę zazdrosnego. Ponieważ to nie jego wybrano na celebrycę.

Ludzie niezbyt często robią prawdziwy rachunek sumienia. Bertil siedzi teraz przed blizną jak na spowiedzi.

To prawda. Faktycznie był odrobinę zazdrosny. Trochę zły na tę prostą miłość, którą Mildred obdarzała tak wiele osób.

- Brakuje mi jej — mówi głośno.

Brakuje mu jej i długo będzie ją opłakiwał.

Żona nie pyta, kogo mąż ma na myśli. Odrywa oczy od filmu, ścisza telewizor.

- Nie byłem dla niej oparciem, kiedy tu pracowała — ubolewa Bertil.

- Nieprawda — oponuje żona. — Dależ jej swobodę działania, tak by mogła pracować po swojemu. Udało ci się zachować w parafii i ją, i Stefana, to nie lada wyczyn.

Dwoje kłótliwych duchownych.

Bertil kręci głową.

- W takim razie wesprzyj ją teraz — proponuje żona. — Przecież tyle po sobie zostawiła. Przedtem mogła się tym zająć sama, ale teraz potrzebuje twojego wsparcia jak nigdy wcześniej.

- Jak mam to zrobić? — śmieje się Bertil. — Dla większości kobiet w „Magdalenie” jestem uosobieniem wroga.

Żona uśmiecha się do niego.

- Możesz przecież pomagać i dawać oparcie, nie oczekując w zamian podziękowań i miłości. Odrobinę tej ostatniej możesz dostać ode mnie.

- To może pójdziemy się położyć? — pyta proboszcz.

Pomóc wilkowi!, przechodzi mu przez myśl, gdy po chwili siada na sedesie. Tego życzyłaby sobie Mildred. Żeby wykorzystać pieniądze fundacji na zimowe monitorowanie wilczycy.

Gdy tylko o tym pomyślał, łazienkę jakby przeszył prąd elektryczny. Żona, już w łóżku, woła go.

- Zaraz przyjdę — odpowiada cicho proboszcz.
Nie ma odwagi mówić głośniej. Jej obecność jest niesamowicie wyrażna, choć ulotna.
Czego sobie życzysz?, Bertil pyta Mildred, która podchodzi jeszcze bliżej.
Cała ona! Przybywa właśnie teraz, kiedy siedzę tu z opuszczonymi spodniami.
Całymi dniami przebywam w kościele, mówi. Mogłaś przecież tam mnie odwiedzić. W tej chwili już wie. Pieniądze fundacji nie wystarczą. Ale gdyby renegotjować warunki umowy dzierżawy... Tak żeby związek łowiecki zaczął płacić cenę rynkową. Albo znaleźć nowego dzierżawcę. I pozwolić dochodom z dzierżawy zasilić fundację...
Bertil czuje, że Mildred się uśmiecha. Dobrze wie, czego od niego żąda. Przecież będzie miał przeciw sobie wszystkich mężczyzn. Wybuchnie awantura, ludzie zasypią gazetę listami. Ale jest świadoma, że Stensson może tego dokonać. Potrafi zyskać poparcie rady kościelnej.
Zrobię to!, obiecuje jej proboszcz. Nie dlatego, że uważam to za słuszne. Zrobię to dla ciebie.

Lisa Stöckel rozpałała ognisko na podwórzu. Psy śpią w domu na swoich posłaniach.
Cholerni gangsterzy, myśli o nich czule.
Teraz są cztery. Kiedyś miała pięć.
Bruno, krótkowłosego brązowego wyżeł. Nazywają go Niemcem, chyba dlatego, że jest spokojny, opanowany i ma w sobie coś z militarnej surowości. Kiedy Lisa wyciąga plecak i psy rozumieją, że szykuje się dłuższa wycieczka, w sieni wybucha piekielna wrzawa. Zwierzaki kręcą się jak frygi. Szczekają, tańczą, ujadają, skomlą i wydają szalone okrzyki radości. Niemal przewracają Lisę, deptają po jej rzeczach. Patrzą na nią pytającym wzrokiem: prawda, że pójdziemy z tobą? To chyba oczywiste, co? Przecież nie pójdiesz sobie bez nas?
Wszystkie oprócz Niemca. Ten siedzi na środku podłogi jak posąg, pozornie nieporuszony. Ale jeśli się pochylić i przyjrzeć mu się dokładniej, widać leciutkie drżenie pod skórą. Prawie

niezauważalny dreszcz powstrzymywanych emocji. A kiedy w końcu nabiera się ich za dużo, kiedy Bruno po prostu musi dać upust uczuciom, bo inaczej pęknie, wtedy uderza przednią łapą o podłogę, dwa razy. To oznaka prawdziwego podniecenia.

Później oczywiście Majken, sędziwa labradorka. Ostatnio robi wokół siebie mniej hałasu. Dziś siwonosa i zmęczona, wychowała kiedyś wszystkie pozostałe psy. Naprawdę kocha szczeniaki. Każdy nowy w stadzie mógł spać przy jej brzuchu, była ich drugą mamą. A kiedy brakowało malucha, którym mogłaby się zająć, zachodziła w urojoną ciążę. Jeszcze dwa lata temu zdarzało się, że Lisa przychodziła do domu i odkrywała w sypialni rozbebeszone i przeorganizowane łóżko. Wśród poduszek i kołder leżała Majken i jej niby-szczenięta: piłeczka tenisowa, jakiś but, albo

- gdy suka miała szczęście — pluszowe zwierzątko znalezione w lesie.

Karelin, ogromny mieszaniec wilczura i nowofundlandzka. Pojawił się u Lisy jako trzylatek. Zadzwonił do niej weterynarz z Kiruny i zapytał, czy nie przygarnie zwierzęcia. Pies miał być uśpiony, choć poprzedni właściciel wyraził nadzieję, że może uda się znaleźć dla niego nowy dom. Taki olbrzym po prostu nie pasuje do mieszkania w mieście. „Też tak myślę”, powiedział do Lisy weterynarz. „Gdyby pani widziała, jak psisko ciągnęło swojego pana na smyczy...”

No i Morris Wymiotny, jej norweski springer spaniel. Potomek czempionów myśliwskich. Pośród pozostałych członków bandy — kompletnie zmarnowany talent. W dodatku z panią, która przecież nawet nie poluje. Morris lubi siedzieć obok niej i przyjmować pieczyoty. Kładzie ciężko łapę na jej kolanie i przypomina o swojej obecności. Grzeczny i łagodny chłopiec. Jedwabista sierść i uszy w loczkach, jak u panienki. W czasie jazdy samochodem męczą go potworne nudności.

Teraz cała czwórka leży w środku. Lisa wrzuca do ogniska wszystko jak leci. Materace i wysłużone koce, książki i część mebli. Papiery. Jeszcze więcej papierów. Listy. Stare fotografie. Ognisko jak się patrzy! Lisa gubi wzrok w płomieniach.

Miłość do Mildred okazała się w końcu bardzo pracochłonna.

To skradanie się, to milczenie, to czekanie. Klóciły się. Jak w dramatach Noréna.

Teraz klóca się u Lisy. Mildred zamyka okna.

To jest najważniejsze, myśli Lisa z przekąsem. Żeby nikt nie usłyszał.

Lisa wyrzuca z siebie mnóstwo słów. Ma ich powyżej uszu, zanim jeszcze padną z jej ust. Wszystkie traktują o tym samym. O Mildred, która jej nie kocha. O tym, że nie chce już być jej zabawką. Że jest zmęczona hipokryzją.

Lisa stoi na środku kuchni. Ma ochotę ciskać wszystkim wokół siebie. Rozpacz doprowadza ją do krzyku i przesadnych gestów. Nigdy wcześniej taka nie była.

Mildred się kuli. Siedzi na ławie z Morrisem Wymiotnym. On też się kurczy. Mildred głaszcze go, jakby pocieszała dziecko.

- A co z parafią? — pyta. — I z „Magdaleną”? Gdybyśmy żyły ze sobą otwarcie, to wszystko by się skończyło. Dla mieszkańców wsi to byłby tylko ostateczny dowód na to, jak bardzo nienawidzę mężczyzn. Nie mogę wystawiać ludzi na próbę, z którą sobie nie poradzą.

- To znaczy, że wolisz poświęcić mnie?

- Nie, dlaczego tak sądzisz? Jestem szczęśliwa. Kocham cię, mogę to powiedzieć tysiąc razy, ale ty żądasz dowodów.

- Nie chodzi mi o dowody, chodzi o to, żeby móc oddychać. Prawdziwa miłość chce być widoczna. W tym tkwi problem. Ty nie chcesz światła dziennego, nie kochasz mnie. „Magdalena” to tylko cholerna wymówka, która pozwala ci zachować dystans. Erik może się na to zgadza, ale ja nie. Spraw sobie inną kochankę, z pewnością jest wiele chętnych.

Mildred zaczyna płakać. Usta walczą z grymasem. Pastor chowa twarz w sierści psa. Wyciera łzy grzbietem dłoni.

Lisa chciała doprowadzić ją do takiego stanu. Najchętniej chyba chciałyby ją też uderzyć. Tęskni za jej cierpieniem, lecz wciąż nie czuje satysfakcji. Jej ból jest ciągle głodny.

- Przestań się mazać — mówi ostro. — Twój płacz nic dla mnie nie znaczy.

- Przestaną — obiecuje Mildred jak dziecko. Głos jej się łamie,

ręka wciąż wyciera łzy.

Lisa, która zawsze oskarżała się o to, że nie potrafi kochać, ogłasza wyrok:

- Użalasz się nad sobą, to wszystko. Myślę, że coś z tobą jest nie tak. Czegoś ci w środku brakuje. Mówisz, że kochasz, ale kto potrafi stworzyć drugiego człowieka, zajrzeć do środka i zobaczyć, co to znaczy? Ja mogłabym dla ciebie rzucić wszystko, wytrzymać wszystko. Chcę, żebyśmy się pobrały. A ty... Ty nie potrafisz żywić miłości. Nie potrafisz odczuwać bólu.

Wtedy pastor podnosi wzrok znad psa. Na stole, w mosiężnym świeczniku, pali się świeca. Mildred kładzie rękę nad płomieniem, który parzy ją w rozpostartą, wewnętrzną część dłoni.

- Nie wiem, jak mam udowodnić, że cię Kocham — mówi. — Ale pokażę ci, że potrafię odczuwać ból.

Usta zaciskają się w cierpiącą kreskę. Oczy łzawią. Potworny smród roznosi się po całej kuchni.

Po chwili, która wydaje się wiecznością, Lisa chwyta rękę Mildred i odciąga ją od ognia. Rana jest osmolona i krwawa. Lisa patrzy na nią z przerażeniem.

- Musisz jechać do szpitala — mówi. Mildred kręci głową.

- Nie zostawiaj mnie — błaga.

Teraz Lisa też płacze. Prowadzi Mildred do samochodu, zapina jej pas bezpieczeństwa, jak dziecku, które samo nie potrafi tego zrobić, i przynosi torebkę z zamrożonym szpinakiem.

Mijają tygodnie, zanim wybucha kolejna sprzeczka. Czasami Mildred pokazuje Lisie zabandażowaną dłoń. Jakby przypadkiem, kiedy odgarnia włosy albo coś w tym rodzaju. To ich tajemny znak miłości.

Zapadła ciemność. Lisa przestaje myśleć o Mildred i idzie do kurnika. Kury śpią na grzędach, przytulone do siebie. Lisa ściąga je pojedynczo. Idzie z pierwszą na obrzeża ogrodu, przyciska ją do ciała; nioska ufnie gdcze przez sen. Stoi tam kloc, który posłuży teraz za pień kata.

Zwinny uchwyt za nogi, uśmierzające uderzenie o pniak. I siekiera, pewny chwyt jedną ręką, blisko główki, cios, tylko

jeden, wystarczająco silny, trafia dokładnie tam, gdzie powinien. Lisa trzyma za nogi ptaka, który wciąż macha skrzydłami; przymyka powieki, by do oczu nie wleciało pierze czy inne farfocle. Dziesięć kur i jeden kogut. Nie grzebie ich w ziemi. Psy od razu by je odkopały. Wyrzuca do pojemnika na śmieci.

Lars Gunnar jedzie do domu w ciemności. Nalle śpi obok, w fotelu pasażera. Cały dzień spędzili w lesie na zbieraniu brusznicy. Byłemu policjantowi kołaczą się po głowie różne myśli. Stare wspomnienia.

Nagle staje przed nim Eva. Właśnie wrócił z pracy. Miał wieczorny dyżur, na dworze jest już ciemno. Ale ona nie zapaliła ani jednej lampy, stoi nieruchomo, przytulona do ściany w przedpokoju.

To osobliwe zachowanie sprawia, że Lars Gunnar pyta, co się stało.

„Ja tutaj umieram. Przykro mi, ale ja tutaj umieram”, odpowiada Eva.

Co miał zrobić? Jak gdyby on sam nie był śmiertelnie zmęczony. Pracował świętek piątek, zajmując się wszelką ludzką nędzą. Potem przychodził do domu, żeby zająć się synem. Do dzisiaj nie pojmuje, co ona robiła całymi dniami. Łóżka nigdy nie były zaścielone. Obiady gotowała niezwykle rzadko. Położył się wtedy. Zawołał ją na górę, ale nie chciała przyjść do sypialni. Rankiem już jej nie było. Wzięła tylko torebkę. Nie był wart nawet listu pożegnального. Musiał ją wymieść z domu. Spakował jej rzeczy do kartonów i wyniósł na strych.

Zadzwoiła po pół roku. Chciała rozmawiać z synkiem. Wyjaśnił jej, że to niemożliwe. Chłopiec by się tylko niepotrzebnie wzburzył. Opowiedział, jak na początku Nalle jej szukał, pytał o nią, płakał. Teraz było lepiej. Lars Gunnar opowiedział jej, co u nich słychać. Wysłał rysunki syna. Widział po mieszkańcach wsi, że uważali go za zbyt dobrego. Zbyt uległego. Ale on przecież nie chciał jej krzywdzić. Co by to zmieniło?

Kobiety z opieki społecznej nalegały, żeby oddać Nallego do ośrodka opiekuńczego.

- Może tam mieszkać co jakiś czas. Żeby pan mógł odetchnąć.

Pojechał więc w końcu do tego cholernego ośrodka.

Poczuł się przygnębiony, gdy tylko przekroczył próg. Przygnębiony wszystkim! Tą brzydotą budynku, który krzyczał: „instytucja”, „przechowalnia dla idiotów, opóźnionych w rozwoju i kalek”. Tymi ozdobami wyprodukowanymi przez mieszkańców; wszędzie wisiały gipsowe odlewy, obrazki z koralików i paskudne malowidła w tanich ramkach. I tym szczebiotem personelu. Ich pasiastymi fartuchami. Pamięta, jak przyglądał się jednej z kobiet. Nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt. Pomyślał wtedy: czy to ty będziesz interweniować, gdy wybuchnie tu awantura?

Nalle był wprawdzie duży, lecz nie potrafił się bronić.

- Nigdy w życiu! — powiedział kobietom z socjału.

Nalegały jeszcze bardziej.

- Potrzebuje pan odpoczynku. Musi pan pomyśleć o sobie!

- Nie — bronił się. — Dlaczego? Dlaczego ciągle mam myśleć o sobie? Myślę o synu. Jego matka myślała o sobie i powiedzcie mi, proszę, co dobrego z tego wynikło.

Dojechali już prawie na miejsce. Lars Gunnar zbliża się wolno do podjazdu przed domem. Rozgląda się uważnie. W blasku księżycy widoczność jest całkiem dobra. W bagażniku leży sztucer. Nabity. Jeśli na podwórzu będzie stał samochód policyjny, mężczyzna pojedzie prosto przed siebie. Nawet jeżeli od razu go dostrzegą, będzie miał jakąś minutę przewagi, zanim zapalą silnik i wyjadą na drogę. No, w każdym razie trzydzieści sekund. To mu wystarczy.

Ale podwórko jest puste. Lars Gunnar dostrzega tylko sowę, która niskim lotem patroluje brzeg rzeki. Parkuje samochód i opuszcza oparcie fotela. Nie chce przerywać snu Nallemu. Za jakąś godzinę syn i tak się obudzi. Wtedy pójdą do domu i położą się do łóżek. A na razie Lars Gunnar się zdrzemnie.

ŻÓŁTONOGA

Żółtonoga opuszcza kłusem swoje terytorium. Nie wolno jej tu dłużej zostać. Przekracza granicę rewiru konkurującej watahy. Tu też nie może przebywać. To wyjątkowo niebezpieczne. Świeże znaki zapachowe są jak drut kolczasty między drzewami. Wzdłuż wysokiej trawy wystającej ze śniegu wznosi się mur woni. Wilki skropiły śnieg również tutaj, a później rozgrzebały go tylnymi łapami. Ale Żółtonoga musi się przedrzeć. Zmierza na północ.

Pierwszy etap tego dnia wypadł dobrze. Wilczyca biegnie o pustym żołądku. Sikając, siada jak najniżej, żeby nie rozniósł się zapach moczu; może jej się uda. Wiatr ma za sobą, to świetnie.

Następnego ranka wyczuwają jednak jej obecność. Dwa kilometry za nią stoi pięć wilków z nosami wciśniętymi w jej ślady. Zaczynają pogoń. Zmieniają się na czele, wkrótce ją zobaczą.

Żółtonoga czuje ich powiew. Właśnie przepawiła się przez rzekę i kiedy odwraca głowę, dostrzega je po drugiej stronie, niecały kilometr dalej.

Teraz galopuje, walcząc o życie. Wie, że intruza zabija się na miejscu. Łopocze jęzor zwisający z otwartego pyska. Długie nogi niosą ją przez śnieg, lecz jej szlak nie jest przetarty. Wkrótce łapy natrafiają na ślad śnieżnego skutera, który biegnie we właściwym kierunku. Pogoń się zbliża, ale już nie tak szybko.

Gdy wilkom zostaje zaledwie trzysta metrów, zupełnie nieoczekiwanie się zatrzymują. Przegoniły obcą ze swego terytorium i odrobinę dalej.

Uszła z życiem.

Jeszcze tylko kilometr. Później kładzie się w śniegu. Połyka go łapczywie.

Głód rozdziera jej wnętrzności.

Wędruje nieustannie na północ. Tam gdzie Morze Białe oddziela Półwysep Kolski od Karelii, Żółtonoga skręca na

północny zachód.

Towarzyszy jej przedwiośnie. Biegnie się coraz trudniej.

Las. Stuletni i jeszcze starszy. Drzewa iglaste w połowie drogi do nieba. Sterczą nagie prawie do samej góry. A w górze ich kołyszące się i skrzypiące konary tworzą zielony dach. Słońcu trudno się przedrzeć, trudno stopić wszystek śnieg. W dole więc jedynie plamy światła i woda skapująca z wierzchołków drzew. Wszędzie kapanie, szczebiotanie, ćwierkanie. Wszyscy czują, że zbliżają się wiosna i lato. Teraz można więcej, niż tylko starać się przeżyć. Łopot ciężkich skrzydeł ptaków leśnych, coraz częstsze wypadki lisa z nory, mysz przemykająca po porannej skorupie śniegu. I ta nagła cisza, kiedy cały las staje, węży i nasłuchuje: oto przebiega wilczyca. Tylko dzięcioł czarny nie przestaje stukać w pień sosny. I nie ustaje kapanie. Wiosna nie boi się wilka. Ciągające się w nieskończoność mokradła. Przedwiośnie to wody spływające pod grząską, podmokłą warstwą śniegu, która — poruszona — zamienia się w szarą bryłę. Z każdym krokiem łapy zapadają się w nią głęboko. Wilczyca zaczyna wędrować nocą. Stąpając po szreni, nie grzęźnie. Za dnia rozbija obóz gdzieś w zagłębieniu albo pod świerkiem. Czujna nawet we śnie.

Samotne polowania różnią się od tych w stadzie. Żółtonoga łapie zające i drobne gryzonie. To niedużo dla wędrownego wilka.

Zmienia się też jej stosunek do innych zwierząt. Lisy i kruki zazwyczaj żyją w zgodzie z watahą. Lis zjada resztki po wilkach. Wilk wykorzystuje lisie nory. Kruk sprząta ze stołu, a czasem wrzeszczy, siedząc na gałęzi: „Hej, znalazłem zdobycz! Popatrz, nieuważny jeleń, zajęty rykowiskiem! Poleruje rogi o korę drzewa! Złap go, złap go!”. Znudzony kruk może opaść ciężko przed śpiącym wilkiem i stuknąć go parę razy w głowę, by zaraz się cofnąć. Podskakuje zabawnie i nieporadnie, jak to fruwacz. Wilk rzuca się do ataku. Ptak odlatuje w ostatniej sekundzie. Przekomarzają się tak jakiś czas, Czarny z Szarym.

Ale samotna wilczyca nie jest dobrą towarzyszką zabaw. Nie gardzi żadnym łupem, nie ma ochoty na igraszki z ptakami, nie

dzieli się dobrowolnie zdobyczą.

Pewnego ranka zaskakuje lisicę przy norze. W zboczu wzniesienia widać kilka wykopanych otworów. Jeden z nich jest ukryty pod wykrotem. Jedynie ślady łap i trochę ziemi na śniegu zdradzają jego położenie. Właśnie z tej niewidocznej dziury wychodzi lisica. Żółtonoga poczuła jej ostry zapach i zboczyła z trasy. Teraz schodzi ze zbocza pod wiatr, widzi głowę i smukłe ciało, wystające z nory. Wilczyca zastyga w pół kroku, lisica musi się wysunąć jeszcze bardziej, ale wystarczy przecież, że Ruda odwróci trochę głowę i wtedy odkryje Żółtonoga.

Jeden skok. Niemal koci. Trzask łamanych gałęzi zwalonej sosny. Trzask kręgosłupa miażdżonego w pysku wilczycy. Żółtonoga łapczywie pożera zdobycz. Przytrzymując ciało łapą, wydziera zębami nędzne włókna mięsa.

Natychmiast podlatują dwie wrony i wspólnymi siłami próbują wyrwać coś dla siebie. Jedna ryzykuje życie, podchodząc tak blisko, że sama może paść łupem wilczycy, a druga w tym czasie wykrada marny kawałek. Gdy tak pikują nad jej głową, Żółtonoga odgania je łapą, nie wypuszcza jednak zdobyczy spod drugiej. Pożera wszystko sama, później zaś wraca do nory i węszy. Być może lisica miała młode, a te nie leżą zbyt głęboko, Żółtonoga może je wygrzebać. Nic nie znajduje.

Wraca na szlak. Niespokojne nogi samotnej wilczycy niosą ją hen daleko.

PONIEDZIAŁEK, 11 WRZEŚNIA

- Jakby go ziemia pochłonęła.

Anna Maria Mella patrzyła na swoich kolegów. Odbywali poranną naradę u prokuratora. Właśnie stwierdzili, że nie mają żadnego śladu po zaginionym pastarze Stefanie Wikströmie.

Przez sześć sekund panowała zupełna cisza. Komisarz Fred Olsson, prokurator Alf Björnfot, Sven Erik Stålnacke i komisarz Tommy Rantakyrö wyglądali na przygnębionych. To przecież najgorszy możliwy scenariusz: pastor zapadł się pod ziemię. A może leży gdzieś pogrzebany?

Sven Erik czuł się przybity. Przyszedł na poranną modlitwę u prokuratora jako ostatni. To do niego niepodobne. Na brodzie miał niewielki plaster, zabarwiony zaschniętą już krwią. Męska oznaka pechowego ranka. Owłosienie na szyi pod jabłkiem Adama uniknęło w pośpiechu ostrza golarki i wystawało ze skóry jak szorstkie szare pędy. Poniżej kącika ust widniały resztki zaschniętej pianki do golenia, niczym strzęp białej fugi.

- Na razie to jednak tylko zaginięcie — przerwał ciszę prokurator. — Mężczyzna w służbie Kościoła dowiaduje się, że wytropiliśmy jego podróż, którą zafundował rodzinie za pieniądze kościelnej fundacji. To wystarczy, żeby próbować uciec ze strachu przed zszarganą reputacją. Może wkrótce wyskoczy skądś jak diabeł z pudełka.

Przy stole panowało milczenie. Alf Björnfot rozejrzał się dookoła. Trudno zmotywować ten zespół, pomyślał. Jak gdyby tylko czekali na zwłoki pastora. Najlepiej od razu ze śladami i dowodami, tak żeby śledztwo nabrało rozpędu.

- Co wiemy o czasie przed zniknięciem? — zapytał.

- W piątek wieczorem, za pięć siódma, zadzwonił do żony z komórki — powiedział Fred Olsson. — Później opiekował się grupą Młodzi Kościoła, otworzył im lokal, o wpół do dziesiątej poprowadził modlitwę. Wyszedł stamtąd zaraz po dziesiątej, a potem nikt go już nie widział.

- Samochód? — pytał dalej prokurator.

- Stoi zaparkowany za domem parafialnym.

Przecież to tylko kawałek, pomyślała Anna Maria. Z lokalu

Młodych Kościoła na tyły domu parafialnego jest może sto metrów.

Przypomniała sobie kobietę zaginioną parę lat temu. Matka dwojga dzieci. Wyszła wieczorem z domu, żeby nakarmić psy w kojcu. I zniknęła. Autentyczna rozpacz jej męża i zapewnienia — zarówno jego, jak i innych — że nigdy dobrowolnie nie zostawiłaby dzieci, sprawiły, że policja potraktowała ten przypadek priorytetowo. Znaleźli kobietę zakopaną w lesie za domem. Zabił ją mąż.

Anna Maria myślała wtedy podobnie. Przecież to tylko kawałek. Przecież to tylko kawałek. - Kontrola rozmów telefonicznych, mejli, kont bankowych. Co nam dały? — wypytywał prokurator.

- Nic specjalnego — odpowiedział Tommy Rantakyrö.

- Ostatni był telefon do żony. Weześniej odbył kilka rozmów służbowych z członkami parafii i proboszczem, z łowczym na temat polowania na łosie, z siostrą żony... Mam listę tych rozmów i krótkie notatki o ich treści.

- Świetnie! — odezwał się Alf Björnfor, próbując dodać policjantom otuchy.

- Co mieli do powiedzenia siostra i proboszcz? — zapytała Anna Maria.

- Stefan zwierzył się siostrze, że niepokoi się o żonę, że znów jej się może pogorszyć.

- Jego żona napisała do Mildred Nilsson te listy z pogroźkami... Wygląda na to, że nie żyli z nią w zgodzie — wtrącił Fred Olsson.

- A o czym wikary rozmawiał z proboszczem? — drażyla komisarz Mella.

- Proboszcz był trochę zakłopotany, gdy go zapytałem

- odparł Tommy. — Ale opowiedział w końcu o tym, jak Stefan martwił się z powodu księgi rachunkowej, którą sobie pożyczaliśmy.

Na czoło prokuratora wystąpiła prawie niezauważalna zmarszczka. Nie powiedział jednak nic o przewinieniu służbowym i konfiskacie bez zezwolenia, wyraził tylko przypuszczenie:

- To właśnie wskazywałoby, że Wikström zniknął dobrowolnie. Ukrywa się, bo pali go wstyd. Gdy chodzi o takie sprawy, chowanie głowy w piasek to dość nagminna reakcja, wierzcie mi. Można sobie oczywiście myśleć: „Czy ci ludzie nie rozumieją, że w ten sposób tylko pogarszają swoją sytuację?”, ale oni już dawno przekroczyli granicę zdrowego rozsądku.

- Dlaczego nie pojechał samochodem? — zapytała Anna Maria. — Powędrował sobie, ot tak, przed siebie, do lasu? O tej porze nie odchodził żaden pociąg. Samolot też nie.

- Taksówka? — próbował prokurator.

- Nie było takiego kursu — Fred Olsson rozwiał jego nadzieję. Komisarz Mella spojrzała na niego z uznaniem. Ty cholerny, uparty terierze, pomyślała.

- No tak — podsumował Alf Björnfot. — Tommy chciałbym, żebyś...

- ...popytał ludzi mieszkających w okolicy domu parafialnego, czy czegoś nie zauważyli — dokończył zrezygnowany Tommy.

- Właśnie! — potwierdził prokurator. — I...

- ...porozmawiaj jeszcze raz z młodzieżą z grupy Młodzi Kościoła.

- Świetnie! Weź ze sobą Freda.

- A ty, Svenie Eriku — prokurator zwrócił się do komisarza — może zadzwonisz do grupy profilerów i zapytasz, czy mają coś nowego do powiedzenia?

Sven Erik skinął głową.

- A co z rysunkiem? — zapytał Annę Marię.

- SKL wciąż go analizuje. Na razie nic jeszcze nie znaleźli.

- Dobrze! W takim razie zbiórka jutro rano, jeśli oczywiście nie wydarzy się nic nieoczekiwanego — zarządził Alf Björnfot i złożywszy okulary, schował je do kieszonki na piersi.

Na tym zebranie się skończyło.

W drodze do swojego pokoju Sven Erik zajrzał do Sonji z centrali telefonicznej.

- Słuchaj, gdyby ktoś zadzwonił i powiedział, że znalazł burego, prądkowanego kota, to daj mi znać, dobrze?

- Chodzi o Mannego?

Sven Erik skinął głową.

- Już tydzień. Nigdy nie był tak długo poza domem.
- Będziemy mieć na to baczne oko — obiecała Sonja. — Zobaczysz, że wróci. Przecież ciągle jeszcze jest ciepło. Pewnie zaleca się gdzieś do jakiejś kotki.
- Tyle że on jest wykastrowany — odparł ponuro komisarz.
- No dobrze. Powiem dziewczynom.

Kobieta z grupy profilerów biura kryminalnego odpowiedziała od razu. Ucieszyła się, słysząc nazwisko Svena Erika. Stanowczo za młoda, żeby zajmować się taką cholerną robotą, pomyślała.

- Wychodzę z założenia, że czytała pani gazety?
- Tak. I co, znaleźliście go?
- Nie. Wciąż jest zaginiony. No, i co pani na to?
- Hmm. A co konkretnie ma pan na myśli?

Sven Erik próbował się skupić. - No więc... — zaczął. — Jeżeli przyjmiemy, że faktycznie jest tak, jak sugerują wszyscy dziennikarze...

- ...że Stefan Wikström został zamordowany i że chodzi o seryjnego? — dokończyła.

- Właśnie! Czy w takim razie to nie jest dziwne?

Kobieta czekała, aż Sven Erik sprecyzuje myśl.

- Uważam... — zaczął ponownie komisarz. — To chyba dziwne, że zniknął. Jeśli morderca powiesił Mildred Nilsson na organach, dlaczego nie powiesił też Stefana Wikströma?

- Może najpierw musi go wyczyścić? Na Mildred znaleźliście przecież sierść psa, prawda? Albo chce go przez chwilę zatrzymać u siebie.

Przerwała na moment, chyba się zastanawiała.

- Przykro mi — powiedziała w końcu. — Kiedy znajdą się zwłoki, jeżeli się znajdą, bo przecież mógł zniknąć dobrowolnie, to porozmawiamy jeszcze raz. Zobaczymy, czy istnieje jakiś wzorzec.

- Okej. Możliwe, że się ukrywa. Nie był do końca uczciwy w sprawach finansowych pewnej kościelnej fundacji. I dowiedział się, że wytropiliśmy tę jego nieczystą histo^ryjkę.

- Nieczystą historyjkę?

- Tak, w grę wchodzi mniej więcej sto tysięcy. Myślę, że to nie wystarczyłoby, żeby wnieść oskarżenie. Chodzi o podróż szkoleniową, która tak naprawdę była zupełnie prywatną urlopową wycieczką.

- A więc sądzi pan, że Wikström nie ma powodu, żeby uciekać?

- Tak, w zasadzie nie ma takiego powodu.

- O ile nie przeraził go sam fakt, że zainteresowała się nim policja.

- Co pani ma na myśli?

Zaśmiała się.

- Nic! — odparła z naciskiem. I dodała już bardzo formalnie: — Życzę powodzenia! Proszę się odezwać, gdy coś się wydarzy.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, zrozumiał, co kobieta miała na myśli. Jeżeli Stefan zamordował Mildred...

Mózg od razu zaczął protestować.

Jeżeli przyjmiemy, że tak było, przekonywał samego siebie Sven Erik, to wtedy Wikström faktycznie miałby powód, by uciekać przed zbliżającą się policją. Niezależnie od naszych zamiarów. Nawet gdybyśmy tylko chcieli go zapytać, która jest godzina.

Zadzwonił telefon Anny Marii. Odezwała się sprzedawczyni z księgarni specjalizującej się w literaturze science fiction.

- Mam informację o tym symbolu — powiedziała bez ogródek.

- Tak, słucham?

- Rozpoznał go jeden z moich klientów. Symbol zdobi okładkę książki pod tytułem *The Gate*. Autorką jest Michelle Moan, to pseudonim. Książka nie została przetłumaczona na szwedzki. Nie mam jej na składzie, ale mogę ją dla pani zamówić, jeśli pani sobie życzy.

- Tak, proszę! A o czym ona jest?

- O śmierci. To wielka księga śmierci. Potwornie droga. Pięćdziesiąt dwa funty. Dojdzie jeszcze koszt przesyłki.

Zadzwoniłam również do wydawnictwa w Anglii.

- Tak?

- Zapytałam, czy zamawiał ją ktoś ze Szwecji. Okazało się, że owszem, nawet kilka osób. Jedna z Kiruny.

Anna Maria wstrzymała oddech. Niech żyją detektywi amatorzy!

- Podali pani nazwisko zamawiającego?

- Tak. Benjamin Wikström. Dostałam też adres.

- Dziękuję, nie trzeba! — krzyknęła Anna Maria do słuchawki.

— Dzięki! Odezwę się wkrótce.

Sven Erik Stålnacke stał u Sonji w centrali telefonicznej. Nie mógł się oprzeć pokusie, by zapytać:

- I co powiedziały dziewczyny? Dzwonił ktoś w sprawie kota?

Pokręciła głową.

Nagle za plecami komisarza zmaterializował się Tommy Rantakyrö.

- Zginął ci kot?

Sven Erik mruknął coś w odpowiedzi.

- Pewnie przeprowadził się do kogoś innego — stwierdził beztrąsko Tommy. — Wiesz, jak to jest z kotami. One nie przywiązują się do nikogo, to tylko nasza, no... projekcja czy jak jej tam... Przypisywanie innym własnych uczuć. Koty nie potrafią okazywać oddania, udowodniono to naukowo.

- Co ty mi tu opowiadasz za pierdoły?

- Ale to prawda! — potwierdził Tommy, nie zważając na ostrzegawcze spojrzenia Sonji. — No wiesz, kiedy tak ocierają się o twoje nogi i wyginają po kociemu. Robią to tylko po to, żeby oznakować zapachem swoje miejsce pobytu i jadłodajnię. To nie są zwierzęta stadne.

- Aha. Być może — odpowiedział Sven Erik. — Ale Manne w każdym razie wskakuje mi do łóżka i śpi jak niemowlę.

- Bo jest mu ciepło. Nie znaczyś dla kota więcej niż poduszka elektryczna.

- Eee, ty jesteś psiarzem — przerwała mu Sonja — więc w ogóle nie powinieneś się wypowiadać o kotach.

Po czym zwróciła się do Svena Erika:

- Ja też jestem miłośniczką kotów.

W tej samej chwili otworzyły się szklane drzwi i do środka wpadła komisarz Mella. Chwyciła Svena Erika za ramię i wyciągnęła z centrali.

- Jedziemy na plebanię w Jukkasjärvi — powiedziała tylko.

*

Kristin Wikström otworzyła drzwi w szlafroku i pantoflach. Pod oczami miała rozmazane resztki wczorajszego makijażu. Założone za uszy jasne, nieuczesane włosy przylegały płasko do czaszki.

- Szukamy Benjamina — powiedziała Anna Maria. — Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Czy jest w domu?

- Czego państwo chcą?

- Porozmawiać z nim — powtórzyła komisarz Mella. — Czy jest w domu?

Głos Kristin podniósł się pół tonu.

- Czego od niego chcecie? O czym będziecie z nim rozmawiać?

- Zaginął jego ojciec — wyjaśnił cierpliwie Sven Erik.

- Musimy mu zadać kilka pytań.

- Nie ma go w domu.

- Czy wie pani, gdzie jest? — zapytała Anna Maria.

- Nie. A państwo powinni szukać Stefana. Właśnie tym powinniście się teraz zająć!

- Czy możemy obejrzeć pokój syna? — nie dawała za wygraną Anna Maria.

Zmęczona matka zamrużyła oczami.

- Nie, nie możecie.

- Przepraszamy więc za kłopot — powiedział grzecznie Sven Erik i zaciągnął Annę Marię do samochodu.

- Kurza dupa! — wybuchła Anna Maria, kiedy przeszli przez furtkę. — Jak mogłam być taka głupia, żeby przyjechać bez nakazu przeszukania mieszkania?

- Zatrzymaj się trochę dalej — polecił Sven Erik. — Ja wysiądę i pójde ją sprawdzić. A ty śmigaj po nakaz i wracaj z nim w te pędy.

Anna Maria zahamowała, Sven Erik wyslizgnął się z samochodu.

- Pospiesz się! — poprosił.

Sven Erik pobiegł truchtem na plebanię. Stał przy furtce, ukryty za jarzębiną. Widział drzwi wejściowe i komin.

Jeśli z komina zacznie lecieć dym, to wejdę do środka, pomyślał.

Po piętnastu minutach Kristin Wikström wyszła z domu. Zamiast szlafroka miała na sobie dzinsy i bluzę. W ręce trzymała zawiązany worek na śmieci. Podnosząc wieko pojemnika na odpadki, odwróciła głowę i ujrzała policjanta. Nie było innego wyjścia. Podbiegł do niej i wyciągnął rękę.

- W porządku. Proszę mi go oddać.

Bez słowa podała mu worek. Zauważył, że przeciągnęła włosy szczotką i nałożyła trochę szminki na usta. Nagle połały się łzy. Bez ceremonii, bez grymasu na twarzy, Kristin zaczęła płakać. Równie dobrze mogła przed chwilą obierać cebulę.

Sven Erik rozwiązał worek. W środku leżały wycinki gazetowe o Mildred Nilsson.

- Dobrze, już dobrze — powiedział, przyciągając ją do siebie. — A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie on jest.

- W szkole, oczywiście — odparła.

Pozwoliła się objąć. Płakała bezgłośnie w jego ramionach.

*

- Ale jak sądzisz? — zapytał Sven Erik, gdy Anna Maria parkowała samochód przed szkołą Högalidskolan. — Czy ten chłopiec naprawdę zamordował Mildred, a później swojego ojca?

- Absolutnie nic nie sądzę. Tylko że Benjamin ma książkę z tym samym symbolem, który znajduje się na obrazku z wiszącą Mildred. Prawdopodobnie to on go narysował. Oprócz tego zebrał masę wycinków o zamordowanej pastor.

Dyrektorką szkoły była atrakcyjna kobieta koło pięćdziesiątki. Odrobinę zaokrąglona. Miała na sobie spódnicę do kolan i oryginalny granatowy zakiet. Kolorowa apaszka wisiała jak naszyjnik. Na jej widok Svenowi Erikowi od razu poprawił się humor. Lubił takie energiczne kobiety.

Anna Maria wyjaśniła, że zależy im na tym, aby Benjamin wywołać z lekcji jak najbardziej dyskretnie. Kobieta wyjęła rozkład zajęć i zadzwoniła do nauczyciela, który właśnie miał zajęcia z klasą chłopca.

Gdy czekali na syna wikarego, dyrektorka zapytała, o co chodzi.

- Mamy powody, by przypuszczać, że Benjamin groził Mildred Nilsson, pastor, którą zamordowano na początku lata. Musimy mu zadać kilka pytań.

Kobieta pokręciła głową.

- Przepraszam, ale strasznie trudno mi w to uwierzyć. Benjamin i jego koledzy... wyglądają potwornie, to fakt. Kruczoczarne włosy i blade twarze. Oczy wymalowane na czarno. A kiedy człowiek przyjrzy się ich ubraniom! W ubiegłym semestrze jeden z nich nosił bluzę, na której szkielet pożera niemowlę.

Zaśmiała się i uniosła ramiona w udawanym wzdrygnięciu.

Spowaźniała, widząc, że Anna Maria nawet nie podniosła kącików ust.

- Ale to są naprawdę dobre dzieci — dodała. — W zeszłym roku Benjamin miał dość trudny okres, chodził wtedy do ósmej klasy, ale bez wahania zostawiłabym własne dzieci pod jego opieką. Oczywiście gdybym miała takie małe dzieci.

- Co pani ma na myśli, mówiąc: dość trudny okres? — zapytał Sven Erik.

- Nie szło mu z nauką. I był tak okropnie... Oni tak bardzo chcą się wyróżniać tym odmiennym ubiorem i tak dalej. Czasami myślę, że obnoszą się wręcz ze swoim wyobcowaniem. Robią z niego własny wybór. Ale Benjamin nie czuł się dobrze. Zawsze miał na ramieniu pełno małych ranek i zdrapywał z nich strupy. Powstała jedna, spora, nigdy nie gojąca się rana. Ale jakoś tak po Bożym Narodzeniu zmieniło się na lepsze. Zaczął chodzić z dziewczyną, założył zespół muzyczny.

Uśmiechnęła się.

- Ten zespół! Boże drogi, wiosną występowali w szkole. W jakiś sposób zdobyli świńską głowę, którą na scenie rąbali siekierami. Byli przeszczęśliwi!

- Czy Benjamin dobrze rysuje? — zapytał Sven Erik.

- O tak, nawet bardzo dobrze.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł Benjamin Wikström.

Policjanci się przedstawili.

- Chcielibyśmy zadać ci kilka pytań — zaczął Sven Erik.

- Nie rozmawiam z państwem — powiedział chłopak.

Anna Maria westchnęła. - W takim razie musimy cię zatrzymać pod zarzutem stosowania groźby bezprawnej. Pojedziesz z nami na komendę.

Wzrok wbity w podłogę. Potargane włosy zasłaniające twarz.

- No to zatrzymujcie.

*

- No, to co? — odezwała się Anna Maria. — Idziemy z nim porozmawiać?

Benjamin Wikström siedział w pokoju przesłuchań numer jeden. Odkąd go zatrzymali, nie powiedział ani słowa. Anna Maria i Sven Erik poszli po kawę dla siebie. I po coca-colę dla chłopca.

Prokurator rejonowy Alf Björnfot na ich widok puścił się galopem przez korytarz.

- Kogo zatrzymaliście? — zapytał, dysząc.

Wyjaśnili sytuację.

- Piętnaście lat. Powinien mieć ze sobą opiekuna prawnego; czy jest tu jego matka?

Sven Erik i Anna Maria wymienili spojrzenia.

- Sprowadźcie ją więc tutaj jak najszybciej — polecił prokurator. — Dajcie chłopcu coś do jedzenia, jeśli chce. I zadzwońcie do opieki społecznej. Też powinni tu przysłać swojego przedstawiciela. Skontaktujcie się później ze mną, okej?

Zniknął w korytarzu.

- O nie! — jęknęła Anna Maria.

- Ja po nią pojedę — zaoferował się Sven Erik.

Godzinę później siedzieli wszyscy w pokoju przesłuchań. Po jednej stronie stołu komisarz Mella i komisarz Stålnacke. Po drugiej — Benjamin Wikström. Po jego lewej stronie zasiadła referentka do spraw socjalnych, po prawej

- Kristin Wikström. Jej oczy były zaczerwienione.

- Czy wysłałeś ten rysunek Mildred Nilsson? — zapytał Sven Erik. — Wkrótce będziemy mieli odciski palców. Więc jeżeli to

ty go narysowałeś, to może od razu lepiej o tym porozmawiać. Benjamin milczał uparcie.

- Boże drogi! — wykrzyknęła Kristin. — Co to znaczy, Benjaminie? Jak mogłeś? Przecież to chore!

Rysy chłopca stwardniały. Wzrok miał wbity w stół. Ręce przyciśnięte do tułowia.

- Może zrobimy krótką przerwę? — zaproponowała pracownica opieki społecznej i objęła Kristin ramieniem.

Sven Erik skinął głową i wyłączył magnetofon. Kristin, referentka do spraw socjalnych i Sven Erik wyszli z pokoju.

- Dlaczego nie chcesz z nami rozmawiać? — zapytała Anna Maria.

- Bo nic nie rozumiecie! — odezwał się Benjamin. — Absolutnie nic nie rozumiecie!

- Mój syn też ciągle tak do mnie mówi. Jest twoim rówieśnikiem. Znałeś Mildred?

- Na tym rysunku... to nie jest ona! Nie rozumiecie? To jest autoportret. Anna Maria spojrzała na rysunek. Od początku wychodziła z założenia, że przedstawia Mildred. Ale przecież Benjamin też ma długie, czarne włosy.

- Byłeś z nią zaprzyjaźniony! — wybuchła komisarz. — To dlatego miałeś te wycinki, prawda?

- Ona rozumiała — powiedział. — Ona naprawdę rozumiała. Spod zasłony włosów na stół spadło kilka łez.

Mildred i Benjamin siedzą w jej pokoju w domu parafialnym. Poczęstowała go herbatą z wiązówki błotnej. Własnoręcznie zebrane i ususzone zioło dostała od którejś kobiety z „Magdaleny”. Śmieją się, bo napar smakuje jak siki Weroniki. Jeden z kolegów Benjaminą był konfirmantem u Mildred i przez niego się poznali.

Na biurku pastor leży *The Gate*. Już ją przeczytała.

- I co pani sądzi?

Tom jest opasły. Bardzo opasły. Mnóstwo angielskiego tekstu, ale też kolorowych ilustracji.

Książka traktuje o „the Gate to the unbuilt house, to the world you create”. O bramie do niezbudowanego domu, do świata,

który tworzysz sam. To wezwanie, by poprzez rytuały i we własnej wyobraźni stworzyć świat, w którym chciałoby się mieszkać wiecznie. Chodzi o drogę do tego świata. Samobójstwo. Kolektywne albo w pojedynkę. Angielskie wydawnictwo zostało podane do sądu przez grupę rodziców. Wiosną 1998 roku czworo młodych ludzi odebrało sobie razem życie.

- Podoba mi się myśl, że sami tworzymy sobie niebo — mówi Mildred.

Później słucha. Podaje mu chusteczki do nosa, gdy chłopak płacze. Bo rozmawiając z Mildred, Benjamin nie potrafi powstrzymać łez. Czuje, że ona naprawdę się o niego troszczy. Opowiada o swoim ojcu. Jest w tym coś z zemsty. Zwierza się Mildred, której jego tato nie cierpi.

- On mnie nienawidzi — mówi Benjamin. — I nie ma znaczenia... Gdybym obciął włosy, założył koszulę i nie potargane spodnie, gdybym miał świetne wyniki w szkole i został przewodniczącym samorządu uczniowskiego, on i tak nie byłby zadowolony. Jestem przekonany.

Ktoś puka do drzwi. Między brwiami Mildred pojawia się zmarszczka irytacji. Jeżeli przy wejściu świeci się czerwona lampka...

Do środka wkracza Stefan Wikström. W zasadzie ma dzisiaj wolne.

- A więc tutaj jesteś! — zwraca się do syna. — Weź kurtkę, usiądź w samochodzie i czekaj.

Do Mildred mówi:

- A ty przestań się wtrącać w moje rodzinne sprawy. Benjamin zaniedbuje naukę. Stroi się tak, że człowiekowi zbiera się na wymioty. Przynosi wstyd rodzinie tyle, ile potrafi. Dopingowany z zapalem przez ciebie, jeśli dobrze zrozumiałem. On idzie na wagary, a ty częstujesz go herbatką! Słyszysz, co do ciebie mówię? Kurtka i marsz do samochodu! Stuka w zegarek na rękę. - Masz teraz lekcję szwedzkiego, zawiozę cię do szkoły.

Benjamin nie rusza się z miejsca.

- Mama siedzi w domu i płacze. Twoja wychowawczyni

zadzwoiła do nas z pytaniem, gdzie się podziewasz. Wpędzasz mamę w chorobę! O to ci chodzi?

- Benjamin chciał porozmawiać — wtrąca się Mildred.

- Czasami...

- Rozmawia się przede wszystkim z rodziną! — wybucha Stefan.

- Czyżby?! — wykrzykuje chłopiec. — Przecież ty odmawiasz odpowiedzi! Tak jak wczoraj, gdy zapytałem, czy mogę pojechać z Kevinem i jego rodzicami do Riksgränsen. „Obetnij włosy i ubierz się jak normalny człowiek, to wtedy będę z tobą rozmawiał jak z normalnym człowiekiem”.

Benjamin wstaje i bierze kurtkę.

- Pojadę do szkoły na rowerze. Nie musisz mnie odwozić.

Wybiega.

- To twoja wina — mówi Stefan, celując palcem w Mildred, która wciąż siedzi z filiżanką herbaty.

- Żal mi cię, Stefanie — odpowiada pastor. — Wokół ciebie musi być bardzo pusto.

*

- Wypuszczamy go — powiedziała Anna Maria do prokuratora i swoich kolegów. Wyszła do pokoju wypoczynkowego i poprosiła pracownicę opieki socjalnej, by towarzyszyła matce i synowi w drodze do domu. Później zaszyła się w swoim pokoju. Poczuli się zmęczona i zniechęcona.

Sven Erik zajrzał do niej, pytając, czy pójdzie z nim na lunch.

- Przecież już trzecia — odparła.

- A jadłaś coś?

- Nie.

- No to bierz kurtkę. Ja prowadzę.

Wyszczrzyła zęby.

- Dlaczego ty, a nie ja?

Za plecami Svena Erika wyrósł nagle Tommy Rantakyrö.

- Musicie przyjść!

Sven Erik spojrział na niego nasrożony.

- Nie rozmawiam z tobą — odparł.

- Z powodu tego, co mówiłem o kotach? Przecież tylko

żartowałem. Ale tego musicie posłuchać!

Podążyli za Tommym do pokoju przesłuchań numer dwa. Siedziała tam para ubrana jak na wyprawę do lasu. Mężczyzna był dość rosy, trzymał w ręce bejsbolówkę koloru khaki i wycierał pot z czoła. Kobieta zaś była nienaturalnie szczupła. Wokół ust i na twarzy charakterystyczne zmarszczki wieloletniej palaczki. Bawełniana bandana na głowie i plamy z jagód na dzinsach. Obydwoje pachnieli papierosami i olejkiem przeciw komarom.

- Czy mógłbym dostać szklanek wody? — zapytał mężczyzna na widok czworga policjantów wchodzących do środka.

- Ależ przestań! — powiedziała kobieta tonem, który wskazywał, że cokolwiek mężczyzna powie czy zrobi, będzie to niewłaściwe.

- Czy mogliby państwo powtórzyć to, co mi przed chwilą opowiedzieli? — poprosił Tommy Rantakyrö.

- No, to mów! — żona zwróciła się do męża poirytowanym tonem.

Jej niespokojne spojrzenie przeskakiwało z jednego policjanta na drugiego.

- No... byliśmy na północ od Nedre Vuolusjärvi i zbieraliśmy borówki — zaczął mężczyzna. — Mój szwagier ma tam domek. Nieprawdopodobne tereny z moroszką, w czasie sezonu, no, ale teraz zbieraliśmy brusznicę...

Spojrzał na Tommy'ego, który ruchem dłoni dał znak, by mężczyzna przeszedł do sedna sprawy.

- No i tam w nocy usłyszeliśmy jakiś hałas.

- To był krzyk — wyjaśniła żona.

- Dobrze, dobrze. W każdym razie później usłyszeliśmy strzał.

- A po chwili jeszcze jeden strzał — uzupełniła kobieta.

- Jak chcesz, to opowiadaj sama! — rzucił mężczyzna z irytacją.

- O nie. Przecież powiedziałam, że to ty masz rozmawiać z policją.

Wyrzuciwszy to z siebie, kobieta zamknęła usta.

- I to chyba wszystko — zakończył mężczyzna.

Sven Erik patrzył na nich z niedowierzaniem.

- Kiedy to było? - W nocy z piątku na sobotę — odparł mężczyzna.

- A dzisiaj jest poniedziałek — powiedział powoli komisarz Stålnacke. — Dlaczego państwo przychodzą z tym dopiero dzisiaj?

- Mówiłam ci, żeby... — zaczęła kobieta.

- Dobrze, dobrze. Zamknij się w końcu! — przerwał jej mąż.

- Powiedziałam mu od razu, że powinniśmy pojechać do domu — kobieta zwróciła się do Svena Erika. — Boże, jak później zobaczyłam tego pastora w popołudniówce... Czy to może być on?

- Czy państwo coś widzieli?

- Nie, leżeliśmy w łóżku — odparł mężczyzna. — Słyszeliśmy tylko to, o czym już mówiłem. To znaczy nie, słyszeliśmy jeszcze samochód. Ale to było o wiele później. Można tam dojechać drogą z Laxforsen.

- Czy nie przyszło państwu do głowy, że to może być coś poważnego? — zapytał łagodnie Sven Erik.

- A czy ja wiem? — odpowiedział mężczyzna opryskliwie. — Trwa polowanie na łosie, to przecież nic dziwnego, że w lesie słychać strzały.

Głos Svena Erika był nienaturalnie cierpliwy.

- Te strzały padły w środku nocy. W trakcie polowania ogień zawiesza się godzinę przed zachodem słońca. No i kto krzyczał? Łoś?

- Mówiłam przecież, żeby... — zaczęła ponownie kobieta.

- Wie pan, w lesie różne odgłosy mogą brzmieć bardzo dziwnie — powiedział mężczyzna niemal wrogo. — To mógł być lis. Albo narwany sarniak. Słyszał pan kiedyś, jak taki potrafi zaszczekać? No, teraz w każdym razie o wszystkim opowiedzieliśmy. Może w końcu pozwolicie nam wrócić do domu?

Sven Erik spojrział na mężczyznę, jakby ten postradał zmysły.

- Do domu? — wybuchnął. — Do domu?! Zostaniecie tutaj! Przyniesiemy mapę i popatrzymy razem na okolicę. Powiedzą nam państwo, skąd doszedł odgłos strzału. Spróbujemy dojść, czy to była kula, czy śrut. A państwo się zastanowią, co to był za

krzyk. Czy dało się rozróżnić jakieś słowa? Porozmawiamy też o tym odgłosie samochodu. Skąd, jak daleko, wszystko. Chcę mieć dokładne określenia czasowe, kiedy to się stało. Będziemy to wałkować bardzo dokładnie. Wiele razy. Zrozumiano?!

Kobieta popatrzyła błagalnie na Svena Erika.

- Mówiłam mu, że od razu powinniśmy pojechać na policję, ale wie pan, jak on się zapamięta w zbieraniu...

- No, i popatrz, czym to się skończyło! — wyrzucił jej mąż. — Mam w samochodzie brusznicę za trzy tysiące koron. W każdym razie muszę zadzwonić do syna, żeby po nią przyjechał. Nie pozwolę, kurna, żeby się zmarnowała!

Klatka piersiowa Svena Erika unosiła się to w górę, to w dół.

- A tamten samochód był na ropę — dodał mężczyzna.

- Żarty pan sobie stroi? — zapytał komisarz. - Nie, przecież, kurde, potrafię rozróżnić. Domek leży kawałek od drogi, ale mimo wszystko. Tylko, jak już powiedziałem, to było o wiele później. Nie musi mieć związku ze strzałem i tak dalej.

*

Kwadrans po czwartej po południu Anna Maria i Sven Erik wylecieli helikopterem na północ. Pod spodem, jak srebrna wstążka, wiała się rzeka Torne. Choć kilka pojedynczych obłoków tu i ówdzie rzucało cień na zbocza gór, cały złotożółty krajobraz tonął w słońcu.

- Naprawdę można zrozumieć, że chcieli tu zostać i zbierać borówki, zamiast przerywać urlop i wracać do miasta — odezwała się Anna Maria.

Sven Erik poddał się i wybuchnął śmiechem.

- No popatrz, co to się z ludźmi dzieje?

Spojrzeli na mapę.

- Jeżeli domek stoi tutaj, przy północnym krańcu jeziora, a strzał dał się słyszeć z południa... — powiedziała komisarz Mella, wskazując palcem.

- Według mężczyzny strzały padły dość blisko.

- Tak, a tutaj, bardziej na południe, masz kilka domków nad brzegiem jeziora. No i ten samochód. To nie mogło być dalej niż kilometr, maksymalnie dwa, od ich chatki.

Zaznaczyli na mapie obszar, który następnego dnia mieli przeszukać z pomocą Gwardii Krajowej.

Helikopter obniżył lot. Leciał na północ wzdłuż długiego jeziora Nedre Vuolusjärvi. Zlokalizowali domek, w którym nocowali zbieracze borówek. - Zejdź jeszcze niżej, dobrze? — krzyknęła Anna Maria do pilota. — Przejrzymy teren na tyle, na ile się da. Sven Erik siedział z lornetką. Anna Maria wolała obserwować gołym okiem. Brzezina i ogromne połacie mokradeł. Leśna droga biegnąca wzdłuż brzegu jeziora prawie do samego krańca na północy. Pojedyncze renifery, gapiące się niezbyt mądrze, i kłępa z uciekającym przez zarośla łoszakiem.

Ale mimo wszystko — myślała Anna Maria, mrużąc oczy i próbując dojrzeć coś więcej niż tylko brzozy i chaszczce — nie da się tu nikogo zakopać łatwo i bez problemu. Te wszystkie korzenie i kłacza...

- Poczekaj — zawołała nagle. — Popatrz tam!

Pociągnęła Svena Erika za ramię.

- Widzisz? Tam, przy zagrodzie dla reniferów, leży łódź. Musimy ją sprawdzić.

Jezioro miało ponad sześć kilometrów długości. Od leśnej drogi prowadziła do niego wąska ścieżka. Ostatni kawałek był długą, drewnianą kładką. Biała łódź leżała na brzegu do góry dnem, tak by nie wlała się do niej woda.

Odwrócili ją razem.

- Wypucowana do czysta — stwierdził Sven Erik.

- Zdecydowanie zbyt wypucowana i zbyt czysta — dodała Anna Maria.

Pochyliła się, by obejrzeć dokładnie wewnątrz łodzi. Podniosła wzrok, zatrzymała go na Svenie Eriku i skinęła głową. On też się pochylił.

- Tak, to bez wątplenia krew.

Spojrzeni na gładkie i spokojne jezioro. Ryba żerująca pod powierzchnią wody zmarszczyła delikatnie taflę. W oddali użalał się nur.

Gdzieś tutaj, pomyślała Anna Maria. Gdzieś tutaj w jeziorze leży Stefan Wikström.

- Wracamy — powiedział Sven Erik. — Nie ma sensu deptać terenu bez potrzeby, zdenerwujemy tylko techników. Przywieziemy tu Kristera Erikssona i Tintin. Jak coś znajdą, wezwiemy pletwonurka. Nie pójdziemy teraz ścieżką, mogą być na niej ślady albo coś.

Anna Maria zerknęła na zegarek.

- Powinniśmy zdążyć przed zmrokiem.

Minęło wpół do piątej, kiedy ponownie zebrali się nad jeziorem: Anna Maria Mella, Sven Erik Stålnacke, Tommy Rantakyrö i Fred Olsson. Czekali na przewodnika z psem.

- Jeżeli Wikström leży gdzieś w pobliżu, to Tintin go znajdzie — odezwał się Fred.

- Chociaż ona nie jest tak dobra jak Zack — skomentował Tommy.

Tintin należała do komisarza Erikssona. Przed pięciu laty Krister Eriksson przeprowadził się do Kiruny z Zackiem. Zack był brązowo-czarnym wilczurem z płowym podpalaniem. Miał szeroką głowę i prawdopodobnie nie zrobiłby furory na żadnej wystawie. Pies jednego pana. Liczył się tylko Krister. Gdy ktoś próbował go pogłaskać albo się z nim przywitać, wilczur odwracał obojętnie głowę. - Praca w jego towarzystwie to prawdziwy zaszczyt — mówił Eriksson o swoim towarzysz.

Członkowie górskiego zespołu ratowniczego chórem wychwalali go pod niebiosa. Zack był najlepszym psem lawinowym, z jakim kiedykolwiek mieli do czynienia. W ogóle sprawdzał się świetnie jako pies poszukiwawczy. Krister Eriksson pojawiał się w pokoju wypoczynkowym komendy tylko wtedy, gdy Zack częstował policjantów tortem. To znaczy, gdy podwieczorek fundował wdzięczny krewny osoby uratowanej przez wilczura albo sam uratowany. Przerwy w pracy Krister wykorzystywał zazwyczaj na spacerzy albo trening. Nie był bowiem specjalnie towarzyski. Być może miało to związek z jego wyglądem. Z tego, co słyszała Anna Maria, Krister jako nastoletni chłopak został ciężko poparzony w pożarze domu. Nigdy nie miała odwagi zapytać go o to osobiście, nie był skory do takich rozmów. Jego twarz była

jakby pokryta różowym pergaminem. Dwa otwory bezpośrednio w głowie przypominały o nieistniejących uszach. Nie miał włosów, brwi ani rzęs, niczego.

Z nosa też zostało niewiele. Dwie podłużne groty w czaszce. Anna Maria wiedziała, że koledzy nazywają go Michael'em Jacksonem.

Kiedy Zack żył, żartowano o nim i jego panu. Że siedzą wieczorami przy piwie i oglądają mecze w telewizji. Że to Zack najtrafniej obstawia zakłady sportowe.

Odkąd Krister sprawił sobie Tintin, czarnego owczarka niemieckiego, Anna Maria nic takiego już nie słyszała. Najprawdopodobniej też sobie z nich dworowano, ale ponieważ Tintin była suką, w obecności Anny Marii koledzy powstrzymywali się od opowiadania sprośnych historii. „Wyrobi się”, mówił o suce Krister. „Jest jeszcze trochę zbyt narwana, za młoda na umyśle, ale wyrośnie z tego”.

Przyjechał dziesięć minut później niż pozostali. Tintin siedziała na przednim fotelu, przypięta specjalnym pasem bezpieczeństwa dla psów. Krister wypuścił ją z samochodu.

- Czy łódź jest już na miejscu? — zapytał.

Policjanci skinęli głowami. Helikopter spuścił ją na wodę na północnym krańcu jeziora. Była pomarańczowa, o płytkim zanurzeniu, wyposażona w reflektor i echosondę.

Krister założył suce kamizelkę ratunkową. Wiedziała dobrze, co to znaczy. Praca! Szykowała się fajna praca! Podekscytowana, kręciła się radośnie wokół jego nóg. Pysk miała otwarty, nozdrza poruszały się to w jedną, to w drugą stronę.

Ruszyli ku łodzi. Krister umiejscowił Tintin na niewielkiej platformie i zepchnął łódkę do wody. Jego koledzy patrzyli, jak oddala się od brzegu, słyszeli, jak włącza silnik. Szukali pod wiatr. Początkowo suka dreptała w miejscu, podniecona, piszczała, płasała. W końcu uspokoiła się i usiadła na dziobie, jakby zagłębiona w myślach.

Minęło czterdzieści minut. Tommy drapał się w głowę. Tintin się położyła. Łódź pływała tam i z powrotem, przesuając się nieustannie na południe. Policjanci na lądzie przemieszczali się wzdłuż brzegu jeziora. - Kurde, jak one gryzą! — narzekał

Tommy.

- Faceci z psami — Sven Erik zwrócił się do Anny Marii — to przecież twoja działka.

- Przestań! — warknęła ostrzegawczo Anna Maria. — Poza tym to nie był jego pies.

- A co? — zaciekawiał się Fred.

- A nic! — ucięła komisarz Mella.

- No nie, jak się powiedziało A... — wtrącił Tommy.

- To Sven Erik powiedział A — odparła Anna Maria. — Niech więc opowie! Niech mnie poniży w oczach kolegów, dalej!

- No, to było wtedy, gdy mieszkałaś w Sztokholmie — zaczął Sven Erik.

- Chodziłam do szkoły policyjnej.

- Tak więc Anna Maria wprowadziła się do chłopaka; to była dość świeża historia.

- Mieszkaliśmy razem dwa miesiące i na dobrą sprawę parą byliśmy niewiele dłużej.

- Popraw mnie, jeśli coś przekreślę. No więc pewnego dnia, gdy nasza Anna Maria przysłała do domu, zobaczyła na podłodze w sypialni męskie stringi. Czarne, skórzane.

- Miały takie pornograficzne zapięcie — dodała Anna Maria. — A oprócz tego otwór z przodu. Nie trzeba się wysilać, żeby zrozumieć, co miało z niego wystawać.

Zrobiła pauzę i spojrzała na Freda i Tommy'ego. Chyba nigdy nie widziała ich tak szczęśliwych i spragnionych dalszego ciągu.

- Poza tym... — zawiesiła głos — na podłodze leżała też podpaska.

- No nie! — wykrzyknął w napięciu Tommy.

- Byłam totalnie zszokowana — mówiła dalej Anna Maria. — No, bo co tak naprawdę wiemy o drugim człowieku? Kiedy Max wrócił do domu i zawołał mnie z przedpokoju, wciąż siedziałam w sypialni. „Co ci jest?”, pyta. A ja wskazuję na te slipy i mówię: „Musimy o tym porozmawiać”. A on nawet nie reaguje. „Aha, musiały spaść z szafy”, mówi zupełnie niewzruszony i kładzie je z powrotem na górę. Kompletnie bez emocji.

Wyszczrzyła zęby.

- To były majtki dla psa. Jego matka miała bokserkę, którą

czasami się opiekował. Kiedy miała cieczkę, nosiła te majtasy z otworem na ogon i z podpaską w środku. Po prostu.

Śmiech trzech mężczyzn potoczył się po tafli jeziora. Potem jeszcze długo chichotali.

- Ja cię smolę — popiskiwał Tommy, wycierając oczy.

Tintin nagle się podniosła.

- Patrzcie! — krzyknął Sven Erik.

- Czy ktokolwiek wpadłby na pomysł, żeby przestać patrzeć właśnie teraz? — zapytał Tommy, wyciągając szyję.

Tintin stała na sztywnych nogach. Nos wskazywał w głąb jeziora jak igła kompasu. Krister Eriksson zredukował szybkość do granic sterowności i skierował łódź w kierunku wskazywanym przez sukę. Tintin zaczęła skomleć i poszczekiwać, dreptała kółko po platformie, drapała ją pazurami. Szczekała coraz głośniej, w końcu przewiesiła się przez burzę. Kiedy Krister wyciągnął pławę z ołowianym ciężarkiem, żeby oznakować miejsce, Tintin nie mogła się powstrzymać. Wskoczyła do wody, a po chwili, szczekając i parszając, pływała wokół boi.

Krister przywołał ją, złapał za uchwyt kamizelki ratunkowej i wciągnął do łodzi. Przez moment wydawało się, że sam wpadnie do jeziora. Suka nie przestawała ujadać z radości. Przez jej szczekanie i szum motoru przebijał jednak głos Erikssona:

- Dzielna dziewczyna, dzielna. Dooobrze!

Tintin wyskoczyła na ląd nasączona wodą jak gąbka. Otrząsając się, zrobiła niezły prysznic wszystkim policjantom.

Krister chwalił ją i głaskał po głowie. Stała spokojnie tylko sekundę. Potem popędziła do lasu, gdzie podczas krótkiej rundki obwieszczała donośnie, że jest piekielnie zdolna. Słysząc ją było ze wszystkich stron.

- Czy ten jej skok do wody był zamierzony? — zapytał Tommy.

Krister Eriksson pokręcił głową.

- Po prostu była taka podniecona — powiedział. — Radość z wykonania zadania ma być dla niej wyłącznie czymś pozytywnym, więc nie mogłem karczyć jej za to, że wskoczyła, choć...

Z mieszanką niepomiernej dumy i zamyślenia spojrzął w stronę, z której dochodziło szczekanie.

- Niesamowicie zdolna bestia! — nie krył podziwu Tommy. Pozostali przyznali mu rację. Kiedy ją ostatnio widzieli, odnalazła staruszkę dotkniętą demencją. Siedemdziesięciosześcioletnia kobieta zawieruszyła się gdzieś w lesie pod Kaalasjärvi. Mieli do przeszukania rozległy teren. Krister Eriksson powoli prowadził terenówkę po leśnych drogach. Na masce samochodu położył matę antypoślizgową, żeby Tintin się nie zsuwała. Suka siedziała nieporuszona jak Sfinks z zadartym nosem. To był imponujący widok.

Nieczęsto zdarzały się aż tak długie rozmowy z Kriste-rem. Tintin wróciła ze swojej chełpliwej rundy i nawet ona wyczuła atmosferę wspólnoty grupowej. Posunęła się tak daleko, że obiegała wszystkich dookoła i obwąchała pospiesznie spodnie Svena Erika. Ta chwila nie trwała jednak długo.

- No, to chyba wszystko — podsumował Krister niemal opryskliwie.

Przywołał sukę i ściągnął jej kamizelkę. Zaczynało zmierzchać.

- Teraz trzeba zadzwonić po techników i pletwonurków — odparł Sven Erik. — Przyjadą tu jutro, gdy tylko zrobi się jasno. Czuł zarówno radość, jak i smutek. Stało się najgorsze. Zamordowano jeszcze jednego pastora, to już chyba nie ulegało wątpliwości. Ale z drugiej strony... Tam na dnie leżały zwłoki. W łódce na brzegu były ślady zbrodni, podobnie jak — z pewnością — na ścieżce prowadzącej do jeziora. Wiedzieli, że samochód był napędzany ropą. Znow mieli coś, nad czym mogli pracować.

Spojrzął na kolegów. Dostrzegł ten sam rodzaj przesywającej ich elektryczności.

- Przyjadą tu jeszcze dziś wieczorem — powiedziała Anna Maria. — Mogą podjąć przynajmniej jedną próbę w ciemności. Chcę mieć zwłoki Wikströma jak najszybciej.

*

Måns Wenngren siedział w Grodan i przyglądał się swojej komórce. Cały dzień powtarzał sobie, że nie zadzwoni do

Rebeki Martinsson, ale teraz już nie pamiętał dlaczego.

Wybierze szybko jej numer i zapyta lekkim tonem, jak sobie radzi z pracą na czarno.

Teraz jednak przychodziły mu na myśl takie rzeczy, jakie frapowały go, kiedy miał piętnaście lat. Jak będzie wyglądała jej twarz wtedy, gdy w nią wejdę?

Żenujący samiec!, podsumował się i wystukał właściwy numer.

Odebrała po trzech sygnałach. Sprawiała wrażenie zmęczonej.

Zgodnie z planem lekkim tonem zapytał o pracę na czarno.

- Skończyło się dość nieciekawie — odparła.

Po chwili zupełnie nieoczekiwanie wypłynęła z niej cała historia o tym, jak ojciec Nallego oskarżył ją, że przyjechała na przespiegi.

- Dobrze mi było z tym, że nikt nie wie, kim jestem — wyznała.

— Że kobieta, która zabiła trzech mężczyzn, to ja. Nie trzymałam tego w tajemnicy, ale też nie miałam powodu, żeby się tym afiszować. Najgorsze, że wyjechałam stamtąd i nie zapłaciłam za nocleg.

- Przecież na pewno możesz to uregulować przelewem

- pocieszył ją Måns. Rebeka się roześmiała.

- Nie sądzę.

- Chcesz, żebym to za ciebie załatwił?

- Nie.

No jasne, że nie, pomyślał. Zosia samosia!

- To znaczy, że nie pozostaje ci nic innego, jak tam pojechać i zapłacić.

- Tak.

- Nie zrobiłaś nic złego, nie musisz się płaszczyć.

- Wiem.

- Nawet jeżeli zrobi się coś złego, to też nie trzeba się płaszczyć — mówił dalej Måns.

W słuchawce zapadło milczenie.

- Trudno się z tobą rozmawia, Martinsson — wyznał Wenngren.

Weź się w garść, rozkazała sobie w duchu Rebeka. Nie rób cały czas za psychiczną!

- Przepraszam — powiedziała głośno.

- Nie myśl teraz o tym — zaproponował. — Zadzwoń do ciebie jutro rano i zdopinguję cię do działania, okej? Wsiąść w samochód i zapłacić rachunek w jakiejś pipidów- ce to przecież dla ciebie betka. Pamiętasz, jak sama poradziłaś sobie z Axling Import?

- Mhm.

- Zadzwoń jutro.

Nie zadzwoni, pomyślała, odkładając słuchawkę. Dlaczego miałby to zrobić?

Pięć po dziesiątej wieczorem pletwonurkowie ze służb ratowniczych znaleźli w jeziorze Stefana Wikstroma. Wyciągnięto go za pomocą specjalnych noszy. Był potwornie ciężki, wokół ciała morderca owinał żelazny łańcuch. Wymoczona i sprawiająca wrażenie spranej skóra była zupełnie biała i porowata. W czole i piersi widniały półcentymetrowe otwory po kuli.

ŻÓŁTONOGA

Jest początek maja. Leżące pod śniegiem sprasowane liście tworzą jednolitą, brunatną skorupę. Tu i ówdzie ostrożnie wychyla się coś zielonego. Ciepłe wiatry z południa. Klucze ptaków.

Wilczyca wciąż jest w drodze. Czasami poraża ją nieustanna samotność. Wtedy wyciąga szyję, wznosi głowę do nieba i wyrzuca z siebie wszystkie emocje.

Pięćdziesiąt kilometrów na południe od Sodankylä leży wieś z niezabudowanym wysypiskiem śmieci. Żółtonoga grzebie w nim trochę, znajduje jakieś resztki i kilka przerażonych tłustych szczurów. Solidnie wypełnia żołądek.

Kawałek dalej, już poza wsią, spotyka karelskiego psa na niedźwiedzie uwiązanego na łańcuchu. Gdy zbliża się do niego od strony lasu, pies nie ujada jak szalony. Nie boi się i nie próbuje uciekać. Stoi spokojnie i czeka.

Wprawdzie przeraża ją ludzki zapach, ale tak długo była sama, że teraz nie wybrzydza. Przez kolejne trzy dni po zapadnięciu zmroku powraca do niebojaźliwego psa. Podchodzi zupełnie blisko. Obwąchuje go i pozwala się obwąchiwać. Zaleca się i przyjmuje zaloty. Później biegnie do lasu. Zatrzymuje się na skraju i patrzy na samca. Czeka, aż za nią podąży.

A on tylko szarpie się na łańcuchu. Za dnia przestaje jeść.

Kiedy wilczyca wraca czwartego wieczoru, psa już tam nie ma. Żółtonoga stoi jeszcze chwilę na skraju lasu. Później znika w nim. Biegnie dalej.

Po śniegu nie ma już ani śladu. Ziemia paruje i drży z tęsknoty za życiem. A wkoło rojenie, świergotanie, stuka- nie-pukanie i tokowanie. Obolale drzewa wypuszczają liście z nabrzmiałych pąków. Lato przychodzi z południa jak nieprzewyciężona zielona fala.

Żółtonoga wędruje na północ, dwadzieścia kilometrów wzdłuż rzeki Torne. Przechodzi użytkowany przez człowieka most w Muonio.

Wkrótce potem po raz drugi w jej życiu klęka przed nią mężczyzna. Wilczyca leży w brzozowym lesie, jęzor wystaje jej z

pyska. Nie czuje nóg. Korony drzew rozplywają się w nieostrej, zielonej mgle.

Mężczyzna na kolanach jest badaczem wilków z Urzędu Ochrony Środowiska.

- Piękna jesteś — mówi do niej, głaszcząc jej boki i długie, żółte nogi.

- Tak, rzeczywiście piękna — potwierdza weterynarka.

Aplikuje jej zastrzyk z witaminami, sprawdza stan uzębienia, ostrożnie zgina kończyny w stawach.

- Trzy lata, może cztery — zgaduje lekarka. — Stan ogólny bardzo dobry, żadnego świerzbu, nic. - Prawdziwa księżniczka — mówi badacz i przykręca do obroży niewielki radionadajnik. Osobliwa biżuteria dla członkini rodziny królewskiej.

Helikopter ciągle pracuje. Podłoże jest bardzo grzaskie i pilot nie wyłączył silnika z obawy, że później nie będzie w stanie wystartować.

Weterynarka robi wilczycy jeszcze jeden zastrzyk; za chwilę zostawia ją w spokoju.

Badacz się podnosi. Wciąż czuje ją w rękach. Jej gęstą, zdrową sierść. Miękki podszerstek. Szorstkie i grube włosy warstwy okrywowej. Ciężkie łapy.

Kiedy podrywają się do lotu, widzą, jak wilczyca wstaje. Jeszcze lekko się zatacza.

- Zuch dziewczyna! — komentuje weterynarka.

Badacz zwraca się w myślach do sił nadprzyrodzonych.

Z modlitwą o opiekę.

WTOREK. 12 WRZEŚNIA

W porannych gazetach opisano wszystko. Mówi się o tym w wiadomościach radiowych. Zaginiony pastor został znaleziony na dnie jeziora. Jego ciało było spętane łańcuchem. Uśmiercono go dwoma strzałami. Jednym w pierś, drugim w czoło. Normalna egzekucja, komentuje policyjne źródło i dodaje, że znalezienie zwłok było raczej dziełem przypadku niż zasługą policji.

Lisa siedzi przy stole w kuchni. Złożyła gazetę i wyłączyła radio. Próbuje siedzieć bez ruchu. Każda zmiana położenia powoduje, że w jej wnętrzu wznosi się fala. Fala, która przelewa się przez ciało, stawia Lisę na nogi i zmusza do ciągłego dreptania po opustoszałym domu. Najpierw do ziejącego pustką salonu. Z powrotem do kuchni. Wszystko pomyte. Szafki porządnie wytarte. Szuflady opróżnione. Nigdzie nie poniewierają się żadne papiery ani niezapłacone rachunki. Teraz do sypialni. W nocy spała bez pościeli. Przykryta jedynie pikowanym płaszczem, w końcu, ku swojemu zdziwieniu, zapadła w sen. Kołdra leży złożona w nogach łóżka, na wierzchu – poduszki. Lisa pozbyła się wszystkich ubrań.

Siedząc zupełnie nieruchomo, oswaja tęsknotę. Tęsknotę za krzykiem i płaczem. Albo za bólem. Tęsknotę za tym, by położyć dłoń na rozżarzonej płytce kuchennej. Za chwilę musi jechać. Wzięła prysznic i włożyła czystą bieliznę. Biustonosz, nie noszony od dawna, uwiera ją pod pachami.

Psy nie tak łatwo oszukać. Podchodzą, próbując wkupić się w jej łaski. Stuku-puku, stuku-puku pazurami o podłogę. Nie przejmują się jej sztywnym, nieprzychylnym ciałem. Wciskają nosy w jej brzuch i między nogi. Podstawiają głowy pod jej ręce i czekają na pieszczoty. Lisa głaszcze je, choć robi to z potwornym wysiłkiem. Musi odciąć się od tak wielu emocji, żeby zatopić dłonie w miękkiej sierści, poczuć ciepło krwi przepływającej pod skórą.

- Na posłanie – nakazuje obcym głosem.

Psy ruszają ku posłaniom, lecz po chwili wracają i znów przebierają łapami.

O wpół do ósmej Lisa podnosi się z krzesła. Zmywa kubek po kawie i stawia go na suszarce, która wygląda na dziwnie opuszczoną.

Na dworze psy zaczynają rozrabiać. Zazwyczaj od razu wskakują do samochodu, bo wiedzą, że czeka je długi dzień w lesie. Teraz jednak okazują krnąbrność. Karelin ucieka i obsikuje krzewy porzeczki. Niemiec siada na zadzie i nie spuszcza oka z Lisy, kiedy ta komenderuje i wskazuje ręką otwarte tylne drzwi. Majken poddaje się pierwsza. Przybiega skulona, z ogonem wciśniętym między nogi. Karelin i Niemiec wskakują za nią.

Morris Wymiotny nigdy nie pali się do przejazdów. Ale teraz urządza istny cyrk. Lisa goni go, przeklina i wrzeszczy, wkońcu udaje jej się go złapać i zaciągnąć do samochodu.

- No, wskakuj, do kurwy nędzy! — ryczy, dając mu klapsa w zad.

Morris wskakuje. On wie. Z pewnością pojmują to również pozostałe psy. Patrzą na nią przez szybę. A ona siada na zderzaku, zupełnie wyczerpana. Nie przypuszczała, że ostatnią rzeczą z ich udziałem będzie kłótnia.

Jedzie na cmentarz. Psy zostają w samochodzie. Idzie do grobu Mildred. A tam jak zwykle mnóstwo kwiatów, karteczek, a nawet kilka fotografii, które zwinęły się i napęczniały w wilgotnym powietrzu.

Ładnie o nią dbają te wszystkie kobiety.

Powinna oczywiście zabrać coś ze sobą, by położyć na grobie. Tylko co to miałyby być?

Próbuje znaleźć jakieś słowa, które chciałyby wypowiedzieć. Jakaś myśl. Wpatruje się w imię na wilgotnym, szarym kamieniu. Mildred, Mildred, Mildred. Wbijają w siebie to imię jak nóż.

Moja Mildred, myśli po chwili. Którą miałam na ramieniu.

Erik Nilsson widzi Lisę z daleka. Stoi taka sztywna i bierna, jakby przenikała wzrokiem kamień. Pozostałe kobiety zawsze klęczą, trochę grzebią w ziemi, pielą i czyszczą, rozmawiają z

innymi.

Właśnie miał zamiar podejść do grobu, lecz teraz wstrzymuje się na moment. Zazwyczaj przychodzi tutaj rano w dni powszednie, by pobyć z Mildred sam na sam. Kobiety z „Magdaleny”...

Nie, nie ma nic przeciwko nim, ale zawładnęły grobem jego żony. Wśród żałobników zabrakło dla niego miejsca. Kobiety zasypują mogiłę kwiatami i zastawiają lampkami. Kładą małe kamyki na zwieńczeniu nagrobka. Wiązanka czy świeczka Erika tonie w morzu innych. Dla osób postronnych uczestnictwo w kolektywnej żałobie jest czymś pozytywnym. To pocieszające, że tak dużo osób zachowało Mildred w pamięci. Ale on... To dziecinna myśl, Erik doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Chciałby jednak, żeby ludzie wskazywali na niego i mówili:

„To jej mąż. Jego najbardziej żal”.

Mildred idzie za nim ukosem.

Mam do niej podejść?, pyta żony.

Ale ona nie odpowiada. Patrzy uporczywie na kobietę stojącą przy grobie.

Erik podchodzi do Lisy. Chrząka odpowiednio wcześniej, by jej nie przestraszyć, ona jest tak daleko myślami.

- Dzień dobry — wita się ostrożnie.

Nie widzieli się od pogrzebu.

Lisa kiwa głową i próbuje się uśmiechnąć.

Erik chce powiedzieć: „A więc pani też przychodzi tu na poranne spotkania?”, czy coś równie bezsensownego, co mogłoby ciut naoliwić maszynę konwersacji. W ostatniej sekundzie zmienia jednak zdanie. Zamiast tego mówi poważnie:

- Użyczo mi jej na chwilę. To straszne, że człowiek nie rozumie tego, dopóki ma przy sobie drugą osobę. Często byłem zły, bo czegoś tam od niej nie dostawałem. A teraz myślę... Gdybym wtedy potrafił... nie wiem... cieszyć się z tego, co miałem, zamiast dręczyć się z powodu rzeczy, które nie były mi dane...

Patrzy na nią. Ona odpowiada spojrzeniem bez wyrazu.

- E, tylko tak mówię i mówię — usprawiedliwia się nagle

mężczyzna.

Ona kręci głową.

- Nie, nie — wydobywa w końcu z siebie Lisa. — Ja tylko... Nie potrafię...

- Ona zawsze była taka zajęta, nieustannie pracowała. Teraz, kiedy nie żyje, nareszcie czuję, że mamy dla siebie czas. To trochę tak, jakby przeszła na emeryturę.

Przygląda się żonie pochylonej nad grobem. Mildred czyta kartki. Przy którejś uśmiecha się szeroko. Bierze do ręki kamyczki ze zwieńczenia nagrobka i odkłada na miejsce. Jeden po drugim.

Erik milknie. Czeką, aż Lisa zapyta, jak on sobie radzi. Jak mu leci.

- Muszę już iść — mówi kobieta. — Psy czekają w samochodzie. Mężczyzna odprowadza ją wzrokiem. Kiedy się pochyła, by zmienić kwiaty w wazonie wciśniętym w ziemię, Mildred znika.

*

Lisa wsiada do samochodu.

- Leżeć! — nakazuje psom.

Powinno być położyć się sama, myśli. Zamiast chodzić po domu i czekać na Mildred. Wtedy. W wigilię mid- sommar.

Jest noc przed midsommar. Mildred już nie żyje. Lisa jeszcze o tym nie wie. Chodzi po domu z kąta w kąt. Pije kawę, choć nie powinna jej pić tak późno.

Wie, że pastor miała odprawić nabożeństwo w Jukkasjärvi. Cały czas myślała, że Mildred potem do niej przyjdzie, ale teraz robi się już zbyt późno. Może ktoś z nią jeszcze rozmawiał? A może po prostu pojechała do domu. Do swojego Erika. Czuje, jak coś ją ścisną w żołądku.

Miłość jest jak roślina albo zwierzę. Żyje i rozwija się. Rodzi się, wzrasta, starzeje i umiera. Wypuszcza nowe, osobliwe pędy. Jeszcze niedawno miłość do Mildred była gorącą, wibrującą radością. Palce myślały o skórze Mildred. Język — o jej sutkach. Teraz uczucie jest równie silne jak przedtem, równie ogromne. Ale w ciemności zrobiło się blade i wymagające. Wysysa z Lisy wszystko. Miłość do Mildred sprawia, że czuje

się wycieńczona i smutna. Jest nieprawdopodobnie zmęczona nieustannym myśleniem o kochance. W jej głowie nie ma miejsca na nic innego. Mildred i Mildred. Gdzie jest, co robi, co powiedziała, co miała na myśli, mówiąc to czy tamto. Może za nią tęsknić cały dzień, by pokłócić się z nią okrutnie, gdy w końcu się spotkają. Rana na dłoni Mildred zagoiła się dawno temu. Jakby nigdy nie istniała.

Lisa spogląda na zegar. Już dawno po północy. Bierze Majken na smycz i idzie do głównej szosy. Myśli, że dojdzie do pomostu i sprawdzi, czy nie kołysze się tam łódka kochanki.

Po drodze mija dom Larsa Gunnara. Zwraca uwagę, że na podwórzu nie ma jego samochodu.

Później każdego dnia myśli o tym. Cały czas. Że samochód Larsa Gunnara nie stał wtedy pod jego domem. Że Lars Gunnar jest jedyną osobą, jaką ma Nalle. Że nic nie przywróci życia Mildred.

*

Måns Wenngren dzwoni do Rebeki Martinsson, by ją obudzić. Jej głos jest ciepły i porannie zachrypnięty.

- Wstawaj! — komenderuje Måns. — Wypij kawę, zjedz kanapkę. Weź prysznic i ogarnij się. Zadzwoń za dwadzieścia minut i wtedy masz być gotowa.

Praktykował to wcześniej. Kiedy był mężem Madelene i wytrzymywał jej okresową agorafobię, lęki napadowe i Bóg wie co jeszcze, za pomocą rozmów telefonicznych przeprowadzał ją przez wizyty u dentysty, obiady rodzinne i zakupy butów w Nordiska Kompaniet. Nie ma tego złego... Teraz w każdym razie zna technikę.

Dzwoni ponownie po dwudziestu minutach. Rebeka odpowiada jak posłuszna skautka. Teraz wsiądzie do samochodu, pojedzie do miasta i podejmie pieniądze z bankomatu, żeby zapłacić za nocleg w domku kempingowym.

Kiedy Måns rozmawia z nią następnym razem, każe jej pojechać do Poikkijärvi, zaparkować przed gospodą i zadzwonić, gdy będzie na miejscu.

- Świetnie — mówi, odpowiadając po jakimś czasie na jej

telefon. — Uregulowanie rachunku zajmie ci najwyżej półtorejminuty, no i będziesz miała to z głowy. Wejdz do środka i zapłać. Jeżeli nie chcesz, nie musisz nic mówić. Podaj tylko pieniądze. Jak już to zrobisz, usiądź w samochodzie i znów do mnie zadzwoń, okej?

- Okej — odpowiada Rebeka jak dziecko.

Siedzi w samochodzie i przygląda się budynkowi gospody. W ostrym jesiennym słońcu wydaje się jeszcze bardziej biały i jeszcze bardziej odrapany. Ciekawe, kto jest w środku. Micke czy Mimmi?

*

Lars Gunnar otwiera oczy. Ze snu budzi go Stefan Wikström. Jego żalose krzyki, jęczenie i kwilenie, kiedy pada na kolana koło jeziora. Kiedy już wie.

Spał w fotelu, w salonie, ze strzelbą na kolanach. Podnosi się z mozołem, czuje, jak zeszywniały mu plecy i ramiona. Idzie na górę do pokoju syna. Nalle śpi mocno i spokojnie.

Oczywiście nie powinien był żenić się z Evą. Ale jest przecież tylko głupim facetem z Norlandii. Łatwa zdobycz dla takiej jak ona.

Duży był zawsze. Już jako mały chłopiec. Jego koledzy, chudzi jak szczapy, latali za piłką. Szczupli i zwinni, obrzucali śnieżkami grubasów, którzy uciekali, przebierając nogami tak szybko, jak tylko umieli. Do domu. Do ojca, który bił pasem, jeśli akurat był w nieodpowiednim humorze.

Nigdy nie podniosłem ręki na Nallego, myśli. Nigdy bym go nie uderzył.

Grubas rósł i — mimo szykan — radził sobie w szkole całkiem nieźle. Wykształcił się na policjanta i wrócił do domu.

Teraz był innym człowiekiem. Niełatwo wrócić do rodzinnej wioski, nie wracając do starej roli. Lars Gunnar zmienił się jednak w czasie studiów. Poza tym z policjantami się nie zadziera. Świeżo upieczony funkcjonariusz zyskał w mieście nowych kolegów w pracy. Przyjęto go też do koła łowieckiego. Ponieważ nie bał się roboty i potrafił planować, wkrótce został łowczym. Stanowisko łowczego teoretycznie powinno być

przechodnie, ale w praktyce nie było. Lars Gunnar sądzi, że zdecydowało w tym wypadku wygodnictwo członków koła. Dobrze jest mieć kogoś, kto zawsze wszystko zaplanuje i zorganizuje. W jakimś zakamarku świadomości Lars Gunnar zdaje sobie jednak sprawę, że nikt nie miałby odwagi przeciwstawić się jego roli łowczego. To dobrze. Respekt nie jest szkodliwy. A on na taki respekt zasłużył. I nie czerpie z tego korzyści, tak jak wielu innych.

Nie, jego problem polega raczej na tym, że jest za dobry. Zbyt ufny wobec bliźnich. Tak jak wobec Ewy.

Trudno nie oskarżać samego siebie. Ale kiedy ją spotkał, miał pięćdziesiąt lat. Całe lata żył samotnie, bo z kobietami mu nie wychodziło. W ich towarzystwie zawsze czuł się jakby ociężały, świadomy swego olbrzymiego ciała. A Eva po prostu oparła głowę o jego pierś. Ta głowa niemal znikwała w jego ogromnej dłoni, gdy przyciągał dziewczynę do siebie. „Mały człowieczku”, mówił.

Ale później, kiedy już jej nie pasowało, odeszła. Zostawiła męża i syna.

Lars Gunnar prawie nie pamięta tych miesięcy, które ciągnęły się bez końca po jej ucieczce. To była ciemność. Wydawało mu się, że ludzie we wsi go obserwują. Ciekawe, co mówili za jego plecami. Nalle odwraca się ciężko na drugi bok. Trzeszczy pod nim łóżko.

Muszę.... myśli Lars Gunnar, lecz traci wątek.

Trudno mu się skoncentrować. Ale codzienne życie toczy się dalej. To właśnie w nim tkwi sens tego wszystkiego. Życie powszednie stworzone dla nich obu przez Larsa Gunnara.

Muszę zrobić zakupy, myśli. Mleko, chleb i coś do chleba. Wszystko się kończy.

Schodzi na dół i dzwoni do Mimmi.

- Jadę do miasta — mówi. — Nalle śpi, nie chcę go budzić. Jak przyjdzie do ciebie, to dasz mu śniadanie, co?

*

- Masz go tam?

Telefon odebrała Anna Granlund, technik zatrudniona w

prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej w Luleå. Komisarz Mella chciała rozmawiać z lekarzem Larsem Pohjanenem. Anna Granlund strzegła go tak, jak matka strzeże chorego dziecka. Utrzymywała salę sekcijną w perfekcyjnym porządku. Otwierała dla Larsa jamy ciała, wyjmowała organy, a kiedy lekarz był gotowy – wkładała je z powrotem i zaszywała. Pisała też lwią część jego raportów.

- On nie może przestać tu pracować – powiedziała Annie Marii przy jakiejś okazji. – No wiesz. Zżyliśmy się jak stare małżeństwo, przyzwyczałam się do niego, nie chcę mieć tu żadnej innej osoby.

I Lars Pohjanen mozolnie pracował dalej. Oddychał jak przez słomkę. Wystarczyło, że zaczął mówić, i już dostawał zadyszki. Jakiś rok temu poddał się operacji z powodu raka płuc.

Anna Maria wyobraziła go sobie, jak śpi na zmechacowanej kanapie w pokoju wypoczynkowym dla personelu. Popielniczka obok wysłużonych drewniaków. Zielony fartuch operacyjny jako przykrycie.

- Tak, mam – odparła Anna Granlund. – Chwileczkę. Chrapliwy głos Pohjanena po drugiej stronie, charczący oddech.

- Opowiedz – poprosiła komisarz Mella. – Wiesz, że czytanie raportów to nie jest, kurde, moja mocna strona.

- Nie ma tego dużo. Hmm. Strzał oddany z przodu w klatkę piersiową. Później postrzał z bliska w głowę. Znaczne uszkodzenia tkanki mózgu przy ranie wylotowej, spowodowane energią kinetyczną pocisku...

Długi wdech, świszczący wydech.

- Skóra praczki, ale nie nabrzękała... chociaż wiedzieliście od początku, kiedy zniknęła...

- W nocy z piątku na sobotę.

- Myślę, że leżał w wodzie od tamtej pory. Niewielkie rany na odkrytych partiach skóry, czyli na twarzy i rękach. Zaczęły go podskubywać ryby. Nic więcej. Znaleźliście pociski?

- Technicy wciąż szukają. Żadnych śladów walki? Żadnych innych obrażeń?

- Nie. - A tak poza tym?

Głos Pohjanena stał się szorstki.

- Przecież powiedziałem, że nic więcej nie mam. Możesz chyba kogoś poprosić... żeby przeczytał ci raport na głos.

- Chodziło mi o to, co z tobą.

- Aha! E, kurde — odparł łagodniejszym tonem.

— Wiadomo, że do dupy.

Sven Erik rozmawiał z biegłą sądową psychiatrą. Siedział w samochodzie na parkingu. Podobał mu się jej ciepły głos. Od samego początku zwrócił też uwagę na to, że lekarka mówi bardzo wolno. Większość mieszkanki Kiruny mówi piekielnie szybko, a poza tym zdecydowanie za głośno. Trajkoczą jak karabiny maszynowe, człowiek nie ma żadnych szans. Od razu jednak usłyszał w głowie Annę Marię: „Jak to: nie ma szans? To przecież my nie mamy żadnych szans, żeby dostać jakąś odpowiedź! Pytam Roberta: no i jak było? Cisza. Dalej cisza, aż w końcu po cholernie długich wewnętrznych przemyśleniach mówi: dobrze. A później to już gówno z niego wydebuję. No więc muszę mówić za dwoje. Człowiek nie ma szans, mówisz? Pocałuj mnie!”.

Teraz, wsłuchany w głos lekarki, Sven Erik także słyszał ten specyficzny, żartobliwy ton. Mimo że rozmowa była poważna. Gdyby był kilka lat młodszy...

- Nie — powiedziała. — Nie sądzę, żeby chodziło o naśladowcę. Morderca Mildred Nilsson wyeksponował jej zwłoki. Z kolei ciało Stefana Wikströma w zamierzeniu zabójcy w ogóle nie miało być odnalezione. Ani śladu agresji rozładowującej napięcie. Chodzi o całkowicie inny wzór i niewykluczone, że również o zupełnie inną osobę. Tak więc odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nie. Stefan Wikström najprawdopodobniej nie został zamordowany przez seryjnego zabójcę, który cierpi na zaburzenia psychiczne. Zbrodnia nie została popełniona w afekcie i nie była zainspirowana śmiercią Wiktora Strandgård. Albo jest to ktoś inny, albo Mildred Nilsson i Stefan Wikström zostali pozbawieni życia z powodu... Jakby to wyrazić... Z bardziej rzeczywistego powodu.

- Czyli?

- Powiedzmy tak... Morderstwo Mildred Nilsson sprawia wrażenie niesamowicie... naładowanego emocjami. Natomiast w przypadku Stefana Wikströma chodzi bardziej o...

- ...egzekucję?

- Właśnie! To pierwsze popełnia ktoś doprowadzony do pasji. Proszę jednak pamiętać, że to tylko spekulacje, dobrze? Próbuję przekazać panu emocjonalny obraz układający mi się w głowie.

- Rozumiem.

- A więc zbrodnia w afekcie. Mąż zabija żonę w wybuchu wściekłości. A później z zimną krwią zabija jej kochanka.

- Ale przecież oni nie byli parą — zaoponował Sven Erik. Z tego, co wiemy, dodał zaraz w duchu.

- Nie chodzi mi o to, że mąż jest mordercą. Raczej o to... Zamilkła.

- Nie wiem, o co mi chodzi — wyznała w końcu. — Możliwe, że istnieje jakiś związek. Zdecydowanie. Możemy mieć do czynienia z tym samym sprawcą.

Psychopatą. Oczywiście. Ale wcale nie na pewno. I niekoniecznie musi być tak, że jego pojmowanie rzeczywistości straciło kontakt z rzeczywistością.

Musieli kończyć. Sven Erik pożegnał się z żalem. A Mannego jak nie było, tak nie ma.

*

Rebeka Martinsson wchodzi do gospody. W środku trzej starsi mężczyźni jedzą śniadanie. Rzucają jej zachwycone spojrzenia. Kobiety wdzięk na żywo! Zawsze mile widziany. Micke zmywa podłogę.

- Dzień dobry! — mówi, odstawiając mop i wiadro. — Pani pozwoli ze mną.

Rebeka idzie z nim do kuchni.

- Proszę mi wybaczyć. Strasznie głupio to wszystko wyszło w sobotę. Ale Lars Gunnar zupełnie zbił mnie z pantafelów tą swoją opowieścią. Czy to pani zabiła tamtych pastorów w Jiekajärvi?

- Tak. Chociaż tak naprawdę było dwóch pastorów i jeden...

- Wiem. Szaleniec, prawda? Dużo o tym pisali. Ale nigdy nie ujawniono, jak się pani nazywa. Nigdzie też nie podano nazwisk pastorów, choć tutaj wszyscy wiedzieliśmy, o kogo chodzi. Musiało być pani cholernie ciężko?

Rebeka kiwa głową. Tak, widocznie musiało jej być ciężko. - Wtedy w sobotę pomyślałem, że może faktycznie jest tak, jak twierdzi Lars Gunnar. Że przyjechała tu pani na przespiesi. Pytałem panią przecież, czy nie jest pani dziennikarką. Zaprzeczyła pani, ale pomyślałem sobie: Okej, może nie jest dziennikarką, ale tak czy owak pracuje dla jakiejś gazety. Ale to nieprawda?

- Nie, to nieprawda. Znalazłam się tu... zupełnie przypadkiem. Torsten Karlsson i ja chcieliśmy po prostu coś zjeść.

- Torsten Karlsson to ten facet, który był tu z panią za pierwszym razem?

- Tak. Nie mam w zwyczaju opowiadać ludziom o tym... o tym wszystkim, co się wtedy stało. No więc zostałam tutaj, ponieważ tęskniłam za spokojem, ale chyba też dlatego, że zabrakło mi odwagi. Bałam się zamieszkać w Kurravaarze. Mam tam dom po babci. Chociaż później pojechałam do tego domu z Nallem, tak czy owak. Ten chłopak to mój prawdziwy bohater!

Ostatnie zdanie Rebeka okrasza uśmiechem.

- Przyszłam, żeby zapłacić za nocleg — mówi, wyciągając pieniądze.

Micke wydaje jej resztę.

- Odliczyłem pani wypłatę za sobotę. A co pani szef na to, że dorabia sobie pani na czarno w knajpie?

Rebeka się śmieje.

- Po prostu teraz ma na mnie haka!

- Powinna się pani pożegnać z Nallem. Jadąc stąd, przejeżdża pani koło jego domu. Jak pani skręci w prawo ku kaplicy...

- Wiem, ale to chyba zły pomysł. Jego ojciec...

- Lars Gunnar pojechał do miasta, Nalle jest w domu sam.

Nigdy w życiu, myśli Rebeka. Są jakieś granice.

- Niech pan go ode mnie pozdrowi! — prosi, wychodząc.

W samochodzie dzwoni do Månsa.

- Gotowe!

Måns z rozperdu odpowiada tak, jak odpowiadał byłej żonie:

- Moja zuch dziewczyna!

I od razu dodaje:

- Świetnie, Martinsson! Ale teraz muszę biec na zebranie.

Usłyszymy się później.

Rebeka siedzi z telefonem w ręce.

Måns Wenngren, myśli. On jest jak... jak wędrownica po górach. Znów pada cholerny deszcz. Wieje silny wiatr. Buty przemoczone, a ty nie do końca wiesz, gdzie jesteś. Mapa za nic nie chce się zgodzić z rzeczywistością. Nagle rozstępują się chmury. Ubrania błyskawicznie schną na wietrze. Siedzisz na szczycie, patrzysz na zatopioną w słońcu dolinę i jesteś przekonana, że warto było.

Próbuje zadzwonić do Marii Taube, ale przyjaciółka nie odbiera. Rebeka wysyła SMS: „Wszystko w porządku. Zadzwoń”.

Wraca asfaltową szosą. Włącza jakąś muzyczną radiostację.

Przy skrzyżowaniu z drogą prowadzącą do kaplicy mija Nallego. Przeszywa ją dreszcz żalu i winy. Podnosi dłoń w geście pozdrowienia. We wstecznym lusterku widzi, jak chłopak macha do niej ręką. Macha gorliwie. Nagle zaczyna biec za samochodem. Nie idzie mu to zbyt dobrze, ale nie daje za wygraną. Wtem potyka się i przewraca. Wpada do rowu. To wygląda dość poważnie.

Rebeka zatrzymuje samochód na poboczu. Nie spuszcza wzroku z lusterka. Nalle nie wstaje. Teraz ona puszcza się pędem.

- Nalle! — woła. — Nalle!

A jeśli uderzył głową o kamień? Chłopak leży w rowie i się uśmiecha. Jak zuczek na plecach.

- Beka! — woła zachwycony do pochylonej nad nim kobiety.

Przecież to jasne, że muszę się z nim pożegnać. Co ze mnie za człowiek?

Nalle się podnosi, Rebeka otrzepuje go z igliwia i liści.

- Do widzenia, Nalle — mówi do niego. — Strasznie fajnie było cię...

- Chodź! — przerywa jej chłopak i ciągnie za rękaw jak dziecko.
— Chodź!

Odwraca się na pięcie i człapie z powrotem do domu.

- Nie, nie mogę... — zaczyna Rebeka.

Nalle idzie dalej. Nie odwraca się. Ufa, że ona podaży za nim.

Kobieta spogląda na samochód. Zaparkowany całkiem poprawnie. Nie zasłania widoczności. Mogłaby wpaść na chwilę do chłopca. Rusza za nim.

- Poczekaj na mnie, Nalle! — woła.

*

Lisa zatrzymuje samochód przed lecznicą dla zwierząt. Psy doskonale wiedzą, gdzie się znajdują. To nie jest przyjemne miejsce. Stoją przy szybie z otwartymi pyskami. Dyszą niespokojnie. Jęzory na wierzchu. Ogony podkulone. Niemiec dostał łupieżu. To u niego typowy objaw zdenerwowania. Biały pył przedziera się przez owłosienie na grzbiecie i opada jak śnieg na brązową sierść.

Lisa wchodzi do budynku. Psy zostają w samochodzie.

Jak to, nie wejdziemy do środka?, pytają ich spojrzenia. Unikniemy zastrzyków, badań, przerażających zapachów i poniżających kołnierzy ochronnych wokół głowy?

Przyjmuje ją Anette, weterynarka. Lisa reguluje rachunek, lekarka wszystko załatwi sama. Są tylko we dwie. Żadnego innego personelu. Nikt nie siedzi w poczekalni. Lisę wzrusza troska lekarki.

Anette zadaje tylko jedno pytanie:

- Weźmiesz je ze sobą?

Lisa kręci głową. Tak naprawdę nie zastanawiała się nad tym. Ledwie starczyło jej sił, by dobrnąć myślą aż tutaj. A teraz tu jest. Jej psy zamienią się w odpady. Odgania myśl, jakie to podłe. Przecież jest im winna coś więcej.

- To jak zrobimy? — pyta. — Mam je przyprowadzać pojedynczo czy...?

Anette przygląda się jej uważnie.

- Myślę, że to będzie dla ciebie zbyt bolesne. Chyba lepiej przyjść ze wszystkimi naraz, najpierw dostaną coś na

uspokojenie. Lisa wytacza się do samochodu.

- Stać! — nakazuje zwierzętom, otwierając tylne drzwi.

Zakłada im smycze. Nie chce ryzykować, że któreś z nich ucieknie.

Wchodzi z powrotem do lecznicy, tym razem otoczona psami.

Przez poczekalnię, obok biura i pokoju zabiegowego.

Anette otwiera drzwi do sali operacyjnej.

Ich ziajanie. Odgłos pazurów stukających o podłogę i ślizgających się po niej. Niespokojne zwierzęta zaplątują się nawzajem w swoje smycze. Lisa ciągnie, usiłując je rozplatać, nie zatrzymuje się jednak. Do środka, już!

W końcu są na miejscu. W tym ohydny pomieszczeniu z ohydny czerwony linoleum i niewiele piękniejszymi ścianami w płomiennym brązie. Lisa zahacza udem o czarny stół zabiegowy. Porysowanej pazurami podłogi nie da się doczyścić. Od drzwi do środka oraz wokół stołu powstała brudna, ciemnoczerwona ścieżka. Na jednej z szafek wisi obrzydliwy plakat przedstawiający dziewczynkę w morzu kwiatów, która trzyma w objęciach szczeniaka o miękkich uszach. Tarczę zegara ściennego między dwójką a dziesiątką zdobi napis: „Czas na to”.

Drzwi zamykają się za Anette.

Lisa spuszcza psy ze smyczy.

- Zaczniemy od Brunona — mówi. — Jest najbardziej uparty, położy się na samym końcu. Przecież wiesz. Anette kiwa głową. Podczas gdy Lisa drapie go pieszczotliwie po piersi i za uszami, lekarka robi mu zastrzyk w przednią łapę.

- Jesteś moim cudownym chłopcem? — pyta Lisa.

Wtedy Bruno spogląda na nią. Zupełnie nie po psiemu.

Po chwili jednak szybko odwraca wzrok. Znow się zachowuje, jak na psa przystało. Wie, że nie wolno zaglądać w oczy przewodnicze stada.

- Cierpliwy chłopak, naprawdę — mówi Anette, poklepując go. Wkrótce Lisa siedzi na podłodze pod oknem. Kaloryfer parzy ją w plecy. Morris Wymiotny, Bruno, Karelin i Majken leżą dokoła w półśnie. Głowa Majken na jednym udzie Lisy, głowa Morissa — na drugim. Anette przysuwa Brunona i Karelina,

żeby Lisa mogła dosięgnąć wszystkich.

Nie ma słów. Tylko straszny ból gardła. Ciepłe ciała pod jej rękami.

Że też potrafiłyście mnie kochać, myśli.

Mnie, której w środku tak beznadziejnie ciężko. Tyle że pies nie komplikuje miłości. Biega po lesie. Rozpiera go radość. Wygrzewa się w ciepłe członków stada. Puszczą baka i po prostu jest.

Anette warczy maszynką do golenia, zakłada wenflony.

Wszystko idzie szybko. Stanowczo za szybko. W końcu zostaje tylko ta ostatnia rzecz. Gdzie podziały się myśli na pożegnanie? Ból gardła rozrasta się w ból całego ciała. Potworny, nie do zniesienia. Lisa trzęsie się, jakby miała gorączkę.

- No, to zaczynam – mówi Anette.

I wstrzykuje im uśmiercający środek.

To trwa nie dłużej niż pół minuty. Psy leżą tak jak przedtem. Głowy w jej objęciach. Plecy Brunona wsparte o jej łędźwie. Tylko język Majken wypadł z pyska w nienaturalny sposób.

Lisa chce się podnieść, lecz nie potrafi.

Płacz wzbiera pod skórą twarzy. Twarz próbuje się bronić. To trochę jak przeciąganie liny. Mięśnie odpierają atak, starając się przywrócić normalny wyraz ustom i brwiom, ale płacz się wyrывa. Wykrzywia twarz Lisy w groteskowym, spazmatycznym grymasie. Leje się jej z nosa i oczu. Że też ból może być tak nieutulony! Gotujące się w niej łzy, teraz jakby dociśnięte pokrywką, przelewają się i spływają wrzątkiem po twarzy. Na Morrisa Wymiotnego.

Z jej gardła wyrывa się żaloszny jęk. Takie niepiękne auu, auu. Lisa słyszy ten skowyt starej, wyschniętej, zużytej kobiety. Podnosi się, klęka, obejmuje swoje psy. Jej ruchy są gwałtowne i niezrównoważone. Pełza na czworakach między zwierzętami, wsuwa ręce pod zwiotczone ciała. Głaszczcze ich powieki, uszy, nosy i brzuchy. Wcisła twarz w ich głowy.

Płacz jest jak burza. Zrywa się i wstrząsa całym ciałem. Lisa pociąga nosem i próbuje polykać łzy. Ale to nie takie proste, gdy klęczy się z głową w dół. Smarki wylewają się z ust. Lisa wyciera je dłonią.

W pewnej chwili w środku Lisy dochodzi do głosu inna Lisa. Ta, która stoi obok i tylko patrzy. I mówi: co z ciebie za człowiek? A Mimmi? Nagle płacz ustaje. Właśnie wtedy, gdy Lisa myśli, że już nigdy się nie skończy.

Czy to nie dziwne? Całe lato było jedną długą listą rzeczy do zrobienia. Lisa odfajkowywała je po kolei. Płaczu nie przewidziała. Wpisał się sam. Nie chciała go. Bała się, że w nim utonie.

A teraz, kiedy w końcu się pojawił... Najpierw był czymś potwornym, cierpieniem i ciemnością. Później jednak przerodził się w azyl. Przestrzeń wytchnienia. Poczekałnie przed następnym zadaniem z listy. Jakaś część Lisy nawet chce się w tym płaczu zatracić. Odsunąć od siebie to, co ma się stać. Właśnie wtedy płacz ją odstępuje. Mówi: gotowe! I po prostu znika.

Lisa wstaje. Wspiera się na umywalce. Anette widocznie zostawiła ją samą.

Ma zapuchnięte oczy. Pod lodowatymi palcami czuje jakby piłeczki tenisowe. Uciska powieki. Odkręca kran i ochlapuje twarz. Z pojemnika obok wyciąga papierowy ręcznik. Osusza się, wyciera nos; unika lustra. Szorstki papier drapie skórę.

Spogląda na zwierzęta leżące na podłodze. Wypląkała tyle łez. Jest tak zmęczona, że nie potrafi wskrzesić gwałtownych emocji. Najpotężniejszy żal jest tylko wspomnieniem. Kuca przy nich. Obejmuje spokojnie każde z osobna.

Potem wychodzi.

Anette siedzi w biurze przed komputerem. Lisa rzuca jej tylko ochryple „do widzenia”.

Wychodzi na wrześnie słońce, które kłuje dokuczliwie w oczy. Ostro wycięte cienie. Kilka zabłąkanych obłoków bawi się w puszczenie zajączków. Lisa siada w samochodzie i opuszcza osłonę przeciwsłoneczną. Włącza silnik, przejeżdża przez miasto i rusza ku Norwegii.

Podczas podróży nie oddaje się żadnym głębszym rozważaniom. Jeżeli już myśli, to o wijącej się przed nią szosie. Zmieniających się obrazach. Przerażliwie niebieskie niebo. Białe strzępy obłoków, gnane wiatrem wysoko nad grzbietami

gór. Ostre skaliste zbocza jarów. Podłużna tafla Torneträsk jak niebieskawy kamień oprawiony w żółte złoto.

Kiedy mija Katterjåkk, pojawia się przed nią ogromny tir. Lisa utrzymuje dużą prędkość. Odpina pas bezpieczeństwa.

*

Rebeka Martinsson podążyła za Nallem do piwnicy. Zeszli po zielonych kamiennych schodach. Nalle otworzył drzwi, za którymi znajdował się pokój do majsterkowania, pełniący również funkcję spiżarni i schowka. W zagraconym pomieszczeniu panowała wilgoć. Na pobielonych ścianach tu i ówdzie widniały czarne plamki pleśni. Gdzieś podpadał tynk. Na prostych regałach stały słoiki z przetworami, pudełka pełne gwoździ, śrubek i przeróżnych okuć, puszki z farbą, butelki z wywietrzalym rozpuszczalnikiem, stwardniałe od farby pędzle, papier ścierny, wiaderka, przyrządy elektryczne i zwoje przedłużaczy. Na ścianach wisiały narzędzia.

Przykładając palec do ust, Nalle nakazał ciszę. Wziął Rebekę za rękę i poprowadził do krzesła, na którym miała usiąść. Sam klęknął obok i zastukał paznokciem w podłogę.

Rebeka czekała w napięciu.

Z kieszeni kurtki Nalle wyciągnął prawie puste opakowanie herbatników. Rozwinął szeleszczący papier, wyłuskał ciasteczko i odłamał połowę.

Wtedy przybiegła myszka. Zatoczywszy na podłodze ładne S, zatrzymała się u kolan Nallego i stanęła na tylnych łapkach. Miała brązowo-szarą sierść i nie więcej niż cztery, pięć centymetrów. Nalle wyciągnął ciastko. Myszka próbowała je do siebie przysunąć, ale ponieważ chłopiec trzymał mocno, zaczęła jeść mu z ręki. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem było jej cichutkie chrupanie.

Nalle odwrócił się do Rebeki.

- Myszka — powiedział głośno. — Malutka.

Rebeka była przekonana, że zwierzątko ucieknie, wystraszone głosem chłopca. Ale ciągle jadło. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się szeroko. To był niecodzienny widok. Ogromny Nalle i

malutka mysz. Zastanawiała się, jak mu się to udało. Jak skłonił ją do pokonania strachu. Czy był na tyle cierpliwy, że godzinami czekał na nią w bezruchu? Może.

Szczególny z ciebie chłopak, pomyślała.

Nalle wyprostował palec, żeby pogłaskać myszkę po plecach, ale wtedy strach wziął górę nad głodem. Śmignęła jak strzała i w mgnieniu oka zniknęła pod rupieciami przy ścianie.

Przez chwilę Rebeka patrzyła za niewidzialną szarą kreseczką. Musiała już iść. Samochód nie mógł stać w nieskończoność na poboczu. Nalle coś powiedział. Spojrzała na niego.

- Myszka — powtórzył. — Malutka.

Ogarnął ją smutek. Oto stoi tutaj, w starej piwnicy, z niedorozwiniętym chłopcem. Nawiązała z nim bliższy kontakt niż z kimkolwiek innym od wielu, wielu lat.

Dlaczego nie potrafię?, pyta siebie. Nie potrafię lubić ludzi. Nie ufam im. Ale do Nallego mam zaufanie. On niczego ani nikogo nie udaje.

- Do widzenia, Nalle — powiedziała.

- Do widzenia — odrzekł bez cienia smutku w głosie.

Wchodziła na górę po zielonych kamiennych schodach.

Nie słyszała samochodu, który zatrzymał się przed domem. Nie słyszała kroków na ganku. W tej samej chwili, w której odemknęła drzwi do sieni, otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich Lars Gunnar. Olbrzymim ciałem zablokował jej wyjście. Coś się w niej skurczyło. Spojrzała mu w oczy. On popatrzył na nią.

- Co tutaj, do kurwy nędzy...! — powiedział tylko.

*

O WPÓŁ DO DZIESIĄTEJ RANO technicy przeszukujący miejsce zbrodni znaleźli kulę karabinową. Wykopali ją z ziemi nad brzegiem jeziora. Kaliber 30-06.

Kwadrans po dziesiątej policja porównała centralny rejestr pojazdów z bazą posiadaczy broni. Szukano osób, które mają jednocześnie samochód z silnikiem diesla i broń kulową. Anna Maria rozparła się wygodnie w fotelu. To był naprawdę superluksusowy mebel. Maksymalne opuszczenie oparcia do

tyłu zapewniało pozycję prawie leżącą. Jak w fotelu dentystycznym, choć bez dentysty.

Komputer wskazał czterysta siedemdziesiąt trzy osoby. Komisarz Mella przeleciała wzrokiem nazwiska. Zatrzymała się przy jednym, które знаła. Lars Gunnar Vinsa.

Prowadził mercedesa na ropę, a z informacji dostępnych w bazie posiadaczy broni wynikało, że ma zezwolenie na trzy sztuki. Dwie kulowe i jedną śrutową, między innymi fiński karabin Tikka. Kaliber 30-06.

Policja miała zamiar skonfiskować wszystkie karabiny o odpowiednim kalibrze, by przeprowadzić próby balistyczne. Anna Maria pomyślała, że tak czy owak najpierw powinni porozmawiać z Larsem Gunnarem. To było przecież dość niemiłe, chodziło o ich byłego kolegę.

Spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej. Po lunchu mogłaby tam pojechać ze Svenem Edkiem.

*

Lars Gunnar Vinsa patrzy na Rebekę. W połowie drogi do miasta uzmysłowił sobie, że zapomniał portfela, i zawrócił.

Co to za cholerne konspirowanie? Powiedział Mimmi, że jedzie do miasta. Czyżby to ona zadzwoniła do tej prawniczki? Trudno mu w to uwierzyć. Ale tak musiało być. Ta zaś w te pędy przyjechała tutaj na przespīgi.

Dźwięczy trzymany przez nią telefon komórkowy. Ona nie odbiera. On patrzy uparcie na dzwoniącą komórkę. Stoją naprzeciw siebie w milczeniu jak sparaliżowani. Telefon nie przestaje dzwonić.

Rebeka postanawia odpowiedzieć. To z pewnością Maria Taube. Ale nie potrafi. I gdy tak stoi, nagle dostrzega to w jego oczach. Już wie. A on wie, że ona wie.

Paraliż znika. Komórka upada na ziemię. Czy to on wytrącił jej z ręki telefon? Czy wyrzuciła go sama?

Zastępuje jej drogę. Rebeka nie może wyjść. Nagle przejmuje ją obłądny strach.

Odwraca się i zaczyna biec na piętro. Schody są wąskie i

strome. Tapety brudne ze starości. W kwiaty. Pokryte lakierem stopnie są jak ze szkła. Rebeka błyskawicznie wspina się na czworakach. Żeby tylko się nie poślizgnąć!

Słyszysz za sobą Larsa Gunnara. Jego ciężki oddech.

Biegnie prosto w pułapkę. Gdzie ma się podziać?

Drzwi do toalety. Rebeka wpada do środka.

Jakimś cudem udaje jej się zatrzaskać drzwi i przekreślić zamek.

Lars Gunnar naciska klamkę.

W toalecie jest okienko, ale Rebecce brakuje sił, by podjąć próbę ucieczki. Został tylko strach. Nie może ustać na nogach. Siada na pokrywie sedesu. Zaczyna się trząść. Ciało podskakuje w spazmatycznych drgawkach. Łokcie przyciśnięte do brzucha. Dłonie w konwulsyjnym tańcu mimowolnie uderzają nos, usta i brodę. Palce zaciskają się jak pazury.

Potężny łomot, potworny trzask. Rebeka zaciska oczy. Po policzkach płyną łzy. Chce zatkać uszy rękami, ale ręce nie słuchają, wciąż się trzęsą.

- Mamusiu! — krzyczy, gdy drzwi otwierają się z hukiem.

Uderzają ją w kolana. Boli! Ktoś podnosi ją za ubranie. Rebeka nie chce otworzyć oczu.

Lars Gunnar podnosi ją za kołnierz. Rebeka kwili:

- Mamusiu! Mamusiu!

I naraz on słyszy własne kwilenie. „Aiti, aiti!” Minęło ponad sześćdziesiąt lat. Jego ojciec rzuca matką po kuchni jak szmatą. Ona zamknęła dzieci w pokoju. Lars Gunnar jest najstarszy. Siostrzyczki siedzą na kanapie, blade i milczące. Młodszy brat i on tłuką w drzwi. Słyszą krzyki i prośby mamy. Przedmioty spadające na podłogę. Ojca, który żąda klucza. Za chwilę go dostanie i sprawi synom cięgi na oczach ich sióstr. Zamknie mamę w pokoju. Znów pas pójdzie w ruch. Za coś. Lars Gunnar nie pamięta przyczyn. Zawsze było ich dużo.

Lars Gunnar uderza głową Rebeki o umywalkę. Rebeka milknie. W jego mózgu momentalnie cichnie płacz dzieci i zawodzenie matki: „Äla lyö! Äla lyö!”. Wypuszcza kobietę z rąk. Kiedy odwraca ją na plecy, Rebeka patrzy na niego ogromnymi,

bezbarwnymi oczami. Z czoła leje się krew. Tak jak wtedy, gdy w drodze do Gällivare potracił samochodem renifera. To samo spojrzenie. I drgawki.

Chwyta ją za stopy i ciągnie do przedpokoju.

Na schodach stoi Nalle. Dostrzega Rebekę.

- Co?! — woła.

Krzyczy głośno i niespokojnie. Brzmi jak wydrzyk.

- Co?!

- Nic, Nalle! — odpowiada jego ojciec. — Zrób mi miejsce!

Ale Nalle jest wystraszony. Nie słucha. Podchodzi bliżej. Patrzy na leżącą Rebekę. Wykrzykuje swoje „co?!”.

- Czy ty nie słyszysz? — ryczy Lars Gunnar. — Zejdź mi z drogi! Puszcza nogi Rebece i przegania syna. W końcu schodzi na parter i wypycha Nallego na dwór. Zamyka drzwi na klucz.

Słyszy, jak Nalle powtarza raz za razem: „Co? Co?”. W jego głosie słyhać strach i konsternację. Lars Gunnar potrafi sobie wyobrazić, jak chłopiec drepcze bezradnie po ganku.

Czuje, jak ogarnia go wściekłość. Jest potwornie zły na tę kobietę, która leży na piętrze. To jej wina. Powinna była zostawić ich w spokoju!

W trzech susach pokonuje schody. Mildred Nilsson... Ona też powinna była zostawić ich w spokoju. Jego i Nallego, i całą wieś.

Lars Gunnar wiesza pranie na dworze. Zbliża się koniec maja. Drzewa nie wypuściły jeszcze liści, ale na grządkach już się coś zieleni. Dzień jest słoneczny i wietrzny. Jesienią Nalle skończy trzynaście lat. Od śmierci Ewy minęło sześć.

Chłopiec biega po podwórzu. Zawsze potrafi znaleźć sobie jakieś zajęcie. Ale człowiek nigdy nie jest sam. Tego Larsowi Gunnarowi brakuje. Żeby czasami posiedzieć w spokoju.

Wiosenny wiatr szarpie i tarnosi pranie. Wkrótce między brzożami zawiśnie rząd tańczących prześcieradeł, ręczników i bielizny.

Za Larsem Gunnarem stoi ta nowa pastor, Mildred Nilsson. Ależ ona ma gadane! Nie zamykają jej się usta. Lars Gunnar waha się przez moment, zanim powiesi slipy, które są trochę

dziurawe i niezupełnie białe, chociaż czyste.

W końcu myśli: A co, kurde? Dlaczego mam się jej wstydzić?

Pastor chce, żeby Nalle przystąpił do konfirmacji.

- Wie pani co? — mówi. — Kilka lat temu przyszło tu kilku takich z alleluja na ustach. Obiecali, że będą się modlić za jego uzdrowienie. Wyrzuciłem ich na zbity pysk. Nie jestem szczególnie zachwycony Kościołem.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! — mówi Mildred z emfazą. — To znaczy na pewno będę się za niego modlić, ale obiecuję, że będę to robiła cicho i tylko u siebie w domu. Ale nigdy nie chciałabym go w żaden sposób zmienić. Ten chłopiec to dla pana prawdziwe błogosławieństwo. Chyba nigdy nie mógłby być lepszy.

*

Rebeka podciąga kolana. Odpycha się. Podciąga. Odpycha. Wcisnęła się do toalety. Nie ma siły wstać. Wczołguje się w najdalszy kąt. Słyszy kroki na schodach.

Cholernie łatwo było Mildred powiedzieć, że Nalle to błogosławieństwo, myśli Lars Gunnar. Ona nie musiała go przecież stale pilnować. Nie miała za sobą małżeństwa, które rozpadło się z powodu dziecka. Obcy był jej niepokój o przyszłość chłopca. O jego dojrzewanie, o jego seksualność. Kiedy człowiek stoi z kolejnym poplamionym prześcieradłem i zastanawia się, co z tym, kurde, zrobić. Przecież żadna dziewczyna go nie zechce. A w głowie te wszystkie dziwne lęki, czy Nalle, kierowany popędem, nie będzie zagrażał innym.

Po wizycie pastor zleciały się do niego wszystkie kobiety ze wsi. Pozwólże, sąsiedzie, chłopcu na konfirmację, namawiały. Zaproponowały, że przygotują przyjęcie, tak żeby Nalle miał z tego jak najwięcej radości. A jeżeli mu się nie spodoba, to po prostu skończą przed czasem. Przyszła nawet kuzynka Larsa Gunnara, Lisa, i go przekonywała. Obiecała, że załatwi chłopcu garnitur, żeby nie musiał stać w przykrótkim habicie.

Lars Gunnar porządnie się wtedy zdenerwował. Jak gdyby tu chodziło o garnitur czy prezenty.

- Nie chodzi o pieniądze! — ryczał. — Zawsze za wszystko dla niego płaciłem. Gdybym chciał oszczędzać, już dawno bym go oddał do zakładu. A niechże w końcu idzie do tej konfirmacji! Wyłożył pieniądze i na garnitur, i na zegarek. Gdyby wymienić dwie ostatnie rzeczy, których Nallemu brakowało do szczęścia, byłyby to właśnie garnitur i zegarek. Ale Lars Gunnar tego nie skomentował. Nikt za plecami nie będzie go nazywał skąpcem. Później zaszły zmiany. Jakby przyjaźń Mildred i Nallego czegoś Larsa Gunnara pozbawiła. Ludzie zapomnieli o cenie, jaką przyszło mu zapłacić. Nie żeby miał jakieś szczególnie wysokie mniemanie o sobie. Ale nie miał łatwego życia. Agresja ojca wobec rodziny. Zawód sprawiony mu przez Evę. Upośledzone dziecko. Ciężar samotnego rodzicielstwa. Mógł przecież dokonać innych wyborów. Prostszych wyborów. Ale wykształcił się i wrócił na wieś. Został kimś.

Odchodząc, Eva wrzuciła go do studni. Został w domu z Nallem i czuł się jak ktoś zupełnie zbędny. Palony wstydem człowieka, którego nikt nie chce.

Mimo to zaopiekował się umierającą Eva. Nigdzie Nallego nie oddał, zajął się nim sam. Według Mildred Nilsson miał cholerne szczęście, że urodził mu się taki cudowny syn. „Jasne”, przyznał kiedyś rację którejś z kobiet, „ale to również ciężka odpowiedzialność. Mnóstwo niepokoju”. W odpowiedzi usłyszał, że rodzice zawsze niepokoją się o swoje dzieci. A on przynajmniej nie musi się rozstawać z Nallem, tak jak inni rodzice, kiedy ich dzieci dorastają. Ileż się nasłuchał takiego pierdzielenia! Ludzie gadali głupoty, nie potrafili w ogóle wczuć się w jego sytuację. Od tamtej pory już nic nie mówił. Kto mógłby go naprawdę zrozumieć?

Tak samo było z Eva. Odkąd pojawiła się Mildred i gdy przy jakiejś okazji wspomniano Evę, zdarzało się, że ktoś mówił: „Biedna!”. Ona biedna?! Czasami chciał zapytać, co mają na myśli. Czy życie z policjantem było aż tak potworne, że musiała zostawić własne dziecko?

Miał wrażenie, że ludzie obgadują go za plecami.

Już wtedy żałował, że dał się namówić na konfirmację syna. Ale było za późno. Nie mógł mu zabronić spotkań w kościele z

Mildred, bo wtedy wyszedłby na zwykłego za- wistnika. Przecież Nalle świetnie się tam czuł. Nie miał wystarczająco dużorozumu, żeby przejrzeć pastor.

Lars Gunnar nie protestował. Nagle chłopak miał własne życie obok życia ze swoim ojcem. Ale kto prał jego ubrania, kto ponosił za niego odpowiedzialność i odczuwał niepokój?

A Mildred Nilsson... Teraz Lars Gunnar jest przekonany, że to on cały czas był jej celem, podczas gdy Nalle — zaledwie środkiem.

Wprowadziła się do plebanii i zorganizowała kobiecą mafię. Sprawiała, że poczuły się ważne. Pozwoliły się prowadzić jak głupie gęsi.

To oczywiście, że od początku żywiła do niego urazę. Zazdrościła mu. Bo przecież można powiedzieć, że zapewnił sobie wysoką pozycję we wsi. Łowczy w kole. Były policjant. Umie wysłuchać bliźnich. Przedkłada dobro innych nad własne. Dlatego cieszy się wśród mieszkańców autorytetem i szacunkiem. Nie mogła tego znieść. Jak gdyby wbiła sobie do głowy, że go tego wszystkiego pozbawi.

Wybuchła między nimi wojna, widoczna tylko dla nich. Pastor usiłowała go zdyskredytować. On bronił się na tyle, na ile potrafił. Ale nigdy nie ciągnęło go do tego typu gier.

Kobieta znów wczłogała się do toalety. Leży skulona między sedesem a umywalką i rękami zasłania twarz w obronnym geście. On chwyta ją ponownie za stopy i ciągnie w dół po schodach. Głowa uderza rytmicznie o stopnie. Dum, dum, dum. Krzyk Nallego na zewnątrz. „Co? Co?” Lars Gunnar wszystko słyszy. Ale to musi się skończyć. Nareszcie musi się skończyć.

Pamięta podróż na Majorkę, jeden z licznych wybryków Mildred. Młodzież zrzeszona w Kościele miała pojechać na obóz za granicę. Mildred nalegała, żeby Nalle im towarzyszył. Lars Gunnar zdecydowanie odmówił. Wtedy Mildred obiecała, że ze względu na Nallego zadbają o dodatkowy personel. Koszty pokryje parafia. „Niech pan pomyśli”, dodała, „ile zazwyczaj

kosztuje młody człowiek w tym wieku. Sprzęt narciarski, podróże, gry komputerowe, drogie gadżety, drogie ciuchy...” Lars Gunnar pojął. „Tu nie chodzi o pieniądze”, powiedział. Zdawał sobie jednak sprawę, że w oczach mieszkańców wsi tak to będzie wyglądało. Że żałuje synowi. Że Nalle niczego nie dostaje. Że teraz, kiedy Nalle nareszcie ma okazję wziąć udział w czymś fajnym... Poddał się więc i otworzył portfel. A wszyscy wokół powtarzali mu, jakie to wspaniałe, że Mildred tak dba o Nallego. Jak to dobrze dla niego, że pastor się tu sprowadziła. Ale Lars Gunnar wie: jej chodziło o to, żeby go zniszczyć. Kiedy wybito jej w domu szyby albo kiedy ten idiota Magnus Lindmark próbował podpalić szopę na plebanii, nie zgłaszała tego na policji. I zaczynało się gadanie. Dokładnie według jej planu. Policja jest bezsilna. Jak przyjdzie co do czego, to władza nic nie może zrobić. A on czuł się tymi narzekaniami osobiście dotknięty. To on musiał się wstydzić.

Później Mildred skupiła się na jego pozycji w kole łowieckim. Możliwe, że na papierze ziemia należy do Kościoła. Ale las jest jego. To on się na nim zna. Jasne, że dzierżawne jest śmiesznie niskie. Chociaż gdyby tak naprawdę chodziło o sprawiedliwość, to kołu łowieckiemu powinno się płacić za odstrzał łosi, które przecież niszczą drzewostan.

Coroczne polowania na łosie. Układanie planów razem z członkami koła. Poranne zebranie. Słońce jeszcze nie wzeszło. Podniecone psy szarpią się na smyczy. Wciągają w nozdrza szarą leśną głuszę. Gdzieś tam czai się zdobycz. Polowanie w ciągu dnia. Jesienne powietrze i ujadanie psów w oddali. Poczucie wspólnoty podczas dzielenia się zdobyczą. Harówka w rzeźni. Wieczne rozmowy przy kominku w domku myśliwskim.

Napisała do niego list. Widocznie nie miała odwagi podjąć tematu twarzą w twarz. Wiedziała, że Torbjörn został skazany za naruszenie prawa łowieckiego i że nie odebrano mu pozwolenia na broń, ponieważ wstawił się za nim Lars Gunnar. Według niej ani on, ani Torbjörn nie powinni polować na terenach należących do Kościoła. „To nie tylko niestosowne, ale wręcz skandaliczne, zwłaszcza z uwagi na wilczycę, którą

Kościół zamierza chronić”, napisała.

Lars Gunnar czuje, jak coś go ściska w piersi, gdy zaczyna o tym myśleć. Chciała go skazać na izolację i samotność. Zrobić z niego cholernego nieudacznika. Jak Malte Alajärvi. Bez pracy, bez możliwości polowania.

Rozmawiał z Torbjörnem Ylitalo. „A co, kurwa, można zrobić?”, odparł Torbjörn. „Cieszę się, że mnie jeszcze nie wylali z roboty”. Lars Gunnar miał wrażenie, że zapada się w bagno.

Oczami wyobraźni zobaczył swoją przyszłość. Starość w towarzystwie Nallego. Siedzą w domu na kanapie jak dwa głąby i wpatrują się w jakiś idiotyczny program w telewizji.

To nie w porządku z tym pozwoleniem na broń. Przecież to było prawie dwadzieścia lat temu! To tylko pretekst dla Mildred, żeby mu jeszcze bardziej zaszkodzić.

„Dlaczego?”, zapytał Torbjörna. „Czego ona ode mnie chce?” Lecz Torbjörn tylko wzruszył ramionami.

Później Lars Gunnar przez tydzień z nikim nie rozmawiał. Pomyślał, że to taki przedsmak przyszłego życia. Wieczorami pił, żeby móc zasnąć.

W wigilię midsommar zabawiał się w domu. Chociaż „zabawiał się” to chyba niewłaściwe określenie. Zamknięty w kuchni z własnymi myślami. Siedział sam, rozmawiał sam ze sobą i sam ze sobą pił. W końcu się położył i usiłował zasnąć. Coś tłuło mu się w piersi. Coś, czego nie czuł od dzieciństwa.

Potem usiadł w samochodzie i próbował wziąć się w garść. Pamiętał, że o mało co nie wpadł do rowu, próbując wyjechać z podwórza. Nagle z domu wybiegł Nalle, w samych slipkach. Lars Gunnar był przekonany, że chłopiec od dawna śpi. Ale teraz machał rękami i coś wykrzykiwał. Lars Gunnar musiał wyłączyć silnik. „Jak chcesz, to możesz ze mną pojechać”, powiedział. „Ale najpierw musisz coś na siebie włożyć”. „Nie, nie”, wzbraniał się chłopiec, uczepony klamki u drzwi. „Nie ma mowy, nigdzie nie jadę. Idź się ubrać”.

Pamięć jakby zachodzi mgłą, gdy Lars Gunnar próbuje odtworzyć ten wieczór. Miał z nią porozmawiać. A ona miała go, kurwa, wysłuchać! Nalle zasnął na siedzeniu pasażera.

Pamięta, jak uderzał. Jak myślał: koniec z tym! Teraz już koniec!

Wciąż wydawała z siebie jakieś odgłosy. Mimo że bił i bił. Charczała, kwiczała, nie przestawała oddychać. Zdjął jej buty. Ściągnął skarpetki i zatkał jej nimi usta.

Ciągle ogarnięty wściekłością, zaniósł ją do kościoła. Spętał łańcuchem i powiesił na organach. Stał tam na chórze i było mu wszystko jedno, czy ktoś przyjdzie, czy ktoś go zobaczy.

Wszedł Nalle. Obudził się i przyczłapał do kościoła. Stał tam w dole między rzędami ławek i wielkimi oczami patrzył w górę na ojca i Mildred. Nic nie powiedział.

Lars Gunnar momentalnie wytrzeźwiał. Zezłościł się na syna. Nagle zdjął go też przeraźliwy strach. To pamięta bardzo dokładnie. Pamięta, jak zaciągnął Nallego do samochodu. Jak stamtąd odjechał. I że milczeli. Nalle nic nie mówił.

Każdego dnia Lars Gunnar czekał, aż po niego przyjdą. Ale nikt się nie pojawił. To znaczy oczywiście, byli i pytali, czy czegoś nie widział, czy o czymś nie wie. Zadawali te same pytania co wszystkim.

Przypomniał sobie, że miał rękawice robocze. Leżały w bagażniku. Nie myślał o odciskach palców. Zrobił to automatycznie. Gdy człowiek bierze do rąk takie narzędzie jak łom, najpierw zakłada rękawice. Miał szczęście. Zwykle szczęście.

Później wszystko było tak jak dawniej. Wyglądało na to, że Nalle nic nie pamięta. Zachowywał się jak zawsze. Lars Gunnar też. Znów dobrze spał.

Byłem jak zranione zwierzę, myśli teraz, z milczącą kobietą u stóp. Zranione zwierzę, które kładzie się w jakimś dole i jest tylko kwestią czasu, kiedy dopadnie je myśliwy.

Gdy zadzwonił Stefan Wikström, to było słyhać w jego głosie. Że on wie. Już sam fakt, że zadzwonił. Bo po co miałby się z nim kontaktować? Widywali się na polowaniach, a poza tym Lars Gunnar nie miał nic wspólnego z tym maminsynkiem. Zadzwonił więc. Powiedział, że proboszcz waha się co do przyszłości koła łowieckiego. Być może nawet zaproponuje radzie kościelnej, by wypowiedzieć kołu dzierżawę. I mówił o polowaniu na łosie w sposób, który... który mógłby świadczyć o

tym, że w ogóle ma coś na ten temat do powiedzenia.

Ale kiedy Stefan zadzwonił, opadła mgła, która do tej pory spowijała wspomnienia Larsa Gunnara z tamtego wieczoru. Pamiętał, jak z walącym sercem czekał na Mildred przy jej łódce. Jak spojrział w kierunku plebanii. Ktoś stał w oknie na piętrze. Lars Gunnar przypomniał to sobie dopiero wtedy, gdy zadzwonił wikary.

Czego ode mnie chciał?, myśli teraz. Chciał zdobyć nade mną władzę. Tak jak Mildred.

*

Lars Gunnar i Stefan Wikström jadą razem nad jezioro. Łowczy wyjaśnia, że przed nadejściem zimy chce wyciągnąć łódź na brzeg i spiąć wiosła łańcuchem. Wikary skarży się na Bertila Stenssona jak dziecko. Lars Gunnar słucha jednym uchem. Chodzi o dzierżawę terenów łowieckich i o to, że proboszcz nie docenia pracy Stefana. Ale najgorsze jest to jego nieznośnie dziecinne gadanie o polowaniu. Jak gdyby coś pojmował! Chłoptaś, który miejsce w kole łowieckim dostał w prezencie od szefa.

Ta czcza paplanina sprawia jednak, że Lars Gunnar traci pewność. O co temu pastorowi chodzi? Podsuwa mu pod nos proboszcza, jak maluch, który pokazuje zadrapaną rękę z prośbą: podmucha, żeby przestało boleć!

Lars Gunnar nie da się ujarzmić tej gnidzie. Jest gotów zapłacić za swoje czyny. Ale nie Stefanowi Wikströmowi. Nigdy!

Stefan Wikström wbija wzrok w drogę oświetloną reflektorami samochodu. Ma skłonności do choroby lokomocyjnej. Musi patrzeć przed siebie.

Nagle przenika go strach i wije się w brzuchu jak wąż.

Mężczyźni rozmawiają o wszystkim, tylko nie o Mildred. Mimo to wyraźnie czuć jej obecność. Prawie jakby za nimi siedziała.

Wikary myśli o tej nocy w wigilię midsommar, kiedy stał w oknie sypialni. Widział kogoś przy łódce Mildred. Widział, jak ten ktoś robi kilka kroków i znika za domkiem z bali należącym do skansenu. Wtedy już nic więcej nie zobaczył, choć

oczywiście później nie dawało mu to spokoju. Że to był Lars Gunnar. I że trzymał coś w ręce.

Wciąż uważa, że postąpił słusznie, nie opowiadając policji o swoich spostrzeżeniach. Zarówno on, jak i Lars Gunnar należą przecież do dwudziestu wybranych. W jakimś sensie Stefan jest ich pastorem. Również były policjant zalicza się do jego trzódki. Duchowny podlega innym prawom niż zwykły obywatel. Jako pastor nie mógł go wskazać palcem. Jako pastor w każdej chwili musiał być gotów na wysłuchanie spowiedzi, na wypadek gdyby Lars Gunnar do niej dojrzał. To jeszcze jeden ciężki obowiązek. Ale Stefan się nie uchylał. Składał to w ręce Boga. W modlitwie powtarzał: niech się dzieje Twoja wola. Ostatnio mówił też jednak: nie czuję, żeby Twoje jarzmo było słodkie, a brzemię lekkie.

Dojechali na miejsce. Wsiadają z samochodu. Stefan niesie łańcuch. Lars Gunnar każe mu iść przodem.

Wkracza na ścieżkę oświetloną blaskiem księżyca.

Mildred podąża jego śladem. On to wie, choć jej nie widzi. Zatrzymuje się nad brzegiem jeziora. Zrzuca łańcuch na ziemię. Nie spuszcza z niego oczu.

Mildred wdrapuje mu się do ucha.

Uciekaj!, krzyczy. Uciekaj!

Ale on nie potrafi. Stoi i czeka. Słyszy, jak nadchodzi Lars Gunnar. Widzi jego postać wyłaniającą się z mroku. Tak, niewątpliwie ma ze sobą broń.

*

Lars Gunnar zerka na Rebekę. Po przejazdźce schodami przestała się trząść. Ale jest przytomna. Uporczywie się w niego wpatruje.

Rebeka patrzy na mężczyznę. Gdzieś już to kiedyś widziała. Mężczyzna jak zaćmienie słońca. Twarz spoczywająca w cieniu. Słońce za oknem w kuchni. Niczym aureola wokół głowy. To pastor Thomas Söderberg. Mówi: kochałem cię jak własną córkę. Za chwilę Rebeka roztrzaska mu głowę kamieniem.

Kiedy mężczyzna pochyła się nad nią, ona go łapie. Chociaż „łapie” to za dużo powiedziane; wczepia się palcami w ściągacz

swetra pod szyją. Ciężar ręki przyciąga go bliżej.

- Jak można z tym żyć?

Żyć z czym?, zastanawia się Lars Gunnar, wysupłując z dzianiny szczupłe kobiece palce. Chodzi jej o Stefana? Większy żal czuł, kiedy zastrzelił kłepę w Paksuniemi. To było ponad dwadzieścia lat temu. W sekundę po tym, jak padła matka, na skraj lasu wyszły dwa łoszaki. Momentalnie zawróciły. A on popełnił niewybaczalny błąd. Najpierw kłepa. A później to, że nie zareagował wystarczająco szybko i nie zabił również jej młodych. Z pewnością spotkała je śmierć w cierpieniach.

Otwiera kłepę w podłodze kuchni. Znów chwytą Rebekeę i ciągnie w stronę wejścia do ziemianki.

Ręka Nallego stukająca w szybę. Jego pytający wzrok między plastikowymi pelargoniami.

W kobietę wstępuje życie. Kiedy dostrzega dziurę w podłodze. Zaczyna się więc, uczepia się nogi stołu, mebel przesuwa się razem z nią.

- Puszczaj! — krzyczy mężczyzna i wyłamuje jej palce. Ona drapie go po twarzy. Rzuca się i szarpie. Trwa spazmatyczna, milcząca walka.

Z ust Rebeki nie pada ani jedno słowo. Krzyk widać w oczach: Nie! Nie!

W końcu zepchnięta stacza się w dół jak worek na śmieci. Pang-bum i po chwili cisza. Lars Gunnar zatrząskuje kłepę. Obiema rękami chwytą kredens stojący przy południowej ścianie i wysuwa go na środek kuchni. Mebel jest piekielnie ciężki, ale były policjant ma wystarczająco dużo sił.

Rebeka otwiera oczy. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że jakiś czas była nieprzytomna. Ale chyba niedługo. Może tylko kilka sekund. Słyszy, jak mężczyzna przeciąga coś ciężkiego nad jej głową.

Mimo szeroko otwartych oczu Rebeka nic nie widzi. Nieprzeniknione ciemności. Słyszy w górze kroki i intensywne szuranie. Podnosi się na kolana. Prawe ramię zwisa bezwładnie. Rebeka instynktownie chwytą je lewą ręką na wysokości barku i naprowadza zwichniętą kość na właściwe

miejsce. Suchy trzask. Płomień bólu przesywa ją gwałtownie wzdłuż ręki i przez plecy. Boli ją całe ciało. Oprócz twarzy. Tam zupełnie nic nie czuje. Obmacuje ją palcami. Jakby ktoś podał jej znieczulenie. Z brody zwisa coś mokrego. Wargę? Rebeka przełyka ślinę i rozpoznaje smak krwi.

Staje na czworakach. Pod rękami ma klepisko, wilgoć ziemi przenika przez dżinsy. Pomieszczenie śmierdzi szczurzymi odchodami.

Jeżeli tutaj umrze, to zjedzą ją szczury. Zaczyna się czołgać. Wyciągniętą przed siebie ręką po omacku szuka schodów. Przyklejają się do niej pajęczyny. Nagle w rogu coś trzeszczy. Schody! Rebeka klęczy z rękami wspartymi o stopnie. Jak pies na tylnych łapach. Nasłuchuje. Czeka.

Lars Gunnar zablokował kredensem klapę w podłodze. Wyciera ręką spocone czoło.

Powtarzane przez Nallego „co?” ucichło. Ojciec chłopca wygląda przez okno w kuchni. Poznaje to charakterystyczne człapanie. Nalle chodzi w kółko po podwórzu. Jak zawsze, kiedy jest mu smutno albo kiedy jest wystraszony. Czasami mija pół godziny, zanim odzyska spokój. W ciągu tych trzydziestu minut nic do niego nie dociera. Za pierwszym razem, gdy Nalle miał taki atak, Lars Gunnar czuł się tak bezsilny i sfrustrowany, że w końcu go uderzył. To uderzenie boli go po dziś dzień. Pamięta, jak patrzył na dłoń, która wymierzyła cios, i myślał o swoim ojcu. A Nalle wcale się nie uspokoił, wręcz przeciwnie. Teraz Lars Gunnar wie, że musi mieć cierpliwość. I czas.

Gdyby tylko ten czas istniał.

Lars Gunnar wychodzi z domu. Podejmuje próbę, choć wie, że na próżno.

- Nalle!

Ale Nalle nie słyszy. Nie przestaje dreptać w kółko.

Lars Gunnar wyobrażał sobie tę chwilę tysiące razy. W myślach syn śpi mocno i spokojnie. Mają za sobą miło spędzony dzień. Może byli w lesie. A może szaleli na skuterze p^ozamarzniętej rzece. Siedzi przy Nallem, czekając, aż syn zapadnie w sen. A

potem...

Nie, uzbierało się tego stanowczo za dużo. Gorzej już być nie może. Męczyzna przeciera dłonią policzek. Wygląda na to, że płacze.

Widzi przed sobą Mildred. Już wtedy wytyczył sobie drogę. Teraz dociera to do niego nadzwyczaj wyraźnie. Ten pierwszy cios. Uderzył ją, bo przepelniał go gniew. Ale później... Później rozbijał już tylko własne życie. Powiesił je i wystawił wszystkim na pokaz.

Biegnie do samochodu. Ma tam sztucer. Nabity. Leżał tam naładowany całe lato. Odbezpiecza.

- Nalle! — woła łamiącym się głosem.

Mimo wszystko chciałby się pożegnać. Bardzo chciałby się pożegnać.

- Nalle! — zwraca się do swojego dużego chłopca.

Teraz. Póki jeszcze potrafi utrzymać strzelbę. Nie może czekać, aż przyjdą. Nie pozwoli go sobie odebrać.

Podnosi broń. Celuje. Strzela. Pierwszy pocisk trafia chłopca w plecy. Nalle pada na twarz. Drugi — w głowę.

Lars Gunnar wchodzi do domu.

Najchętniej otworzyłyby klapę i zabił tę kobietę w ziemiance. Kim ona jest? Nikim!

Ale teraz nie jest w stanie przesuwać mebli.

Opada ciężko na ławę w kuchni.

Podnosi się. Otwiera ścienny zegar i zatrzymuje wahadło.

Znów siada.

Lufa w ustach. Odkąd pamięta, to wszystko było jedną wielką udręką. W końcu poczuje ulgę. Nareszcie to wszystko się skończy.

Rebeka słyszy strzały. Dochodzą z zewnątrz. Dwa. Później łoskot otwieranych i zamykanych drzwi, kroki po podłodze. I ostatni strzał.

Budzi się w niej coś pierwotnego. Coś z przeszłości.

Rebeka wspina się do góry, chce uciec. Uderza głową o klapę. Niemal spada ze schodów, ale udaje się jej złapać uchwyt.

Klapy nie da się ruszyć z miejsca. Rebeka tłucze w nią pięściami. Zdziera knykcie. Zrywa paznokcie.

*

Anna Maria Mella wjeżdża na podwórze Larsa Gunnara o wpół do czwartej po południu. Obok niej w samochodzie siedzi Sven Erik. Przez całą drogę do Poikkijärvi milczeli. Czują się nieswojo; za chwilę będą musieli zarekwizować broń byłemu koledze, by poddać ją badaniom balistycznym.

Komisarz Mella jak zwykle prowadzi zbyt szybko i o mały włos nie wjeżdża w ciało leżące na żwirowym podjeździe.

Sven Erik przeklina. Anna Maria hamuje gwałtownie i wyskakuje z samochodu. Sven Erik już kłęczy przy chłopcu i sprawdza tętno. Czarny rój much wznosi się ciężko nad zakrwawionej głowy. W odpowiedzi na nieme pytanie koleżanki policjant kręci głową.

- To syn Larsa Gunnara — mówi.

Anna Maria spogląda w kierunku domu. Nie wzięła ze sobą broni. Kurwa mać!

- Ani mi się waź, do jasnej cholery! — ostrzega ją Sven Erik. — Wracamy do samochodu i dzwonicmy po posiłki. To potrwa wieczność, zanim tu dotrą, myśli Anna Maria.

- Trzyście minut — oznajmia Sven Erik, patrząc na zegarek. Fred Olsson i Tommy Ranttakyro przyjeżdżają w cywilnym samochodzie. Parkują na wzniesieniu i wbiegają skuleni na podwórze. Sven Erik wycofuje forda Anny Marii na bezpieczną odległość.

Drugi wóz, z czterema policjantami w czarnych kombinazonach i kamizelkach kuloodpornych, parkuje przed domem. Posłuży im za barykadę.

Sven Erik dostaje do ręki megafon.

- Halo! Lars Gunnar! — woła. — Jeżeli tam jesteś, to wyjdź, proszę, na dwór. Musimy porozmawiać.

Żadnej odpowiedzi.

Anna Maria napotyka jego spojrzenie i kręci głową. Nie ma na co czekać.

Czworo policjantów w ubraniach ochronnych wkracza do domu. Dwoje przez drzwi wejściowe. Najpierw jeden, zaraz za nim drugi. Dwoje pozostałych — przez okno na tyłach

budynku.

Nie licząc brzęku tłuczonego szkła, panuje kompletna cisza. Czeka ją. Minutę. Dwie.

W końcu na ganku pojawia się jeden z kolegów w czerni. Macha do nich ręką: droga wolna.

Ciało Larsa Gunnara leży na podłodze przed kuchenną ławą. Na ścianie zaschły rozbryzgi jego krwi.

Sven Erik i Tommy przesuwają kredens stojący na środku kuchni.

- Ktoś tam jest pod spodem — krzyczy Tommy. — Proszę wyjść — mówi, otwierając klapę. Wyciąga rękę. Nikt się jednak nie wyłania. W końcu Tommy schodzi w dół.

- Shit! W porządku, proszę, tylko spokojnie. Może pani stanąć na nogi?

Kobieta wydostaje się z otworu w podłodze powoli i z mozolem. Gdy policjanci, chcąc pomóc, chwytają ją pod ręce, wydaje cichy jęk.

Upłynie ułamek sekundy, zanim Anna Maria rozpozna Rebeke Martinsson.

Połowa jej twarzy jest sinoczarna i spuchnięta. Na czole widnieje rozległa rana, górna warga zwisa krwisto na strzępie skóry. „Wyglądała jak pizza ze wszystkimi składnikami”, skomentuje dużo później Tommy.

Anna Maria koncentruje się na zębach kobiety. Są potwornie zaciśnięte. Jakby zablokowała się jej szczęka.

- Pani Rebeko — zwraca się do niej. — Co...

Ale Rebeka odpędza ją ręką. Rzuca tylko okiem na ciało leżące na podłodze i wychodzi z kuchni sztywnym krokiem.

Anna Maria, Sven Erik i Tommy podążają za nią.

Niebo poszarzało. Chmury, brzemiennie deszczem, wiszą nisko nad podwórzem.

Czeka tam Fred Olsson. Na widok Rebeki nie potrafi wydusić z siebie słowa. Wokół tego niewypowiedzianego otwierają się jego usta i rozszerzają oczy.

Anna Maria nie spuszcza wzroku z Rebeki, która stoi nad zwłokami Nallego, jakby połknęła kij. Coś w jej oczach sprawia, że policjanci instynktownie trzymają się w cieniu. Nie

przeszkadzają.

- Gdzie się, kurde, podziewa służba zdrowia? — pyta Anna Maria.

- Karetka jest już w drodze — odpowiada ktoś.

Komisarz Mella spogląda w niebo. Zaczyna mżyć.

Muszą rozłożyć coś nad ciałem chłopca. Jakiś brezent czy coś w tym rodzaju.

Rebeka się cofa. Macha ręką, jakby odpędzała muchy.

Nagle rusza z miejsca. Najpierw idzie niepewnie w stronę domu, lecz już po chwili, zataczając się, kieruje kroki ku rzece. Jakby miała zawiązane oczy. Nie wie, gdzie jest i dokąd zmierza.

Zaczyna padać. Anna Maria czuje, jak nad podwórze nadciąga chłodny strumień jesiennego powietrza. Rzęsisty, zimny deszcz. Tysiące lodowych igiełek. Zaciąga suwak niebieskiej kurtki, chowa brodę za wysoką stójką. Musi rozpiąć ten brezent nad ciałem.

- Uważaj na nią — poleca Tommy'emu, wskazując na zataczającą się Rebeke. — Trzymaj ją z daleka od broni, tej w środku i waszej służbowej. I nie pozwól jej dojść do rzeki.

Rebeka Martinsson przemierza podwórko. Na zwirowym podjeździe leży martwy, martwy, martwy duży chłopiec. Przed chwilą siedział w piwnicy i karmił herbatnikiem maleńką myszkę.

Potwornie wieje. Wiatr huczy w uszach.

Na niebie pojawia się coraz więcej śladów po zadrapaniach. Głębokie rysy zapełniają się czarnym atramentem. Pada deszcz? Zaczęło padać? Kobieta podnosi ręce ku niebu, by sprawdzić, czy zmokną. Osuwając się, rękawy płaszcza obnażają szczupłe nadgarstki, dłonie jak nagie brzozy. Szalik spada na trawę.

Tommy dogania Rebeke.

- Proszę pani! — woła. — Tylko nie do rzeki, dobrze? Zaraz przyjedzie pogotowie i...

Ona nie słucha. Nie przestaje iść w stronę brzegu. Tommy

uważa, że sytuacja zaczyna być odrażająca. Kobieta też jest odrażająca. Odrażająco wytrzeszczone oczy w zmasakrowanej twarzy. Nie chce zostać z nią sam na sam.

- Sorry — mówi, chwytając ją za ramię. — Nie mogę... Po prostu nie może pani tam iść.

Naraz ziemia pęka niczym zgniły owoc. Ktoś chwytą ją za ramię. To pastor Vesa Larsson. Nie ma już twarzy. Na jego ramionach spoczywa brązowy psi łeb. Czarne psie oczy patrzą na nią z wyrzutem. Miał dzieci. A psy przecież nie potrafią płakać.

- Czego ode mnie chcesz?! — krzyczy Rebeka.

A tam stoi pastor Thomas Söderberg. Wyciąga ze studni martwe niemowlęta. Pochyla się nad cembrowiną i podnosi jedno za drugim. Trzyma je do góry nogami za piętę albo za kostkę. Dzieci są nagie. Mają białą, rozmiękłą skórę. Pastor rzuca je na stos, który rośnie nieustannie u jego stóp.

Kiedy Rebeka odwraca się gwałtownie, staje oko w oko ze swoją matką. Mama jest czysta i piękna. - Nie dotykaj mnie tymi palcami! — mówi podniesionym głosem. — Rozumiesz? Czy ty rozumiesz, co zrobiłaś?

Anna Maria nareszcie znalazła matę, którą przykryje ciało chłopca. Nigdy nie wiadomo, czego sobie zażyczą technicy. Musi też zorganizować ogrodzenie terenu, zanim zjawi się tu cała wieś. I prasa. Kurza dupa, że też musiało się rozpadać akurat teraz! Nagle w całym tym rozgardiaszu, między jednym poleceniem a drugim, z matą w rękach, zaczyna tęsknić za Robertem. Za wieczorem, kiedy będzie mogła się wypłakać w jego ramionach. Bo przecież to wszystko jest takie popierdolone i bez sensu...

Odwraca się do wołającego ją Tommy'ego.

- Nie mogę jej utrzymać! — krzyczy kolega, siłując się w trawie z Rebeką.

Kobieta się szarpie i wymachuje dziko rękami na wszystkie strony. Udaje jej się wyrwać; biegnie do rzeki.

Sven Erik i Fred rzucają się za nią. Ledwie Anna Maria zdąży zareagować, Sven Erik jest już na miejscu. Fred zaraz za nim.

Łapie Rebeke. Ta wije się w ramionach policjanta jak wąż.

- Dobrze już — mówi Sven Erik donośnym głosem. — Dobrze już. Dobrze.

Tommy trzyma rękę pod swoim nosem. Strużka krwi spływa między palcami. Anna Maria zawsze ma w kieszeni jakiś papier. Zawsze jest coś do wytarcia. Gustav. Lody, banan, smarki. Podaje koledze papierową chusteczkę.

- Powal ją na ziemię — woła Fred. — Musimy ją zakuć w kajdanki!

- Nic tu, kurwa, nie będzie zakuwane! — odpowiada ostro Sven Erik. — Gdzie ta karetka pogotowia?!

To ostatnie pytanie kieruje do Anny Marii, która kręci głową. Nie wie. Sven Erik i Fred trzymają Rebeke za ramiona, każdy po swojej stronie. Kobieta klęczy między nimi i nie przestaje się szarpać.

W końcu nadjeżdża karetka pogotowia. A za nią jeszcze jeden radiowóz. Koguty i syreny w szarym intensywnym deszczu. Potworny jazgot.

Mimo to Anna Maria słyszy przedzierający się przez wszystko krzyk Rebeki.

Rebeka Martinsson krzyczy. Krzyczy jak szalona. Nie może przestać.

ŻÓLTONOGA

Jest czarny jak szatan. Pędzi przez morze przekwitłej, brązowo-różowej wierzbówki. Białe puszyste nasiona fruwają w jesiennym słońcu jak płatki śniegu. Nagle zatrzymuje się gwałtownie. Sto metrów przed nią.

Ma szeroką pierś i szeroką głowę. Długie, grube i czarne włosy wokół szyi. Nie jest piękny. Ale duży. Tak jak ona.

Stoi nieruchomo. Teraz ona się zbliża. Słyszała go od wczoraj. Wabiła do siebie. Przywoływała i śpiewała. Zapewniała w ciemności, że jest zupełnie sama. I przyszedł. W końcu przyszedł!

Czuje, jak szczęście kłuje ją w łapy. Biegnie truchtem prosto na niego. Stara się o jego względy bez żadnych ograniczeń. Ściąga uszy i siada w pozycji zalotnicy. Wdzięczy się. Wyciąga grzbiet w długie S. Jego ogon kołysze się powoli, ale zamasyżycie.

Nos przy nosie. Nos przy genitaliach. Nos pod ogonem.

I nos przy nosie raz jeszcze. Wypięta pierś i wyciągnięta szyja. To wszystko jest niezdolnie uroczyście. Żółtonoga wyklada przed nim wszystkie karty. Jeśli mnie chcesz, to jestem twoja, mówi wyraźnie.

Wtedy on daje znak. Kładzie łapę na jej łopatce. A potem figlarnie skacze do przodu.

Ona nie potrafi dłużej czekać. Ochota do zabawy, o której już prawie zapomniała, powraca ze zdwojoną siłą. Odskakuje więc od niego. Rusza z kopyta, aż sypie się za nią ziemia. Przyspiesza, zawraca gwałtownie, pędzi z powrotem i przelatuje nad nim w długim skoku. Odwraca się. Spuszcza głowę, marszczy nos i obnaża zęby. I znów biegnie na łeb na szyję.

On rusza za nią i kiedy w końcu ją dogania, wywijają razem koziolki.

Rozpaleni, bawią się jak wariaci. Potem leżą przy sobie i dyszą.

Ona wyciąga leniwie szyję i liże jego pysk.

Słońce ginie za sosnami. Nogi są zmęczone i szczęśliwe.

Wszystko jest teraz.

PODZIĘKOWANIA AUTORKI

Rebeka Martinsson stanie na nogi, wierzę w tę dziewczynkę w czerwonych gumowcach. Proszę pamiętać: w mojej baśni to ja jestem bogiem. Możliwe, że niektórzy bohaterowie, postępując zgodnie ze swoją wolą, napytali sobie biedy. Ale to ja ich wymyśliłam. Miejsca w większości również są zmyślane. Nad rzeką Torne leży wioska Poikkijärvi, lecz na tym kończą się wszelkie podobieństwa. Nie ma tam żadnej żwirowej drogi, żadnej gospody, żadnej plebanii.

Wiele osób mi pomogło i niektórym z nich chciałabym podziękować. Magister prawa Karin Lundstrom, która potrafi wyszperać w policji szalenie interesujące postacie. Ordynatorowi Janowi Lindbergowi, który pomógł mi przy moich zmarłych. Doktorantce Catharinie Durling i asesor Viktorii Edelman, które zawsze wertują kodeks, kiedy czegoś nie rozumiem albo jestem zbyt leniwa, by to sprawdzić sama. Przewodnikowi psa Peterowi Holmströmowi, który opowiedział mi o superczworonogu Clintonie.

Wszystkie błędy w powieści są moje. Czasami nie dopytuję się o coś, nie rozumiem czegoś albo po prostu zmyślam w złej wierze.

Dziękuję również: wydawcy Gunnarowi Nirstedtowi za uwagi; Elisabeth Ohlsson-Wallin i Johnowi Eyre'owi za okładkę oryginalnego wydania; Lisie Berg i Hansowi Olovowi Obergowi, którzy książkę czytali i oceniali; Mamie i Evie Jensen, które zawsze znajdują siłę, by przycisnąć guzik „repeat” i wykrzyknąć: „świetne! naprawdę!”; Tacie, który sporządza mapy, potrafi odpowiedzieć na wszystkie możliwe pytania i który widział wilka, kiedy jako siedemnastoletni chłopak rozciągał sieci pod lodem.

A na koniec dziękuję Perowi. Za wszystko.

Międzynarodowy bestseller

Kryminał roku
według Szwedzkiej Akademii Pisarzy Kryminalnych
(ranking 2004)

Na północy Szwecji, niedaleko Kiruny, w bestialski sposób zostaje zamordowana pastor. Jest jedną z najbardziej lubianych, a zarazem kontrowersyjnych osób w okolicy. Każdy może być jej zabójcą...

Niedługo potem do Kiruny przyjeżdża Rebeka Martinsson – utalentowana młoda prawniczka, której kariera została przerywana w dramatycznych okolicznościach, gdy półtora roku wcześniej w obronie własnej zabiła troje ludzi. Nic nie wie o brutalnym morderstwie w pobliskiej Jukkasjärvi. Nie przypuszcza, że znów wpadnie w tarapaty...

„Piorunujące wrażenie”. „Tages-Anzeiger”

„Miłośnicy Henninga Mankella, Karin Fossum i Arnaldura Indridassona będą zachwyceni”. „Publishers Weekly”

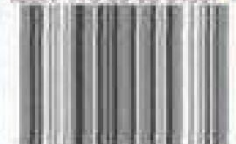
„Nowa gwiazda powieści kryminalnych z Północy”. „Bunte”

Kryminały Åsy Larsson przetłumaczono na kilkanaście języków.

Na podstawie *Krw*, którą nasiąkał powstaje film z Izabella Scorupco w roli głównej.

Cena 34,90 zł

ISBN 978-83-08-04567-1



9 788308 045671

WYDAWNICTWO LITERACKIE
www.wydawnictwoliterackie.pl
bezpłatna linia telefoniczna 800 42 10 40



Ali-Baba